

Anna Hrycyszyn

Zatopić „Niezatapialną”



Spis treści

Prolog,

czyli rozważań o trudnym losie kucharza część pierwsza

Rozdział pierwszy,

w którym napięcie miesza się z chwilami radosnej bez troski

Rozdział drugi,

w którym wszystko jest nie takie, jak być powinno

Rozdział trzeci,

w którym okazuje się, że piractwo to nie tylko śpiew i muzyka

Rozdział czwarty,

w którym następują daleko idące zmiany z zapowiedzią konsekwencji w tle

Rozdział piąty,

w którym decyzje są podejmowane za plecami

Rozdział szósty,

w którym wreszcie pojawiają się szeroko pojęte konsekwencje

Rozdział siódmy,

w którym chodzi o dokonywanie wyborów

Rozdział ósmy,

w którym mamy do czynienia z planowaniem strategicznym

Rozdział dziewiąty,

w którym do czynienia mamy z taktyką

Rozdział dziesiąty,

w którym przeczy się rozsądkowi, logice i zapewne kilku prawom fizyki też

Rozdział jedenasty,

w którym w pewnym sensie wracamy do początku tej historii

Rozdział dwunasty,

w którym wreszcie mamy do czynienia z abordażem

Rozdział trzynasty,

w którym sny bardzo chcą stać się rzeczywistością

Epilog,

w którym głos ponownie dostaje kucharz

Gdyby ktoś przechodził przypadkiem, czyli ten moment, w którym autorka, wiedzona wrodzoną szlachetnością serca, postanawia oszczędzić czytelnikowi domysłów

Podziękowanie

Anna Hrycyszyn
ZATOPIĆ
„Niezatapialną”



Zatopić „Niezatapialną”

Copyright © Anna Hrycyszyn

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-083-6

epub ISBN 978-83-7995-084-3

mobi ISBN 978-83-7995-085-0

Redakcja: Anna Kańtoch

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana

ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub

magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl,

www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl

*Annie Wołosiak-Tomaszewskiej.
Kiedyś obiecałam Ci pomnik.*

Prolog,

czyli rozważań o trudnym losie kucharza

część pierwsza

– Że też one mają zdrowie do tych nocnych eskapad...

Słowa v'Ankary utonęły w ziewnięciu. Mężczyzna przeciągnął się, aż zatrzeszczały wszystkie stawy. Od zawsze był zdania, że noc służy do spania, a czasem też do innych przyjemności, ale na pewno nie do tego, by się wspinać z nożem w zębach po oślizgłych, zimnych burtach statków, nawet jeśli ich ładownie miałyby być wypełnione wszystkimi kamieniami Wschodniego Pasma.

Jak na ironię, ta właśnie filozofia doprowadziła go do miejsca, gdzie mógł wygłaszać podobne uwagi. Pozostając z nią w zgodzie, mimo nalegań spragnionego prestiżu ojca odmówił wstąpienia do Szkoły Wojowników-Duchów. Przyplacił to przymusową wyprowadzką i obolałym kręgosłupem, gdy z braku lepszych możliwości zatrudnił się przy świątyni. Jego głównym obowiązkiem było noszenie wody do rytualnych kąpiei z boskim pośrednikiem. Boski pośrednik miał trąbę, dwoje wielkich uszu i często zadzierał ogon. V'Ankara nie widział w nim nic boskiego.

Praca była ciężka, wynagrodzenie mizerne, a marzenia v'Ankary proste i niezmiennie. Chciał otworzyć własną jadłodajnię, wymyślać nowe potrawy, zadziwiać gości niecodziennym łączeniem smaków. Chciał słuchać zza zwiewnej zasłony, którą planował oddzielić kuchnię od sali jadalnej, jak klienci rozplływają się w zachwytach. Nie raz zdarzało mu się śnić na jawie, a jeden z tych razów skończył się niefortunnie i oto v'Ankara znalazł się tu, gdzie się znalazł. I nie było żadnych szans, by dzisiejszej nocy mógł się wyspać.

Westchnął, obrzucił swoje niewielkie królestwo przeciągłym spojrzeniem i sięgnął do łyżki, by zamieszać w garnku stojącym na kuchence. Pomarańczowy płyn był gęsty i aksamitny, aż się prosił, by go skosztować, co też v'Ankara uczynił.

Imbir rozgrzewał, czosnek dodawał wyrazu, a parę kropel miodu przyjemnie łagodziło całość. Dyniówkę gotował w dwóch przypadkach: gdy dziewczyny szły na nocną akcję, więc wiadomo było, że przyda im się coś na rozgrzewkę, i kiedy Gracja wracała z jednej z tawern, których na tym kontynencie było zdecydowanie za dużo.

Zadowolony ze swego dzieła, wysunął głowę ponad kontuar oddzielający kambuz od niewielkiej mesy i zerknął na siedzącą z ponurą miną felczer. Stół już dawno został przykryty białym prześcieradłem, a walizka wypełniona narzędziami i dziesiątkami

kolorowych buteleczek czekała na spodziewanych pacjentów.

v'Ankara ponownie westchnął.

Ciekawe, która to będzie tym razem? Idąca zapewne w awangardzie Ywig? Któraś z mechaników?

Zmarszczył czoło i nos w wyrazie niezadowolenia. Nie lubił tego nocnego czekania. Nie lubił się o nie martwić. Nie lubił się bać, że tym razem któraś nie wróci w ogóle.

– Jestem pewna, że wreszcie trafi na Nes – powiedziała w tym momencie Gracja głosem równie ponurym, jak wyraz jej twarzy. – Jeśli w ogóle wrócą! To szczęście musi się skończyć prędzej czy później – dodała, a v'Ankara szybko splótł palce w sekwencji skomplikowanych gestów, odczyniających złe słowa.

Dlatego właśnie – mówił sobie w chwilach, gdy dopadał go wstyd – nigdy nie chodził z nimi na akcje. Żeby ugotować im zupę i żeby odwracać uroki, rzucane przez ponurą panią doktor.

– Nie trafi – powiedział. – Nigdy nie trafiło, to i teraz nie trafi. I wrócą. Zawsze wracają.

Rozdział pierwszy,

w którym napięcie miesza się z chwilami radosnej bez troski

– Wiem, co mówię!

Kapitan Jolliennesse Rożnowski spojrzała na swego rozmówcę spod opadającej na czoło blond grzywki. Mężczyzna pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Daj spokój, Nes, histeryzujesz... – powiedział, lecz jego głos wcale nie brzmiał pewnie ani przekonująco.

– Histeryzuję? Xa! Prawie od miesiąca nie zeszyliśmy na ląd! Wszędzie witają nas fioletowe ogniki, powoli kończą się pewne miejsca. Co im odbiło, do jasnej anielki?

Xandre Witrenstiern, właściciel najlepszej tawerny po tej stronie rzeki – a być może i po obydwu stronach – wzruszył ramionami, próbując zbagatelizować obawy swej ulubionej klientki.

– Przecież i wcześniej zdarzały się obławy. Ot, mają nowego dowódcę, który chce się wykazać, to biegają niczym koty w marcu. Popłyńcie w dół rzeki, przyczajcie się w którejś z jaskiń na Wybrzeżu Młota i tyle.

– Próbowaliśmy. Wierz mi, że próbowaliśmy się dostać na wybrzeże. Gdyby nie ostrzeżenie z Dolnej Gawry, to zamiast siedzieć tu z tobą, tańczyłabym z rybkami na dnie Leniwej... Albo i na sznurze u stóp Cytadeli.

Zamilkła, wracając myślami do niewesołej sytuacji sprzed paru dni.

* * *

„Niezatapialna” szła pełną parą w dół rzeki, a w rufę dyszał jej jeden z pościgowców Straży Przybrzeżnej. Smukłe i zwrotne okręty średniej klasy miały przewagę nad znacznie większą i porządnie obładowaną emerytką. W pojedynkę co prawda nie stanowiły problemu nie do pokonania, ale zawsze mogły nabruździć, a ponadto Nes dobrze wiedziała, jak krucho jest na „Niezatapialnej” z amunicją. Mały drań siedział im na ogonie od dobrej godziny. Wyłonił się z bocznej odnogi Leniwej, która swą nazwę dostała chyba tylko na zasadzie żartu. Pełna wirów, podstępnie zmieniająca nurt rzeka zdecydowanie nie zasługiwała na to określenie. Szeroka, a do tego bystra i kręta, miała też całkiem sporo wysepek rozłożonych na całej długości, które jednostka z wypornością „Niezatapialnej” musiała omijać z odpowiedniej strony. Straż Przybrzeżna dobrze wiedziała, z której i dlatego całkiem łatwo było im się zacząć za skrawkiem lądu, wyrastającym wprost ze środka rzeki.

To, że wystartowali w ten sposób, było oczywiste. Natomiast wydawało się podejrzane, że nie próbowali nawet „Niezatapialnej” dogonić. Ani razu nie odezwali się przez te swoje aparaty do zwiększania siły głosu, które irytowały wszystkie żywe stworzenia w promieniu kilkuset metrów ani nie wystrzelili z żadnego działka pościgowego.

Nes znalazła się w tym miejscu, bo zamierzała zrobić dokładnie to, o czym mówił Xandre: spłynąć na morze i zniknąć w przytulnej kryjówce. Na dłużej. Przynajmniej na dwa, może trzy miesiące.

– Kapitanie, odległość od pościgu wciąż bez zmian!

– Jaka prędkość?

– Trzynaście węzłów.

– Damy radę szybciej?

Chuda i wiotka niczym brzoza pierwsza oficer wydeła wargi z powątpiewaniem.

– Z ładunkiem? – spytała, unosząc ramiona, a kiedy Nes wciąż patrzyła na nią, jakby nie chciała pojąć odpowiedzi, dodała niechętnie: – Zejdę na dół, lepiej pogadam z Heile normalnie, nie przez rurę, bo łatwo nie będzie.

Główna mechanik znała „Niezatapialną” całe życie – własne i parowca. Jej ojciec pracował jako inżynier w stoczni w Hidene i to on przed ponad trzydziestu laty zaprojektował silniki, które teraz musiały dać z siebie jeszcze więcej. Wtedy „Niezatapialna” nie miała przed nazwą skrótu MZ i była pełnym wigoru statkiem pasażerskim, kursującym pomiędzy dwoma największymi miastami kontynentu. Ale to było dawno temu.

– Zejdz. Nie podoba mi się to. – Nes wskazała na pościgowiec, jakby mogło chodzić o cokolwiek innego.

– Zagania nas. – Marita nie była głupia; żadna z dziewcząt na „Niezatapialnej” nie była.

– Właśnie. Zagania nas.

– Fiolet z Dolnej Gawry! – Rozległ się okrzyk, po którym obie jak na komendę spojrzwały w górę.

Zwiad wracał.

– Jasna cholera!

Seria pocisków pomknęła w niebo, w kierunku małego statku powietrznego. Pilot szarpnęła stery, kopnęła nogą w drążek wysokości i odpadła na prawo.

Nes podbiegła do rury głosowej i, waląc w dzwonek alarmowy, wrzasnęła:

– Obsada dział rufowego! Zlikwidujcie tego drania, zanim zrobi krzywdę Kass!

Rura zawyła, zabulgotała, po czym odezwała się głosem należącym do Fraan:

– Zostały tylko dwa pociski, Nes!

– No to musicie się naprawdę postarać – warknęła kapitan i pomknęła do schodów prowadzących ze sterówki na pokład.

– Odbijamy na Turkusowe! – W biegu wydała kolejne polecenie.

– Będzie problem przy tej prędkości, to już za moment, nie wyhamujemy... – Laara, jak zwykle stojąca za sterem, mówiła spokojnie, niemal flegmatycznie.

– Zrób to i już! Wiem, że jest źle!

– Heile, idziemy na Turkusowe, przygotuj się do skrętu!

Podniesiony głos Marity gonił Nes, gdy zbiegała po schodach, a chwilę później poczuła hamowanie. Dziewczyny może lubiły dyskutować, ale potrafiły szybko działać.

Tymczasowa obsługa działała uwijała się jak w ukropie. Tymczasowa, bo tak naprawdę na „Niezatapialnej” nie było sztywnego podziału stanowisk. Robiło się to, co trzeba było robić, i Nes także po prostu podwijiała rękawy i działała.

– Nie mogą zestrzelić Kass! – krzyknęła niepotrzebnie, gdy kolejna seria zmusiła mały ornitopter do jeszcze gwałtowniejszej zmiany kursu.

Ładowane od tyłu działo na pierwszy rzut oka nie pasowało do reszty wyposażenia. Na stołku celowniczego siedziała Fraan i unosiła lufę, patrząc w okular lunety i mrużąc coś pod nosem.

– Lewa! – wrzasnęła Nes, w której wrodzona niecierpliwość, połączona ze strachem o życie najmłodszej dziewczyny z załogi, osiągnęła właśnie stan mieszanki wybuchowej gotowej do eksplozji.

Fraan potrząsnęła głową. Nes zacisnęła zęby. Lufa przesunęła się odrobinę w prawo i uniosła jeszcze centymetr bądź dwa. A potem Fraan dmuchnęła w grzywkę, przygryzła koniuszek języka i nacisnęła obydwie spusty. Huk ogłuszył Nes, a gdy ułamek sekundy później podnosiła się z wyslizganych desek, czuła na wargach smak żelaza. Zła na siebie, zrobiła parę kroków po wciąż lekko rozkołysanym pokładzie i wychyliła się, by ocenić sytuację.

Pościgowiec szedł dalej równym tempem.

– Szlag! – zaklęła, ocierając krew.

– Przestrzelony, zaraz poprawię! – Fraan nie odrywała wzroku od celownika, dwie inne dziewczyny szarpały się z ostatnim pociskiem.

Nes podbiegła do zamka i sięgnęła, chcąc go otworzyć, lecz szybsza od niej Kayle odepchnęła ją gwałtownym ruchem, jednocześnie podnosząc ręce uzbrojone w grube rękawice.

– Zostaw! Gorące! – Sama sięgnęła do zamka. – Pomóż Darnie z pociskiem.

Nes rzuciła się wykonać polecenie podwładnej i jednocześnie z ulgą uświadomiła sobie, że pościgowiec przynajmniej przestał strzelać.

Drugi strzał rozległ się w tym samym momencie, w którym lewe koło zatrzymało się,

by prawie natychmiast ruszyć w tył. Parowiec rozpoczął gwałtowny obrót.

Jest Turkusowe! – pomyślała Nes, po raz drugi zbierając się z pokładu.

Tym razem pościgowiec na pewno dostał, a mimo to próbował jeszcze przez chwilę kontynuować pościg. Jednak dokładanie pod kotły gdy ma się dziurę w pokładzie to zły pomysł i kapitan wrogiej jednostki najwyraźniej doskonale zdawał sobie z tego sprawę, bo uniósł rękę, dając rozkaz „maszyny stop”. Okręt zaczął zwalniać. Tymczasem „Niezatapialna” na mgnienie oka potrzebne do ponownego puszczenia obydwu kół naprzód stanęła w poprzek Leniwej. Przez chwilę wydawało się, że nurt wygra i obróci tyłem pchany siłą bezwładu parowiec, lecz maszyny zdołały wyrwać go rzecze w akompaniamencie jęków przeciążonej stali.

Odnoga prowadząca na Turkusowe wydawała się idealnie pasować do kształtu i rozmiaru „Niezatapialnej”. Przynajmniej na początku. Bo potem należało odbić nie w szeroką, idącą równolegle do Leniwej i prawdziwie łagodną Glinianą, ale w wąską Turkusową. Bystra rzeka, meandrująca wśród coraz wyższych skał, była głęboka i przejrzysta. Nazwę zawdzięczała kolorowi i legendzie – podobnie jak jezioro, przez które przepływała.

– Stawiamy balon! – krzyknęła Nes, gdy parowiec zaczął nabierać prędkości, a jednostka Straży Przybrzeżnej została na tyle daleko, by można było wypuścić parę, wzmocnioną za pomocą kilku chłodnych kryształów i zniknąć pościgowi całkowicie z oczu w kłębie gęstej, mlecznej mgły.

Ta ostatnia skumulowała się za rufą, tworząc barierę nie tylko ukrywającą dziewczyny przed niepożądanymi oczyma, ale także wyciszającą wszelkie dźwięki. Nes odetchnęła z ulgą, czując, jak parowiec nabiera prędkości i oddala się coraz bardziej od oślepionego, ogłuszonego i okulawionego prześladowcy.

Zijeme, przysłana spod pokładu przez Heile – bo główna mechanik za nic nie pozwoliłaby na użycie jednego z jej wynalazków bez choćby częściowego nadzoru – już otwierała klapę centralnej nadbudówki. Pani kapitan bez namysłu chwyciła linę i z pomocą Ywig zaczęła wyciągać płachtę grubego materiału ze schowka.

Postawienie usztywnianego balonu zajmowało mniej więcej dziesięć minut. Potem trzeba go było jeszcze wypełnić i podczepić liny stabilizujące. W tym momencie pozorny chaos na pokładzie był doskonale skoordynowany, a różne rzeczy zaczynały się dziać jednocześnie. Marita zniknęła pod pokładem, Nes sięgnęła do paska, a Kayle i Zijeme już mocowały liny. Pierwsza oficer wróciła razem z Ulfą. Wspólnie ciągnęły giętką rurę. Liny z głuchym odgłosem spadły na pokład i niemal w tym samym momencie przejęły je kolejne dziewczęta. Gorące powietrze z kotłowni, skierowane do wnętrza balonu, zaczęło wypychać powłokę, jednocześnie naciągając liny, które zostały wcześniej przymocowane do uchwytów na rufie i dziobie. Pani kapitan wyciągnęła

odpowiednią buteleczkę i pod światło obejrzała jej zawartość.

– Też się kończy. – Potrząsnęła głową. – Co za parszywy czas!

Z wlaniem odpowiedniej dawki cieczy do wnętrza czaszy musiała czekać, aż znajdą się na kursie prostym na jezioro, czyli dotrą na błękitne wody Turkusowej. Tymczasem obserwowała lądującą ornitopterem Kass. Młoda była naprawdę dobra. Rozpoczęła manewr w momencie, gdy Darna i Kayle ruszyły do kabestanu, obsługującego mechanizm wysuwania platformy. Dobrze naoliwione zębatki nie stawiały oporu. Lekka ażurowa konstrukcja z rudego metalu z cichym szelestem rozciągnęła się na całą długość po ledwie trzech obrotach koła. Ornitopter wylądował zgrabnie i Kass złożyła skrzydła maszyny. Wyskoczyła z krzeselka i podbiegła do Nes.

– Pani kapitan! Niedobrze jest! Gawra zmieniła kolor ognika praktycznie w ostatniej chwili, nie miałam innego wyjścia, jak tylko do was lecieć bez osłony, inaczej minęłybyście odbicie!

– Rozumiem, Kass, spokojnie. – Nes westchnęła, przyjmując usprawiedliwienie. Młoda poza tym, że świetnie sobie radziła ze wszystkim, co latało, była też całkiem inteligentna i wiedziała, że jej okrzyk wzbudzi ciekawość dowódcy pościgowca, kiedy ten przestanie się już martwić o własny tyłek, a zacznie myśleć o tym, co się stało ze statkiem, który ścigał. – Wiem, że nie wrzeszczałabyś bez powodu i nie zdradzałabyś nikomu naszej małej tajemnicy. Musimy opracować jakiś system komunikacji bezsłownej, bo dziś to była czysta porażka.

– Może nie załapią... – powiedziała niepewnie Marita.

– Może nie, ale lepiej zrobimy, myśląc, że tak. – Nes chwyciła końcówkę jasnego warkocza i szarpnęła kilka razy, jak robiła zawsze, gdy działo się coś niedobrego czy też wymagającego myślenia. – Kass, idź się umyj – poleciła, patrząc na prawie czarną twarz dziewczyny; tylko skóra wokół oczu pozostała czysta dzięki goglom. – Wyglądasz jak nieboskie stworzenie.

Kass wzruszyła ramionami.

– Wpadłam w smugę dymu, gdy odbiłam przed tą drugą serią.

– Jak się umyjesz, idź do Gracji, niech cię obejrzy. Każdy drobiazg trzeba załatwić, póki jest po temu czas.

Kass skinęła głową i posłusznie ruszyła pod pokład. Gracja, ich felczer, z rzadka wychodziła na górę, jeśli nie szykowało się zejście na ląd. Nie przepadała za wodą. Tymczasem „Niezatapialna” przyspieszyła do maksymalnej prędkości, jaką mogła osiągnąć w tym miejscu, a zajmująca miejsce dziobowego obserwatora Fraan zameldowała:

– Jest Turkusowa!

– Dobra, przygotować się! – zakomenderowała Nes i podeszła pod czaszę.

Wspięła się na drabinkę sznurową zwisającą z balonu i otworzyła niewielki zatrzask, a potem, odkręciwszy wciąż trzymaną w dłoni buteleczkę, wlała parę kropel purpurowej cieczy do wnętrza czaszy. Moment był idealnie wyliczony, gdyż gorące powietrze właśnie zdążyło rozdać balon do właściwych wymiarów. Ten manewr miały obecnie przetrenowany, nie tak jak za pierwszym razem, gdy nalały za mało nadchemicznej substancji i cząsteczki gorącego powietrza wytraciły dodatkową energię pół mili przed celem. Niezłe wtedy przyładowały dnem o skały, otaczające wąski wylot Turkusowej. Od tamtej pory lepiej się pilnowały: ściąganie zawieszzonego na przeszkodzie parowca zajęło mnóstwo czasu, było kosztowne, a do tego niebezpieczne. W warunkach wzmożonej aktywności Straży Przybrzeżnej, jak teraz, nigdy by się nie udało.

– Maszyny stop! – krzyknęła, gdy poczuła, że siła napędzonych lotnym płynem cząsteczek ciągnie parowiec w górę.

W jednej chwili para została skierowana do niemych gwizdków i silniki umilkły. „Niezatapialna” przestała drżeć w ten ledwie zauważalny, swojski sposób, charakterystyczny dla maszynierii napędzanej parą, a zaczęła się nieco uginać. Przez moment trwała walka między cząsteczkami powietrza porywającego parowiec a cząsteczkami wody, która nie chciała wypuścić ciężkiego kadłuba z objęć. Potem do uszu Nes dotarł mlask towarzyszący oderwaniu dna od fali, a „Niezatapialna” zaczęła się delikatnie kołysać, uniesiona ponad wodną toń akurat na tyle, by uniknąć zakleszczenia w coraz węższych ramionach Turkusowej. Jeszcze chwila i miały się znaleźć, w miarę bezpieczne, na wodach największego jeziora w Palude. A potem kurs na Prato z jego małymi, ukrytymi w skałach przystaniami, z których tylko dwie mieściły „Niezatapialną”, i odpoczynek u Xandrego Witrenstierna. Jego tawerna „Pod Zagubionym Kucykiem”, zwana przez wszystkich „Zęzą” – co jedynie kompletnie nieobznajomionym w tradycjach śródlądowej żeglugi Palude wydawało się cokolwiek dziwne – od lat stanowiła dla pani kapitan najlepszy ekwiwalent domu, jaki mogła sobie wyobrazić.

Ciekawe, kto tym razem opowie historię krypy kapitana Trollopa i kości kucyka odnalezionych w zęzie, pomyślała Nes z czymś na kształt rozrzewnienia. I czy trafi się ktoś, kto zwróci uwagę na oczywisty brak logiki w tej opowieści, zyskując tym samym przywilej postawienia kolejki opowiadającemu i jego towarzyszom. Lubiała ten moment, gdy siedząc nad kuflem piwa bądź szklaneczką rumu stawała się częścią wspólnoty.

Od ostatniego pobytu „Niezatapialnej” na Turkusowym minęło zbyt dużo czasu i Nes z niemałym wstydem odkryła, że ta niebezpieczna w gruncie rzeczy sytuacja przyniosła jej niespodziewaną radość. Dobrze będzie spacerować uliczkami Prato, dać

się otoczyć jego zapachom i temu łagodnie miękkiemu światłu niskich gazowych latarni. Każdemu należy się odpoczynek, im też, i może tak naprawdę powinna być wdzięczna nieznanemu kapitanowi pościgowca?

* * *

Tak myślała jeszcze przed dwoma dniami. Teraz, w Prato, siedząc na wyslizganej ławie zbitej z jasnego, miękkiego drewna i słuchając wynurzeń karczmarza, miała do siebie żal, że pozwoliła sobie na taką utratę czujności.

– Są cholernie uparci, Xandre! Nie podoba mi się to. – Nes pokręciła głową i pociągnęła gęstej piany z kufła pełnego słomkowożółtego pszenicznego piwa.

Właściciel tawerny popatrzył na nią spod krzaczastych brwi, które przy jego łysej czaszce robiły na każdym nowym kliencie piorunujące wrażenie.

– Dodali dwudziesty drugi paragraf do ustawy o wodach i handlu... – powiedział po dłuższej chwili milczenia, choć wyraźnie nie leżały mu własne słowa.

– Bo dwudziestu jeden było im mało? – zaśmiała się, by pokryć niepokój.

– Najwyraźniej. – Nie odpowiedział uśmiechem.

– I co on mówi? – spytała, siląc się na obojętność. – Ten paragraf?

– O wieszaniu bez sądu – zaczął powoli. – O wieszaniu bez sądu każdego, kto pomoże piratowi.

Nes uniosła się lekko, wbijając pięty w wymytą do białości podłogę. Zabrakło jej tchu, gdy znieruchomiała, pochylona nieznacznie w przód. Zupełnie jakby dostała pięścią w żołądek.

– Bez sądu? Przecież...

– Tak, wiem, nie liczą się z niczym. Za bardzo im dopiekiłyście.

– My?

„Niezatapialna” nie była jedyną jednostką piracką w okolicy. Całe Palude i złączone z nim unią Tuuli pokryte były gęstą siecią rzek i jezior, nic więc dziwnego, że prawie sto procent transportu, czy to handlowego, czy wojskowego, odbywało się wodą. A gdzie transport, gdzie kupcy i ich towary, tam ktoś musi być rozbójnikiem, czyż nie?

– Wy i ludzie od Andresa, i załoga Ulenty, i chłopaki Tomassy, i...

– Łapię, Xandre, łapię – przerwała mu. – Ale wieszanie bez sądu? Elementarnym prawem każdego obywatela, każdego mieszkańca mogącego się nazywać Paludczykiem bądź Tuulijczykiem, jest proces przed sprawiedliwym i niezawisłym sądem. Bez tego...

– Skupiła spojrzenie, przewiercając mężczyznę na wylot. – To jak wojna!

– Bo to jest wojna, Nes. Tak to nazywają: wojna z piracką plagą, dla której nie będzie litości. – Skrzywił się. – W Cytadeli rządzi nowy człowiek – dodał po chwili milczenia.

– Coś słyszałam, ponoć przybył z zewnątrz.

– Nie do końca z zewnątrz. To kuzyn miłościwie nam panującego, po prostu kształcił się na północy i stamtąd przywiózł dość radykalne poglądy. Dosłownie ten paragraf wcale nie brzmi tak strasznie. Jest tam dużo trudnych słów, dużo „jeśli” i innych obwarowań, ale gdy wyrzucisz dziewięćdziesiąt procent tych mądrych fraz, zostaje goła informacja, że każdy członek Straży Przybrzeżnej ma prawo decydować o życiu i śmierci zwykłego obywatela.

– Dawno to ogłosili?

Ludzie z Dolnej Gawry wywiesili ostrzegawczy fiolet, a ona nie czuła się komfortowo z myślą, że być może ktoś odpowie za to głową. Nie żeby wcześniej pomaganie piratom było mile widziane. Oczywiście, że nie. Jednak procesy trwały, potrzebni byli wiarygodni świadkowie, a kary, jeśli już je stosowano, sprowadzały się przeważnie do chłosty.

– Będzie ze dwa tygodnie. Dziewczyny maskują „Niezatapialną”? – spytał, by skierować rozmowę na inne tory.

– Tak. – Nes chętnie skorzystała z furtki. – Jak długo możemy tu zostać, Xa?

Nie chciała nadużywać gościnności właściciela tawerny, starego przyjaciela. Nie w chwili, gdy groziła mu za to śmierć. Jednak Turkusowe było perfekcyjną kryjówką, zwłaszcza że prowadził na nie ciek wodny teoretycznie za wąski dla statku wielkości „Niezatapialnej”. Ostatnim, co mogła widzieć załoga pościgowca, zanim rozpostarły za sobą zasłonę mgły, był manewr wejścia w Lewą Siedemnastą. Jeśli więc Straż Przybrzeżna miałaby szukać piratek, to na Glinianej, nie na Turkusowej. Sztuczki, jakich dzięki specyfikom z nielegalnego laboratorium Gustafa potrafił dokonać stary parowiec, dawały mu przewagę nad nieświadomymi jego możliwości marynarzami króla. Co prawda na Turkusowe można też było wpłynąć z drugiej strony – szerszym, przyjaznym lejkiem północnej odnogi rzeki, ale dla „Niezatapialnej” i to przejście było nieco za ciasne, co tylko pogłębiało wrażenie, że dziewczęta utknęły niczym szczury w pułapce.

– Nes, kochanie, zostaniecie, ile będziecie chciały czy tam potrzebowały – odpowiedział karczmarz, głaszcząc się po gładkiej czaszce. – Za dużo wam zawdzięczam, żebym miał teraz się na was wypiąć, dziewczyny. – Uśmiechnął się do niej szeroko, prezentując równy garnitur białych zębów, ozdobiony dwiema turkusowymi wstawkami.

Czasem, wypiwszy więcej niż zwykle, opowiadał, jak założył się z najlepszym przyjacielem o to, który z nich zejdzie na dno jeziora i wydobędzie kamienie ze spoczywającego tam skarbu. Zęby miały stanowić przypomnienie, kto zakład wygrał. Choć byli też tacy, co mówili, że ich wstawienie stało się koniecznością po tym, jak

przyjaciele dość bezpardonowo postanowili rozstrzygnąć nierozstrzygnięte wyzwanie.

– Dzięki, Xa. – Przysunęła się do niego i cmoknęła w zarośnięty policzek.

W odpowiedzi poklepał ją po ramieniu. Uśmiech wciąż zdobił jego brodatą twarz.

– Pójdę do dziewczyn, sprawdzę, jak sobie radzą – powiedziała, wychylając kufel do końca.

– Jesteście u Mady Koffi czy w Mlecznej?

– Mleczna była zajęta, a Koffi jak zwykle przywitała nas z otwartymi ramionami – odparła i podniosła się.

– Wieczorem będą tańce. Dziewczyny z Mlecznej już dawno zapowiadały, że rozniosą tę budę, a teraz jeszcze mamy mieć gości z Pesante. Tamtejsze chłopaki nieźle grają, choć niektórzy twierdzą, że trochę trudno do tego tańczyć. Zobaczymy. Chcą sobie zrobić coś jak zawody. Chyba dobrze, bo ostatnio jest jakoś smutno. – Wykrzywił wargi w wymuszonym uśmiechu, a ona wystraszyła się nagle tego, jak wiele się zmieniło, odkąd była tu ostatnim razem. Czyżby naprawdę nowa władza tak bardzo dawała się we znaki zwykłym obywatelom?

– Przyjdziecie? – Głośne pytanie wyrwało ją z niewesołych myśli i zrozumiała, że musiał je zadać drugi raz.

– Jasne, nigdy w życiu nie zrezygnuję z okazji do zabawy. – Uśmiechnęła się, wstając.

– Tylko piwa tak nie rozcieńczaj, co? Płacimy uczciwie! – Mrugnęła, a on się zaśmiał. Było swojsko, niby zwyczajnie, a jednak coś niedobrego wisiało w powietrzu.

* * *

Tawerna wyglądała zupełnie inaczej niż przed południem. Przede wszystkim była tak tłoczna, że nie dało się wbić szpilki między ściśniętych wewnątrz gości. Po drugie, była głośnie. Ryk instrumentów i ochryple głosy śpiewaków co jakiś czas zagłuszały brzękliwy harmider rozmów. Obsługa w postaci schludnie ubranych dziewcząt w białych sukienkach i czerwonych kamizelkach krzątała się pośpiesznie między stołami, donosząc coraz to nowe kufle i miski wypełnione specjalnością zakładu, czyli pełną kawałków mięsa i słodkich warzyw zupą, doprawioną ziołami na południową modłę. Zapachy i dźwięki mieszały się ponad głowami gości, ginęły w sobie nawzajem, by ni z tego, ni z owego wynurzyć się nagle ze zdwojoną siłą czy to w postaci szczególnie głośnego śmiechu, czy niesionego właśnie talerza z pieczystym. Na razie nikt nie tańczył, za to wielu gości brało udział w zawodach o tytuł najlepszego strzelca. Kolejni chętni podejmowali rękawicę, rzuconą przez jasnowłosego i nie do końca trzeźwego młodzieńca, a przypięta do belki pod sufitem postrzępiona karta z pikowym asem wciąż czekała na kogoś, kto trafi idealnie w jej środek.

Nes przyglądała się strzelcom z zainteresowaniem. Zadanie było teoretycznie proste, przynajmniej jeśli się wzięło pod uwagę odległość od celu. Problem stanowił kąt, pod jakim trzeba było oddać strzał, i mizerne oświetlenie. Blask świec rozlewający się po ścianach przestronnej sali nie sięgał stropu, a tańczące cienie nie ułatwiały zadania. Chłopak, który wyzwanie ogłosił, poległ sromotnie i teraz zapijał porażkę, siedząc przy ustawionej w kącie ławie. Wokół zebrali się koledzy, pocieszający kompana klepaniem po plecach i kolejnymi szklaneczkami rumu. Po piątym strzelcu, który trafił obok serca, lecz nadal daleko od środka, Nes nabrała ochoty na wzięcie udziału w zabawie. Sięgnęła do łydki, gdzie w uszytej na zamówienie kaburze trzymała swój skarb. Kaburę można było przypinać w dowolnym miejscu, system pasków i sprzączek pozwalał na różne konfiguracje w zależności od tego, czy miała na sobie spodnie, czy też tak jak dziś przyszła jej ochota paradować w spódnicy. Wyjęła pistolet i przez chwilę mu się przyglądała. Lubiła jego idealny ciężar, lubiła, jak okuta grawerowanym metalem kolba z ciemnego drewna dobrze leży w dłoni.

– Co, bawisz się? – spytał Xandre i w tej samej chwili stojący pod przeciwległą ścianą szczupły, ciemnowłosy mężczyzna uniósł rękę, wyrażając chęć włączenia się do zabawy.

Dziewczęta szybko przemknęły między klientami, zbierając pieniądze do puli zakładów.

Nes przyjrzała się uważnie nieznanemu. Widziała go pierwszy raz. Niby szczupły, ale plecy miał szerokie, a pod skórą odsłoniętych ramion wyraźnie przeżyły się mięśnie. Jasne oczy w opalonej twarzy przykuwały uwagę i Nes doskonale widziała powłóczyście spojrzenia, jakie rzucały na niego dziewczęta. Wyjął pistolet i stanął do niej bokiem. Na lewym policzku miał świeżą szramę, długą i pewnie dość bolesną. Spodobał jej się. Pewnie dlatego, gdy wycelował w kartę, mrużąc oczy niczym krótkowidz, Nes uśmiechnęła się półgębkiem i również wycelowała.

– Poczekaj! – wstrzymał ją Xandre. – Zakłady idą, skąd będziemy wiedzieć, które z was trafiło?

Wzruszyła ramionami i nacisnęła spust w tym samym momencie, w którym rozległ się huk pistoletu nieznanego. Z sufitu posypały się drzazgi. Gdy opadły, oczom widzów ukazała się karta z dwoma nowymi otworami. Jeden był idealnie na środku. Drugi ział w miejscu, gdzie znajdowało się górne A.

– No i masz ci los. – Xandre nie był zadowolony. – Jak rozstrzygnąć?

– On trafił w środek serca. Ja celowałam w róg. – Nes wzruszyła ramionami. – Co się martwisz, Xandre? Nie stawiałeś na niego?

Xandre zaśmiał się i próbował coś powiedzieć, lecz jego głos utonął w wiwatach. Uniósł więc tylko ręce, potrząsając głową, co miało zapewne sugerować, że we własnej

tawernie nie bierze udziału zakładach. Tymczasem przez tłum przeciskały się dziewczyny z „Niezatapialnej”, by pogratulować kapitan, a obcego klepały po ramionach mniejsze i większe dłonie. Nes przyglądała się temu spod zmarszczonych brwi. Dopiero gdy mężczyzna spojrział na nią, parodiując salut wciąż dymiącym pistoletem, uśmiechnęła się szeroko i dygnęła w odpowiedzi. Nie miałyby nic przeciwko, gdyby podszedł i zagadał, w końcu nie po to się wygłupiała, żeby zostać zignorowaną, jednak on zajęty był rozmową z kimś innym i wkrótce zniknął jej z oczu.

– Dobrze! Dość dziurawienia moich belek! Będzie się tu tańczyć! – Głos karczmarza wzbil się ponad ogólny gwar. – Hej, wy tam, mieliście grać, a nie upijać się za moje pieniądze!

Ostatni okrzyk był skierowany w stronę okupujących kontuar chłopaków z Pesante, którzy w odpowiedzi oderwali się od kufli, powzruszali ramionami i chwycili za porzucone w nieładzie instrumenty. Skoczne dźwięki skrzypiec i rytmiczne uderzenia bębna wyгнаły ludzi pod ściany. Na środku szybko powstał usypany ze świeżych wiórów okrąg dla tancerzy. Muzyka stawiała się coraz skoczniejsza i pierwsi chętni już wyłuskiwali upatrzone wcześniej w tłumie dziewczęta.

Nes cofała się tak długo, aż poczuła pod plecami twardą deskę, za którą królowała kobieta Witrenstierna.

– Daj kufelek! – rzuciła i położyła na blacie równowartość co najmniej trzech.

– Zamierzasz się dziś upić, dziewczyno? – spytała Aleena.

– *Czasem można, czasem trzeba.* – Nes zacytowała popularną ostatnio na jeziorach piosenkę.

– Tak... tylko jak to było dalej? *W końcu i tak przysypie cię gleba?* Ponure i tragicznie zrymowane, Nes. – Karczmarka skrzywiła się, podając jej kufelek. – Nie kieruj się tym tekstem, co?

– Lepsze, niż *Zrobicieś mi wielką krzywdę, kochanie, teraz zostało mi tylko pływanie* – odpowiedziała Nes. – Nie pytaj, gdzie to słyszałam – dodała, widząc minę Aleeny, a potem pociągnęła solidny łyk. – Piwo z Iteinen?

Karczmarka skinęła głową twierdząco, napełniając kolejny kufelek.

– Spokojnie, Alee, nie jestem taka szybka! – Nes pokręciła głową z rozbawieniem.

– To dla mnie. – Głęboki głos za plecami nieco ją zaskoczył.

– A, to przepraszam – powiedziała, odwracając się i stając twarzą w twarz z nieznanym.

Z bliska robił równie przyjemne wrażenie jak z daleka. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Miał jasne oczy, co zauważyła już wcześniej. Teraz mogła stwierdzić, że ich barwa nie dała się określić jednym słowem – ni to szare, ni to niebieskie, kontrastowały z ciemnymi rzęsami. Półdługie włosy nosił związane czarną wstążką, a biała koszula

bez rękawów wyglądała tak, jakby wybrał ją świadomie, wiedząc, że dobrze będzie się w niej prezentował. Nes odruchowo się wyprężyła, pragnąc dodać sobie wzrostu. Nieznajomy przerastał ją o pół głowy, co nie było takie proste, zwłaszcza że jej ulubione, sznurowane pod kolana buty miały dobre dziesięć centymetrów obcasa. Zastanawiała się, co on sobie myśli, tak na nią patrząc, lustrując ją wzrokiem w hałaśliwej tawernie pomiędzy tłumem obcych osób. Owszem, miała świadomość, że może się podobać. Z warkoczem do pasa, którego nie miała serca ścinać, choć nieraz przeszkadzał, z wciętą talią, którą – kierując się tą samą próżnością, o jaką podejrzewała obcego – podkreśliła dziś szerokim skórzanym pasem, zapinanym na drobne ozdobne sprzączki. Żabot koszuli układał się tak, jak miał się układać, spódnica miękko spływała na nogi. Nes wiedziała, że wygląda atrakcyjnie. Pytanie tylko, czy wiedział to również nieznajomy.

– Nie ma za co, snajperko! – Mężczyzna chyba był zadowolony z oględzin, bo uśmiechnął się szeroko. – Zrobisz mi miejsce? – Kiwnął głową w kierunku kontuaru, o który się opierała.

Przesunęła się o tyle, o ile zdołała we wciąż rosnącym tłumie klientów.

– Nie będziemy ci tu za bardzo przeszkadzać, Alee? – spytała karczmarkę.

– Jak będziecie, to was pogonię na parkiet. Dla całego stołu, co? – Aleena zagadnęła kolejnego klienta.

Kurki beczek były prawie cały czas otwarte, tawerniane dziewczyny biegały jak w ukropie, wywijając się ciągnącym je do tańca chłopakom. Muzyka tętniła pod sufitem, co rusz ktoś podejmował pieśń rozpoczętą przez kapelę. Nes poczuła, że jest jej gorąco. Od palących się wokoło świec, od dusznej atmosfery wysiłku, dobrze wyczuwalnej pomiędzy rozradowanymi ludźmi, od spojrzenia mężczyzny, którego imienia wciąż nie знаła, a którego ciało przynajmniej w kilku miejscach przylegało w tym momencie do jej własnego. Szarpnąwszy warkocz, odrzuciła go na plecy i wychyliła kufel do dna.

– Tańczysz czy tylko strzelasz?

– Nie wiem, czy jestem tak dobry w tańcu, jak w strzelaniu, ale wyzwanie przyjmuję.

– Uśmiech nie schodził mu z twarzy, gdy odstawił swoje naczynie, by objąć ją w pasie i poprowadzić przez tłum na parkiet.

Akurat kapela na moment odłożyła instrumenty, chłopcy z Pesante, wszyscy tak samo szerocy w barach, tak samo jasnowłosi i rumiani, przepłukiwali gardła piwem warzonym na miodzie – specjalnością Witrenstierna, którą częstował tylko wybranych gości – i dawali odpocząć rękom. Nes zauważyła Maiiré, najmłodszą z córek Keejan, przemykającą chyłkiem do porzuconych niedbale skrzypiec. Keejan zarządzała jedną z dwóch jaskiniowych przystani, na tyle dużych, by mieściła się w nich „Niezatapialna”. Tą, którą z powodu jasnych, gładkich ścian wszyscy nazywali Mleczną, choć

właścicielka upierała się, by nazywać ją Przystanią Pod Dobrą Wróżbą, jako że oprócz goszczenia żeglarzy Keejan zajmowała się także przepowiadaniem przyszłości. Nes sama kilka razy dała się namówić na wróżenie, lecz sceptycznie podchodziła do rewelacji wypatrzonych we wnętrzu własnych szerokich i szorstkich dłoni.

– Niech to! – Mężczyzna nie zabrał ręki z jej biodra, wręcz przeciwnie, przyciągnął ją mocniej do siebie. Żeby zobaczyć jego twarz, musiała zadrzeć głowę. – Czyżbym stracił szansę, by się wykazać i na tym polu?

– Poczekaj... – powiedziała, wracając wzrokiem do Maiiré. – Patrz na tę młodą.

– Dobra jest? – spytał, podobnie jak ona z uwagą obserwując skrzypki zmieniające właśnie właściciela.

– Najlepsza! – zaśmiała się Nes. – Maiiré, wskakuj na ławę i wesoło, dziewczyno! Wesoło! – krzyknęła, gdy było już wiadomo, że nic nie powstrzyma dziewczynki.

Właściciel skrzypiec próbował protestować, lecz w końcu machnął ręką, uciszony gremialnie i przez klientów, i przez własnych towarzyszy, po czym też zaczął zagrzewać małą do dzieła.

– *Onnelinnen*, zagrasz? – spytał ktoś z tłumu, wyciągając z kieszeni na piersi wysłużoną harmonijkę.

Nes nie знаła tego mężczyzny z siwizną wyraźnie znaczącą skronie, więc jak inni przyglądała mu się z zaciekawieniem, czekając na odpowiedź Maiiré.

– *Radosną?* – upewniła się dziewczynka, już wyniesiona na jeden ze stołów przez usługowe ręce. – Jasne, że zagram! – Stopą zaczęła wystukiwać rytm; na razie powoli, tak by dać sobie czas na ułożenie palców na strunach, na uchwycenie smyka, a potem muzyka runęła na zgromadzonych w tawernie ludzi.

Nieznajomy przyciągnął Nes do siebie jeszcze bliżej, choć wydawało się to niemożliwe, po czym chwycił ją wpół. Ledwie zdążyła złapać jego ramiona, gdy zawirowali, uniesieni płynnymi dźwiękami skrzypiec, popędzani przez niecierpliwe, jęśliwe tony harmonijki. Nogi same układały się w rytm, narastający, natarczywy, niepozwalający na najmniejsze uchybienie, na zwolnienie tempa. Mogła jedynie mocniej wczepić się w jego ramiona i zaufać, że jej nie puści, że wytrzyma szalony pęd do samego końca, nawet gdyby ona nie dała rady. Skupiła wzrok na twarzy mężczyzny, cała reszta stała się rozmytą plamą kolorów i światła. Czuła warkocz obijający się o łopatki i krople potu, stygnące natychmiast w poruszonym ich ciałami powietrzu. Grajkowie nie przestawali, prowadząc swoistą grę, co chwilę któreś z nich zmieniało trochę melodię, a drugie starało się natychmiast dostosować do nowego tonu. Bębniarz z *Pesante* nie wytrzymał, wskoczył na stół obok Maiiré. Zadudnił instrument, serce Nes uderzyło z nową energią. Śmiała się na głos i śmiał się mężczyzna, z którym tańczyła, gdy puściła go jedną ręką, by położyć ją na swoim biodrze, rzucając mu

spojrzeniem kolejne wyzwanie. Podjął, wystukał rytm obcasami. Odpowiedziała i po chwili wirowali od nowa, zmieniwszy tylko kierunek. Jego ramiona stały się śliskie od potu, Nes miała coraz więcej problemów z utrzymaniem tempa, więc ratując się, zarzuciła mu ręce na szyję i splotła dłonie na karku. Jeszcze jeden obrót. I jeszcze, i jeszcze. Wokół nie było już nic, tylko wciąż nagłająca melodia i bicie umęczonego serca, zawzięcie pompującego krew na policzki. A potem nagle, jakby ktoś ciął ostrym nożem, muzyka urwała się w pół tonu. Nes zatoczyła się i gdyby nie silne, męskie ręce, byłaby upadła. Miała problem ze złapaniem głębszego oddechu, mimo to razem ze wszystkimi wznosiła okrzyki podziwu dla młodziutkiej skrzypaczki i akompaniujących jej mężczyzn. Włożyła palce do ust, gwizdnęła przeciągle. Jej partner zrobił to samo i znów zaczęli się śmiać.

– Chodź – powiedział jej prosto do ucha, jednocześnie biorąc za rękę. – Wyjdźmy na zewnątrz, tam chłodniej.

Pozwoliła się wyprowadzić, całkowicie na nim polegając, łowiąc kątem oka znaczące spojrzenia dziewczyn z załogi i kompletnie nic sobie z nich nie robiąc. Taka noc, prawda?

Wciąż trzymając się za ręce, odeszli kawałek od tawerny i podążyli w dół nabrzeża. Goniły ich śmiechy, do których po chwili dołączyły rytmiczne uderzenia w bęben.

– Mają zdrowie – odezwała się Nes, przyciskając dłoń do wciąż szalejącego serca.

– Nie mów, że nie tańczyłabyś dalej!

– Jasne, że bym tańczyła! Na szczęście jestem tutaj i nie mam szans popełnić samobójstwa – parsknęła, przystając i obejmując wzrokiem widok, jaki ukazał się ich oczom.

Jeziro połyskiwało metalicznie w srebrnym świetle wystającej zza chmur połówki księżyca. Gładkiej tafli nie marszczyła najmniejsza fala, jakby było odlane z ołowiu albo jeszcze lepiej z rtęci. Stojące na niskich słupkach gazowe latarnie walczyły z cofającą się łagodnie nocną ciemnością. Zacumowane przy głównym nabrzeżu małe jednostki żaglowe delikatnie postukiwały fałami o maszty, co było najlepszym dowodem na to, że powierzchnia Turkusowego nie była wcale tak nieruchoma, za jaką starała się uchodzić. Dalej było widać czarne, jakby wysrane z kolorów sylwetki parowców. Pojedyncze bądź podwójne kominy celowały w niebo, na razie ciche, lecz wciąż gotowe do wypuszczenia w chmury porcji ciemnego dymu.

– Mam na imię Nes – powiedziała kapitan Roźnowski, odwracając wzrok od jeziora.

– Nes. – Mężczyzna wypowiedział to imię najwolniej, jak się dało. – Nes – powtórzył, jakby się upewniał, że nie zapomni.

– A ty? – spytała, gdy sam nie raczył się przedstawić.

– To ważne, żebym powiedział, tak?

Jasne oczy patrzyły z rozbawieniem. Nes wzruszyła ramionami.

– Lubię wiedzieć, kogo całuję – odparła.

Zaśmiał się cicho i wyciągnął do niej drugą rękę. Pierwsza wciąż więziła rękę Nes. Położył dłoń na jej karku i zrobił krok, przysuwając się bliżej. Nachylił się i powiedział:

– Feliks. Feliks Ucelli, panno Nes.

A potem wreszcie ją pocałował. To był długi pocałunek. Nes całkowicie się w nim zagubiła. Zniknęło wszystko, co zewnętrzne. Prato rozplynęło się w morzu doznań płynących z warg, języka, wnętrza ust. Z ramienia, po którym sunęła jego dłoń, z karku, gdzie druga zaplątała się w warkocz. A potem jeszcze z jej własnych palców, gdy już je uwolnił, a ona nie pozostała dłużna, kolejno sprawdzając twardość torsu, mięśni ramion, wreszcie szorstkość pokrytego świeżym zarostem policzka.

– Auć – syknął, gdy trafiła na ranę, lecz nie pozwolił jej się odsunąć, więc przeprosiny szeptała wprost w jego usta.

Przyszedł w końcu moment, gdy pocałunki przestały wystarczać, dłoń Feliksa przesunęła się po szyi Nes, a palce niecierpliwie szarpnęły haftkę żabotu.

– Mam pokój u Mady Koffi – wyrzuciła z siebie na wdechu, jednocześnie sięgając dłońmi pod jego koszulę.

– Do mnie bliżej – odpowiedział, sunąc ustami po jej szyi.

– Prowadź.

Za plecami Feliksa dostrzegła Kayle, machającą do niej złożoną w gest aprobaty dłonią. Dziewczyna szczyrzyła zęby, podobnie jak towarzyszący jej jasnowłosy chłopak. Do Nes dotarło, że ona i Feliks nie są jedyną parą, która wybrała się na spacer, i że scena, którą odegrali przed chwilą, miała całkiem sporo widzów. Zawstydziała się, ale tylko na moment. Była dorosła. A to była taka noc. Feliks, poprawiający ubranie, w ogóle nie wyglądał na przejętego obserwatorami.

– Chodź – powiedział i pociągnął ją za sobą w dół nabrzeża, tam, gdzie poza zasięgiem świateł miasta stały zupełnie dla niej nowe budynki.

Szli szybko, poganiani obietnicami wymienionymi na nabrzeżu, bezwolni wobec żądań stawianych przez tę część umysłu, która na co dzień nie wychyla się zbyt ostentacyjnie, uśpiona przez wychowanie. Ich celem, jak się prędko okazało, był pierwszy z trzech piętrowych domów. Feliks pchnął ciężkie drzwi, po czym pociągnął ją za sobą po schodach, nie trując się zapalaniem przymocowanych do ściany lampek. Wchodziła za nim posłusznie, wciąż tak samo chętna jak wtedy, gdy spojrzeli na siebie po raz pierwszy. Uśmiechała się pod nosem. Jeśli cała reszta miała być taka, jak obiecywały pocałunki, to z pewnością noc będzie warta wspomnień.

Feliks otworzył kolejne drzwi. Zamykając je za sobą, sięgnął do pokręta przygaszonej lampy i lekko ją podkręcił. W łagodnym gazowym świetle Nes zobaczyła

stolik i dwa proste krzesła, otwartą skrzynię ze schludnie poukładaną zawartością oraz najważniejszy w tym momencie mebel – wąskie łóżko, zasłane po wojskowemu bez jednego załamania. Więcej szczegółów nie zdążyła zarejestrować, bo Feliks, znów ją całując, zaczął majstrować przy sprzączkach jej pasa.

– Zostaw! – przerwała mu. – Ja to zrobię, ty lepiej pomóż z butami...

Posłusznie klęknął na jedno kolano i, ujmując łydkę Nes w dłonie, postawił sobie jej stopę na drugim. Podciągnąwszy spódnicę, musnął wargami skrawek skóry wystający nad cholewkę, a panią kapitan przeszedł dreszcz. Zdusiła cisnące się na usta głupie słowa i zanurzyła dłonie we włosach mężczyzny. Natychmiast spiorunował ją wzrokiem.

– Sprzączki – przypomniał.

Nie potrafiła się nie zaśmiać. Zanim poluzował cholewkę na tyle, by but dało się ściągnąć, ona rzuciła już pas na stół. Upadł z głośnym brzękiem. Feliks podniósł palec do ust.

– Ciii. Nie mieszkam tu sam – mruknął ostrzegawczo.

– Dobrze, obiecuję nie krzyżeć zbyt głośno...

– Mam cię zakneblować?

– Nędzny żart. – Spochmurniała na chwilę, lecz szybko przegnała złe myśli. – Pośpiesz się – rzuciła, rozpinając guziki koszuli.

Zobaczyła, że zadrżał, i pozwoliła sobie na uśmiezek triumfu.

On też czekał.

Rozdział drugi,

w którym wszystko jest nie takie, jak być powinno

„Niezatapialna” znów była na wodzie. Słońce nieśpiesznie zbliżało się do zenitu, a pozbawiony ładunku parowiec szedł z nurtem, osiągając w porywach nawet czternaście węzłów. Nes od dobrych trzech godzin stała oparta o drzwi prowadzące na mostek i bezmyślnie wpatrywała się w mijane drzewa.

Palude było mokre i kosmate. Mokre, gdy się na nie patrzyło z poziomego gruntu, a kosmate dla tych obserwatorów, którzy, jak Kass, oglądali je z nieba, sponad zwartej masy koron. Drewno było głównym bogactwem krainy. Twarde i mocne dęby, giętkie sosny i pachnące buki, z których chętnie robiono meble. Te ostatnie zdobiły potem salony arystokratów i co znaczniejszych mieszczan we wszystkich państwach, które z Palude chciały handlować. Przemysł drzewny napędzał tutejszą ekonomię, ale oprócz niego Palude miało jeszcze parę asów. Ryby w setkach gatunków i szlachetne kamienie, grubymi żyłami przecinające góry na wschodzie. I właśnie te bogactwa, a także dobra przywożone z innych państw na wymianę stanowiły podstawę działalności piratów na rzekach i jeziorach.

Jollienesse Roźnowski była dzieckiem z domu, w którym pełno było bogato zdobionych paludzkich mebli. Mimo iż od tamtego czasu upłynęło wiele lat, wciąż pamiętała ciasno sznurowane sukienki i białe drapiące rajtuzy, w które na siłę ubierała ją guwernantka. Nie umiała jasno określić kiedy, lecz któregoś dnia coś przestało działać jak powinno, i nagle okazało się, że ani ona, ani jej matka nie mogą dłużej zostać w rezydencji ojca. W ich pośpiesznie pakowanym bagażu nie zabrakło eleganckich strojów dla dam z wyższych sfer. Szkoda tylko, że nie pomogły one matce poradzić sobie z sytuacją.

– Poradzisz sobie, dziewczyno! – Niski głos v’Ana zawibrował jej w uszach.

Nie czuła się wcale pewnie, lecz odwróciła się do niego z zawadiackim uśmiechem na ustach.

– Poradzimy sobie wszyscy – powiedziała. – Tym razem się uda. Czuję to! – Miała nadzieję, że kłamstwo nie jest zbyt oczywiste. – Gdy wyjdziemy na Deltę, to już jakbyśmy zwyciężyli, nie?

Pokiwał głową. Sięgający jej ledwie do ramienia, z okrągłą twarzą i lśniącymi czarnymi włosami, na pierwszy rzut oka nie pasował do parowca, sunącego wodami Leniwej. Jedyny męski członek załogi został przygarnięty ponad trzy lata temu, gdy Nes miała nieprzyjemność napaść – niechcący zresztą – na statek przewożący

robotników z dalekiego południa na zimną północ. Niekoniecznie dobrowolnych robotników. Jako mężczyzna v'Ankara miał marne szanse na zaokrętowanie na pokład jednostki, która za powód do dumy brała sobie posiadanie jedynej w pełni żeńskiej załogi w całej Unii Dwóch. Lecz zanim pojawiła się okazja, by dziewczęta mogły w miarę bezpiecznie wysadzić go na ląd, zdążył im zaprezentować próbkę swoich umiejętności. To, co ugotował, używając tych samych produktów i przypraw, jakich one używały na co dzień, przerosło wyobrażenia każdej z nich z osobna i wszystkich razem. Zdecydowały jednogłośnie – musiał zostać. „Niezatapialna” miała prawo do tego, co najlepsze. Najlepszy kucharz w Palude i Tuuli, a także zapewne we wszystkich okolicznych państewkach, musiał być ich.

– Chodź na dół. Zupa na stole – powiedział.

Nes nie chciała mu sprawić przykrości, a poza tym gdyby odmówiła, v'An od razu by się zorientował, że sprawa Feliksa obeszła panią kapitan bardziej, niż to okazywała. Że w ogóle ją obeszła.

– Już schodzę. Sprawdź jeszcze tylko, czy u Laary wszystko w porządku.

– Przejdę się z tobą. I tak mam dla niej porcję. – Podniósł metalowy kubek z pokrywką, opatulony w grubą filcową rękawicę.

Nes ledwie się powstrzymała od skrzywienia ust. Naprawdę potrzebowała jeszcze chwili sam na sam ze sobą. Mężczyzna, z którym połączyły ją jeden strzał, jeden taniec i jedna bardzo przyjemna godzina w łóżku, zdecydowanie za bardzo załazł jej za skórę.

Straż Przybrzeżna! Cholera jasna!

Gorzej trafić nie mogła.

* * *

Gdy Feliksowi wreszcie udało się uwolnić Nes od drugiego buta, a wcześniej od zapiętej na nim kabury, sprawy nabrały tempa, jakie sugerował początek. Nagle po prostu leżała na łóżku, a nad nią pochylał się nagi mężczyzna. Jeszcze teraz na wspomnienie jego ciała na twarz pani kapitan wypełzał rumieniec. I nie był to rumieniec zawstydzenia. Podobał jej się, bardzo jej się podobał. Ona jemu też, bo co chwilę powtarzał schrypniętym głosem, że jest piękna, nie siląc się nawet na zmianę frazesu. Nie miała o to żalu, nie była damą, którą należy komplementować po to, by dostać pozwolenie uściśnięcia dłoni pozbawionej rękawiczki. Była kobietą z krwi i kości, a do tego pokoju trafiła w konkretnym celu. I należy przyznać, że ten cel osiągnęła. Więcej niż raz. Za pierwszym razem było szybko. Za drugim Feliks zaczął od rozplecenia jej warkocza. Trzeciego razu nie było, bo Nes zobaczyła tatuaż.

Straż Przybrzeżna miała idiotyczną tradycję, której podporządkowywała się

większość młodych kadetów. Tatuowali sobie w mało widocznym miejscu datę wstąpienia w szeregi. Na przykład pod pachą. Feliks był w Straży od czterech lat. Niemożliwe, żeby nie wiedział, kim ona jest. Jednak gdy stwierdziła, że powinna już pójść, pozwolił jej wyjść, nie próbował w żaden sposób zatrzymać. Leżąc wciąż w tej samej pozycji, z jedną ręką pod głową, patrzył szeroko otwartymi oczami, jak Nes się ubiera. A potem, gdy stała z dłonią na klamce, uśmiechnął się inaczej niż do tej pory i powiedział z nutką żalu w głosie:

– Może się jeszcze spotkamy, panno Nes. Chciałbym.

Kiwnęła głową i też się uśmiechnęła, tak samo jak on nieszczerze. Jeśli się jeszcze kiedyś spotkają, może się zdarzyć, że jedno z nich tego nie przeżyje.

Po schodach schodziła na palcach, nie chcąc obudzić współtowarzyszy Feliksa, bo nagle nabrała przekonania, że oto właśnie trafiła do koszar Straży Przybrzeżnej, których jeszcze pół roku temu nie było tu z całą pewnością. Jak to możliwe, że Xa jej nie ostrzegł? A może nie ostrzegł, bo nie było przed czym, może Ucelli jest tu sam, na przepustce, urlopie czy nawet wysłany z jakąś misją, ale sam. Schody nie chciały się skończyć, tak jak nie miał końca potok bezsensownych konfabulacji, które łatwo było przecież skonfrontować z prawdą. Wystarczyło wrócić do tawerny i zapytać, by je podtrzymać bądź obalić. Na zewnątrz Nes zatoczyła się od nadmiaru świeżego powietrza. Uświadomiła sobie z niejakim zdziwieniem, że odkąd zamknęła za sobą drzwi pokoju, cały czas wstrzymywała oddech.

Taka noc, cholera jasna, najjaśniejsza!

Potrząsnęła głową i ruszyła w kierunku przystani Mady Koffi. Oby któraś z dziewcząt była już na kwaterze, wtedy zbieranie reszty pójdzie szybciej. Musiały opuścić Turkusowe od razu. Im wcześniej, tym lepiej. Dobrze, że zdążyły już zrzucić ładunek. Jej wrodzone poczucie porządku, nieraz bezlitośnie wyśmiewane przez załogę, tym razem miało im pomóc. Oczywiście jeśli jej przygodny kochanek już nie zwołał swych kamratów i nie zajmuje się właśnie obstawianiem obydwu wyjść z jeziora.

W chłodnej grocie, tuż przy drewnianym pomoście, płonęło ognisko. Kilka dziewcząt tańczyło przy ostrych dźwiękach kozy, męczonej przez v'Ankarę. Żadnych obcych, sami swoi. Nes uśmiechnęła się pod nosem. Co jak co, na załogę zawsze mogła liczyć.

– Hej tam, tancerki! – huknęła w złączone dłonie. Echo powieliło okrzyk, a pokryte potem, zaczerwienione twarze zwróciły się w jej kierunku.

– Hej tam, kapitanie! – odkrzyknęła Darna, a v'Ankara wydusił z instrumentu resztkę powietrza, wypełniając jaskinię fałszywym akordem.

Przyjrzała się tańczącym. Darna, Laara, Kayle, Fraan, Ywig, Ulfa i Zijeme.

Brakowało Kass, Marity, Heile i oczywiście Gracji. Gracja korzystała z każdej okazji, by znaleźć się jak najdalej od parowca. A właściwie od wody. Co pchało ją do powrotu na pokład, Nes nie miała pojęcia. A jednak zawsze wracała, za co kapitan była jej niezwykle wdzięczna. Dobry felczer na pirackim statku to osoba nie do przecenienia.

– Trzeba znaleźć resztę – rzekła bez żadnego wstępu, podszedłszy do ognia. Nie było sposobu, by powiedzieć to delikatnie. – Odpływamy natychmiast, gdy tylko wszyscy będą na pokładzie.

– Kapitanie... – Sternik spojrzała na nią z wyraźnym zdziwieniem.

– Laara, nie teraz. – Nes pokręciła głową. – Wiesz, że nie wydawałabym takiego rozkazu bez powodu.

– Ale maskowanie... Kapitanie, to potrwa, zanim zdejmemy sieć.

– Wiem, zacznijcie od razu. Dobrze, że jesteś na miejscu, wiesz, co robić.

Sternik kiwnęła głową. Nes była wdzięczna, że tym razem dyskusja ograniczyła się do jednego zdania. Miała świadomość, że dziewczyny dopiero co założyły siatkę i – co było o wiele trudniejsze – rozmieściły klipsy, po których biegł impuls maskujący. Maskowanie, jak wiele innych przydatnych drobiazgów, zawdzięczały Gustafowi. Koniecznie musiały odwiedzić jego pracownię przed zasyciem się na Wybrzeżu Młota. A może tym razem popłynąć jeszcze dalej? „Niezatapialna” powinna sobie poradzić w drodze na Archipelag.

– Ile mamy paliwa? – spytała.

Darna zmarszczyła czoło.

– Będzie ze trzydzieści ton węgla i jakieś pięćdziesiąt kryształów, kapitanie – odpowiedziała po chwili.

Trzydzieści ton i pięćdziesiąt kryształów. Starczy na drogę w jedną stronę, ale jak wrócą? Nie mogły sobie pozwolić na załadunek tutaj. Nie w tych warunkach, nie nocą – nie wolno nikogo alarmować. Na szczęście po drodze na wybrzeże mijały dwa miejsca, w których mogły napełnić ładownie. Trzeba będzie skorzystać z któregoś z nich.

– Dobrze. Płynąc w dół Leniwej, zatrzymamy się za Wietrznym Progiem. Zakupy u Gustafa i węgiel.

Darna pokiwała głową. Do niej należała na „Niezatapialnej” funkcja intendenta. Miała dobrą pamięć, podczas terminu w ojcowskim kantorku liznęła podstawy ekonomii i prawa, a ponadto posiadała wrodzony dar do targowania się. No i jeszcze sprawiało jej to przyjemność, a Nes umiała docenić niebagatelny wpływ właściwego doboru ludzi na realizację wyznaczanych im zadań.

– Chodź ze mną – poleciła. – Reszta, słuchajcie Laary. I tym razem bez utopionych klipsów, jeśli łaska.

Dziewczyny parsknęły, patrząc znacząco na Zijeme. Jej cicho zanucona piosenka *On musi tu gdzieś pływać* w odniesieniu do wypuszczonego z mokrej dłoni miedzianego klipsa stanowiło powtarzany wielokrotnie, lecz wciąż – o dziwo – zabawny żart.

Gdy tylko wyszły z jaskini, Darna złapała panią kapitan za ramię.

– Co się dzieje, szefowo? – spytała, osadzając ją w miejscu. – Krótko i bez ozdobników, ale odpowiedz. Kayle mówiła, że szykowałam ci się przyjemna noc, a tu nagle wpadasz i każesz się nam zbierać.

– Krótko i bez ozdobników: amant okazał się trefny – odpowiedziała Nes. – Chodź!

– Trefny? – Darna nie dawała za wygraną; rola przyjaciółki od serca zobowiązywała.

– Jest w Straży. – Kapitan wyszarpnęła ramię. – No chodź, nie ma co sterczeć, trzeba szukać reszty i zniknąć.

– Puścił cię?

– Może. A może już szykuje pułapkę.

– Płyniemy na północ?

– Na północ – potaknęła.

Manewr mylący zawsze był w cenie. Teoretycznie na północy znajdowało się tylko połączenie z kolejnym jeziorem; teoretycznie, bo jeśli się umiało latać, można było stamtąd zawrócić na Leniwą.

– Mam nadzieję, że dziewczyny są po prostu w „Zęcie”. Muszę też pogadać z Witrensternem. Czemu nas nie ostrzegł?

Darna nie odpowiedziała, przez jej twarz przebiegł cień. Nes nie dziwiła jej się ani trochę, sama nie mogła w to uwierzyć. Przecież Xandre był przyjacielem. Od zawsze. Tak jak Turkusowe od zawsze było bezpieczną przystanią, kryjówką, azylem, do którego nie mieli wstępu przedstawiciele władzy. Znów ta sama nachalna myśl – sporo się zmieniło, jak dla niej zdecydowanie za wiele. I jeszcze pytanie, powracające jak refren nieulubianej, a wpadającej w ucho piosenki – czemu Xa jej nie ostrzegł? Czemu pozwolił jej stracić czujność? Bawić się, jakby była nieopierzonym podlotkiem? Ładować mu kieszeń utargiem za piwo i łudzić się, że jej załoga jest bezpieczna, że mogą odpocząć, gdy tymczasem Straż już zamykała obławę? Grozili mu? A może jeszcze gorzej – zapłacili więcej, niż ona kiedykolwiek by zaproponowała?

Cholera jasna!

– Przestań, Nes – odezwała się Darna. – Zaraz po prostu go zapytasz.

Nes popatrzyła na nią z wdzięcznością. Starsza od niej, spokojniejsza i znacznie bardziej racjonalna Darna potrafiła bezbłędnie wyczuwać, w czym tkwi problem. Czytała między wierszami, wróżyła z drobnych, niezauważalnych dla nikogo poza nią gestów. Była z Nes najdłużej. Pojawiła się wtedy, kiedy było najtrudniej. W czasach, gdy opuszczonej przez matkę pannie Roźnowski nie wolno było używać nazwiska ojca

nie dlatego, że ktoś jej zabronił, lecz dlatego, że mogło ją to kosztować wolność, a może i życie. Działacz społeczny dla jednych, element wywrotowy dla drugich, a prywatnie uwielbiany mąż i ojciec rozpieszczonej jedynaczki. Nes nie miała pojęcia, co się z nim stało po tym, jak najpewniej zabrała go milicja. Historię piszą zwycięzcy, więc tego jednego mogła być pewna – ojciec przegrał. Matka również przegrała. Wysłana w podróż do dalekich krewnych z ledwie siedmioletnią córką, poddała się bardzo szybko i umarła na jedną z tych gorączek, które atakują osłabione rozpaczą arystokratki. Nes do dziś krzywiła się na to wspomnienie. Nie miała zresztą zbyt wiele wspomnień związanych z Angelique Roźnowski, a te, które czasem ją nachodziły, nieodmiennie wywoływały przygnębienie. Matka, nieprzytomnie zakochana w ojcu, traktowała córkę trochę jak rywalkę. Wiecznie spragnione obecności ojca dziecko zabierało sporą część uwagi, którą pan Roźnowski był w stanie poświęcić rodzinie.

Potrząsnęła głową, odpychając ponure myśli. Jak zwykle jedne przyciągały następne, a prym wiodły te, które dotyczyły miesięcy tuż po śmierci pięknej Angelique.

Przez okna „Zęzy” nadal widać było blask świec. Tawerna nie poszła spać, choć muzyka najwyraźniej jakiś czas temu ucichła. A może to tylko kolejna przerwa na złapanie oddechu?

Nes nie weszła do środka przez otwarte na oścież drzwi. Zanim wkroczyły w migoczący krąg rozrzedzonego światła, zatrzymała Darnę i bez słów wskazała jej wejście, jednocześnie gestem dając do zrozumienia, że ona pójdzie od tyłu. Nie musiała nic mówić. Spośród wszystkich członków załogi „Niezatapialnej” Darna była jedynym, który nigdy nie dyskutował nad rozkazami. Rozdzieliły się i każda poszła w swoją stronę. Im bliżej Nes była podwórza leżącego na tyłach tawerny, tym wolniejsze kroki stawiała. Bała się prawdy, którą spodziewała się odkryć.

Tawerna nie była prostą budowlą o czterech ścianach. Składała się z dwóch piętrowych budynków, zetkniętych narożnikami. W jednym Xandre urządził własne mieszkanie, w drugim podejmował gości. Pomiędzy nimi znajdował się zadaszony łącznik, ogrodzony wysokim płotem. Tu karczmarz kazał wybudować piec, twierdząc, że niezależnie od pogody w kuchni panuje gorąco i dlatego lepiej umieścić ją na powietrzu. Nes nie mogła mu odmówić racji, a teraz cieszyła się dodatkowo, że może poszukać Witrenstierna tutaj, w miejscu zarezerwowanym dla niego samego i najbliższych przyjaciół. Tych, którzy tak jak ona znali kod, pozwalający dostać się do środka.

Klucząc między gruszami, których gałęzie uginały się od wciąż zielonych owoców, Nes dotarła do węgła budynku i zwiększyła czujność. Niesprecyzowane przeczucie kazało jej przylgnąć do ściany w tym samym momencie, w którym furka w płocie ograniczającym przestrzeń kuchenną otworzyła się, by wypuścić dwie sylwetki.

Krępemu karczmarzowi towarzyszył szczupły mężczyzna w mundurze. Nes zmełła przekleństwo. Rozpłaszczona na ścianie, świadoma tego, że biała koszula nie stanowi nocą dobrego kamuflażu, prosiła wszystkich bogów, w jakich kiedykolwiek wierzyli ludzie, by żaden z wychodzących nie spojrzął w jej stronę. A jednocześnie przetykała zatykającą gardło kulę żalu. Jeśli nie miały już nawet Turkusowego, to co im zostało?

Tymczasem mężczyźni pożegnali się, co poznała nie po uścisku dłoni, bo go nie było, lecz po uprzejmym skinieniu głową. W tym, który skinął, rozpoznała Feliksa. Czekala jeszcze chwilę, aż marynarz się oddali. Na szczęście poszedł w stronę miasteczka zamiast zejść do nabrzeża przez sad.

Nie zdążyła się ruszyć, gdy Xandre odwrócił się w jej stronę i, gestem nakazując ciszę, pokazał, żeby podeszła. Bezszelestnie wślizgnęła się do kuchni, a Witrenstern zamknął furtkę na zasuwę i westchnął ciężko.

– Złe czasy, Nes.

– Bardzo złe, skoro nie można ufać tym, którzy mienią się być przyjaciółmi – odpowiedziała, starając się jednak, by w jej tonie nie było słychać żalu, a jedynie oskarżenie.

– Ech, głupio gadasz! – zachnął się karczmarz. – Co ty sobie wyobrażasz, że ja tu wiele mogę?

– Wiele, niewiele, wystarczyło powiedzieć: znikajcie, dziewczyny!

Odwróciła się do niego tyłem i nie wiedząc, co powiedzieć, sięgnęła do stojącego na płycie garnka. Przesunęła ciężką pokrywę i natychmiast otoczył ją zapach – ten sam, który dziś dominował w tawernie i którym przesiąkły jej spocone włosy.

Xa podszedł do niej na odległość wyciągniętej ręki, poczuła ciężką dłoń mężczyzny na ramieniu.

– Nie wiedziałem, że jest ze Straży. Dopiero przyszedł, zapytał o punkt pocztowy.

– A te koszary na nabrzeżu to co? Dziś pobudowali? – Nie odwróciła się, tylko bezmyślnie grzebała łyżką w garze.

– Jakie koszary? – spytał zaskoczony. – Budowali na nabrzeżu, ale magazyny. Nasze są za małe – wyjaśnił, gdy wreszcie odwróciła się do niego przodem. – Kompania Drzewna zadecydowała. Trzy nowe magazyny z mieszkaniami dla robotników nad składem.

– Na pnie? – Powątpiewanie w jej głosie było autentyczne, nie musiała grać.

– Będą robić wióry, a z nich deski, które są lżejsze i tańsze, bo wykorzystują całe drzewo, a nie tylko pień.

Nadal nie była przekonana.

– Głupie to jakieś mi się wydaje, ale dobrze: więc nie koszary, a magazyny. I on tam przypadkiem sobie zrobił kwaterę.

– Przypadkiem to raczej nie. Kompania ostatnio ze Strażą żyje bardzo dobrze. Odgrazali się nawet, że założą posterunek, ale ten cały kapitan Ucelli jest tu z innego powodu.

Uniosła brwi w oczekiwaniu.

– Z twojego, Nes. Dostał rozkaz, dowodzi obławą.

Nogi się pod nią ugięły – nie chciała myśleć, dlaczego. Xandre sięgnął do szafki, zadzwoniły butelki. Wyciągany korek pyknął cicho i po chwili Nes trzymała w ręku szklanekę wypełnioną ciemnozłotym rumem.

– Napij się, dziewczyno.

Łyknęła posłusznie, krzywiąc się lekko. Był mocny, mocniejszy niż jakikolwiek inny. Rum z Archipelagu, skarb i rzadkość.

– Wiedziałaś?

– Wiem od kilku minut. Przyszedł, przedstawił się, zapytał, czy wiem, kim jesteś. Potem powiedział, że wystarczy, że on wie, i żebym go skierował na pocztę.

– Wszedł od tyłu, Xa – powiedziała, wzdychając, jakby było jej trochę głupio wytykać mu tak oczywiste kłamstwo.

– Wszedł od tyłu. Wszedł w tym mundurze, głupi żołnierz, od frontu, ledwie go dałem radę usunąć poza zasięg chłopaków. A potem, jak mu otworzyłem tylne drzwi, zobaczyłem ciebie. Napędziłaś mi strachu, Nes. Ta biała koszula cię kiedyś zgubi.

– Trzeba go było nie usuwać...

– Znow głupio gadasz. Jeszcze tego brakowało, żeby tu pół regimentu przysłali z powodu jednego idioty.

Wypiła rum do dna. Zapalił jej przetyk, zaświecił gwiazdami w oczach. Wiedziała, że Xandre ma rację: ona głupio gada, a na dodatek między wierszami oszukuje i jego, i siebie.

Co się ze mną dzieje? – pomyślała, zła i jednocześnie bezradna wobec zalewającego ją od nowa żalu.

– Wychodzicie dziś? – W tonie karczmarza zadźwięczała troska, zmarszczki wokół oczu pogłębiły się nieco.

– Darna zbiera dziewczyny do kupy, jak będą wszystkie, wychodzimy – odpowiedziała spokojnie.

– Północ czy południe?

– Wybacz, Xa. – Pokręciła głową. Lepiej, żeby nie wiedział; jak się nie wie, to nie można wygadać, choć przecież tak naprawdę nie miały wielu możliwości wyjścia z pułapki Turkusowego.

– Nie mam czego wybaczać – westchnął i wierzchem dłoni otarł pot, zbierający się nad brwiami. – Mam trochę różnych kryształów. Zabierzesz. Wykorzystasz, jak będą

potrzebne, jak nie, sprzedasz gdzieś na południu.

– Ale czemu?

Kryształy były drogie, a te, które miał u siebie Xandre, należały do najdroższych, bo w całym Palude było ledwie dwóch specjalistów zdolnych do ich wytworzenia. Działały podobnie jak ich płynne odpowiedniki, lecz kondensacja mocy była w nich znacznie większa. Można je było rozcieńczyć bądź użyć tylko odłupanego kawałka, a w razie potrzeby uzyskiwało się efekt znacznie silniejszy, niż pozwalała na to jakakolwiek ciecz. Nie oddawało się kryształów.

– Obiecał mi jutro przeszukanie, Nes. – Xandre zanurzył palce w brodzie i szarpnął za pojedynczy kosmyk.

– Tego prawa też nagle zaczęli ostro przestrzegać?

Istniał przepis, mówiący o ograniczeniach w stosowaniu produktów nadchemii. Nes słyszała o nim jeszcze w dzieciństwie. Czasem podsłuchiwała ojca, kiedy wygłaszał swoje tyrady, na które pozwalał sobie zwykle podczas luźniejszych towarzyskich spotkań. Krytykował każde prawo, które dzieliło ludzi ze względu na ich pochodzenie, a ten konkretny zapis ustawy podawał jako jaskrawy przykład niesprawiedliwości. Dorosła Nes przekonała się, że tak naprawdę nie spędza on snu z powiek obywatelom, gdyż jest na tyle mętny i na tyle mało istotny, że nikt nawet nie próbuje go przestrzegać. W takich chwilach było jej żal ojca. Wyważanie drzwi, w gruncie rzeczy otwartych, to dość smutny powód aresztowania.

– A zaczęli, Nes.

* * *

Jeszcze teraz, w jasnym świetle dnia, Nes czuła ten sam ponury chłód, który przepełził jej po plecach w cieplej przecież kuchni Witrenstierna. Pożegnali się chwilę później, pierwszy raz z całą świadomością faktu, że być może już nigdy się nie zobaczą.

Darna czekała na nią wraz z Kass i Heile. Marita poszła po Grację, która jak zwykle załatwiała swoje sprawy z daleka od reszty załogi.

– Mada Koffi? – spytała Darna, gdy już wyjaśnili sobie nawzajem, na czym stoją.

– Tak, pomożemy reszcie, każde ręce się przydadzą.

Dziewczyny potrafiły się spać, gdy zaistniała potrzeba. Trzymany przez Laarę woreczek z klipsami był pełen, tak jak pełna była jaskiniowa przystań. Nes uśmiechnęła się pod nosem na to wspomnienie. W Prato miały wielu przyjaciół, a ci bezbłędnie zinterpretowali pojawienie się Feliksa w mundurze i pomogli przygotować „Niezatapialną” do wypłynięcia. W ciszy, bez zbędnych słów i gestów. Zwijana w pośpiechu konopna siatka odsłaniała kolejne fragmenty kadłuba, a pierwszy nieśmiały

dym wydobywał się z kominów. Po wysuniętym metalowym trapie kilka osób wносиło na pokład skrzynki, kosze i worki. Prato dbało, by ucieczka nie zakończyła się dla załogi pirackiego statku głodową śmiercią.

Do Nes podszedł v'An i z troską zajął jej w oczy.

– Źle? – spytał tylko.

Kiwnęła głową. Miała taką zasadę, że nie oszukiwała załogi, nie wtedy, gdy sytuacja wymagała obiektywnej oceny, a od właściwego zrozumienia faktów zależało zaangażowanie jej członków.

– Nie zdążyłem zrobić zakupów – powiedział. – Ludzie zaczęli znosić, co mają, przydałoby się zapłacić.

– Darna, zajmij się tym – rzuciła Nes i odwróciwszy się w stronę wyjścia z jaskini, skrzywiła usta. – Gdzie ta Gracja?

Pół godziny później pierwszej i pani felczer nadal nie było.

– Przygotować się do wypłynięcia – zakomenderowała Nes, wzbudzając poruszenie i spodziewane protesty dziewcząt. – Nie powiedziałam, że ruszamy! Po prostu bądźcie gotowe!

Marita weszła do jaskini chwilę później. Z trudem prowadziła ledwie trzymającą się na nogach wyższą kobietę.

– „Pijany Szeląg”, co? – Kayle rzuciła retoryczne pytanie, biegnąc na pomoc.

Nes pomogła jej przejąć pijaną Grację z wiotkich ramion pierwszej oficer. Felczer spojrzała na nią rozmytym przez alkohol wzrokiem, otworzyła usta, lecz wydobyło się z nich tylko westchnienie. Zasnęła chyba jeszcze w drodze do kajuty. Nie oprzytomniała, gdy Nes potrąciła metalowe rynienki na narzędzia chirurgiczne, które spadły z głuchym brzękiem ani wtedy, gdy Kayle uderzyła jej czołem o wystającą ponad koją półkę.

Teraz, schodząc do mesy, kapitan Roźnowski zastanawiała się, czy pani doktor już się obudziła i czy będzie w stanie zjeść z nimi obiad.

Gdy tylko znalazła się na dole, poprzedzana przez nucącego coś pod nosem kucharza, przywitały ją zaciekawione spojrzenia. Większość z nich zabarwiła odrobina współczucia, a to jej się nie podobało. W tej chwili dziewczęta wyraźnie oddawały pierwszeństwo jej płci, a nie funkcji, podczas gdy na statku była przede wszystkim kapitanem. Zdecydowanie jej się to nie podobało.

Popatrzyła po twarzach dziewcząt z załogi. Poza Laarą nie brakowało nikogo. Nawet Gracja, choć blada i wciąż opuchnięta od nadmiaru alkoholu, siedziała w swoim kącie i ostrożnie siorbała zupę maleńkimi łykami, mając pełną świadomość, że to jej zawdzięczają dzisiaj ostrą do granic wytrzymałości polewkę z dyni. Drugą niepatrzącą w stronę kapitan osobą na sali była Darna. Energicznie wiosłowała w swoim talerzu i

miała dość przyzwoitości, by nie atakować Nes wzrokowym poklepywaniem.

Heile i jej dziewczyny z maszynowni – Zijeme i Ulfa – w szerokich spodniach z niezliczonymi kieszeniami, jak zwykle brudnych od węgla i smaru, jadły szybko, lecz rzucały w stronę kapitan zaciekawione spojrzenia. Marita gapiła się wprost, podobnie jak Kass, której z pewnością Kayle zdążyła opowiedzieć ze szczegółami, czego była świadkiem na nabrzeżu. Fraan udawała, że nie patrzy, lecz nasunięte na oczy gogle stanowiły słaby kamuflaż. I wreszcie Ywig, nie zrównana w bijatykach, pierwsza przy każdym abordażu. Umieśniona i silna, jako jedyna mogła stanąć z Heile do zapasów. A jednak i ona zerknęła teraz, pocierając nerwowo ścięte na jeża włosy, pełna babskiego współczucia, które zapewne gotowa była wyrazić, łamiąc kark nieszczęsnemu Feliksowi.

Nes przeszła na swoje miejsce, udając, że nie dostrzega, a przynajmniej nie rozumie ciszy, która nastąpiła wraz z jej wejściem do mesy.

– Dyniowa na ostro, co? – Zamieszała łyżką gęsty, wściekle pomarańczowy płyn. – Jak samopoczucie, pani doktor? – rzuciła w stronę Gracji, usiłując przenieść zainteresowanie dziewczyn na kogoś innego.

– Bywało gorzej – odpowiedziała zagadnięta, jak zawsze konkretnie, obdarzając Nes krótkim spojrzeniem przekrwionych oczu. – Myślałam, że zostaniemy tam nieco dłużej. – Przerwała na chwilę walkę o napełnienie żołądka, który, sądząc po tempie jedzenia, musiał być dość oporny.

– Taki był plan, ale się zmienił. Pora chyba na oficjalne wyjaśnienia. – Kapitan zebrała się w sobie. Ściskając w ręku trzonek łyżki, zaczęła monolog: – Czystym przypadkiem okazało się wczoraj, że do Prato zawitała Straż Przybrzeżna. Zaskoczenie i dla nas, i dla mieszkańców. Póki co, to tylko jeden kapitan, ale na misji poszukiwawczej. Idzie konkretna obława. Na nas, na „Niezatapialną”. – Przesunęła spojrzeniem po dziewczynach. – Musiałyśmy zwyczajnie wiać. Przez te wszystkie manewry, skok z Północnej Turkusowej na Wilczy Nurt i przeprawę przez Progi z powrotem na Leniwą nie było nawet czasu pogadać. Zarządzam kurs na Archipelag. Po drodze zatrzymamy się za Wietrznym Progiem, uzupełnimy węgiel u Gurka i odwiedzimy Gustafa. Potrzebujemy więcej kryształów. Kass, polecisz przodem, dasz znać Gurkowi, że ma dla nas przygotować ze czterdzieści ton.

– Nie za mało, kapitanie? – spytała Heile rzeczowo. – Na Archipelag jest daleko. W drodze powrotnej będziemy szły pod prąd, a tam na miejscu nie dostaniemy węgla. Trzeba myśleć o zapasie, nie kalkulować na styk.

– To ile? – Nes spojrzała na Darnę, która też nastawiła uszu.

– Ile da radę. Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Pełne bunkry, kapitanie, idziemy na morze. To nie jest przyjazny teren.

– W porządku. Macie jeszcze jakieś uwagi?

– O co chodzi z kryształami i całą resztą? – spytała Kayle. – Chłopaki z Pesante mówili, że tam u nich ktoś dostał baty za nielegalne posiadanie czy coś... Głupota jakaś.

Nes westchnęła. Sytuacja polityczna sięgnęła ku „Niezatapialnej”. Kapitan nie lubiła się mądrzyć, nie lubiła rozmawiać na tematy, które powodowały, że zaczynała używać słów niezrozumiałych dla połowy dziewczyn. Jednak skoro znała odpowiedź, musiała odpowiedzieć.

– Jest taki stary przepis. O tym, że z nadchemii, z tych wszystkich kryształów i mieszanin, mogą korzystać tylko arystokraci i uprzywilejowani mieszczenie. No i oczywiście akademicy.

– Kto?

– Profesorowie, naukowcy na uniwersytetach w Truro i w Hidene, i jeszcze ci ze Szkoły Technicznej.

– I z Polikliniki – podpowiedziała Gracja, nie podnosząc wzroku znad pustego już talerza.

Nes popatrzyła na nią z wdzięcznością i mówiła dalej:

– Zwyczajni ludzie nie mają prawa nawet ich mieć.

– To czemu tylu ludzi ma? – Naiwne pytanie Kass wywołało tu i ówdzie parsknięcia.

– Bo mieszaniny nadchemików ułatwiają życie? Bo jak coś jest zabronione, to kusi? A tak naprawdę to prawo od lat było martwe.

Patrzyły wyraźnie zdziwione, a ona pomyślała, że trzeba jeszcze im wytłumaczyć, że takie kryształy czy płyny, do jakich mogą mieć dostęp chłopcy z Pesante, to nic, żadna wielka rzecz, że prawdziwy zakazany owoc mają na „Niezatapialnej”. Wynalazki Gustafa nie zostały nigdy umieszczone na żadnej liście patentowej, a sam twórca nie istniał dla środowisk naukowych.

– Było martwe i co? Teraz ożyło? – Zijeme wzruszyła ramionami, próbując chyba zbagatelizować problem.

– Ożyło. I co gorsza, pojawiło się nowe – powiedziała Nes poważnie.

– Wieszanie bez sądu... – Fraan zsunęła wreszcie gogle na czoło i spojrzała jej prosto w oczy. – Ludzie z Prato są w niebezpieczeństwie, ten twój kochaś...

– Zmierzasz do czegoś, Fraan? Rozumiem, co im grozi. Oni też rozumieją, wiedzą o tym pewnie dłużej od nas.

– Spokojnie, kapitanie. – Heile odsunęła talerz. – Nikt tu przecież nic złego nie mówi, dobrze, że wyszło jak wyszło. Zwiałyśmy, a tak lufa na czole by nas budziła. – Spojrzenie jej szarych, przejrzystych oczu spoczęło na drobniejszej, brzydko skrzywionej Fraan. – Ludzie sobie poradzą.

– Dobra, Kass, startujesz, powinniśmy już podchodzić pod Dolną Gawrę. Wracać na posterunki, dziewczyny, pogadanka skończona. Coś długo dziś „Niezatapialna” radzi sobie sama.

Nes podniosła się pierwsza i dopiero stojąc zauważyła, że tak naprawdę prawie nie tknęła zupy. Poczowała na sobie ciężkie spojrzenie v'Ankary i siadła z powrotem.

– Ech, zagadałyście mnie, dziewczuchy, zupa mi wystygła – zaśmiała się. Biorąc pierwszą łyżkę do ust, rzuciła jeszcze: – Marita, rozdziel wachty, Kayle na obserwacyjny.

– Aye, kapitanie – odparły chórem obydwie wywołane.

Po chwili szurnęły wszystkie krzesła poza tym, na którym siedziała Nes. W mesie oprócz niej został ukryty za wysokim kontuarem v'Ankara i Darna, która zatrzymała się w drzwiach i spojrzała dziwnie na swoją kapitan.

– Jestem z tobą, Nes. Zawsze o tym pamiętaj, mała. – Potrząsnęła głową i wspięła się po schodkach, pozwalając drzwiom zamknąć się samoczynnie.

Nes westchnęła i zabrała się za zupę.

– Ja też jestem z tobą, kapitanie. – V'An wysunął się ze swego schowka. – Każdy tu jest. A ludzi szkoda zwyczajnie.

– Nikogo do niczego nie zmuszam. I tak naprawdę nikomu w tym momencie nie ufam. Skąd mam mieć pewność, czy błękitne światełko będzie błękitne zwyczajnie dlatego, że wszystko w porządku, czy dlatego, że ktoś tym razem nie dołożył czerwieni, co? Nie zamierzam nikogo niepotrzebnie narażać, ale dziewczyny są najważniejsze!

– I ja? – Ciemne oczy spoczęły na niej ni to z rozbawieniem, ni to ze smutkiem. Trudno było interpretować jego miny, tak bardzo egzotyczna była uroda Śruddańczyka.

– I ty! A teraz proszę, daj mi zjeść, bo rzucę tą miską i tyle będzie!

Widziała kątem oka, jak się wycofuje, nie spuszczać z niej wzroku. Uśmiechnęła się lekko, znów pokręciła głową. Myśli pomknęły wstecz do dnia, gdy pierwszy raz zobaczyła „Niezatapialną”.

* * *

Statek nie wyglądał ani trochę imponująco. Rude plamy rdzy znaczyły kadłub tam, gdzie farba zwijała się, odpadając płatami, a gdy panna Roźnowski pierwszy raz spacerowała po pokładzie, jego wypaczone tu i ówdzie deski klekotały luźno.

Heile – nowa znajoma – kazała jej i Darnie przyjść po zmroku do starego portu w Hidene. Miała im pokazać swój największy skarb. Parowiec stał zacumowany przy

Martwym Nabrzeżu, zwanym tak dlatego, że przybijały tu jednostki przeznaczone na złom. Nazwa statku, niegdyś dumy rzeki, wyblakła i trudno było ją odczytać w mizernym świetle trzymanej przez Heile gazowej lampki. Tuż ponad głową Nes, odcinając się od burty jaskrawością świeższej farby, widniały namazane niedbałą ręką urzędnika litery NZ.

– Co to znaczy? – spytała swoją przewodniczkę, gdy czekały na spóźniającą się Darnę.

– Na złom – prychnęła Heile. Na jej kwadratowej, dość topornej twarzy pojawiła się pomieszana z żalem złość. – A maszyny ciągle działają! Koła majo wszystkie łopatki! Wystarczy ją pomalować, wymienić tu i ówdzie kawałek płyty, a oni... – Urwała gwałtownie i Nes mogłaby przysiąc, że błysk, który dostrzegła w jej oczach, to łzy.

– Poczekaj! – zaprotestowała, gdy Heile sięgnęła do cumy. – Jeszcze Darna.

– Wdrapię się, to wam znajdę jakie lepsze wejście – odparła dziewczyna i skoczyła na cumę.

Nes była pod wrażeniem jej zwinności. Mimo masywnej sylwetki, szerokich ramion i widocznych węzłów mięśni Heile wspięła się po cumie ze zwinnością wiewiórki, używając jedynie rąk. Panna Roźnowski obserwowała te popisy z dołu, czujna jak mysz, zawsze gotowa do ucieczki. Ulica na ogół jest dobrym nauczycielem życia, a wschodnia stolica Unii wiodła prym w tej sztuce. Darna się spóźniała, owszem, lecz póki co prawdopodobieństwo, że coś jej się stało, równało się temu, że wszystko jest w porządku. Powodów spóźnienia można było wymyślić kilkanaście.

Z wnętrza statku dobiegł zgrzyt. Nes zmarszczyła brwi, lecz nim zdążyła się nad tym zastanowić, inny dźwięk przykuł jej uwagę. Ktoś biegł. Wpatrywała się w ciemność, w której ledwie majaczyły wysokie budynki portowych magazynów. Nikt nie uważał za stosowne, by marnować pieniądze na oświetlenie tych praktycznie zapomnianych zakątków. Jedyne światło, jakie tu docierało, pochodziło z milicyjnych latarni, jeśli akurat w okolicę zapuścił się jakiś patrol. Kroki stały się głośniejsze i po chwili Darna wypadła z ciemności dalekiej w ciemność bliższą – oswojoną.

– Co jest? – szepnęła Nes, widząc ostrzegawcze gesty przyjaciółki.

– Uginte! – rzuciła tylko Darna, zginając się wpół. Drżała z wysiłku. – Nie wiem, czy zdołałam ich zgubić.

– Na pokład – dobiegł je z góry wyprany z barwy głos Heile. – Łapcie się!

Jak na komendę podniosły głowy, by zobaczyć zasłoniętą wielkimi goglami twarz. Skąd dziewczyna je wzięła, Nes nie miała pojęcia, lecz nie to było ważne. Ważne było, że Heile popychała w ich stronę ramię dźwigu. Wystarczyło chwycić za liny zwisające z belki i po chwili obie unosiły się ponad połyskliwą czernią kanału portowego.

– Puszczajcie i na dechy – zakomenderowała Heile, gdy tylko znalazły się nad

pokładem. – Idą tutaj.

Posłusznie przyłgnęły do desek i nozdrza Nes natychmiast wypełnił zapach wilgoci, charakterystyczny dla starego pokładowego drewna. Nieświadomie wstrzymała oddech, nasłuchując. Kroki były głośne, banda Uginte najwyraźniej czuła się tu jak u siebie. Początkowo odgłosy dochodziły z jednego miejsca, potem się rozdzieliły. A jeszcze potem pojawiły się nawoływania i obietnice, których dżentelmeni nie składają damom. Nes sięgnęła na biodro, zacisnęła palce na nożu. Wiedziała, że nie podda się łatwo. Ci śmierdzący rybami mali dranie nie dorwą jej za darmo. Kątem oka zobaczyła, że Darna też przygotowuje się do walki. Uśmiechnęły się do siebie.

– Bez głupot – szepnęła prawie bezgłośnie Heile.

Nes czuła, że dziewczyna ma rację, a jednak coś pchało ją do działania. Serce waliło mocniej, pompując krew coraz szybciej, wyganiając ją pod skórę, powodując skrócenie oddechu. Miała się właśnie zerwać, gdy ciężka, silna dłoń przewodniczki przycisnęła ją do pokładu. Odwróciła się wściekła i zobaczyła jej spokojną twarz.

Heile pokręciła głową.

– Zara pójdź – bezdźwięcznie poruszyła ustami.

Nes wbiła czoło w deski. Oddychała ich zapachem, próbując się uspokoić. A potem kroki zaczęły się oddalać, jęki zawodu i przekleństwa zniknęły, pochłonięte przez najbliższą zamieszkałą dzielnicę Hidene. Dziewczyny leżały jeszcze chwilę, zanim Heile zdjęła dłoń z pleców Nes i ostrożnie się podniosła. Sięgnąwszy do gogli, pomajstrowała przy nich, po czym uśmiechnęła się szeroko.

– I już, poszli – rzuciła w stronę towarzyszek. – Tera moge wam pokazać moje „Niezatapialno”.

* * *

Nes wciąż się uśmiechała, grzebiąc w pustej dawno misce. Heile była szalona. Utrzymywała statek przeznaczony na złom w ciągłej gotowości do wypłynięcia. Znosiła pod pokład węgiel, chowając go pod koszulą. Smarowała maszyny. Maszynownia „Niezatapialnej” tej nocy, gdy Nes pierwszy raz zeszła pod pokład, zrobiła na niej wrażenie zatrzymanej w czasie. Lśniące, pachnące smarem silniki, gotowe do działania tłoki i korbowody. Kocioł wypełniony wodą, czekające na rozpalenie palenisko. Umieszczone w krytych tamborach koła napędowe miały pięknie odmalowane łopatki, w niektórych miejscach wymienione na nowe. Heile żyła na parowcu od lat, broniąc go przed całkowitym opuszczeniem. Liczyła na to, że zanim ktoś sobie przypomni o weterance i skieruje ją do jednej z hut na przetop, zdąży znaleźć kogoś równie szalonego jak ona sama, i „Niezatapialna” znów wyruszy w rejs.

Odplynęły tej samej nocy. Rozsądna i przekonująca zazwyczaj Darna nie potrafiła zbić argumentów, rzucanych na przemian przez rozentuzjasmowaną Nes i pełną nadziei Heile. To był głupi pomysł. Utrzymanie rdzewiejącego pięćdziesięciometrowego bocznokołowca, który w ciągu doby potrafił pożreć piętnaście ton węgla, było nierealne. Owszem, miały nieco odłożonych błyszczących drobiazgów z kilku większych akcji, ale to wszystko było jedynie kroplą w morzu potrzeb.

Pierwszą rzeczą, jaką Heile chciała zrobić rano, gdy wolno szły w dół Leniwej, oszczędzając węgiel i pokonując tę drogę pierwszy raz we wspólnym rejsie, było starcie piętna NZ z burty. Nes poddała lepszy pomysł. Jedna kreska dodana do krzywego N wystarczyła.

– „Mój Złom”, bo to złom – powiedziała wtedy do Heile – ale jest twój. Przynajmniej dopóki nie skończy się węgiel i nie będziemy musiały jej porzucić.

– Kapitanie!

Okrzyk wyrwał ją brutalnie ze wspomnień. Zerwała się, a potrącona przy gwałtownym ruchu miska z brzękiem uderzyła o podłogę.

Panna Roźnowski wypadła na pokład, w jasne światło dnia. Dziewczyny stały w bezruchu na lewej burcie – Nes od razu zobaczyła zaciśnięte na relingu dłonie, skamieniałe twarze. Podążyła za wzrokiem kompanek. Przepływały właśnie wzdłuż Dolnej Gawry. Spora wioska z porządnym, zadbanym nabrzeżem i kolorowymi łodziami rybaków była jedną z tych, które miały swoją latarnię sygnalizacyjną. Brzegi większych rzek utrzymywały system oznaczeń, pomagający się orientować w terenie nocą. Latarnia Dolnej Gawry stała na łagodnym pagórku za wioską. Ostatnio ostrzegła „Niezatapialną” przed pościgiem. Poniżej pagórka rośnięte pojedyncze karłowate drzewo, częsty widok w tej części Palude. Chłopak kołyszący się na sznurze przywiązany do drzewa nie wyglądał nawet na czternaście lat. Nie wyglądał, bo ich nie miał.

– Yurij – szepnęła Nes, bezwiednie wczepiając się palcami w reling.

Chłopak od Siemienieckich zawsze był pierwszy na nabrzeżu, gdy z rzadka przybijały tu do brzegu.

– Straż, kapitanie. – W głos Fraan wkradła się twarda nuta.

– Przybijamy?

Nes przełknęła ślinę. Wiedziała, że jej decyzja nie spodoba się załodze. Wiedziała też, że jest to dobra decyzja.

– Ywig, nadaj do Kass sygnał lądowania. Heile, zrób wszystko, żebyśmy popłynęły szybciej. Rozumiesz?

Heile powoli skinęła głową.

– Wietrzny Próg? – upewniła się.

Nes przytaknęła. Czuła spojrzenia dziewcząt i siłą powstrzymała się od tłumaczenia

im rozkazu. Zwróciła się ku Darnie. Przyjaciółka skinęła głową.

– Zijeme, Ulfa, zróbcie przegląd amunicji. Sprawdźcie wszystko.

Zdążyły już ruszyć na rufę, gdzie znajdowały się skrzynie, gdy je zatrzymała:

– Zastanówcie się też, czym można strzelać, gdy pociski się skończą.

– Małgośka nie wystrzeli – rzuciła Fraan. Jej zaczepny ton drażnił Nes, lecz kapitan uparcie nie dawała się sprowokować.

– Wiem. Na szczęście są jeszcze Bliźniaki, tak?

Umieszczone nad tamborami działka średniego kalibru zostały ochrzczone przy okazji większej pijatyki. Wybrane w wyniku burzliwej dyskusji imiona miały przynieść piratkom szczęście. Na początku, zanim Heile i Ulfa zdołały wyczyścić i wyprostować wszystkie elementy zdobycznych armat, było ono potrzebne głównie tym, którzy usiłowali z nich strzelać. Szybko się jednak okazało, że Twardostój i Stoimir nie były chybioną inwestycją. Zdecydowała o tym po pierwsze łatwość obsługi, a po drugie zachęcająca cena amunicji. O szczególnej wartości działek przesądzało jednak co innego – celność. Skomplikowany system optyczny, połączony z goglami obsługującego działko celowniczego, nie dawał szans przeciwnikowi. Jeden pocisk – jedno trafienie.

– Siedem pocisków do Bliźniaków. I znalazł się jeszcze jeden do Małgośki. Z nabojami do pistoletów jest dobrze, kapitanie, wciąż spory zapas. Jest też beczka kwasu i dwie tego gęstego oleju zapalającego. No i Zaskakująca Fleur, oczywiście. Darmo nas nie dostaną – rzuciła Zijeme, wysuwając podbródek.

Nes klepnęła ją w plecy.

– Jasne, że nie! I zapłatę bierzemy z góry, jak zawsze!

Zaszumiał mechanizm platformy lądowniczej, ponad ich głowami przemknął szybujący swobodnie ornitopter. Kass zrobiła pętlę i pozwoliła maszynie opaść.

– Dobra, komplet. – Kapitan podeszła do rur głosowych i wyjęła zatyczkę z tej, która połączona była z maszynownią. – Heile, teraz ile możesz, bylebyśmy tylko się nie rozpadły!

Rozdział trzeci,

w którym okazuje się, że piractwo to nie tylko śpiew i muzyka

Edward Arbre de Succomber czekał na swego dowódcę w ciasnym pokoju na piętrze nieużywanego magazynu. Niełatwo było służyć pod kimś, kto wciąż nie pozbył się młodzieńczego dzielenia świata na czarne i białe. Porucznik zastanawiał się, czy Ucelli w ogóle wróci na kwaterę, a przynajmniej czy wróci w jednym kawałku. No i jeszcze – czy to naprawdę musiała być „Niezatapialna”?

De Succomber miał świadomość, że decyzja o usunięciu jej z wód była tylko kwestią czasu. Piratom mogło się wydawać, że to ich wrodzony spryt, doprawiony nieliczną dawką zwyczajnego szczęścia powoduje, że uchodzą im na sucho wszystkie wybryki. Lecz to nie była prawda. Z braku odpowiedniej liczby wojska władze likwidowały problemy po kolei i dość niemrawo, łudząc się, że piracki proceder nie zagraża w większym stopniu ani budżetowi, ani wizerunkowi Unii. A potem pojawił się Siegfried Ijsberg – kuzyn Fiori Verdich od strony matki miłośniczynie panującego Oresta – i zaczął myśleć. Wyliczył straty, a te nie ograniczały się do uszkodzonych czy zatopionych jednostek i zrabowanych towarów, lecz rozciągały się na zmniejszone wpływy z tytułu niezapłaconych podatków od transakcji, które nigdy nie doszły do skutku, bo piraci przejęli zawartość ładowni kupieckich statków. Ponadto szczegółowo rozrysował na wykresach, jak w przeciągu ostatnich lat zmniejszył się dochód z ceł, ponieważ coraz mniej przedstawicieli ościennych państw miało ochotę na współpracę handlową z zarazy plagą wodnych rozbójników Palude i Tuuli. Wskazał przyczynę i zaczął konsekwentnie realizować plan jej wyeliminowania.

Edward miał okazję przebywać w Cytadeli, gdy Ijsberg wygłaszał pierwszą ze swoich mów do służb państwowych. Dobrze zbudowany, wysoki, nosił ciemny, gęsty zarost, przycięty w elegancką bródkę. Wyglądał jak kupiec, nie jak bezwzględny polityk – dopóki się nie odezwał. Porwał ich tą mową. Prosty żołnierz, milicjant, wreszcie marynarz ze Straży Przybrzeżnej, z których prawie każdy brał już udział w jakiejś potyczce z piratami. Porucznik słuchał zafascynowany, mimo że najprawdopodobniej jako jedyny potrafił poddać jego słowa suchej, obiektywnej ocenie. Wtedy, na kwadratowym, wyłożonym czarno-czerwoną szachownicą placu jednego z bastionów Cytadeli przeszłość wyciągnęła po Edwarda swe macki. Te zacisnęły się z siłą zdolną miażdżyć żebra, gdy padła nazwa „Niezatapialnej”.

Przestarzały parowiec, który potrafił zniknąć we mgle, a według niektórych także latać, był swego rodzaju symbolem. Dowodem niekompetencji i bezsilności władz,

które nie potrafiły sobie poradzić z paroma dziewczętami. Najmniejsza ze znanych pirackich załóg brała największe łupy. Atakowała z rozmysłem, w zaplanowanych do perfekcji akcjach. Rzadko zostawiała za sobą trupy. Inne statki siały spustoszenie ze znacznie większym okrucieństwem, a jednak to bezczelność kapitan Roźnowski najbardziej dopiekła władzom. Gdyby jeszcze nie zaczęła się nagle afiszować nazwiskiem...

Porucznik westchnął ciężko. Jollienesse Roźnowski miała się stać przykładem, nauczka dla innych. I nie chodziło tu wyłącznie o innych piratów. Ijsberg, zanim zaczął swoją kampanię, wnikliwie studiował nie tylko gospodarkę i ekonomię, ale i stosunki społeczne wsparte kursem historii najnowszej. Fakt, że córka Romualda Roźnowskiego rozbijała się po rzekach i jeziorach Palude, a nawet coraz częściej wyprawiała się w głąb Tuuli, stanowił w oczach ministra znakomity pretekst do rozprawienia się z mitem wspomagającego prosty lud rewolucjonisty.

De Succomber podniósł się z twardego łóżka, na którym bezskutecznie usiłował złapać choć parę godzin snu. Dobry żołnierz potrafi zasnąć na rozkaz. Dzisiaj zdecydowanie daleko było mu do ideału. Uporczywie wracało wspomnienie przemawiającego Ijsberga, oblanego promieniami stojącego w zenicie słońca. W głowie porucznika rozbrzmiewał jego głos, urastający do grzmotu po odbiciu się od kamiennych ścian bastionu. Dźwięczały entuzjastyczne okrzyki zebranych na placu młodzików. To wszystko nie pozwalało na sen.

Nie, świeżo upieczony minister do spraw handlu morskiego nie powiedział niczego wprost. Nazwisko małej Nes nie padło w ogóle z jego ust. Jednak dla Succombera ta sprawa była równie oczywista jak to, że Ijsberg właśnie zaczął wspinaczkę na sam szczyt. Na miejscu miłościwie panującego Oresta Edward zacząłby się martwić.

A jeśli o zmartwieniu mowa, to gdzie, do cholery, jest tan smarkacz?

Feliks Ucelli to była zupełnie osobna sprawa. Młody, ambitny, zaliczał sukces za sukcesem. Podobno wybrano go do tej misji, bo był odważny i honorowy, lecz znaleźli się i tacy, którzy uważali, że to dlatego, iż kapitan dobrze się prezentuje w mundurze. Nadawał się w sam raz na plakat bohatera, który zwalczył zagrożenie na wodach Palude. Czy potrafił wykazać się myśleniem, porucznik de Succomber nie miał do tej pory okazji zaobserwować.

Rozumiał wtopienie się w tłum, a w tym kontekście rozumiał też strzelanie do celu i tańce, ba, byłby niesprawiedliwy, gdyby krytykował za to Ucellego. Wszak sam dał się ponieść, atmosfera sprzyjała wspomnieniom, a harmonijka praktycznie sama wyskoczyła z kieszeni. Ale to, co nastąpiło później...

I jeszcze mundur! Pójść w mundurze Straży do tej samej tawerny, z której parę godzin wcześniej wyszło się w towarzystwie kapitan pirackiego parowca... Kapitan

lubianej na oko przez większość klientów i właściciela. To było Prato! Miasto od lat stanowiące azyl dla jednostek spod ciemnej gwiazdy, utrzymujące się głównie z ich zaopatrywania. Rozpoznanie! Taki był cel ich przybycia tutaj, nie rozpoczęcie otwartej wojny – dwóch przeciwko tysiącom.

Czy młody Ucelli naprawdę jest taki głupi?

Edward podszedł do stołu, odruchowo wciągając szelki na ramiona. Ze stosu drobiazgów wydobyl sfatygowaną papierośnicę. Otworzył ją i wysypał na dłoń trzy ostatnie skręty. Westchnął, po czym włożył jednego do ust, pozostałe troskliwie chowając z powrotem. Z braku zapalek podszedł do wystającej ze ściany lampy, ostrożnie uniósł klosz i przytknął końcówkę papierosa do podkręconego płomyka. Pierwszy haust dymu zawirował mu w głowie. Wypuścił nosem smolisty kłęb i ciężko usiadł na krześle. Bolały go nogi, od kilkunastu godzin trzymane w wysokich do kolan skórzanych butach. Bolały go plecy, niechybny znak, że pogoda się załamie. I wreszcie bolała go głowa od złych myśli, rozpychających się wątpliwości, niechcianych wspomnień.

Nie poznała go. Przyglądała się uważnie, z zaciekawieniem typowym dla sytuacji, w jakiej się znaleźli, potem z podziwem, gdy skończyli grać, a ona ledwo potrafiła złapać oddech po szalonym pędzie tańca. Jednak go nie poznała, bo zresztą i jak? Od ich ostatniego spotkania minęło ponad dwadzieścia lat, a przecież wtedy była dzieckiem. Za to on nie miał wątpliwości. Spojrzenie ojca, lecz twarz matki. Wyrosła z niej ładna dziewczyna. Nic dziwnego, że Ucelli się nie oparł.

Kolejny haust dymu zatrzymał w płucach na dłużej, zamknął oczy. Papierosy pomagały się odprężyć nie gorzej niż wódka. Choć ta ostatnia była o tyle lepsza, że dawała też możliwość wyłączenia myśli.

– Pójdę go chyba poszukać – powiedział na głos i wstał.

Nim zdążył zapiąć na biodrach ciężki pas z kaburą na pistolet i zawieszoną na drobnym łańcuszku prostą szablą, drzwi otworzyły się gwałtownie. Kapitan Ucelli wszedł do środka z ponurą miną i rzucając kapelusz na łóżko, spytał:

– Poczęstuje pan papierosem, poruczniku?

– Na stole – odpowiedział Arbre de Succomber, usuwając się młodzieńcowi z drogi.

W ruchach Ucellego było widać tłumioną złość, dłoń sięgająca do papierośnicy drżała zauważalnie.

– Nie ma zapalek – oznajmił, przerzuciwszy drobiazgi leżące na stole i utkwivszy lekko zawiedziony wzrok w poruczniku.

Edward machnął ręką w kierunku lampy, a Feliks powtórzył procedurę, którą starszy mężczyzna wykonał chwilę wcześniej. Zaciągnął się z tą samą pasją, wypuścił dym i oparł się plecami o ścianę.

– Nie wpuścili mnie na pocztę – odezwał się po jakimś czasie.

– Jest noc...

– A ja jestem kapitanem Straży Przybrzeżnej, wykonującym zadanie na zlecenie rządu!

– Jesteśmy w Prato, kapitanie Ucelli – przypomniał Edward.

– Przecież według prawa... – Feliks urwał gwałtownie i popatrzył porucznikowi prosto w oczy. – Według prawa mógłbym ich kazać powiesić.

– Oczywiście, panie kapitanie – odpowiedział de Succomber, odwzajemniając spojrzenie.

Nie miał ochoty wdawać się w dyskusje na temat nowych przepisów, Feliks musiał jednak zinterpretować jego wzrok we właściwy sposób, bo twarz młodzika pokryła się rumieńcem.

– Oczywiście... ja... – wydukał niepewnie.

Edward uniósł dłoń i potrząsnął głową.

– Czego się pan dowiedział w tawernie? – zmienił temat.

– Właściwie tylko tego, że wszyscy tu kochają piratów i, delikatnie rzecz ujmując, nie przepadają za Strażą Przybrzeżną.

Edward nie uznał za stosowne komentować rzeczy oczywistej.

– Zapowiedziałem właścicielowi tawerny, że jutro dokładnie ją przeszukamy.

Porucznik uniósł brwi. Młodzieniec zdołał go zaskoczyć.

– Wie pan, że ten człowiek zapewne bez problemu pozbędzie się wszystkiego, co mogłoby go obciążyć?

– Wiem, poruczniku. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Ucelli oderwał się od ściany, odetchnął głębiej i zgasił papierosa w palcach. Tłąca się końcówka spadła na nową sosnową podłogę, zostawiając na niej czarne piętno. Kapitan przyglądał się jej przez chwilę, po czym przydepnął ognik obcasem.

– Tak jak wiem, że jeśli „Niezatapialna” była tu gdzieś zacumowana, to w tej chwili z pewnością wychodzi na jezioro.

– Kapitanie... – zaczął Edward, lecz młodzieniec przerwał mu ruchem ręki.

– Jutro rano zaczniemy od wizyty na poczcie i przeszukania tawerny Witrenstierna, potem ruszymy na południe. Z jednostkami pościgowymi spotkamy się na Wietrznym Progu.

– Tak jest, kapitanie. – Arbre de Succomber odruchowo się wyprostował.

– Złapiemy je na Delcie, poruczniku. Nie mają innego wyjścia, jak tylko pójść na Leniwą – dodał jeszcze Ucelli, odwracając od niego spojrzenie. – A teraz niech się pan położy spać. Przed nami pracowity dzień.

Poranek powitał ich mgłą. Unosiła się ponad jeziorem, gęsta, siwomleczna, wyciągała długie macki na nabrzeże, wspinała się pod magazyn, w oknie którego stał Edward, wpatrzony w krążącego niespokojnie po dziedzińcu Ucellego. Kapitan ubrał się przepisowo w pełen mundur, dokładnie tak, jak wczoraj. Wysoki kołnierz kurtki wymuszał sztywne uniesienie głowy, jej krój z krótszym przodem podkreślał długość nóg. Porucznik miał ochotę splunąć. Od zawsze drażniło go w marynarce stawianie na zewnętrzny blichtr zamiast na porządne wyszkolenie.

Skrzywił się, wiedząc, że nie jest do końca sprawiedliwy. Młodzi kadeci z rocznika Feliksa dostawali już porządny wycisk, prawdziwie uczyli się życia, jednak Edward wciąż pamiętał marynarkę sprzed lat piętnastu – leniwy twór bez krzty honoru. Wstąpiwszy w jej szeregi, bez problemu zrozumiał, jak to się stało, że piraci rozpanoszyli się na wodach Palude.

Ucelli musiał poczuć na sobie jego wzrok, bo zerknął w górę, unosząc nieco nakrycie głowy.

– Już schodzę, kapitanie! – krzyknął Edward.

– Pośpiesz się pan, poruczniku. – Ton młodzieńca świadczył o zdenerwowaniu, tak samo jak wcześniejsze bieganie w kółko.

De Succumber westchnął i cofnął się w głąb pokoju. Wszystko miał już przygotowane, wystarczyło wciągnąć na grzbiet kurtę, zapiąć szereg lśniących guzików i zejść tam, gdzie czekał niecierpliwym młodzieniec, rwący się z zapalem nuworysza do zadania, które mogło mu przynieść i chwałę, i śmierć.

Porucznik nie przespał zbyt wielu godzin z tych, które mu pozostały po powrocie Feliksa. Wzrok młodzieńca, niepewny, zawstydzony, powiedział mu aż nazbyt wiele. Edward zasnął dopiero przed świtem, wciąż z tymi samymi pytaniami tłukącymi się uparcie pod czaszką: Co on teraz zrobi? Co ja zrobię, gdy wyda mi rozkaz?

Schodził po schodach powoli, dystyngowanym krokiem, udając spokój. Porucznikowi Straży Przybrzeżnej, na dodatek w jego wieku, nie wypadało być pochopnym w działaniu.

– Jest pan! – Ucelli zatrzymał się gwałtownie, gdy tylko Edward przeszedł przez wąskie drzwiczki. – Dobrze, najpierw poczta, poruczniku.

Ruszyli równym krokiem, a gdy tylko wyszli z osłony magazynów, uderzył ich poranny portowy gwar. Zwykle o tej porze już panowała cisza – zapewne tego dnia z powodu mgły rybacy odczekali dłużej z wypłynięciem na jezioro. Mgły na Turkusowym potrafiły zwodzić, nikt bez potrzeby nie ryzykował zagubienia się w mlecznym obłoku. Teraz powoli się rozprasały, oddzielały od srebrnej tafli, rwały w

nierówne strzępy. Ucelli i de Succomber mijali mężczyzn śpieszących z naręczami sieci i kobiety niosące na plecach plecione z tataraku kosze. Tu wciąż wszystko było po staremu – w odwiecznym rytmie walki o przetrwanie brały udział całe rodziny.

Spojrzenia, które na siebie ściągali, były w najlepszym razie lodowato obojętne, jednak większość zmierzających do swoich zajęć mieszkańców Prato patrzyła na nich z nieskrywaną pogardą albo z ledwie tłumioną złością. Edward miał nadzieję, że Ucelli nie będzie na tyle głupi, by pozwolić sobie na jakąś reakcję. Kapitan tymczasem szedł coraz szybciej, zaciskając dłonie w pięści i trzymając się prosto niczym na defiladzie. Najwyraźniej miał świadomość, jakim symbolem się stał w tym do niedawna zapomnianym przez władzę mieście.

– Uważałbyś, jak leziesz, żołnierzyku! – Pchnięty w ramię Feliks zatoczył się na Edwarda.

Arbre de Succomber zastygł w bezruchu, jego ręka sama powędrowała do kabury. Pięć strzałów. Może wystarczy. Feliks tymczasem spojrział na osiłka, który go zaczepił. W jasnych oczach kapitana zamigotała nietłumiona dłużej wściekłość.

– Pchnąłeś mnie specjalnie, człowieku, bo najwyraźniej mnie nie lubisz – wycedził. – I jedynie w ten prymitywny sposób możesz dać temu wyraz.

Rybak odłożył sieci na bok. Splunął na nabrzeże i, patrząc Feliksowi prosto w oczy, powoli rozdeptał płwocinę.

– I co z tym zrobisz? – spytał, uśmiechając się szeroko.

– Zapamiętam cię – odpowiedział młodzieniec, po czym ruszył przed siebie.

Skok pochylonego nisko mężczyzny, celującego barkiem w brzuch Feliksa, był zaskakująco szybki i gdyby Edward się na niego nie przygotował, rybak bez kłopotu ściałby kapitana z nóg. Jednak porucznik czekał na atak i zdołał go wyprzedzić. Silny kopniak spowodował, że osilek stracił równowagę i nim zdołał się zorientować, co się w ogóle stało, leżał na plecach z grawerowaną lufą pistoletu de Succombera wbitą w czoło.

– Głupie i niepotrzebne – rzekł porucznik, patrząc na zastygłych dookoła mieszkańców Prato. – Nikt niczego od was nie chce. Na razie.

– Poruczniku – odezwał się Ucelli.

– Tak jest, kapitanie. – Edward schował pistolet do kabury, zerknął raz jeszcze na leżącego mężczyznę i podążył za Feliksem, który już zdążył podjąć marsz z boczem wzgórza w kierunku centrum miasteczka.

Odprawiało ich milczenie i gniewne spojrzenia, jednak nikt więcej nie odważył się zaatakować. Najwyraźniej mieszkańcy cenili sobie każde pojedyncze życie.

Poczta leżała w rogu małego rynku. Piętrowy budynek otynkowany na żółto wyróżniał się spośród jaśniejszego otoczenia.

– Niech pan zostanie, poruczniku, proszę obserwować teren... Wie pan, co robić.

Edward Arbre de Succomber skinął głową przyjmując rozkaz i stanął w lekkim rozkroku przodem do rynku. Kamieniczki, które otaczały prostokątny plac, były przeważnie tej samej wysokości co budynek poczty. Z rzadka trafiała się wyższa, a prym pod tym względem wiódł nie ratusz – co wydawałoby się oczywiste – ale położony naprzeciw poczty dom uciech.

– Prato – parsknął Edward.

Spojrzenia mijających go ludzi były tu równie nieprzychylne jak tych na nabrzeżu. Jednak nikt nie usiłował go zaczepiać, wszyscy traktowali obecność marynarza ze Straży jak zło konieczne. Porucznik pomyślał, że niedługo ogromnie dużo się w tym miejscu zmieni. Strażnica miała zostać obsadzona jeszcze tej jesieni, a ustanowienie nowych władz miasta będzie następnym krokiem ku pacyfikacji nieposłusznych mieszkańców.

– Tawerna, poruczniku – odezwał się Ucelli za jego plecami.

De Succomber znowu skinął głową. Z jednej strony rozumiał kapitana, z drugiej zaczynało go irytować, że jest traktowany jak ochroniarz.

– Udało się panu wysłać meldunek, kapitanie? – spytał pozornie obojętnie.

– Tak, poruczniku.

Kontynuowanie rozmowy nie miało w tym momencie sensu. Przez chwilę szli w milczeniu i Edward miał wielką ochotę zacząć pogwizdywać, byle tylko rozproszyć tężejącą wokół nich ciszę.

– Poruczniku. – Ucelli w końcu zdecydował się odezwać. – Nie podziękowałem panu. A powinienem, zatem czynię to teraz. Dziękuję.

– Nie ma za co, kapitanie. To chyba nic, czego pan by nie zrobił w odwrotnej sytuacji, prawda?

Młodszy mężczyzna spojrzał na niego uważnie.

– Prawda – odparł po chwili. – Poruczniku – zaczął po kolejnej przerwie. – Jest jeszcze jedna sprawa.

– Słucham, kapitanie. – Edward starał się przybrać możliwie zachęcający ton. Czuł, że to, co Feliks chce mu powiedzieć, jest dla młodzieńca ważne.

– Wiem, że się pan zastanawia nad wydarzeniami ubiegłej nocy.

Porucznik milczał, nie wiedząc, co właściwie mógłby powiedzieć.

– To nie wpłynie w żaden sposób na rozkazy, które otrzymałem. Jestem przede wszystkim marynarzem na służbie Jego Królewskiej Mości, miłośnicie nam panującego Oresta.

– Oczywiście, kapitanie, nigdy w to nie wątpiłem – odpowiedział de Succomber, gdy już nabrał pewności, że Feliks nie powie nic więcej. – Pił pan kiedyś rum z

Archipelagu? – spytał po chwili, zaskakując samego siebie.

– Nie, poruczniku, nie zdarzyło się. – Roztargniony ton Feliksa świadczył aż nazbyt dobrze, że jego myśli wciąż uparcie tkwią w tym samym miejscu.

– Widziałem wczoraj, jak butelka krążyła pomiędzy stolikami. Postawię panu szklaneczkę albo dwie. – Spojrzał na młodzieńca, który przez chwilę wyglądał, jakby nie rozumiał. – Powinien się pan chyba przyzwyczajać do kaca. – Porucznik wzruszył ramionami i uśmiechnął się z całym współczuciem, na jakie było go stać.

* * *

Prato opuścili późnym popołudniem. Teraz, gdy każdy mieszkaniec miasteczka już wiedział, kim są, nie było szans, by udało im się wynająć jakąkolwiek łódź. Mogli jedynie jakąś zarekwirować, ale na to żaden z nich nie miał ochoty. Zadowolili się zatem końmi należącymi do Kompanii Drzewnej, płacąc sporo za wypożyczenie zwierząt i siodła. Rum wymieszany z tuulijską gruszkówką szumiał Edwardowi w głowie, a sądząc po nieskoordynowanych, miękkich ruchach Feliksa, kapitan był w znacznie gorszym stanie. Jednak nie chciał słuchać o dalszym opóźnieniu.

– Pojedziemy do Facerte. Tam dochodzi kolej. Tak będzie najszybciej.

Edward nie miał nic do zarzucenia temu planowi, więc od dobrej godziny galopowali w milczeniu, klucząc między mokradłami otaczającymi Turkusowe od wschodu.

Przeszukanie tawerny sprowadziło się do poproszenia właściciela o otworzenie szafek i skrytek. Feliks nawet nie próbował udawać, że poświęca tej czynności należną jej uwagę. W pewnym momencie, obracając w palcach niewielką pustą butelkę, jednoznacznie kojarzącą się z produktami nadchemii, spytał krótko:

– Poszły na północ czy na południe, Witrenstiern?

– Myśli pan, kapitanie, że byłaby taka głupia, żeby mi powiedzieć?

Przez twarz Feliksa przeszedł skurcz.

– Nie, z pewnością, nie. A jak uważacie?

– Moje przypuszczenia to nie jest coś, czym powinna się kierować Straż Przybrzeżna, kapitanie. – Głos właściciela tawerny drżał lekko, gdy mężczyzna wypowiadał te słowa, a Edward pomyślał, że jeśli Feliksowi chodzi o coś konkretnego, to najwyższy czas, by to wyartykułował, jeśli natomiast nie, powinien dać spokój.

– Racja. – Feliks odłożył butelkę. – W porządku, Witrenstiern, nie zauważyłem niczego podejrzanego w waszej tawernie.

Karczmarz odetchnął z wyraźną ulgą, jego ręka powędrowała do łysej czaszki. Otarł skroń z drobnych kropelek potu. Feliks skierował się do sali gościnnej, a Edward podążył za nim, rozglądając się po pomieszczeniu. Wyglądało inaczej niż nocą. Sala

była prawie pusta i jasna zupełnie inną jasnością niż ta żółtawa i miękka, która wypełniała pomieszczenie ponad głowami okupujących je gości. Z kilkunastu nieregularnie rozstawionych ław tylko dwie były zajęte przez pojedynczych klientów. Żaden z nich nie podniósł wzroku znad swojego kufelka, odkąd przedstawiciele Straży przekroczyli próg.

– Widziałem tu wczoraj rum z Archipelagu – odezwał się Edward, wstrzymując w pół kroku zmierzającego do wyjścia kapitana.

– To nie jest towar nielegalny – zastrzegł natychmiast Witrenstiern.

– Nie, a na pewno nie w Prato – uśmiechnął się porucznik. – Poprosimy butelkę i dwie szklanki do tamtego stolika pod oknem. Ile to będzie? – Sięgnął do pasa, gdzie pośród innych rzeczy miał przypiętą sakwę z portfelem.

– Nie wiem, czy znajdę jeszcze całą butelkę, poruczniku – odpowiedział karczmarz, przyglądając się wysypywanym na dłoń monetom. – Na pewno mam jedną otwartą na zapleczu. Przyniosę, dogadamy cenę.

De Succomber skinął głową i pociągnął Feliksa za łokieć. Młodzieniec nie wyglądał na przekonanego, jednak z jakiegoś powodu podporządkował się woli niższego stopniem, lecz starszego mężczyzny.

Butelka, którą przyniósł Witrenstiern, była opróżniona w jednej czwartej.

– Zapłaciłem za nią dwa szylingi – powiedział karczmarz, stawiając ją na ławie wraz z dwiema wypucowanymi na błysk szklankami.

– Więc masz je z powrotem i przynieś trzecią szklankę. – Edward podał mu dwie średniej wielkości monety, z których patrzyła poważna twarz najmiłościwiej im panującego Oresta Trzeciego z Fiori Verdich.

Karczmarz podziękował z ukłonem i skwapliwie pobiegł wykonać polecenie. Edward tymczasem podniósł butelkę, pozwalając padającym z okna promieniom słonecznym rozświetlić ciemny płyn. Ciepła miodowa barwa była jedyna w swoim rodzaju.

– Naprawdę wart ceny, kapitanie – odezwał się, wyjmując korek i zaciągając się aromatem.

– Mówi pan jak znawca – burknął Ucelli, po czym zapatrzył się w okno.

– Niewątpliwie kosztowałem w swym życiu wielu trunków – zgodził się Edward, po czym uśmiechnął się szeroko do nadchodzącego Witrenstierna.

Spocony karczmarz usiadł ciężko obok de Succombera i westchnął, stawiając na stole swoją szklankę.

– Zmęczył się pan, Witrenstiern? – Edward nalał wszystkim hojnie.

Karczmarz otarł twarz wierzchem dłoni i, sięgając po naczynie, odparł ponuro:

– Właściciel takiego przybytku jak ten ma wiele obowiązków, które nie należą do lekkich, panie poruczniku. Za co wypijemy?

– Za wody, aby nas przyjęły – odpowiedział Edward, wznosząc toast.

Patrzył na szklankę, lecz kątem oka dostrzegł zmianę na twarzy Witrenstierna. Mężczyzna zacisnął dłoń na szkle.

– I za lądy, byśmy mieli dokąd wracać – dopowiedział cicho, mierząc porucznika poważnym spojrzeniem.

– Kapitanie? – zagadnął Edward, czekając, aż młodzieniec dołączy do toastu.

– Wypijmy. – Feliks uderzył lekko szkłem o szkło.

Po pierwszym porządnym łyku sączyli wolno, delektując się wyrazistym smakiem i mocą trunku. Milczeli, choć każdy inaczej. Milczenie Feliksa było ciężkie, chłopak wciąż trawił sytuację. Wyglądając przez podzielone cieniutkimi szprosami okno, dawał wyraz niezadowoleniu z opóźnienia. Witrenstiern nadal otrząsał się z zaskoczenia, jakie wzbudził w nim – zapomniany być może – toast wzniesiony przez Edwarda. Sam Edward natomiast zastanawiał się, co pchnęło go do wypowiedzenia słów, które w oczywisty sposób zdradziły go w oczach karczmarza.

– Długo się znacie z panną Roźnowski? – spytał, przerywając milczenie.

Feliks drgnął na wspomnienie Nes, a Witrenstiern zacisnął wargi w wąską kreskę. Przez chwilę nie odpowiadał, jakby kalkulując, na co może sobie pozwolić podczas tego przesłuchania, do którego musiało prędzej czy później dojść.

– Będzie już pewno z dziesięć lat – odpowiedział w końcu, najwyraźniej uznając, że nie zaszkodzi to w niczym dziewczynie.

– Długo. – Edward pokiwał głową, omiatając spojrzeniem szklanki towarzyszy, którzy pili zdecydowanie wolniej od niego. – Częsty gość w Prato zapewne...

– Nie częstszy niż inni – odrzekł karczmarz ostrożnie.

– Niż inni? – Edward udał, że nie zrozumiał.

Witrenstiern łyknął do końca, po czym sięgnął po butelkę. Był w połowie napełniania szklanki, gdy zorientował się, że nie jest już właścicielem trunku. Zerknął niepewnie na porucznika, lecz ten jedynie uśmiechnął się pobłaźliwie. Nerwowa reakcja karczmarza była mu poniekąd na rękę.

– Ależ niech pan się nie krępuje – rzucił, podsuwając swoją szklaneczkę. – Kapitanie?

Feliks oderwał wzrok od okna, spojrzął na własną wciąż do połowy pełną szklankę i z westchnieniem opróżnił ją jednym haustem. Edward patrzył z zaciekawieniem, jak młodzieniec czerwienieje i z wysiłkiem przetyka. Oczy zaszyły mu łzami, gdy z rozmachem odstawił naczynie.

– Nalej pan – rzucił prawie bezgłośnie, kiwając głową w stronę karczmarza.

– Coś nie ma pan wprawy – zawyrokował Witrenstiern, lecz posłusznie napełnił wszystkie szklanki. – A teraz, panowie, mówcie, o co wam chodzi? Czego się spodziewacie po tym przesłuchaniu?

– Czemu pan uważa, że to przesłuchanie? – Edward uśmiechnął się szeroko i, jak sam ze zdziwieniem zauważył, szczerze. – Kapitan, jak pan widzi, jest dość małomówny, gdy pije, a ja nie lubię gadać do siebie. To trochę jakbym pił do lustra. – Potrząsnął głową. – Wzbudza złe skojarzenia.

– Mgła była dziś szczególnie gęsta, prawda? – zapytał karczmarz.

– Była, prawda – odpowiedział porucznik, podczas gdy Feliks milczał, nerwowo zaciskając szczęki.

Przez chwilę pili w milczeniu po to, by spotkać się wzrokiem nad prawie pustą butelką.

– Tego z Archipelagu naprawdę już nie mam – rzucił Witrenstiern, sprawiedliwie rozlewając resztki. – Ale mogę przynieść tuulijską gruszkówkę. Próbował pan, poruczniku?

– Próbowałem, dawno. Niech będzie gruszkówka.

Karczmarz poderwał się i odszedł na zaplecze. Feliks obrzucił porucznika gniewnym spojrzeniem.

– Po co marnujemy czas? Wypiliśmy, w porządku, powinniśmy ruszać.

Porucznik pomyślał, że młodzieniec ma rację i że on sam – choć wcześniej zarzucał to Ucellemu – przepytuje Witrenstierna bez żadnego racjonalnego powodu. Wszak wiadome było, że karczmarz nic im nie powie, a jednak de Succomber tak bardzo pragnął rozmowy o kapitan pirackiego parowca, że zwyczajnie nie potrafił powstrzymać się od pytań.

– Spokojnie, kapitanie, aż tak nam się nie spieszy. Ile dni pan daje „Niezatapialnej” na dotarcie do Delty?

– Jeśli się nigdzie nie zatrzymają, trzy, może cztery – odparł Ucelli po krótkim namyśle.

– Zdążymy na czas. Zresztą blokada ustawi się tam pewno znacznie wcześniej, my mamy tylko zagonić je w pułapkę, prawda?

Feliks skrzywił się na to określenie, co nie mogło ujść uwagi Edwarda.

– Młodzieńcze, ja wiem, co ty sobie teraz myślisz. – Porucznik zdecydował, że dwie szklanki rumu wystarczą, by przejść na bardziej poufałą stopę. – Ale to nie tak. To nie jest niewinna dziewczyna, na którą poluje się bez powodu.

Słowa zawisły między nimi, wypowiedziane głośniejszym, niż wymagała tego sytuacja. Patrząc w jasne oczy młodego kapitana, de Succomber uświadomił sobie, że przekonuje przede wszystkim samego siebie.

– Widziałeś kiedyś statek handlowy po pirackim abordażu? Taki, którego nie zdążyli zatopić? – Feliks milczał uparcie, więc Edward sam sobie odpowiedział: – Nie, nie widziałeś. A wioskę spaloną do fundamentów? Dzieci nad zwłokami rodziców?

Feliks przełknął ślinę, odwrócił wzrok.

– Nie widziałem, poruczniku... – wydukał w końcu.

– A ja widziałem – powiedział de Succomber ciszej. – Widziałem, chłopcze. To i wiele więcej. Ludzie czasem zachowują się głupio, wiesz? Próbują bronić swoich kobiet, swego dobytku, niektórzy całkiem długo wytrzymują tortury... – Feliks znów na niego patrzył, jasne oczy pociemniały, kapitan na przemian zaciskał dłonie w pięści i gwałtownie prostował palce. – Piractwo to nie tańce, nie romantyczne potyczki czy zabawy w chowanego z pościgowcami! To nie zawody, kto sprytniejszy... – De Succomber zawiesił na chwilę głos, po czym westchnął i dokończył: – Wtedy, na Leniwej, one strzelały, żeby nas zatopić, a nie postraszyć, kapitanie!

Ręka Ucellego odruchowo powędrowała do policzka. Mężczyzna przesunął palcem po ledwie zasklepionej szramie.

– Ja... Gdzież on jest z tą gruszkówką? – Desperacja w jego głosie była wyraźnie słyszalna.

– Jestem. Słucham tych porywających wynurzeń i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pan przekonuje sam siebie, że Nes taka właśnie jest. – Witrenstiern skrzywił się, jakby musiał przełknąć szczególnie gorzką pigułkę. – Przyniosłem! – Wysunął przed siebie dłoń z butelką z przezroczystego szkła. Zawartość była kryształowo przejrzysta. – Dajcie szklanki, panowie marynarze, na trzeźwo nie chce mi się was słuchać.

Z ochotą przysunęli puste naczynia. Edward wypił od razu, dzieląc zawartość szklanki na dwa łyki. Otarł usta.

– Co, Witrenstiern, nie robiło się takich rzeczy? – spytał, czując rodzącą się w sercu złość.

Karczmarz zadrżał i opróżnił szklankę jednym haustem, nawet się nie krzywiąc.

– Co ja robiłem, poruczniku, nie ma nic do tego, co robi Nes. Nic. – Spojrzał na Ucellego, który tkwił w bezruchu. – Choć w jednym twój porucznik ma rację, chłopcze. – I Witrenstiernowi alkohol ułatwił ominięcie zbędnych konwenansów. – Nie po to strzelały, by postraszyć. Ale tak to już jest poukładane. Marynarka ściga, pirat się broni. A na to, że świat za nic nie chce być czarno-biały, nic nie poradzisz.

Na tym rozmowa właściwie się urwała. Porucznik de Succomber, usłyszawszy wreszcie zapewnienie, jakiego pragnął, stracił zapał do dyskusji i nie reagował na mruczenie karczmarza, który zdawał się mówić sam do siebie, a Feliks popadł w to samo ciężkie milczenie, jakie towarzyszyło mu od początku. Wpatrując się w znikającą zdecydowanie za szybko zawartość butelki, Edward zastanawiał się, jak potoczy się ich współpraca. Żałował, że nie zainteresował się swoim kapitanem wcześniej. Praktycznie nic o nim nie wiedział poza tym, że dowództwo „Drapieżnego” objął w zeszłym roku, po trzech latach wzorowej służby. Cokolwiek znaczyły te słowa, bo trzy lata zdaniem

de Succombera to za krótki okres, by zasłużyć na taki awans. Zwłaszcza że krótko potem młodzieniec został głównodowodzącym grupy pościgowej.

Z zamyślenia wyrwał porucznika głośniejszy pomruk, jednak Witrenstern, poproszony o powtórzenie swych słów, machnął jedynie dłonią i wykrzywił się pod krzaczastą brodą. W międzyczasie tawerna powoli się zaludniała, goście zajmowali okoliczne stoliki, a kobieta karczmarza zapaliła kilka świec. Zrobiło się bardziej przytulnie. Po izbie rozszedł się zapach gulaszu i gotowanej kaszy, gdy dziewczęta w identycznych jak wczoraj sukienkach zaczęły roznosić pierwsze zamówienia. Edward też poczuł głód, wzmocniony wypitym alkoholem.

– Aleena! – zawołał Witrenstern, jakby czytał mu w myślach, a gdy kobieta podeszła, zarządził: – Przynieś nam gulaszu i nie żałuj mięsa.

Po chwili o stół stuknęły miski. Zapach potrawy podsuniętej pod nos spowodował, że usta porucznika wypełniła ślina.

– Jeszcze chleba przyniosę. – Karczmarza obrzuciła chłodnym spojrzeniem i mężczyzna, i trzecią butelkę.

Nim wróciła z pokrojonym w grube pajdy bochenkiem, wszyscy trzej zdążyli już zanurzyć łyżki w gulaszu i teraz, przetykając głośno, zgodnie narzekali, że parzy im języki i podniebienia. Edward sięgnął po chleb, zagarnął sosu; uśmiech nie schodził mu z twarzy. Dawno nie miał w ustach nic tak wspaniałego. Zapomniał, jak może smakować posiłek jedzony w tawernie po nieliczej przecież pijatyce.

Kapitan skończył pierwszy, otarł wargi resztką chleba, włożył go do ust i przetłknął. Patrzył na butelkę, w której wciąż została co najmniej połowa krystalicznego płynu, lecz nie nalał. Zamiast tego postukiwał niecierpliwie palcami o blat, przyglądając się, jak de Succomber kończy jeść.

– Pójdziemy, poruczniku – odezwał się, gdy miska Edwarda również opustoszała, po czym wstał i spojrzał na Witrensterna. – Ile za to wszystko?

Karczmarz pokręcił głową, ocierając wąsy wierzchem dłoni.

– Daj spokój, chłopcze. Zapamiętaj Prato i z dobrej strony.

Oczy kapitana błysnęły złością. Edward nie był pewny, czy młodzieńca zdenerwowało tak nazwanie chłopcem, czy raczej zaoferowanie mu prezentu.

– Zjadłem, wypilem, zapłacę – powiedział Ucelli, sięgając do pasa. Porucznik poznał w tych słowach i geście pijacki upór, który niełatwo pokonać.

– Kapitan ma rację – rzekł, kładąc gospodarzowi dłoń na ramieniu. – Niech raczej Prato dobrze zapamięta nas.

* * *

Kapitan Ucelli stał na wysokim brzegu ponad spiętrzonym nurtem Leniwej i przyglądał się wypływającej w kierunku ujścia grupie pościgowców. Sześć identycznych jednostek, smukłych, lekkich i szybkich, nabierało prędkości, zostawiając na wodzie równoległe ślady, rysowane potężnymi łopatomy tylnych kół napędowych.

Edward z kolei przyglądał się Feliksowi. Na twarzy młodzieńca malował się ten sam wyraz ponurego zdecydowania, który pojawił się w tawernie Witrenstierna. Kapitan maskował nim nieudolnie to, co de Succomber jako starszy i bardziej doświadczony widział wyraźnie, a mianowicie, że panna Jollienesse Roźnowski zrobiła na kapitanie znacznie większe wrażenie, niż ten chciałby przyznać.

Przez całą podróż, najpierw konną, której porucznik miał dość po pierwszej godzinie, gdy zaczęły mu się dawać we znaki odzwyczajone od końskiej jazdy łydki i pośladki, a potem kolejną z Facerte, Ucelli praktycznie się nie odzywał. De Succomber próbował zagadywać. Chwalił miejscowe dęby, które idealnie nadawały się na deski poszycia, tak jak północne sosny na maszty, wspominał polowania, w jakich brał udział za młodu w tutejszych lasach, lecz Feliks zbywał jego wysiłki pojedynczymi burknięciami.

Dopiero gdy po dość męczącej podróży na twardych ławkach wagonu nieprzystosowanego do przewozu dżentelmenów dotarli na miejsce, młodzieniec ożywił się nieco. Zaraz po wejściu na pokład „Drapieżnego” wezwał do siebie dowódców jednostek wchodzących w skład eskadry. Wstępne rozpoznanie przeprowadzili marynarze „Honoru” i to jego kapitan – najstarszy w tym gronie, niepozornie wyglądający mężczyzna – zabrał głos zaraz po Ucellim. Z zebranych informacji wynikało, że ściganej pirackiej jednostki nie widziano tu co najmniej od wiosny. Zgodnie z przewidywaniami dotarli na miejsce przed „Niezatapialną” i bez kłopotu mogli zastawić planowaną pułapkę, której ostatnie ogniwo opuszczało właśnie Wietrzny Próg.

– Panie kapitanie. – Porucznik podszedł bliżej. – Kiedy wypływamy?

Feliks obrzucił go nieprzytomnym spojrzeniem. Najwyraźniej de Succomber go zaskoczył.

– Jak tylko drużyna sierżanta Pasifo wróci z przeszukania wioski – odparł po nieco zbyt długiej chwili. – Według kapitana Yuunera istnieją uzasadnione podejrzenia, że znajduje się tu niezarejestrowane laboratorium.

– Rozumiem, kapitanie.

Edward odwrócił się twarzą w stronę rzeki. Plan Ucellego był prosty i musiał się powieść. Sześć mniejszych jednostek kapitan posłał do zablokowania ramion Deltę. Pozostałe cztery zamierzał ukryć na bocznych odnogach Leniwej. Miały czekać, aż „Niezatapialna” je minie i ruszyć za nią, początkowo poza zasięgiem obserwacji. To było jak zaganianie ryb do saka. Piratki nie miały szans ujść – nie tu, poniżej Wilczego

Progu, gdzie rzeka rozlewała się szeroko po raczej płaskim terenie. Gdyby dotarły do tego miejsca wcześniej, miałyby szansę, skoro jednak najwyraźniej się spóźniły, ich los był przypieczętowany.

Obserwację pościgowców przerwał im marynarz, który właśnie wspiał się z wysiłkiem na klif.

– Szeregowy Huuta z polecenia sierżanta Pasifo – powiedział, przykładając pięść do obojczyka w przepisowym salucie.

– Słucham, Huuta. – Kapitan oddał salut.

– Znaleźliśmy laboratorium, panie kapitanie. Zgodnie z rozkazem wszystkie substancje zostały wylane, a sprzęt zniszczony. Sierżant pyta, co zrobić ze starcem.

Ucelli przygryzł wargę. Opanował się szybko, lecz moment wahania nie uszedł bystrym oczom Edwarda.

– Nie dysponujemy czasem koniecznym na przeprowadzenie sądu. Nie możemy go też zabrać na pokład, spodziewamy się warunków bojowych. Jeśli stracił sprzęt, nie będzie w stanie kontynuować proceduru. Nie widzę powodu, by marynarka miała sobie dłużej zawracać nim głowę. – Kapitan milczał przez chwilę, jakby chciał podkreślić, że temat laboratorium i jego właściciela uważa za zamknięty. – Sierżant i jego ludzie mają się jak najszybciej znaleźć na „Gorączce”. Wyływamy, gdy tylko staną na pokładzie.

– Tak jest! – Huuta zasalutował ponownie i, odwróciwszy się na pięcie, zbiegł szybko ze wzgórza, po którym jeszcze przed chwilą wspinał się z mozołem.

– Chodźmy, poruczniku. Jesteśmy o krok od celu. – Ucelli uśmiechnął się w sposób kompletnie pozbawiony radości.

„Drapieżny” oczekiwał na swego dowódcę pod parą, podobnie jak pozostałe trzy jednostki pościgowe: „Groźny”, „Gorączka” i „Honor”. Ledwie chwilę po tym, jak mężczyźni znaleźli się na jego pokładzie, kapitan polecił ustawić na telegrafie małą naprzód i boczne koła napędowe powoli ożyły.

To samo działo się na pozostałych okrętach i wkrótce zwarta grupa czterech jednostek ruszyła w dół Leniwej, by zająć wyznaczone przez kapitana pozycje. Kilkadziesiąt mil poniżej Wietrznego Progu zamaskowany siatkami i roślinnością „Drapieżny” został sam, bo Ucelli chciał, by to jego okręt płynął jako pierwszy w pościgu, który wkrótce miał się rozpocząć. Teraz wystarczyło poczekać, a potem nie dać się wyciągnąć z ukrycia zbyt szybko.

* * *

Dwa dni później czujki zauważyły przelatujący nad rzeką niewielki ornitopter – taki, jaki według raportów towarzyszył „Niezatapialnej”. Ucelli zarządził gotowość bojową.

Gdy po mniej więcej sześciu godzinach ruszali w dół rzeki, było oczywiste, że w krótkim czasie dościgną piracki statek. Oczywiste było również, że w razie gdyby dziewczynom udało się umknąć ścigającym, zatrzyma je ustawiona na Delcie blokada. Ucelli uważnie studiował mapy, zanim wysłał mniejsze pościgowce na te odnogi rzeki, które uznał za wystarczająco szerokie dla „Niezatapialnej”. Nie miał do dyspozycji nie wiadomo ilu okrętów. Cztery większe jednostki i sześć mniejszych musiały wystarczyć.

Teraz kapitan stał na dziobie płynącego z maksymalną prędkością „Drapieżnego”. Nasunawszy na twarz gogle dalekiej obserwacji, wpatrywał się w rozległą toń Leniwej. Rzeka osiągała w tym miejscu nawet pół kilometra szerokości, zagarniając znaczny kawałek lądu. Zbliżali się już do miejsca, gdzie niesiony przez wodę materiał osadzał się na dnie, tworząc mielizny, budując wyspy i grodząc nurt, a przez to zmuszając żeglarzy do zwiększenia uwagi.

Edward stał nieopodal, po raz siódmy czy ósmy sprawdzając zamki swojego rewolweru i snajperskiej strzelby o długiej, dalekonośnej lufie. Wiedział, że jest przygotowany, a jednak musiał czymś zająć trzęsące się ręce i umysł, który uparcie prowadził go na pokoje pałacu hrabiostwa Roźnowskich, gdzie mała dziewczynka w bladożółtej sukience podsłuchiwała pod drzwiami gabinetu, gdy dżentelmeni siadali do bezowocnych i tak naprawdę bardzo głupich dysput.

– Są! – Ucelli odwrócił się w jego kierunku i uniósł na chwilę gogle. – Gotowość bojowa!

Edward powtórzył ten okrzyk, używając rur głosowych.

– Sygnał na pozostałe jednostki! – zarządził kapitan, a porucznik ponownie podał rozkaz dalej.

Choć zdawało się to niemożliwe, okręt przyspieszył, jakby maszyna przejęła nieco ludzkich emocji i też niecierpliwie dążyła do z dawną oczekiwaną konfrontacji. De Succomber wpatrywał się w horyzont, nie mrugając. W końcu ją dostrzegł, niewielką ciemniejszą kropkę na jasnobrunatnej toni rzeki. Serce zabiło mu mocniej.

– Kontakt wzrokowy! – krzyknął, a Ucelli zerwał gogle i sięgnął do szabli.

Porucznik obejrzał się za siebie. Trzy inne pościgowce szły identycznym tempem jak „Drapieżny”. Na pokładach wszystkich czterech okrętów trwało to samo pozornie chaotyczne i niemające sensu zamieszanie. Pozornie, gdyż de facto każdy z przebiegających przez pokład mężczyzn realizował od dawną wyznaczone zadanie, którego wykonanie ćwiczył aż do znudzenia. Działa dziobowe i rufowe zostały obsadzone, celowniczy zaczęli wyliczanie odległości, na burtach rozłożyli się strzelcy, ekipy ratownicze czekały przy beczkach z wodą i piaskiem, gotowe do gaszenia pożarów.

Kropka na horyzoncie powiększała się z każdą chwilą i wkrótce można już było

dostrzec kominy, wypuszczające w niebo chmury jasnego dymu.

– Mają kryształ. – De Succomber stwierdził oczywisty fakt, przyglądając się pobladłemu kapitanowi z coraz większym niepokojem.

– Nic im to nie da, poruczniku. – Spokojny głos Ucellego kłócił się z gorączką widoczną w pociemniałych oczach.

Parę minut później dało się wyraźnie zobaczyć złote pasy na kominach, a nawet wzór pokrywający tambory. „Niezatapialna” została doścignięta.

– Zaraz będzie w zasięgu, kapitanie – zameldował celowniczy lewego działła dziobowego.

– Dobrze, Truve. Pamiętajcie tylko, że mamy je wziąć żywcem.

– Tak jest, kapitanie. Celujemy w tambory, żeby zatrzymać statek.

Kapitan skinął głową i odwrócił się do Edwarda.

– De Succomber, idź do oficera komunikacyjnego i każ mu powtórzyć ten rozkaz pozostałym. A potem wracaj, będziesz mi potrzebny.

Porucznik ruszył wykonać polecenie. Oficer komunikacyjny miał swój kącik tuż pod kominem, w ciasnej nadbudówce, na której dach się wspinał, by nadać wiadomość przy użyciu kodu barwnego. Na „Drapieżnym” pełnił tę funkcję zupełny młodzik, który w pierwszym przydziale po skończeniu Akademii trafił na okręt Ucellego.

– Nadacie sygnał, marynarzu Certi – zwrócił się do niego de Succomber. – Celować w tambory, podjąć na pokład każdego rozbitka.

– Tak jest, panie poruczniku! – Chłopiec wyprężył się jak struna, trzasnął obcasami, po czym rzucił się do chorągiewek.

Edward pozwolił mu samemu zająć się tym zadaniem i wrócił do Ucellego, który tymczasem założył gogle i wpatrywał się w pokład „Niezatapialnej”. Widać było już na nim pojedyncze figurki, przygotowujące statek do walki.

– Ostrzegawczy, poruczniku, z lewej! – Kapitan rzucił rozkaz, a Edward otworzył rurę komunikatora, prowadzącą do obsługi działła dalekiego zasięgu, zamontowanego tuż poniżej pokładu obserwacyjnego.

– Cel: woda, dwa metry od lewego tambora. Strzelajcie, gdy będziecie gotowi!

– Tak jest, poruczniku! – usłyszeli odpowiedź celowniczego Jarti.

Chwilę później rozległ się huk działła, a tuż za rufą „Niezatapialnej” zakwitła fontanna wody.

– Poprawić! – Ucelli nie odrywał wzroku od powiększającej się sylwetki pirackiego parowca.

– Jeszcze raz, Jarti!

Działło zagrzmiało ponownie i tym razem celowniczy trafił idealnie. Piracki statek zakołysał się na wzburzonej pociskiem fali, a woda przyniosła do uszu porucznika

niezrozumiałe okrzyki załogi.

– Wzmacniacz soniczny! – zarządził kapitan. Natychmiast podbiegł do niego marynarz z kanciastą skrzynką na plecach, podał Ucellemu końcówkę wyprofilowaną w wąski lejek i przesunął potencjometr na wartość maksymalną.

– Mówi kapitan Feliks Ucelli, okręt Jego Królewskiej Mości „Drapieżny”! Zatrzymajcie silniki i ustawcie się w pozycji do kontaktu bezpośredniego. Gwarantujemy wam zachowanie życia. W razie braku współpracy nie jesteśmy w stanie zapewnić wam bezpieczeństwa.

Przez chwilę w powietrzu wibrowały słowa pomnożone mocą głośników. Potem „Niezatapialna” odpowiedziała ogniem bliźniaczych dział, które w międzyczasie wysunęły się nad tambory. Płynące tuż za rufą „Drapieżnego” „Honor” i „Groźny” zaliczyły po trafieniu. Deszcz drzazg z drewnianych fragmentów poszycia spadł na spokojne fale Leniwej.

– Potrafią się odgryźć, kapitanie. – Edward pozwolił, by w jego głosie pojawił się podziw.

– Nic im to nie da – odparł Ucelli, nie odwracając się do niego. – Celować w tambory. Najpierw je zatrzymamy. Strzelać bez rozkazu.

Edward przekazał polecenie obsłudze działa i jednocześnie gestem przywołał najbliższego majtka.

– Zaniesiesz rozkaz do sygnalisty, biegiem.

Odwrócił się po to, by zobaczyć, jak unosi się lufa działa rufowego „Niezatapialnej”. Jego konstrukcja jednoznacznie wskazywała na to, że kiedyś stanowiło ono wyposażenie naziemnej fortyfikacji. Na parowcu wyglądało absurdalnie nie na miejscu. De Succomber złapał się na tym, że niepotrzebnie zastanawia się, w jaki sposób zamontowano je na statku.

Huk i błysk pojawiły się jednocześnie, lecz celowniczy przestrzelił, trafiając w lukę między patrolowcami, które nie doznały szkody, a tylko na moment oślepyły, tkwiąc w chmurze wodnego pyłu. Gdy ten opadł, piracki statek zniknął już w tumanie mgły. Sztucznie stworzonej, jak się domyślił porucznik.

– Mają też chłodne kryształki! – Ucelli, wciąż z goglami na oczach, potwierdził przypuszczenia de Succombera.

W tym momencie powietrze zawibrowało od huku równoczesnych, nieregularnych strzałów ze wszystkich dwunastu dział czterech pościgowców. Biel mgły mieszała się ze srebrem kropel, widoczność spadła do zera.

– Przerwać ostrzał! – krzyknął Feliks w lejek wzmacniacza.

Ledwie ucichło ostatnie echo jego okrzyku, woda pod płynącym za rufą „Drapieżnego” „Honorem” wybrzuszyła się w nienaturalny sposób, unosząc okręt tylko

po to, by tym efektowniej rzucić nim w dół, w lej, który utworzył się pod kadłubem rozrywającym od środka.

– I torpedy! – Edward biegł wzdłuż pokładu, wpatrując się w płonące szczątki, pomiędzy którymi tu i ówdzie widać było walczących z żywiołami marynarzy.

– „Groźny”, podjąć rozbitków! „Gorączka”, cała naprzód!

Ucelli nie dbał już o to, by przekazywać rozkazy w sposób gwarantujący, że wróg ich nie usłyszy. Wydane przez wzmacniacz brzmiały głucho, wzmagając grozę sytuacji.

Jednocześnie kapitan przesunął dźwignię telegrafu, a odpowiedź z maszynowni przyszła natychmiast: okręt ponownie przyspieszył.

Mgła przed dziobem „Drapieżnego” jeszcze zgęstniała, pościgowiec wbił się w nią z całym impetem, a kapitan zdjął niepotrzebne już gogle. Edward podszedł do niego. Sięgnął do wiszącego na szyi gwizdka i dał krótki sygnał ciszy na pokładzie. Za rufą zanikały odgłosy akcji ratunkowej przeprowadzanej przez „Groźnego” i wkrótce jedynym słyszalnym dźwiękiem był chłupot wody, mielonej kołami napędowymi idących burta w burtę okrętów pościgowych. Porucznik nasłuchiwał, pochyliwszy ciało do przodu, jednak sztuczna mgła pochłaniała wszystkie dźwięki, nie dając mu szansy. Chwila dłużyła się, de Succomber czuł sztywność mięśni, wywołaną napięciem. Uświadomił sobie, że wypatrując śladu pirackiego statku wstrzymał oddech i wczepił się zaciśniętymi do bólu palcami w reling.

Żyje? Czy mała Nes żyje?

Pytanie pojawiło się w jego umyśle zupełnie go zaskakując. W tym momencie mgła zaczęła się rozwiewać. Porucznik najpierw zobaczył postać w białej koszuli, stojącą na tylnym pokładzie obserwacyjnym, tuż przy zapasowym kole sterowym. „Niezatapialna” wciąż płynęła w przechyle na lewą burtę, a sądząc po strugach lejącej się z otworów ratowniczych wody, pompy pracowały na najwyższych obrotach. Na wzburzonych łopatach brunatnych wodach Leniwej unosiły się elementy poszycia, pomiędzy którymi o dotarcie do brzegów walczyło kilka kolorowo ubranych postaci.

– Zatrzymajcie silniki! – Poblądły gwałtownie Ucelli ponownie użył wzmacniacza sonicznego. – Wasz statek tonie! Dalszy opór nie ma sensu. Podejmiemy was na pokład!

Porucznik zabrał gogle powiększające najbliższemu marynarzowi i przyłożył je do oczu. Kapitan Roźnowski – bo to była ona – przez chwilę stała sztywno wyprostowana, wpatrując się w pokład „Drapieżnego”. Potem pochyliła głowę, by wydać jakieś polecenie dwóm ostatnim znajdującym się na pokładzie członkom załogi. Mgła nadal wysysała częściowo dźwięk z otoczenia, więc do Edwarda dotarły tylko niezrozumiałe strzępki jej słów, po których nastąpiła kompletna cisza, przerwana urwanym pluskiem, gdy dwie kolejne postacie znalazły się w wodzie.

- Zalewa im maszynownię jak nic – odezwał się któryś z marynarzy.
- Jeśli wybuchną kotły, to będzie jak z „Honorem” – dodał inny.
- A wybuchną, co mają nie wybuchnąć – wzruszył ramionami trzeci.

„Niezatapialna” coraz wyraźniej nabierała wody i powoli obracała się w poprzek nurtu, gdy jedno z kół wreszcie definitywnie odmówiło współpracy. Jedyłą widoczną na parowcu osobą była jego kapitan. „Gorączka” podjęła akcję ratunkową, bez rozkazu biorąc na siebie przyjęcie piratek na pokład. Tymczasem do kapitana „Drapieżnego” najwyraźniej dotarło to, co Edward rozumiał od początku.

- Co ona wyprawia?

Ucelli wpił się palcami w reling, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Jollienesse Rożnowski wciąż stała w tym samym miejscu. Jedną ręką trzymając koło martwego steru, a drugą osłaniając oczy od słońca, przyglądała się rzece i oceniała sytuację. Na jej ubrudzonej sadzą twarzy zagościł cień smutnego uśmiechu – Edward mógłby przysiąc, że był on pożegnaniem przeznaczonym dla Feliksa, który wyglądał, jakby miał zaraz skoczyć w nurt Leniwej.

Trzaski poddanego zbyt wielkim napięciom kadłuba „Niezatapialnej” niosły się po wodzie. Nes zachwiała się lekko, mocniej chwytając ster, gdy dziób parowca gwałtownie się pochylił, ukazując pokrytą kożuchem wodnych roślin rufową część stępki.

- Skacz! – Ucelli nie był już w stanie zapanować nad sobą.

Wokół niego zgromadzili się tymczasem prawie wszyscy marynarze „Drapieżnego”. Wcześniej z uwagą obserwowali akcję ratowniczą prowadzoną przez bliźniaczy okręt, teraz – podobnie jak ich dowódca – wbijali wzrok w kapitan wrogiej jednostki.

- Nie skoczy – odezwał się ktoś po lewej stronie porucznika. – Honorna dziewczucha.
- Poruczniku! – Głos Ucellego był jednocześnie chłodny i pełen tłumionej pasji.
- Tak, kapitanie?
- Proszę wziąć ją na cel. Wiem, że jest pan niezrównanym strzelcem.

Edward zrozumiał, bez dyskusji odrzucił gogle i sięgnął po opartą o burtę strzelbę. Odczepiwszy monokl celowniczy, zamontował go sobie na lewym oku. Potem uniósł strzelbę do ramienia i oparł o nie kolbę. Drżały mu ręce, gdy usiłował namierzyć cel.

– Nie dam rady! – Potrząsnął głową. Zęby zacisnął tak, że zaboląły go mięśnie twarzy.

- Oprzyj o moje ramię, de Succomber! Szybciej, człowieku, kotły!

Edward usłuchał. Oparłszy lufę o ramię dowódcy, odetchnął głęboko kilka razy i ponownie spojrział przez monokl, mrużąc prawe oko. Widział ją wyraźnie, brudną i już bez uśmiechu, a potem zobaczył, jak tą samą ręką, którą przed chwilą osłaniała oczy od światła, przeciera twarz, zostawiając na policzkach smugi rozmazanych łez. Zastygł w

kamiennym bezruchu, odetchnął ostatni raz, potem płynnym ruchem przesunął lufę w lewo. Skoncentrował się na bieli materiału, okrywającego wypukłość ramienia. Spust zdawał się być gorący, gdy naparł na niego palcem. Zamknął lewe oko. Po krzyku zmieszonym z hukiem wystrzału poznał, że trafił.

Rozdział czwarty,

w którym następują daleko idące zmiany z zapowiedzią konsekwencji w tle

Od momentu, gdy po uderzeniu w bark straciła równowagę i pozwoliła, by toń rzeki, zamykając się nad nią, odebrała jej na chwilę przytomność, Nes pamiętała wszystko jedynie w postaci poszarpanych fragmentów i zbitek wrażeń.

Trzeszczenie walczącego do końca kadłuba, łopot mechanicznych skrzydeł, wymieszane krzyki ratowników, jakieś rwane rozkazy. Mdły ból, rozlewający się po ciele. Uczucie spadania w miękkim, plastycznym niczym rozgrzany metal powietrzu. A potem plusk i cisza, która objęła ją chłodnymi ramionami. Słuchania dźwięku wybuchających kotłów, który rozległ się kilkanaście minut później, gdy zimna woda ostatecznie zalała maszynownię, bogowie rzeki łaskawie jej oszczędzili.

Ocknęła się na twardych deskach, walcząc o oddech, charcząc i plując wodą o smaku butwiejących liści i błota. Czyjeś ręce klepały ją po plecach, inne odsuwały włosy z twarzy. Zakrzuszyła się ostatni raz, zamrugła, potrząsając głową. Próbowała się podnieść, lecz prawa dłoń nie dała oparcia i Nes z bolesnym okrzykiem padła z powrotem.

– Leż – usłyszała nad głową znajomy głos.

Nie widząc sensu w innym działaniu, posłusznie opadła na plecy. Odzyskała za to ostrość wzroku i mogła już spojrzeć w jasne, skupione oczy Feliksa, który wciąż się nad nią pochylał.

– Po co? – spytała.

Milczał przez chwilę, jakby rozważał, jak powinien rozumieć jej pytanie, aż w końcu chyba świadomość obecności otaczających go podwładnych kazała mu odpowiedzieć tonem twardym i suchym:

– Taki rozkaz, panno Roźnowski. Zatopić statek, załogę wziąć żywcem.

Trawiła jego słowa, jednocześnie oswajając się z bólem, który powoli paraliżował prawy bok. W końcu dotarło do niej pełne znaczenie tego, co powiedział.

– Darna? Heile? Są wszystkie?

Feliks podniósł wzrok na kogoś, kogo nie mogła widzieć, gdyż stał w głębi pokładu dokładnie za jej głową. Milczenie się przedłużało.

– Heile, tak? Nie posłuchała, cholerna idiotka, prze...

Znów spróbowała usiąść. Ignorując ból, odepchnęła się lewą ręką od desek i zdołała

przetoczyć na prawy bok. Tylko po to, by Feliks natychmiast ułożył ją z powrotem.

– Przestań, straciłaś sporo krwi, daj sobie chwilę!

– To mi odpowiedz, tchórze! – krzyknęła, dziwiąc się płaczącej nucie, która nieproszona zdominowała jej ton.

– Nie mamy pewności, nie znaleźliśmy ciała twojej mechanik, ale jeśli była w kotłowni w trakcie wybuchu... – powiedział, ignorując wyzwisko. – Oprócz niej brakuje jeszcze pilot ornitoptera. Zeszła ostrym ślizgiem nad ląd i moi ludzie szukają jej na prawym brzegu. Reszta jest na pokładzie „Gorączki”. Oprócz twojej lekarz. Uparła się, że sama zajmie się twoją raną, a ja nie widzę przeciwwskazań.

Słuchała, co mówi, rozumiejąc pojedyncze słowa, lecz tak naprawdę skupiając się jedynie na znaczeniu pierwszego zdania. Poczła drzenie rodzące się w gardle i za wszelką cenę starała się nie dopuścić, aby znalazło ujście na zewnątrz.

Jeśli była w kotłowni w trakcie wybuchu, powtarzała w myślach, jeśli była w kotłowni. A może nie? Może jednak jej nie było? Może posłuchała, jak reszta dziewczyn, gdy po odpaleniu Zaskakującej Fleur kazałam im opuścić statek? Może dopłynęła do brzegu? Heile z pewnością byłaby w stanie to zrobić. Może jest już razem z Kass, pomoże smarkatej zwać przed Strażą, gdzieś się zadekują, bezpieczne na prawym brzegu rzeki...

– Pomogę pani wstać, panno Roźnowski – usłyszała w tej samej chwili, w której poczuła wsuwające się pod plecy ramię. – Da pani radę? – Ton głosu Feliksa zmienił się w ostatnich słowach, z za zasłony rzeczowego pytania przebijała troska.

Nes jedynie skinęła głową. Wiedziała, że jeśli się odezwie, runie mur fałszywego spokoju, który uparcie wznosiła, odkąd odzyskała przytomność. Wsparta przez silne ramię – to samo, które pomagało jej ustać, gdy nie mogła złapać oddechu po szalonym tańcu, a teraz było ramieniem zwycięskiego wroga – stanęła na nogi. Na początku zakręciło jej się w głowie i zwymiotowałyby, gdyby cokolwiek miała jeszcze w żołądku. Pochyliła się i odetchnęła powoli. Wrażenie minęło, mogła teraz zadrzeć dumnie podbródek i przedelfilować przed zebraną na pokładzie załogą. Omiały ją uważne spojrzenia. Większość z nich była obojętna, a część sprawiała wrażenie po prostu zaciekawionych – wszak nie co dzień ma się na pokładzie takiego jeńca. O dziwo, w niektórych zobaczyła cień szacunku, a nawet odrobinę współczucia. Zaciśnęła wargi, stłumiła odruch wykrzywienia ust w złym uśmiechu. Nie powinni jej współczuć. Powinni triumfować. Wszak zasłużyli.

– I po co ta szopka? – usłyszała za plecami wypowiedziane rzeczowym tonem słowa. – Tu by ją powiesić i z głowy.

Niemal widziała, jak mówiący wzrusza ramionami w geście wyrażającym pogardę dla decyzji dowodzących. Nie sposób było nie przyznać mu racji. Też się zastanawiała, co

stoi za rozkazem, który Ucelli wypełnił prawie doskonale. Kapitan zeszywniał, Nes zdało się, że czuje bijącą od niego wściekłość, nim jednak zdążył się odwrócić i skarcić marynarza, ktoś go uprzedził.

– Jarti, jeszcze jedna nieodpowiednia uwaga, a zapoznanie się ze sposobami karania buntowników na okrętach Jego Królewskiej Mości.

Dalszą drogę pod pokład pokonali w ciszy. Tam, w jasno oświetlonym pomieszczeniu, czekał już nakryty prześcieradłem wysoki stół i czekała Gracja, stojąca w kącie z założonymi na piersi rękoma. Pilnowało jej dwóch marynarzy, jakby mogła cokolwiek zrobić, zamknięta w trzewiach wrogiego okrętu. Poza tą trójką znajdował się tu jeszcze jeden mężczyzna, podobnie jak felczer „Niezatapialnej” ubrany w biały fartuch i Nes domyśliła się, że to lekarz wojskowy z załogi Feliksa.

Po chwili leżała na stole, ułożona ostrożnie przez kapitana, który zaraz odsunął się i spojrzał na Grację.

– Czy mogę? – spytała kobieta, nie ruszając się z miejsca.

– Proszę, doktorze – odpowiedział.

Nes obejrzała się i zauważyła, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze. Najwyraźniej musiał zejść pod pokład razem z nimi, choć ona, skupiona na przestawianiu nóg, nie zwróciła na to uwagi. Mężczyzna wydał jej się znajomy. Pobielate skronie i mocno przetykany siwizną zarost wskazywały na dojrzały wiek, a oczy w kolorze pochmurnego nieba przyglądały jej się z ojcowską uwagą.

– Pan się ścigał z małą Maiiré, prawda? – spytała, gdy odpowiednie wspomnienie wypłynęło na powierzchnię pamięci.

Pokiwał głową, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Dobrze pan gra. – Uśmiechnęła się. – A teraz już, Gracja, zrób z tym porządek.

Dopiero w tym momencie w pełni mogła ocenić sytuację. Prawa ręka była całkowicie bezwładna, krwawej plamy na koszuli nie zdołały do końca wypłukać chłodne wody Leniwej. Nes odetchnęła głęboko i zastanowiła się, czy poprosić o ramię od razu, czy sami jej go dadzą, gdy wrzask zacznie drażnić im uszy.

– Jest nas tu za dużo. – Gracja sięgnęła do guzików koszuli swojej kapitan, jednocześnie patrząc wyczekująco na Feliksa. – Przynajmniej cztery osoby są zbędne.

– Wybacz pani, doktorze, ale nie mogę pani zostawić bez nadzoru. Ty i ty – wskazał na marynarzy – możecie iść na górę. Poruczniku, pan też. Proszę dopilnować, byśmy ruszyli najszybszą trasą do Hidene.

– Tak jest, kapitanie. – De Succomber zsalutował, wstając.

– Czy to wystarczy, doktorze? – spytał kapitan, siadając w kącie na przykręconym do podłogi stołku.

– Dziękuję. Teraz będziesz musiała być dzielna, kapitanie. – Gracja rozpięła koszulę

i ostrożnie odkleiła ją od rany. – Wygląda na to, że kula przeszła na wylot, ale muszę być pewna, a nie mam tu swojego kuferka.

Nes kiwnęła głową – już wcześniej zrozumiała, że będzie sobie musiała poradzić bez błogosławionych preparatów znieczulających Gracji. Gdy felczer obmywała ranę, kapitan Roźnowski skupiła się na podziwianiu sufitu kajuty. Ułożony z dwukolorowych deszczułek ozdobny motyw przedstawiał splatające się fale. Leżąc, była także w stanie dostrzec wdzięcznie wygięte ramiona gazowych lampek, wystające ze ścian na wysokości dorosłego człowieka oraz mleczone klosze, rozświetlone żółtoniebieskimi płomykami. Wykręcając głowę w prawo, widziała bulaje, za którymi gdzieś wysoko było niebo i brzeg z Heile i Kass.

W tym momencie Gracja zalała ranę wodą i posypała ją proszkiem odkażającym. Nes wrzasnęła, zaskoczona. Gdy ból spłynął z barku do żołądka, poczuła, że znów łapią ją mdłości. Otworzyła usta, broniąc się przed wymiotami. Oddychała głęboko, zamknawszy oczy, a Gracja robiła swoje, obmacując ranę, badając brzegi, ugniatając mięśnie i ruszając bezwładnym ramieniem, by sprawdzić, czy kula nie uszkodziła kości.

– Wygląda w porządku – mruknęła pod nosem. – Ale muszę mieć pewność. Lej pan!

Nes otworzyła oczy i zacisnęła zęby, jęcząc wbrew woli. Poczuła łzy spływające do uszu i uniosła zdrową rękę, by je otrzeć. Miejscowy lekarz lał na dłoń felczer z „Niezatapialnej” jakiś płyn z dużej butli, splukując krew i zapewne zabijając zarazki.

– Jej też pan dasz. – Gracja w pracy nie zwracała uwagi ani na język, ani na konwenanse i Nes poczuła się absurdalnie lepiej, słysząc, jak kobieta rozporządza osobą wojskowego. – Łyknij, kapitanie.

I Nes łyknęła posłusznie, krztusząc się mocnym alkoholem. Teraz pani doktor pochyliła się nad nią. Jej szeroka, ładna twarz ze zmrużonymi oczami krótkowidza przesłoniła Nes pomieszczenie.

– Gdzie twoje okulary?

– Gdzieś na dnie Leniwej, kapitanie. – Gracja wzruszyła ramionami. – Teraz będzie naprawdę bolało, więc się jeszcze napij, dziecko. – Ostatnie słowo wypowiedziała nienaturalnie miękko, a potem głos jej stwardniał, gdy zwróciła się do Feliksa, wciąż siedzącego bezgłośnie w kącie kajuty: – A pan, jeśliś już pan został, to przydaj się na coś!

Nastąpiło poruszenie i obok Gracji Nes zobaczyła bladego Feliksa. Dopiero teraz dostrzegła, że nie ma na sobie kurtki mundurowej, a jego włosy są wilgotne. Lekarz pokładowy znów przytknął jej do ust butelkę. Uniosła lekko głowę i przełknęła. Tym razem zdołała powstrzymać kaszel.

– Co mam robić? – spytał Feliks spokojnym na pozór głosem.

– Przytrzyma ją pan. Mocno, bo muszę sprawdzić, czy gdzieś w tej dziurze nie ma

jakichś nitek z koszuli czy innego świństwa. Potem to zszyjemy. Kości wyglądają na całe, bo gdyby coś było z nimi nie tak, to by głośniej krzyczała – wyjaśniała Gracja, a Nes czuła, jak alkohol powoli tępi jej zmysły. – No, jeszcze jeden łyk, kapitanie. Pomóż jej pan usiąść.

Obszedłszy stół dookoła, Ucelli wsunął pannie Roźnowski ramię pod plecy i powoli uniósł ją do siadu. Nes zakreśliło się w głowie, więc zacisnęła dłoń na wilgotnej koszuli i oparła czoło o pierś kapitana. Mocne ręce objęły ją silnie, jedna przytrzymując w pasie, druga ciężko przylegając do pleców. Zawroty ani trochę się nie zmniejszyły i kapitan oddychała szybko, a gdzieś z oddali, przez zwielokrotniony świst wciąganego do płuc powietrza, słyszała bicie serca Feliksa.

Coś zimnego dotknęło jej barku, oblewając chłodem także plecy i pierś, potem poczuła dotyk, początkowo delikatny, jakby ktoś tylko muskał jej skórę, a jeszcze później Gracja włożyła palce w dziurę pod obojczykiem i Nes zemdląła.

* * *

Podróż w górę Leniwej do wschodniej stolicy Unii standardowo zajmowała tydzień, oni płynęli trzy. Nie pomogło to, że „Drapieżny”, kiedy tylko mógł, szedł pełną parą, za rufą mając goniącą go uparcie „Gorączkę”. Trzeci pościgowiec, zanurzony głębiej z powodu uszkodzeń, został w tyle, eskortowany przez mniejsze jednostki, które zabrały też rozbitków ze zniszczonego torpedą „Honoru”.

Coś działo się na rzece. Zbyt często natrafiali na dryfujące z nurtem przeszkody, a dostawy węgla opóźniały się nawet o kilka dni. Projektanci pościgowców nie przewidywali długiego odcięcia od źródła paliw – ładownie były stosunkowo nieduże, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wysokie zużycie węgla przy prędkościach bojowych. Z tego powodu wojskowe składy były rozmieszczone dość gęsto wzdłuż głównych cieków i miały pierwszeństwo w zaopatrzeniu. A jednak węgla brakowało. Zdarzyło im się nawet czekać aż cztery dni, zanim robotnicy z pobliskiej kopalni odblokowali transport. Słowo „strajk”, niesione wiatrem ponad wodami Leniwej, coraz mocniej splatało się z krajobrazem.

* * *

Gdy Nes ocknęła się po raz drugi, leżała na koi, przykryta po szyję ciepłym kocem, pod którym miała na sobie jedynie spodnie i bandaż, grubo owijający ramię i unieruchamiający je w pozycji przytulonej do tułowia. Czuła się w nim skrepowana i uwięziona.

Poruszyła się ostrożnie, lecz ból świeżej rany szybko osadził ją w miejscu. Leżała

więc w bezruchu, wpatrywała się w sufit i jeszcze raz przeżywała wydarzenia tego poranka. Doścignęli „Niezatapialną” na ostatniej prostej, tuż przed Delta, gdy ostatni kryształ prędkości wytracił swoją moc. Wyskoczyli z bocznej odnogi, najpierw dwa pościgowce, potem kolejne dwa. Nie traciła nadziei, że zdążą, że zgubią pogoń w ciasnych odnogach, gdy tylko rzeka zacznie się dzielić na mniejsze strugi. Wciąż miały zapas chłodnych mgielnych kryształów i wystarczająco dużo lotnego płynu, by przemknąć ponad ziemią i uciec na wybrzeże.

Nie zdążyły, lecz nie oddały nic darmo, biorąc zapłatę z góry, jak zwykły mówić przed akcją. Tym razem zapłacił wrogi okręt, a wraz z nim jego załoga. Nes uświadomiła sobie z pewnym zdziwieniem, że gdy o tym myśli, coś każe jej skrzywić usta, zupełnie jakby przetykała szczególnie gorzkie lekarstwo. Może wydając rozkaz odpalenia torpedy tak naprawdę zakładała, że Fleur nie zadziała jak należy?

Zamknęła oczy, bijąc się z myślami.

– Szukasz usprawiedliwień – powiedziała na głos.

To była prawda – szukała, bo przecież liczyła na odwrócenie uwagi, na spowolnienie pościgu, a gdyby się udało, najpewniej szybko zapomniałaby o tym, że pościgowiec to nie tylko kadłub i maszyny, ale przede wszystkim ludzie. Ludzie, którzy teraz tulili się do miękkiego rzeczno dna, w przeciwieństwie do niej, która wciąż żyła, bo z jakiegoś powodu Feliks miał rozkaz aresztować piratki, a nie je zabijać.

Feliks.

Chwyciła się myśli o nim, jakby mogło to uciszyć narastający niepokój. Przez jakiś czas szukała emocji pasujących do tego, co ich w tej chwili łączyło, do stosunków zwycięzca – jeniec, jednak nie potrafiła znaleźć nawet nazwy, nie mówiąc już o uczuciach, które miałyby ją wypełniać. Wypełniała ją bowiem pustka, jeśli jest ona w stanie cokolwiek wypełnić, a to powodowało, że Ucelli był jej dziwnie obojętny. Nie drżała na myśl o nim, jak ledwie parę dni wcześniej, ale też nie umiała wzbudzić w sobie nienawiści, którą powinna w swoim mniemaniu odczuwać. Może dlatego, że ponad wszystkim, co ich dzieliło, rozumiała kapitana? Nawet jeśli uznawała jego działania za przyczynę śmierci Heile i Kass – bo teraz, gdy mogła już myśleć racjonalnie, doszła do wniosku, że mechanik odeszła ze swoim statkiem, a młodziutka pilot najpewniej zabiła się, spadając z nieba na korony drzew – to wiedziała dobrze, że był żołnierzem. Marynarzem Jego Królewskiej Mości Oresta Trzeciego z Fiori Verdich. Dostał rozkaz i go wykonał. To Oresta powinna nienawidzić. Albo tego nowego człowieka w rządzie, o którym mówił Xa. A może admirała Continiego? A może siebie, bo nie zadbała o wszystko, jak powinna?

Przez kilka pierwszych dni, zamknięta w jasnej i przestronnej kajucie, widywała tylko lekarza pokładowego. Według jego słów Gracja została odesłana na „Gorączkę”, do reszty pirackiej załogi, gdy tylko założyła ostatni szew. Ani Feliks, ani nikt inny nie zaglądał do Nes. Horacy Sawelo przynosił posiłki, karmił ją, a potem przytrzymywał miskę, gdy uparła się, że będzie jeść sama. Opowiadał o swoich studiach, o wyprawach w wysokie tuulijskie góry, tak inne od łagodnych wzgórz Palude, z czasem zaczął wspominać o Feliksie i o tym, co dzieje się na „Drapieżnym”, a ona pozwalała na to, nie mając serca odebrać mu przyjemności. Przypominał jej nieco dżentelmenów z gabinetu ojca i polubiła go instynktownie. Raz na dwa dni zaglądał pod bandaż, sprawdzając, czy wszystko goi się jak należy, i nigdy nie pytał o nic, co dotyczyło jej pirackiego życia. Trochę jakby poczciwy staruszek wypierał to, kim była, widząc w niej jedynie młodą dziewczynę pozostającą pod jego opieką i w łagodny sposób narzucając Nes taką, a nie inną rolę. Sama przed sobą przyznawała, że była mu wdzięczna, pozwalało to bowiem nieco odsunąć i wyrzuty sumienia, które wreszcie nazwała po imieniu, i coraz mocniej dręczący ją strach.

W drugim tygodniu znudziła się zwiedzaniem kajuty, która, choć jak na jednostkę wojskową spora, wciąż pozostawała niewielką zamkniętą przestrzenią. Oglądane każdego dnia sprzęty szybko spowszedniały, by następnie nabrać nowych znaczeń i uruchomić ścieżki skojarzeń w spragnionym wyzwani umyśle. Zielony dywan łaskoczący bosc stopy stawał się łąką wschodniego brzegu Leniwej, a ciemny, lakierowany blat stołu taflą nocnego jeziora. Gdy już znała na pamięć zawartość szafy, a szuflady w sekretarzyku straciły całą swą pierwotną tajemniczość, spytała doktora Sawelo, czy może wyjść na pokład. Mężczyzna skurczył się, a jego twarz przybrała zmartwiony wyraz. Nes widziała, jak nerwowo pociera dłonie o szorstki materiał spodni, lecz desperacja kazała jej bezlitośnie czekać na odpowiedź.

– Kapitan zakazał pani opuszczania kajuty – odpowiedział w końcu, odwracając wzrok i wzdychając lekko. – Mówiąc między nami, panno Roźnowski, nie wiem, dlaczego. Wszak wiadomo, że nie opuści pani pokładu, a świeże powietrze pomogłoby z pewnością w rekonwalescencji.

Uśmiechnęła się smutno, wiedząc, że lekarz ma rację. Z bezwładną ręką nie miała szans na ucieczkę, a gdyby nawet, to jak mogłaby zostawić dziewczęta i v'Ankarę, trzymanyh zapewne wcale nieprzypadkowo z daleka od niej, na innym pościgowcu? Nie odezwała się do końca wizyty Horacego, choć próbował zająć jej myśli, opowiadając, jak za młodu pływał na statku eksploratorskim, który jako jeden z pierwszych dotarł za Śruddzę. Tuż przed wyjściem doktor zatrzymał się na chwilę w drzwiach i patrząc na nią poważnie sponad drucianych okularów, powiedział:

– Porozmawiam z kapitanem, panno Roźnowski, ale nie mogę nic obiecać.

Nes znowu została sama. Tylko ona i obite aksamitem krzesła, każde z trzydziestoma sześcioma guzami w kolorze starego srebra. Wbijała w nie wzrok, licząc po raz nie wiadomo który, jakby liczba mogła ulec zmianie. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, czy ją to uspokaja, czy wprost przeciwnie – irytuje.

Doktor wrócił pod wieczór z szeroką kurtką mundurową i na oko za dużymi na Nes butami.

– Pani buty niestety uległy zniszczeniu, panno Roźnowski, a kurtka będzie wygodniejsza od pani ubrań. Kapitan pozwolił na krótki spacer po pokładzie. – Uśmiechnął się do niej, wyraźnie dumny ze swego osiągnięcia. – Cieszy się pani?

Oczywiście, że się cieszyła. Zaduch kajuty stawał się nie do zniesienia, brakowało jej wiatru, zapachu rzeki, dźwięków innych niż głosy jej lub doktora czy też głucho stukoty dochodzące zza ścian i sponad sufitu. Przez te niecałe dwa tygodnie zdążyła już ułożyć modlitwę do wszystkich znanych sobie bogów w podzięcie za to, że piratów zwyczajnie się wiesza, a nie zamyka w ciasnych celach królewskich więzień.

Włożyła buty, posługując się jedną ręką – były sporo za duże, więc nie potrzebowała pomocy, szlachetnie zaoferowanej przez doktora – pozwoliła narzucić sobie kurtkę na ramiona i, przytrzymując poły, wyszła na korytarz. Wąskie przejście prowadziło do drabinki, po której mogła wydostać się na górny pokład. Uderzenie świeżego powietrza ją oszołomiło, zachwiała się lekko i zmrużyła oczy, nieprzygotowane na jaskrawą feerię barw zachodzącego słońca. Znajdowali się na wysokości odbicia na Turkusowe – dwa, może trzy kilometry za Dolną Gawrą. Nes bez trudu rozpoznała łagodne, obrośnięte tatarakiem brzegi. Nabrała powietrza w płuca i podeszła do relingu. Chwyciwszy się drewnianej bariery zdrową ręką, wychyliła się ponad toń. Rzeka była gładka, srebrno-złote błyski nadawały jej czegoś w rodzaju szlachetnej patyny. Nes się uśmiechnęła, a potem spojrzała na swego opiekuna, który został o krok w tyle i z niepokojem obserwował jej zachowanie.

– Niech się pan nie boi, doktorze, nie zamierzam skakać – zapewniła go.

– Nie mógłbym się pani dziwić, panno Nes – powiedział, po czym szybko dodał: – Przepraszam, ja... Nie chciałem być poufały...

– Nes wystarczy, doktorze. Jest pan w takim wieku, że równie dobrze mógłby być pan moim dziadkiem. Czemu nie może się pan do mnie zwracać po imieniu?

Zarumienił się, co zauważyła w jednym z ostatnich promieni niknącego słońca.

– Rzeczywiście mam wnuczkę w podobnym wieku. – W głosie lekarza pojawiła się melancholia. – Tak mi ciężko patrzeć na ciebie i wiedzieć... – Zamilkł, jakby nie chciał, a może nie potrafił mówić o tym, co ją czeka. – Lepiej już wracajmy. Kapitan Ucelli pozwolił jedynie na krótki spacer.

– Właśnie, a gdzie on jest? – spytała, uświadomiwszy sobie, że nie widziała ani

kapitana, ani żadnego innego członka załogi.

– Pewnie w kajucie. – Doktor wzruszył ramionami. – Spędza tam dużo czasu, gdy nie robi przeglądu załogi albo nie prowadzi ćwiczeń alarmowych, albo nie sprawdza czystości kambuza. – Przez twarz starszego człowieka przepłynął cień. – Strasznie się stał zasadniczy ostatnio.

Nes omiotła wzrokiem deski pokładu.

– Ma pan rację, doktorze, czas wracać. – Uśmiechnęła się i ruszyła pierwsza w stronę drzwiczek prowadzących na dół.

Otworzyły się w tym samym momencie, gdy sięgała po nie ręką, i mało brakowało, a zwałyby ją z nóg. Stała jak wryta, patrząc wprost w zmęczone oblicze Feliksa, który oddychał ciężko jak po wyczerpującym biegu. Wokół niego unosił się zapach alkoholu i Nes pomyślała, że sama chętnie napiłaby się czegoś mocniejszego niż lekkie czerwone wino, które dostawała do każdego obiadu – na odbudowanie krwi, jak mówił Sawelo.

– Panno Roźnowski – odezwał się w końcu Ucelli, skłaniając głowę.

– Kapitanie – odpowiedziała, odsuwając się jednocześnie tak, by mógł przejść.

On jednak nie skorzystał z tego i stał nadal w kompletnym bezruchu, przesuując spojrzeniem po jej twarzy, ogarniając sylwetkę skrytą pod nieforemną kurtą i znów wracając do twarzy, by uwięzić wzrok Nes, dopóki nie szarpnęła się gwałtownie i nie zerwała czaru.

– Chciałabym zejść do mojej kajuty, kapitanie.

– Oczywiście, panno Roźnowski. – Postąpił krok do przodu i stanął bokiem do niej, wpatrzony w coraz słabiej widoczny horyzont. – Dobrze pani wygląda – odezwał się po chwili, zerkając na nią ostrożnie. – Martwiłem się... wtedy, gdy pani zemdląca...

Nes poczuła, że wzbiera w niej wściekłość. Spokojna rezygnacja, którą miała w sobie do tej pory, rozprysła się niczym ściśnięta za mocno szklanka.

– Doprawdy, kapitanie? Dziwna hipokryzja, wszak wiezie mnie pan do Hidene na sąd! – Jej głos wznosił się z każdym słowem i w końcu prawie krzyczała, wyrzucając słowa niczym pociski. – Myśli pan, że sędzia zapyta mnie o zdrowie? A potem zaprosi na herbatę? Powieszają mnie, gdy tam dopłyniemy. I pewnie każą panu na to patrzeć! Trudno żeby przy egzekucji zabrakło bohatera!

Ucelli cofnął się odruchowo, gdy na niego napała, i teraz znów tarasował jej drogę. Otworzył usta i trwał tak przez chwilę, jakby słowa, zablokowane gdzieś poniżej gardła, nie mogły się wydostać na zewnątrz. Nes patrzyła na niego, zaciskając w pięści obie dłonie – i tę wolną, i tę ukrytą pod kurtką. W końcu kapitan dał za wygraną. Milcząc, wyciągnął przed siebie lewą rękę i delikatnie odsunął Nes. Minąwszy ją, zatrzymał się na moment. Już myślała, że jednak się odezwie, lecz jedynie pochylił głowę i ruszył przed siebie, a ona wsłuchiwała się w jego kroki na skrzypiących lekko

deskach pokładu. Stała tak, dopóki doktor, o którym kompletnie zapomniała, nie chwycił jej za rękaw i, obejmując delikatnie, nie pociągnął w kierunku stojących otworem schodków.

Do końca podróży nie widziała już kapitana, choć codziennie wieczorem skwapliwie korzystała z pozwolenia i wychodziła na górny pokład na krótkie przechadzki.

Wkrótce otoczenie się zmieniło. Im bardziej zbliżali się do wschodniej stolicy, tym częściej mijali przytulone do brzegów rzeki miasteczka, a drewniane pomosty dolnego biegu Leniwej zostały zastąpione kamiennymi nabrzeżami uprzemysłowionej części kraju. Rzeka tutaj była podporządkowana człowiekowi. Zamykana w wąskich przepustach i kierowana na sztucznie ułożone progi, napędzała koła wodne przędzalni i młynów, chłodziła rozgrzany metal w hutach, nadając mu hart, jakiego potrzebował, by stać się mostem czy poszyciem okrętu. Do późnej nocy z brzegów dobiegały dźwięki pracy wielkich młotów, szum upuszczanej w niebo pary i pokrzykiwania robotników, pracujących bez wytchnienia po kilkanaście godzin przez sześć dni w tygodniu, a w sobotnie wieczory zamieniających ciężko zarobione pieniądze na odrobinę bez troski i niedzielny ból głowy.

Obserwowała to wszystko, odnajdując w zmieniającym się krajobrazie znajome akcenty, jak latarnia w Stefano czy żółte budynki portu w Taludze, gdzie tawerna „Pod Mokrym Kotem” oferowała największy wybór trunków, z jakim Nes kiedykolwiek miała do czynienia. Większość tych wspomnień była dobra i kapitan nasza refleksja, czy aby nie weszła w kolejną fazę godzenia się z losem, kiedy bliskość przewidywanej śmierci rzutuje na sito pamięci.

Dwudziestego pierwszego dnia podróży silniki zmieniły rytm i Nes, siedząca akurat nad talerzem zupy rybnej, domyśliła się, że oto „Drapieżny” przygotowuje się do manewru wejścia na wody kanału. Hidene nie leżało bezpośrednio nad rzeką, było od niej oddzielone pasem grząskich wrzosowisk, idealnych do pozyskiwania torfu. Do stołecznego portu prowadziła sieć kanałów, przekopanych jeszcze w poprzednim stuleciu, stale udoskonalanych przez kolejnych wybitnych architektów. Na ich brzegach jak grzyby po deszczu wyrastały magazyny fabryczne i kupieckie składy. W większości murowane ze zwykłej rudej cegły, choć gdzieś tam trafiały się i żółtawe, z materiału sprowadzanego z Tuuli, gdzie glina miała lepsze właściwości. Te należały do szczególnie bogatych kupców, którym fantazja kazała się z tym bogactwem obnosić. Nad północną częścią miasta królowała Cytadela. Rozłożysta siedmioramienna gwiazda nieregularnych, potężnych bastionów budziła szacunek i napawała lękiem. Tam, oprócz zwykłego w takim miejscu garnizonu, mieściło się osławione więzienie i siedziba sądu. W głębi wybudowano pałac, lecz królewska żona, Lahya Taivijska, nie chciała mieszkać w otoczeniu wojska i z tego powodu stał się on siedzibą nie

królewskiej rodziny, lecz sześciu ministrów zarządzających sprawami Palude. Czasami przebywało w nim również tych sześciu, którzy zajmowali się sprawami łączącymi interesy obu państw Unii.

Okręt zwolnił prawie do zera i do Nes dotarł cichy chlupot wody mielonej bocznymi sterami korygującymi. Wyczuła skręt na prawą burtę i odłożyła łyżkę.

Czas się przygotować, pomyślała, wstając od stołu i podchodząc do umieszczonego pod niskim sufitem bulaja, by upewnić się w ocenie.

Nie miała żadnych rzeczy osobistych poza ofiarowanymi przez lekarza częściami garderoby, przygotowania nie mogły jej więc zająć dużo czasu. Nawet jeśli prawa ręka wciąż była słabsza, a rana – od wczoraj pozbawiona szwów – dokuczała przy najmniejszym ruchu. Nes zdążyła właśnie wciągnąć drugi but i odpoczywała po tym nie lada wyzwaniu, pólżąc na łóżku, gdy otworzyły się drzwi kajuty. Natychmiast zerwała się na równe nogi.

W wejściu stanął Feliks, tym razem ubrany przepisowo w pełen mundur, z przypiętą szablą i pistoletem w kaburze. Włosy, dłuższe niż miesiąc temu w Prato, związał starannie, a ogolona gładko twarz odjęła mu lat. Pod pachą trzymał zawiniątko, które natychmiast położył na stole i cofnął się do drzwi.

– Przyniosłem pani ubrania, coś bardziej pasującego. I buty, bo te, wybaczy pani, są chyba nieco za duże.

Spojrzała w dół na męskie czarne oficerki i nie mogła nie przyznać mu racji.

– Widzę, że już pani się zorientowała. Dotarliśmy na miejsce – odezwał się znowu, gdy uznał, że mu nie odpowie. – Po zacumowaniu od razu zostanie pani przewieziona do Cytadeli. Mam rozkaz osobiście dostarczyć panią przed oblicze ministra Ijsberga.

– A moja załoga? – spytała, ignorując chęć wyrzucenia mu, że nie jest przedmiotem, który się dostarcza.

– Oni oczywiście również zostaną odtransportowani do Cytadeli. Jednak minister życzy sobie widzieć jedynie panią. Załogę „Niezatapialnej” w odpowiednim czasie osądzi sąd odpowiedniej instancji.

– Czy pozwoli mi pan się z nimi zobaczyć? – Chciała, by to pytanie zabrzmiało obojętnie, lecz gdy tylko zaczęła mówić, pojęła, że nie jest to możliwe.

Głos jej się załamał i ze złością uświadomiła sobie, jak daleko jej do dumnej kapitan piratów, za którą się do tej pory miała.

– Panno Rożnowski, rozkazy są wyraźne: mam jak najszybciej dostarczyć panią do Cytadeli, a „Gorączka” została w tyle, nie mo...

– Dość, Ucelli! Zrozumiałam. A teraz wyjdź i daj mi się przebrać, skoro uznałeś to za konieczne.

– Poczekam na korytarzu – powiedział cicho i skłonił się, po czym wyszedł,

zamykając za sobą drzwi.

Przebierała się, gdzieś na obrzeżach świadomości rejestrując, że zarówno śnieżnobiała koszula, jak i granatowe spodnie, które jej przyniósł, są najwyższej jakości i doskonale na nią pasują. Podobnie jak niskie buty zapinane na sprzączki, które wybrał zapewne przez wzgląd na jej trudności w posługiwaniu się zranioną ręką. Krótka kurtka dopełniała całości i Nes, przeglądając się w wypolerowanej tafli lustra, wbrew wszystkiemu uśmiechnęła się do siebie. Swojski obraz burzyły tylko włosy, umyte co prawda wczoraj i rozczesane, lecz nieulożone. Nes czuła się dziwnie bez zwykłego warkocza. Nie dałaby jednak rady go zapleść, więc tylko zebrała włosy z boku i związała znaną w szufladzie biurka czarną wstążką.

– Gotowa, pani kapitan? – spytała, lecz odbicie nie odpowiedziało, wpatrując się w nią zielonymi oczami, w których widać było przede wszystkim lęk.

Odetchnąwszy głęboko, ruszyła do drzwi, za którymi czekał Ucelli. Gdy ją zobaczył, twarz mu się zmieniła, lecz szybko opanował emocje i wskazując dłonią kierunek, jakby szła tym korytarzem po raz pierwszy, puścił ją przodem.

Przybili do jednego z trzech wojskowych nabrzeży, tego umieszczonego najbliżej Cytadeli. Czekał tu już na nich ministerialny lokomobil i Nes poczuła głupią dumę, że jest aż tak ważna. Posłali po nią tego zięjącego parą, hałaśliwego potwora, choć równie dobrze można by użyć zwykłej dorożki.

Feliks otworzył przed nią drzwiczki maszyny. Nes usiadła przodem do kierunku jazdy, nie pozostawiając tym samym Ucellemu innego wyjścia, jak tylko zająć miejsce tyłem. Kapitan dał znak kierowcy i po chwili pojazd, buchając kłębami czarnego dymu, ruszył wzdłuż nabrzeża.

– To nie będzie długa podróż, panno Roźnowski. – Ucelli odezwał się po chwili milczenia, przekrzykując hałas lokomobilu.

Kiwnęła głową i wyjrzała przez okno, udając, że bardzo interesuje ją nowa architektura nabrzeża. Znajdowali się całkiem niedaleko miejsca, z którego swego czasu uprowadziły „Niezatapialną” i wspomnienie Heile ścisnęło jej gardło.

– Panno Roźnowski, niech pani na mnie spojrzy – poprosił tymczasem Feliks. Nes nieco wbrew sobie spełniła to życzenie. – Nie powinienem tego pani mówić, lecz w Cytadeli mają wobec pani inne plany, niż pani zakłada.

Zmrużyła powieki, kolejna fala złości zalała jej policzki.

– Wiem to ledwie od chwili, proszę nie uważać, że trzymałem panią w niepewności przez całą drogę. – W głosie Feliksa wyczuła tłumione napięcie. Kapitan, rozdarty między obowiązkiem a tym, co najwyraźniej dyktowało mu serce, nie radził sobie chyba tak, jak by chciał.

– Kapitanie Ucelli, jest mi najzupełniej obojętne, od kiedy pan to wie – rzekła

bezlitośnie. – I naprawdę, proszę z mojego powodu więcej nie naginać swojego honoru. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

Patrzyła, jak blednie i cofa się na tyle, na ile pozwalała niewielka przestrzeń pojazdu. Ambiwalentne uczucia zalały jej umysł. Satysfakcja i żal. Ułożone obok siebie, szczepiły się w jedno, wymieszały i spłynęły ciepłą falą do żołądka, rozpychając się na tyle boleśnie, że aż bezwiednie położyła dłoń na brzuchu.

Na szczęście podróż rzeczywiście była krótka i parę minut później lokomobil przejechał przez bramę szóstego bastionu, zwanego Sądowym. Na nierównych kocich łbach pojazd trząsał się niemiłosiernie, objijając pasażerów o ściany kabiny. Nes, wsparta zdrową ręką na siedzeniu, czekała niecierpliwie. Gdy w końcu dotarli, kierowca oznajmił koniec trasy pojedynczym gwizdkiem.

Feliks wyskoczył czym prędzej na dziedziniec i przytrzymał drzwi.

– Jeszcze jedno, panno Roźnowski. Muszę... – Nie dokończył, tylko pokazał jej zawieszony u pasa żelazny obręcz, których wcześniej nie zauważyła.

Bez słowa wyciągnęła ręce. Gdy szczęknął zamek, kapitan ujął ją za lewy łokieć i poprowadził przez dziedziniec w głąb Cytadeli.

Szli długo, przechodząc rozlicznymi korytarzykami, mniejszymi i większymi dziedzińcami, które tworzyły skomplikowane labirynty. Nes nigdy nie była na terenie Cytadeli, więc mimo niewesołej sytuacji, w jakiej się znalazła, rozglądała się z ciekawością. Ściany, w większości nagie i chłodne, otynkowano na biało, pozostawiając jednak ceglane wsporniki i elementy konstrukcji stropu. W końcu, pokonawszy ostatni dziedziniec, dotarli do samego serca twierdzy. Nes, prowadzona przez Ucellego, który przez całą drogę ani nie wypuścił z uścisku jej łokcia, ani się nie odezwał, wzięła głęboki oddech jak przed skokiem w wodę i przekroczyła próg. Wnętrze pałacu, jasne i przestronne, zdawało się przyjazne, lecz kapitan nie dała się nabrać. Podążyli na wprost szerokim korytarzem, a odgłos ich kroków ginął w miękkim dywanie. Z porozwieszanych w równych odstępach, ubogich w kolory obrazów patrzyła na nią zwiłokrotniona, szara twarz tej samej kobiety – Nes rozpoznała wizerunek miłościwie panującej Lahyi, tuuliskiej żony króla Oresta, którą tradycja nakazywała określać mianem pieczęci potwierdzającej Unię. Galeria, podobnie jak korytarz, zdawała się ciągnąć bez końca, a kapitan poczuła się przytłoczona spojrzeniami królowej. Na każdym obrazie Jej Wysokość patrzyła na portretującego ją malarza, ale tylko to łączyło dzieła. Na każdym bowiem inaczej rozkładały się cienie i akcenty, tak iż miało się wrażenie, że nieskończona jest paleta uczuć dostępna modelce. Nes nie mogła nie podziwiać artysty, który stworzył portrety.

Miejscem, do którego prowadził piratkę kapitan, okazał się gabinet położony na samym końcu korytarza. Wysokie, pomalowane na biało dwuskrzydłowe drzwi z

mosiężną klamką nie różniły się niczym od tych mijanych wcześniej. Ucelli puścił łokieć Nes. Popatrzył na nią w sposób, który miał chyba dodać otuchy i zapukał.

– Wejść! – krzyknął ktoś z drugiej strony. Feliks otworzył drzwi i lekko pchnął Nes do środka.

Wzrok pani kapitan natychmiast przykuł siedzący za masywnym, ciemnym biurkiem mężczyzna. Ubrany w szary garnitur, z równo przyciętą bródką i podwiniętym wąsem, wyglądał niczym kupiec z jednego z tych statków, które padały łupem „Niezatapialnej”. Patrzył na Nes uważnie, sięgając jednocześnie po filiżankę, nad którą unosił się ledwie widoczny obłoczek pary. Kapitan zapatrzyła się na błękitny wzór na porcelanie, gdy mężczyzna uniósł naczynie do ust i ostrożnie upił łyk gorącego płynu.

Odstawiwszy filiżankę na spodeczek, odchylił się na krzesło. Postukując palcami o blat, polecił:

– Niech ją pan przyprowadzi bliżej, kapitanie Ucelli.

Feliks, który tymczasem zamknął drzwi, wyciągnął rękę, lecz nim zdążył choćby dotknąć Nes, panna Roźnowski sama ruszyła w kierunku biurka, oświetlonego promieniami popołudniowego słońca. Zatrzymała się o krok od blatu i czekała w milczeniu, aż Siegfried Ijsberg – bo to musiał być on – zakończy oględziny jej osoby.

– Dumna i piękna – uśmiechnął się minister, odchylając się jeszcze bardziej. – I do tego sprytna, przynajmniej do tej pory. W końcu jednak sprawiedliwość panią dosięgła, panno Jollienesse.

Kapitan zachwiała się lekko, słysząc imię, którym od śmierci Angelique Roźnowski nikt jej nie nazywał. Serce zabiło w piersi Nes ze zdwojoną siłą, a na żołądku zawiązał się ciasny węzeł. Zmilczała jednak, zdecydowana, że nie da się sprowokować. Feliks powiedział wszak, że mają tu wobec niej jakieś plany. To znaczy, że czegoś od niej chcą, niech zatem ten człowiek po prostu to powie, zamiast się z nią drażnić.

– Nie chce pani ze mną rozmawiać? – spytał minister, przybierając zasmucony wyraz twarzy. – Szkoda. Cóż, może pobyt na nowej kwaterze uczyni panią bardziej skłoną do konwersacji.

To mówiąc, pociągnął za jeden ze sznurów, które wisały za jego plecami. A potem ponownie sięgnął po filiżankę. W ciszy, jaka zaległa, dały się słyszeć głosy dobiegające zza okna. Słyszając krótkie, szczekliwe polecenia Nes domyśliła się, że wychodzi ono na plac ćwiczebny któregoś regimentu. Milczenie się przedłużało, minister popijał herbatę, a kapitan poczuła, że zaschło jej w gardle. Siłą powstrzymała się od przełknięcia śliny i trwała w bezruchu, podobnie zresztą jak Feliks. Jego spojrzenie wypalało jej dziurę na karku, choć przecież nie mogła być pewna, że on rzeczywiście na nią patrzy.

Dźwięk otwieranych z rozmachem drzwi spowodował, że drgnęła mimowolnie, a po

kręgosłupie przebiegł jej dreszcz. Bała się, choć ze wszystkich sił starała się tego nie okazywać. Nie dlatego nawet, że tak nakazywała duma, ale dlatego, że walka z lękiem była jedyną, jaką mogła toczyć pod obojętnym spojrzeniem Ijsberga.

– Na rozkaz, ministrze – odezwał się ktoś za jej plecami.

Odwróciła się i ujrzała mocno zbudowanego mężczyznę w mundurze żołnierza piechoty. Feliks, choć przecież także wysoki, sięgał mu ledwie do ramienia.

– Szeregowy Fulise, odprowadzicie więźnia do celi w bloku czwartym, potem wróćcie. – Minister wstał wreszcie z krzesła i podszedł do okna.

Żołnierz bez ceregieli chwycił Nes za prawe ramię i pociągnął w stronę wyjścia. Pociemniało jej w oczach, a Feliks natychmiast zastąpił im drogę.

– Szeregowy, ta kobieta ma świeżą ranę pod obojczykiem – powiedział ostro. – Nie jest waszym obowiązkiem przysparzanie jej cierpienia, a jedynie odprowadzenie do celi.

– Ta jes. – Mężczyzna rzucił szybkie spojrzenie na epolety Ucellego. – Kapitanie.

– Feliks Ucelli, dżentelmen w każdym calu – zaśmiał się spod okna Ijsberg. – Dobrze już, szeregowy, idźcie, a wy, kapitanie, zostańcie, jeśli łaska. Mam z wami do porozmawiania.

Fulise, zgodnie z sugestią Feliksa, zachowywał się znacznie ostrożniej. Po prostu lekko popychał kobietę przed sobą, szeroką dłońią sugerując kierunek marszu. Nes znów rozglądała się wokół, jakby zapamiętanie drogi mogło się jej do czegoś przydać. Tym razem spacer trwał znacznie krócej. Okrążyli plac ćwiczebny – ten sam, który mógł obserwować minister przez okno swego gabinetu – i wkroczyli do wnętrza niedużego kamiennego budynku. Nie było w nim okien, a pojedyncze lampki nie rozpraszały zalegających w kątach cieni. Kapitan domyśliła się, że jest to wewnętrzne wojskowe więzienie. Inne niż to, w którym trzymani są zwykli przestępcy.

Ich kroki w pustym korytarzu odbijały się głośnie echem i wkrótce zza rogu wyszedł wartownik, który spojrzał pytająco na szeregowego.

– To ta piratka, co ją mamy przechować na troszku w naszych pokojach – powiedział Fulise, a strażnik zarechotał, po czym sięgnął do pasa i odpiął pęk kluczy.

– Mamy piękny apartament, psze pani – rzucił, otwierając najbliższe drzwi. – Się panienka rozgości. – Ukłonił się nisko, a Nes, o dziwo, poczuła się rozbawiona jego zachowaniem.

Uśmiech jednak nie zdążył się pojawić na jej twarzy, gdy pchnięta w plecy po raz ostatni przestąpiła próg celi. Drzwi zamknęły się ze zgrzytem, a ona została w pustym kamiennym pomieszczeniu, w którym oprócz niewielkiego stołka i wiązki słomy rzuconej w kąt nie było nic. W pojedynczym snopie światła, wpadającym przez umieszczone wysoko okienko, słoma wydawała się całkiem świeża i Nes po namyśle

zdecydowała się usiąść na niej, nie ufając chwiejnemu na oko meblowi. Oparła się ciężko o kamienną ścianę, której chłód natychmiast przeniknął ją do szpiku kości i podniosła wciąż skute kajdanami ręce.

Przypomniała sobie twarz Feliksa, gdy je zakładał. Wtedy, po raz kolejny zadziwiając samą siebie, pani kapitan Jollienesse Roźnowski po prostu się rozplakała. Tkwiła pod ścianą, wstrząsana szlochem, gdy drzwi zgrzytnęły i do celi ktoś wszedł. Wściekła, że zastano ją w takiej sytuacji, jeszcze przez chwilę walczyła z oddechem, by w końcu podnieść głowę i spojrzeć w oczy zaskoczonego szeregowego Fulise. Mężczyzna zerkał na nią niepewnie, obracając klucz, który w potężnych dłoniach wyglądał dziwnie krucho.

– Przyszłem je zdjąć, panienko – oznajmił, wskazując na kajdany. – Zapomniały pany dać klucza. Panienska da ręce!

Nes posłusznie wykonała polecenie i po chwili kajdany już jej nie krępowały.

– Dziękuję – powiedziała, na powrót spokojna, a mężczyzna skinął głową i wyszedł, znów zostawiając ją samą.

Rozdział piąty,

w którym decyzje są podejmowane za plecami

Porucznik de Succomber nie miał pojęcia, czemu został wezwany do gabinetu ministra Ijsberga. Oczywiście w żaden sposób nie kwestionował rozkazu, lecz nie przeszkadzało mu to w rozmyślaniach nad powodami takiej, a nie innej decyzji. Być może chodziło o wyjaśnienie, dlaczego podróż do stolicy trwała tak długo. Dwadzieścia jeden dni to był rekordowo długi czas, nawet jeśli wzięto się pod uwagę coraz większe trudności w dostawach węgla. Ponawiające się protesty robotników mogły w pewnym stopniu usprawiedliwiać ślimacze tempo. A jednak Edward wiedział, że przyczyną opóźnienia było coś innego. To młody Ucelli zwlekał, przestrzegając skrupulatnie wszystkich przepisów żeglugi rzecznej – choć miał prawo omijać je ze względu na wojskowy charakter rejsu.

Porucznik dotarł na miejsce spotkania o wyznaczonej godzinie i ze zdumieniem zauważył, że w gabinecie oprócz samego ministra znajduje się czterech innych mężczyzn. W dwóch bogato odzianych dżentelmenach domyślił się kupców. Dwóch pozostałych znał, albowiem byli to: jego bezpośredni przełożony, kapitan Ucelli i admirał Contini, głównodowodzący marynarki, pełniący jednocześnie funkcję zwierzchnika sił Straży Przybrzeżnej.

Ucelli w pewien sposób nie pasował do towarzystwa. To było widać. Nawet nie siedział, jak pozostali dżentelmeni, przy niskim owalnym stoliku i nie trzymał w ręku malowanej na błękitno filiżanki. Zamiast tego stał w pobliżu okna, zapatrzony w to, co prawdopodobnie działo się na placu ćwiczebnym Szóstego Regimentu z Forge – jeśli Edward dobrze pamiętał rozkład budynków w Cytadeli.

Również minister nie raczył się herbatą, tylko stał przy swoim ogromnym biurku i przeglądał jakieś papiery. Edward domyślał się, że są to raporty z aresztowania Nes i jej załogi. Młody Ucelli spędził dwa dni na ich przygotowywaniu, nie wychodząc ze swojej kajuty, którą wreszcie odzyskał, gdy wyprowadzono z niej pannę Roźnowski. Mimo namów Edwarda nie chciał słyszeć o zakwaterowaniu w Cytadeli bądź którejkolwiek oberży, mającej umowę z marynarką. Tkwiał na „Drapieżnym” i na ląd schodził jedynie wtedy, gdy naprawdę musiał.

Gdy de Succomber stanął w progu, wszystkie twarze zwróciły się ku niemu i na wszystkich, poza twarzą ministra, zagościł wyraz zdziwienia identycznego z tym, jakie odczuwał porucznik. Coś kazało mu pomyśleć, że Ijsberg, zaczytując się w historii najnowszej, raczył być niestety zapamiętać jego nazwisko. Edward uklonił się jak

najuprzejmiej obecnym, po czym podszedł do Ucellego.

– Kapitanie.

– Poruczniku. – Młodzieniec skłonił lekko głowę i uśmiechnął się, raczej smutno.

– O co tu chodzi? – spytał cicho Edward, korzystając z tego, że trzej mężczyźni przy stole wrócili do przerwanej konwersacji, a minister podjął przeglądanie dokumentów.

– Pan minister będzie wyjaśniał zebranych dżentelmenom, dlaczego zamierza oddać pannę Roźnowski pod moje rozkazy – odpowiedział Feliks, nie patrząc na porucznika. Jego spojrzenie błędziło po ścianach, zdobionych tapetą malowaną w złocone motywy roślinne.

– Kapitanie? – zapytał zaskoczony de Succomber.

– Tak, poruczniku. Przykład zmiany stanowiska, dowód poparcia dla władz. Znana jest panu zapewne przeszłość jej ojca?

Edward uśmiechnął się pod nosem. W pewnym sensie wyraz twarzy i słowa młodzieńca dały mu wgląd w zapatrywania polityczne kapitana. Do tej pory nigdy nie podejmowali tematów związanych z nastrojami społecznymi, w wojsku bowiem jedynymi mile widzianymi poglądami były te zgodne z polityką króla. Oczywiście drzenie głosu, usilnie maskowane suchością komunikatu, mogło wynikać raczej ze stosunku Ucellego do Nes niż z prawdziwej znajomości losów Romualda Roźnowskiego i zrozumienia dla jego działalności. Coś jednak mówiło porucznikowi, że jego kapitan ma ciągoty do romantycznych opowieści. Nie mógł się oprzeć myśli, że młodzieniec jest jeszcze bardzo naiwny.

Tymczasem należało się skupić na obecnej sytuacji. De Succomber wrócił myślami do przemówień ministra sprzed pół roku. O tym właśnie mówił wtedy Ijsberg, a teraz się spełniło. Nowy człowiek w rządzie dopiął swego. Edward spodziewał się raczej, że minister będzie chciał publicznej egzekucji Nes, żeby wzbudzić strach w swoich ewentualnych przeciwnikach. Teraz wstydził się naiwnego myślenia, o które jeszcze przed chwilą oskarżał młodego kapitana. Ijsberg był sprytniejszy. Oto córka arystokraty, walczącej na salonach o elementarne prawa każdego człowieka, a do tego piratka, pokutuje za zbrodnie i ofiarowuje władzy swoje usługi. Tylko czy mała Nes się zgodzi? Jeśli była choć trochę podobna do ojca – a wszystko, czego zdołał się o niej do tej pory dowiedzieć i zobaczyć na własne oczy, świadczyło, że i owszem – takie zachowanie wcale nie było oczywiste, a wręcz przeciwnie. W jaki sposób ją przymuszają?

Nagle spłynęło na niego olśnienie.

– To takie proste, co?

Pytanie bezwolnie wyrwało się z jego ust. Feliks spojrzał zdziwiony, a de Succomber potrząsnął głową i wykrzywił usta w grymasie pogardy.

– Poruczniku? – Ucelli zmarszczył brwi.

– Przepraszam, kapitanie, myśl głośniejsza, niż wypada mieć w towarzystwie. – De Succomber uklonił się, a Ucelli, również skinąwszy głową, odwrócił się z powrotem w stronę okna.

W tym momencie minister zdecydował, że spotkanie powinno się oficjalnie rozpocząć.

– Panowie marynarze, czy możecie do nas dołączyć? – powiedział, uśmiechając się uprzejmie, po czym ostatni raz rzucił okiem na papiery i odłożył je na równy stosik.

Kapitan ruszył do stolika, a Edward podążył za nim. Usiedli na dwóch z pozostałych trzech wolnych foteli i podobnie jak reszta towarzystwa czekali, patrząc na ljsberga. Minister zdjął okulary, kolorem oprawek współgrające z garniturem z drogiego prążkowanego materiału, zasiadł na ostatnim wolnym fotelu i objął spojrzeniem zgromadzonych.

– Panowie – rozpoczął. – Zapewne zastanawiacie się, dlaczego zaprosiłem na to spotkanie tak wąskie, a jednocześnie nietypowe grono osób.

Pomruki ze strony przedsiębiorców potwierdziły jego słowa, podczas gdy wojskowi zachowali milczenie.

– Może zatem zacznę od prezentacji: admirał Contini, szef naszej dzielnej marynarki, którego chyba nie potrzebuję nikomu przedstawiać. – W tym momencie minister spojrzał wprost na Feliksa, który zeszywniał, lecz nie odwrócił wzroku. – Pan Gerhard de Nottt, właściciel flotylli statków handlowych. – Wywołany mężczyzna podniósł się odruchowo, po czym szybko usiadł z powrotem, kłaniając się nisko. – Pan Henryk Dunkejn, przemysłowiec, specjalizujący się w wydobywaniu kopalin, oraz Feliks Ucelli, dowódca na „Drapieżnym”, i jego pierwszy oficer, porucznik Edward Arbore de Succomber.

Dunkejn i de Nott wbili zdumiony wzrok w marynarzy.

– Panowie bohaterowie! Pozwólcie, że uścisknę wasze prawice! – Właściciel flotylli wstał, podszedł energicznie do Feliksa i zaczął potrząsać jego dłoń, zupełnie ignorując najpierw zdumiony, a później niechętny wzrok młodzieńca.

Na chwilę zapanowało poruszenie. Dżentelmeni wstali, posypały się gratulacje i pytania, na które zarówno Edward, jak i Feliks odpowiadali półgębkiem. Ucelli zerkał przy tym co chwilę na wyraźnie zadowolonego admirała Continiego.

– Dość! – przerwał w końcu ljsberg. – Rozumiem wasz entuzjazm, panowie, lecz to nie miejsce ani czas na gratulacje! Zdążycie wyciągnąć z naszych dzielnych marynarzy wszelkie szczegóły na bankiecie, który wydam pojutrze, by uczcić ten niezwykle udany pierwszy krok na drodze do zwalczania pirackiej plagi.

Mężczyźni usiedli – cywile niechętnie, wojskowi z ulgą – a minister podjął temat.

– Być może zastanawiacie się, panowie, dlaczego zdecydowałem się na wysłanie

znaczących sił akurat w pościg za kapitan „Niezatapialnej”. – Uśmiechem skwitował uniesione brwi de Notta i Dunkejna. – Tak, to nie był przypadek, celowo postanowiłem schwytać właśnie pannę Jollienesse Roźnowski. Po burzliwych rozmowach z admirałem Continim doszliśmy do wniosku, że do sprawy należy podejść systematycznie. Jednostek pirackich na naszych wodach nie ma aż tak wiele. Znaczniejszych, widywanych częściej i siejących prawdziwe spustoszenie statków naliczyliśmy zdaje się kilkanaście, prawda, admirale?

– Dokładnie trzynaście, panie ministrze. – Contini odezwał się po raz pierwszy, odkąd Edward wszedł do pomieszczenia.

– Trzynaście! Znacząca liczba, uszczuplona obecnie o największą jednostkę, dowodzoną przez charyzmatyczną pannę Roźnowski.

Edward skrzywił się. Charyzma, jeśli w ogóle istniała, wynikała tylko z tego, że Nes jako jedyna kobieta dowodziła statkiem, a jej załoga była prawie stuprocentowo damska. W słowach Ijsberga dziewczyna stawiała się legendą i de Succomber’owi bardzo się to nie podobało.

– Teraz, panowie, chciałbym się z wami podzielić moim pomysłem na wykorzystanie tego w dalszej walce.

– Publiczna egzekucja, ogłoszona odpowiednio wcześniej, powinna zniechęcić co najmniej kilku z tych dwunastu pozostałych – rzucił de Nott i Edward pomyślał, że widocznie niejeden z jego statków znalazł się na kursie kolizyjnym z „Niezatapialną”.

– Myśli pan zbyt prostolinijnie, panie de Nott! Owszem, powieszenie dziesięciu kobiet i jednego mężczyzny o egzotycznym wyglądem z pewnością zrobi chwilowe wrażenie. Mocne, lecz chwilowe. Ja jednak patrzę bardziej dalekosiężnie, mój drogi armatorze. – Ijsberg uniósł rękę, urywając protesty, nim jeszcze zostały wyartykułowane. – Niech mnie pan wysłucha, zanim zgłosi pan jakiegokolwiek uwagi, dobrze? Pani kapitan Roźnowski dostanie ode mnie propozycję nie do odrzucenia. Zostanie wcielona w szeregi Straży Przybrzeżnej i pomoże nam w dalszej walce. Nie wątpię, że doskonale zna pirackie sztuczki, kryjówki, sposoby omijania patroli.

– Ale po co? – De Nott był wyraźnie wściekły. – Przecież to żadna kara, panie ministrze! Ta kobieta od kilku lat pozbawia mnie moich pieniędzy. Tych, które zarabiam ciężką pracą! Nie zgadzam się!

Twarz potentata przybrała buraczkowy kolor. Mężczyzna zacisnął pięści i wychylił się mocno do przodu. Wyglądał, jakby był o krok od apopleksji. Edward miał ochotę się roześmiać, lecz powstrzymał się przez wzgląd na Feliksa, siedzącego obok z kamienną twarzą.

– Myślę, panie de Nott, że istnieją różne kategorie kary. Przymuszenie pirata do współpracy z władzami w pewnym sensie stanowi dla niego karę, zwłaszcza jeśli

mówimy o tak dumnym piracie jak panna Roźnowski. Ale nawet gdyby tak nie było, ponad zwykle ukaranie przestępcy stawiam wymierne korzyści, jakie przyniesie moja decyzja.

– Propaganda, co, Ijsberg? – Admirał uśmiechnął się pod siwym wąsem.

Minister odpowiedział uśmiechem, ignorując brak tytułu przed swoim nazwiskiem.

– Tak, admirale, propaganda, istotna broń w walce z wrzodami na ciele społeczeństwa.

Edward zacisnął zęby z siłą, od której zaboląła go zuchwa. Poczł na sobie wzrok ministra i uwierzył, że dobrze odgadł powód, dla którego się tu znalazł.

– Jak zamierza pan zmusić pannę Roźnowski do współpracy? – spytał milczący do tej pory Henryk Dunkejn.

Edward obrzucił go badawczym spojrzeniem. Nazwisko mężczyzny było mu znane. Spora część wschodnich kopalni należała do spółki, której Dunkejn był dyrektorem. Należały do niej również kopalnie kamieni szlachetnych. To jego towary przewoziły najczęściej statki de Notta.

– To proste. Udało się nam, a właściwie kapitanowi Ucellemu – kolejny ukłón, na który Feliks odpowiedział z wciąż nieruchomym wyrazem twarzy – ująć także dziesięciu innych członków załogi. Moja propozycja dla kapitan Roźnowski jest prosta: ich wolność w zamian za jej współpracę.

– I myśli pan, że ona na to pójdzie? – spytał admirał.

– Wierzę, że tak. Po pierwsze, znana jest z tego, że troszczy się o swoją załogę, po drugie, to kobieta, a więc istota emocjonalna, po trzecie natomiast, jeśli się nie zgodzi, zawiśnie. A instynkt przetrwania jest bardzo silnie zakorzeniony w naturze ludzkiej. Prawda, panie de Succomber?

Spojrzenie piwnych oczu ministra spoczęło na twarzy Edwarda. Porucznik poczuł, jak zasycha mu w gardle. Cios był celny.

– Z pewnością, panie ministrze – odpowiedział, siłąc się na obojętność.

– No tak. – Henryk Dunkejn zmarszczył brwi. – Tylko jaką mamy gwarancję, że panna Roźnowski nie zmieni zdania tuż po tym, jak jej załoga zostanie wypuszczona?

Minister uśmiechnął się szeroko.

– W pełni rozumiem pana obawy, panie Dunkejn, jednak i na to znalazłem lekarstwo. Wcielimy naszą piratkę do załogi kapitana Ucellego. Jego honor będzie dla nas gwarancją współpracy panny Roźnowski. Jestem pewien, że kapitan wywiąże się z tego obowiązku tak samo dobrze, jak z poprzedniego. Panie admirale? Możemy liczyć na pańskiego siostrzeńca, prawda?

Zdumiony Edward spojrział na Feliksa. Młody kapitan zbladł i zeszywniał jeszcze bardziej. Nieruchomy wzrok wbijał w blat stołu, a bladość zaczęła powoli ustępować

ceglastym wypiekom.

Siostrzeniec admirała!

Nienaturalnie szybki awans nagle stał się zrozumiały i de Succomber z trudem powstrzymywał się od skrzywienia ust w pobłażliwym uśmiechu. Tymczasem Continiego najwyraźniej rozpieierała duma.

– Oczywiście, panie Ijsberg, oczywiście. Kapitan Ucelli doskonale wywiąże się z każdego zadania. Ręczę za niego jak za siebie. Matka jest z ciebie dumna, chłopcze.

Feliks skinął głową, lekko się rozluźniając, Edward natomiast zauważył, że dla młodzieńca decyzja ministra nie była zaskoczeniem. Sam de Succomber nie wierzył w ani jedno słowo Ijsberga, gdy ten mówił o wypuszczeniu załogi „Niezatapialnej” na wolność. To nie miałyby sensu. Minister powinien raczej wykorzystać ją jako łańcuch, trzymający krótko Nes. Groźba „Jeśli zrobisz cokolwiek nie tak, jak chcemy, zabijemy którąś z dziewczyn” jest lepszym gwarantem współpracy niż czyjkolwiek honor. Skoro jednak minister zdecydował się na ten nie do końca logiczny krok, to nie powinien wypuszczać załogi, a raczej ją zlikwidować. Chyba że ich także chciał w jakiś pokrętny sposób włączyć do swoich działań propagandowych. W jaki – porucznik nie miał pojęcia.

– Powinien pan przynajmniej kazać ją wychłostać – wysapał wciąż wściekły de Nott.

– Społeczeństwo powinno zobaczyć, jak się traktuje takie krnąbrne kobiety!

– Publiczna chłosta marynarza Jego Królewskiej Mości nie wchodzi w grę. – W głosie Continiego zabrzmiała twarda nuta i de Succomber poczuł, że gdzieś w głębi zaczyna odczuwać sympatię do starszego admirała.

– To chociaż niepubliczna! – nie dawał za wygraną de Nott. – Chętnie udostępnię odpowiednie miejsce w moim pałacyku!

– Lubi pan patrzeć na bite kobiety? – Ucelli gwałtownie poderwał głowę. – Słyszałem, że w domu uciech Pięknej Doroty za odpowiednią opłatą można doświadczyć i takich przeżyć. – Pogarda Feliksa była aż nazbyt widoczna, a porucznik z pewnym zdziwieniem skonstatował, że słowa kapitana tym razem jego napawają dumą.

Tymczasem de Nott poczerwieniał jeszcze bardziej, a minister popatrzył na Ucellego spod zmarszczonych brwi.

– Za dużo emocji, młody człowieku, choć doskonale pana rozumiem. – Dunkejn uśmiechnął się z aprobatą.

– Dobrze, panowie, myślę, że na tym skończymy to spotkanie. W jutrzejszej prasie ukażą się artykuły, informujące o przejściu panny Roźnowski na właściwą stronę.

– A czy ona już się zgodziła? – Edward po raz pierwszy odezwał się bez pytania.

– Zgodzi się, poruczniku, jestem pewien. Z pewnością kilka dni w celi pomoże jej

podjąć decyzję. Podobnie jak wspomniana wcześniej nagroda za współpracę. Zresztą niech pan po prostu zostawi to mnie i wpisze ją w grafik wacht. – Minister uśmiechnął się szeroko, wzbudzając w Edwardzie dreszcz obrzydzenia.

Rozdział szósty,

w którym wreszcie pojawiają się szeroko pojęte konsekwencje

– Będzie dobrze, panienko. – Wzrok szeregowego Fulise, prowadzącego ją do dorożki, był pełen troski. – Ładnie panience w tym mundurze. Włosów trochę szkoda, ale i tak jest ładnie.

Doceniała jego wysiłki, więc spróbowała się uśmiechnąć w odpowiedzi, choć wcale nie było to łatwe. Nie z powodu włosów czy nawet munduru jako takiego. Decyzja była trudna i kosztowała ją wiele, chociażby przełknięcie dumy, ale została już podjęta. Należała do czasu przeszłego, a Nes zdecydowanie bardziej skupiała się na przyszłości. Nawet jeśli rozmowa z ministrem Siegfriedem Ijsbergiem wciąż pobrzmiwała echem w jej głowie. Nie była długa – wbrew temu, jak zapamiętała ją była kapitan. To dziwne rozciągnięcie we wspomnieniu było prawdopodobnie spowodowane tym, że inną Nes przywitał Ijsberg, gdy weszła do gabinetu po trzech dniach spędzonych w celi i wypełnionych pełnym napięciem oczekiwaniem, a inna wyszła od niego niecałą godzinę później.

* * *

– Witam, panno Jollienesse, i zapraszam do stołu. – Minister ukłonił się, zaraz na wstępie rozmyślnie irytując ją przywołaniem imienia, którego nie chciała używać.

Wtedy dopiero poczuła unoszące się w powietrzu zapachy. Jej żołądek zareagował skurczem. Od trzech dni jadła taką samą cienką zupę, którą przynoszono tylko raz dziennie i zupełnie po ludzku była głodna. Niewiele myśląc, przyjęła zaproszenie, a Ijsberg osobiście odsunął jej krzesło.

– Szeregowy, poczekacie za drzwiami – polecił jeszcze Fulisemu, który przyprowadził Nes przed jego oblicze, i usiadł naprzeciwko.

Panna Roźnowski tymczasem zdążyła już zajrzeć pod pokrywę pierwszego z trzech półmisków.

– Nie wiedziałem, co pani lubi, pozwoliłem sobie zatem wybrać z dzisiejszego pałacowego menu kilka pozycji.

– W tej sytuacji raczej nie będę wybrzydzać. – Nes wzruszyła ramionami i nałożyła na delikatnie zdobiony talerz spory kawałek pieczeni.

Minister uśmiechnął się pod nosem i nalał sobie odrobinę zupy. Nie jadł jednak, a jedynie przyglądał się, jak kapitan z apetytem pochłania swoją porcję. Nes dobrze

wiedziała, że jej maniery nie pasują do otoczenia, a co gorsza, że daleko jej teraz do postawy, jaką zaprezentowała trzy dni wcześniej. A jednak potrzeba zaspokojenia głodu była w tej chwili najważniejsza. Duma znacznie łatwiej przychodzi komuś, kto ma pełny brzuch. Gdy w końcu jej ciało dało znać, że ma dość, Nes odłożyła sztucę i z nieukrywaną ciekawością spojrzała na Ijsberga.

– Z pewnością nie zaprosił mnie pan tutaj, żeby poczęstować obiadem – powiedziała, tłumiąc beknięcie.

– Cóż, to też, bo chyba kuchnia bloku czwartego niekoniecznie zaspokaja wszystkie potrzeby, prawda? Lecz, jak pani słusznie zauważyła, nie tylko nakarmienie pani było moim celem.

Wstał i podszedł do niskiego barku, na którym stała butelka czerwonego wina i dwa kieliszki.

– Napije się pani, oczywiście?

Nie czekając na odpowiedź, nalał do obu kieliszków, po czym podał Nes trunek. Podziękowała i upiła łyk. To było dobre wino, choć wytrawne, nie takie, jakie zwykła była pijać wieczorami na pokładzie „Niezatapialnej”.

– Dobrze – powiedział minister, siadając z powrotem. – Myślę, że najwyższy czas na wyjaśnienia.

Nes skupiła wzrok na jego twarzy, starając się nie rozglądać za bardzo po pomieszczeniu.

– Ma pani oczywiście świadomość tego, jaka kara grozi za piractwo? – Spojrzał na nią, jakby oczekiwał odpowiedzi, więc skinęła głową, czując, jak zasycha jej w ustach. Wystraszyła się, choć przecież jej nie zaskoczył. – Jednak jestem skłonny w pani przypadku odstąpić od litery prawa.

– A moja załoga? – wypaliła natychmiast, czując uderzające mocniej serce.

– Załoga... – Zawiesił głos, jakby się namyślał, a Nes zdusiła w sobie złość. Nie miała innej możliwości, jak tylko pozwolić mu na tę aż nazbyt oczywistą zabawę. – Los załogi zależy tylko od pani, panno Jollienesse.

Posłał jej uśmiech dobrego wujka i Nes pozwoliła sobie na nadzieję, że rozmowa nie potrwa już długo. Jakkolwiek by jego propozycja nie brzmiała, zamierzała ją przyjąć, jeśli tylko dzięki temu v'Ankara i dziewczęta będą żyć.

– Niech pan mówi – poprosiła, gdy milczenie nieznośnie się przedłużało.

– Pozwolę im żyć. Całej dziesiątce, wszystkim członkiniom pani załogi i kucharzowi. Pani jednak w zamian musi coś dla mnie zrobić. Pomoże pani nam w pochwyceniu pozostałych jednostek pirackich.

– Słucham? – Nes drżącą ręką odstawiła kieliszek. – Jak niby miałabym to zrobić?

Minister nie odpowiedział od razu, a ona trawiła wypowiedziane słowa, wpatrując się

w jeden punkt na jego twarzy – w lekko uniesiony kącik ust. Triumfalny półuśmiech, do którego najwyraźniej miał prawo.

– Jestem pewien, że zna pani pirackie kryjówki. Może jakieś hasła, coś, co mogłoby nam pomóc. Zostanie pani wcielona do marynarki w stopniu starszego marynarza, co jest decyzją admirała Continiego, i dołączy pani do załogi „Drapieżnego”.

Nes, zaciskając zwilgotniałą dłoń w pięść, ucieszyła się, że nie ma w ręku szkła. Odetchnęła głęboko, czując wylewającą się na policzki czerwień.

– Dlaczego „Drapieżny”? – spytała, gdy już była pewna, że głos jej nie zdradzi.

Minister uśmiechnął się tak samo jak poprzednio, a jowialność bijąca z jego twarzy sprawiła, że Nes przygryzła wargę.

– Zna pani już nieco ten okręt i jego dowódcę. Poza tym to nasz najlepszy pościgowiec i najlepsza załoga. Miejsce w sam raz dla pani, prawda?

Nie uwierzyła w jego dobrą wolę, a jednak nie mogła zgadnąć, czym się kierował w wyborze. W głowie huczało jej od niewesołych myśli.

– Nie wystarczy obietnica, że będą żyć. Chcę, żeby ich pan wypuścił.

Pokręcił głową.

– Panno Jollienesse, przecież pani jest bystrą kobietą. Pani dobrze wie, że nie mogę sobie na to pozwolić. Potrzebna mi gwarancja pani posłuszeństwa, inaczej kto mnie zapewni, że pani nie zdezerteruje przy pierwszej nadarzającej się okazji?

Miał rację, wiedzieli to oboje. Nes sięgnęła po kieliszek. Pijąc powoli, przyglądała się motywowi zdobiącemu wazę. Przedstawiał polowanie – trzy psy osaczyły lisa. Zwierzę jeszcze żyło, lecz było oczywiste, że nie potrwa to długo.

– Ich życie za moje posłuszeństwo, tak?

Życie dziewcząt i v’Ankary, za których była odpowiedzialna, w zamian za jej honor.

– Ich i pani, niech pani nie zapomina o sobie – odparł, poważniejąc.

Póki życia, póty nadziei.

– Więc?

– Chcę ich zobaczyć, zanim znajdę się na „Drapieżnym”.

* * *

Widzenie było krótkie. Nie pozwolono im zamienić słowa, równie dobrze Nes mogłaby zajrzeć do celi, którą Ijsberg określił jako tymczasową, przez okienko. Nie dano jej też żadnej pewności co do dalszych losów dziewcząt i v’Ana, dlatego milczała ponuro całą drogę do portu.

Fulise odprowadził ją pod sam okręt, a wcześniej powtórzył jeszcze kilkanaście razy, że wszystko będzie dobrze. Po czym zniszczył całkowicie to wrażenie, wzdychając

ciężko, gdy wspinającą się po trapie Nes przywitały gwizdy.

Bardzo szybko zostały uciszone, ale panna Roźnowski mogła sobie dokładnie wyobrazić, co ją czeka, zanim chłopcy przyzwyczają się do tak egzotycznego członka załogi jak kobieta. Marynarka pod tym względem była tworem konserwatywnym, żeby nie powiedzieć skostniałym. Jako ostatnia formacja wojskowa w Unii Dwóch nie dopuszczała kobiet do służby. Kraje ościenne pozwalały sobie na coraz śmielsze żarty w tej kwestii, a Palude z całych sił walczyło obecnie o międzynarodowy prestiż. I tu znów musiała przyznać Ijsbergowi, że potrafił wykorzystać sytuację. Poranne gazety trąbiły o tym, że rząd wreszcie zdecydował się na przełamanie tabu, a na dodatek pierwszą kobietą na pokładzie okrętu Straży jest nie kto inny, jak Jollienesse Roźnowski, do niedawna postrach kupieckich statków, obecnie wierny marynarz Jego Królewskiej Mości Oresta Trzeciego z Fiori Verdich.

Nes od samego początku nie była pewna, z kogo minister zakpił bardziej – z niej czy raczej z Królewskiej Straży Przybrzeżnej w osobach marynarzy „Drapieżnego”. Sądząc po minach Jartiego i jego kompanów, którzy trzeciego dnia służby zastąpili jej drogę, gdy szła nabrać wody, załoga odebrała jej pojawienie się jak coś w rodzaju policzka. Zaszli ją we trzech w ciasnym przejściu między działem a burtą. Mieli skrzywione gniewem twarze, a do tego przewagę i siłę, i znajomości terenu.

– Wciąż nie rozumiem, czemu nie jesteś karmą dla wron z Cytadeli – wysyczał Jarti, a pozostali dwaj przysunęli się o krok bliżej.

– Może nie uwierzysz, ale ja też nie rozumiem – odpowiedziała, siląc się na spokój, jakby to mogło pomóc.

– Karmą dla ryb może zostać w każdej chwili, co, Jarti? – spytał największy z całej trójki, ten, którego miała za plecami.

Napięła mięśnie w oczekiwaniu na cios, który powinien wkrótce nastąpić. Wrzeszczeć o pomoc nie chciała. Zresztą co by to dało?

Jarti uniósł rękę. W tym samym momencie plamę słońca za jego plecami nakrył cień. Jak na komendę wszyscy czworo spojrzeli w górę. Porucznik de Succomber nie odezwał się ani słowem – zmierzył ich tylko surowym spojrzeniem. Jarti płynnie zmienił sens swego gestu, salutując wyższemu stopniem.

– Następnym razem – mruknął i odszedł niechętnie, a za nim, niczym wierni satelici, podążyli dwaj pozostali.

Odprawiała ich wzrokiem, czując, jak jej ciało mięknie pod wpływem opuszczających je emocji.

– Pośpieszcie się, marynarzu Roźnowski. – Głos porucznika przywrócił ją do przytomności. – Kuk z pewnością nie będzie zadowolony z opóźnienia.

Skinęła głową, po czym zreflektowała się i powiedziała głośno:

– Tak jest, panie poruczniku!

Na ułamek sekundy jego twarz zmieniła się – złagodniała pod wpływem ledwie widocznego uśmiechu. Potem z powrotem przybrała surowy wyraz, a Nes czym prędzej spuściła wiadro za burtę i nabrała wody. Gdy je wyciągnęła i odwróciła się na pięcie, po poruczniku nie było już śladu. Odetchnęła głęboko, zanim ruszyła do kambuza, gdzie czekał zirytowany – jak przewidział de Succomber – kuk.

– Ile można czekać? – sarknął. – Po śmierć by cię wysłać! Bierz się do obierania, bo nie chcesz wiedzieć, co będzie, jak się obiad spóźni!

Bez słowa zalała wodą ziemniaki czekające w drugim wiadrze i sięgnęła po nóż. Drżały jej ręce, gdy wzięła pierwszą bulwę, więc zacisnęła palce mocniej. Beznadzieja sytuacji, w jakiej się znalazła, przygniatała ją z każdą chwilą bardziej.

Ale żyjesz! – warknęła na siebie w myślach. – I oni żyją!

Tylko jak długo?

Nóż poruszał się mechanicznie. Każde kolejne cięcie było szybsze, tak jak szybciej płynęła krew, pompowana przez bijące gwałtownie serce.

Oczywista groźba, którą przed chwilą usłyszała, dotarła do niej z nową siłą. Czy naprawdę byłiby w stanie coś jej zrobić? Coś więcej niż nabicie paru sińców? Najprawdopodobniej nie, wszak nie po to trafiła na okręt Ucellego, by wyrok odroczonego przez państwo wykonali marynarze. Z pewnością kapitan zadbał, żeby załoga o tym wiedziała. A jednak Nes dręczył niepokój, bo zdawała sobie sprawę, że wzbudza w otaczających ją mężczyznach zrozumiałą nienawiść – jako piratka i morderczyni, którą czyniło z niej w oczach marynarzy choćby zatopienie „Honoru”.

Czy dlatego Ijsberg wybrał „Drapieżnego”? Bo tu byli naoczni świadkowie? Bo tu najtrudniej było zapomnieć o wyrzutach sumienia? Tego dla niej chciał?

Z trudem przychodziło jej uwierzyć, że ktoś taki jak on przejmował się czymkolwiek sumieniem – minister nie był przecież łysym kaznodzieją, jakich spotykało się czasem po wsiach.

– Dość!

Podniosła wzrok znad wiadra i zamrugła, widząc tylko nieostrą sylwetkę pochylonego nad nią mężczyzny.

– Dość – powtórzył kuk. – Szybka jesteś!

Nes zmrużyła oczy, wzrok wrócił do normy.

– Zieleninę pokrój!

Godzinę później podawała miski, a kucharz napełniał je po brzegi zupą, której zasadniczy składnik stanowiły ziemniaki. Funkcję mięsa spełniały w niej nieduże kawałki kiełbasy, a główną przyprawą była przypieczona na blasze cebula. Soli kuk używał niezwykle oszczędnie i nie przeszkadzały mu powtarzające się kpiny i

narzekania.

Marynarze stojący w kolejce po swoją porcję jak zwykle gapili się na Nes bez skrępowania, a ona starała się nie pokazywać po sobie, że ją to obchodzi. To był trzeci dzień na okręcie i wiedziała już, że nie ma innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z rolą, którą wyznaczył jej Feliks. Kapitan uznał bowiem, że jako kobieta doskonale odnajdzie się w kuchni, czego jednak nie powiedział jej osobiście, a przekazał przez bosmana zaraz po zaokrętowaniu.

– Myślałby kto, że jak się doczekaliśmy baby w kuchni, to żarcie będzie zjadliwe. – Czyjś gderliwy głos wzniósł się ponad inne.

– To nie baba, ona się nie zna na kuchni, zna się na zabijaniu dla pieniędzy – odburknął inny marynarz i nagle w mesie zrobiło się zupełnie cicho.

* * *

W czwartym tygodniu służby byłej pani kapitan porucznik de Succomber uznał, że starszy marynarz Roźnowski jest gotowa, by włączyć ją w regularny grafik wacht. Wiadomość znów przyniósł bosman Mordente, który tłumaczył jej teraz monotonnym głosem:

– Jeśli zaczynasz wachtę po zachodzie słońca, to wcześniej idziesz do kapitana i odbierasz od niego sowę. Potem ją przekazujesz temu, co cię zmienia. A jak kończysz o świcie, to idziesz ją oddać. Zawsze wiadomo, kto ma sowę i kto coś w niej majstrował. Rozumiesz?

Nes potaknęła, zastanawiając się, czym jest rzeczona sowa i dlaczego nie można jej zwyczajnie trzymać z resztą sprzętu w zbrojowni. Nie miała wcale ochoty na wizytę w kapitańskiej kajucie – od Ucellego trzymała się z daleka i nie była uszczęśliwiona perspektywą zmiany tego stanu rzeczy. Bała się swojej reakcji, której zwyczajnie nie potrafiła przewidzieć.

– Ej, coś się tak zamyśliła? – warknął Mordente, przywołując ją do rzeczywistości. – Gardło zdzieram, żebyś wiedziała, co masz robić, jak już nam tu podrzucili babę, której nawet nie można użyć, jak się należy! – To mówiąc, skrzywił się na takie porządki i splunął pod nogi.

Nes zmilczała – po raz kolejny utwierdzając się w decyzji o niereagowaniu na żadne zaczepki – a bosman podjął po chwili:

– Kapitan kazał, żebyś przyszła na godzinę przez zachodem, to ci wyjaśni, jak to działa. Każdego nowego uczy sam. Rozumiesz?

Kiwnęła głową, a Mordente znów się skrzywił i wymruczał niezadowolony:

– Ani się nie odezwie! Żadnego pożytku!

Po czym, rzuciwszy jej ostatnie spojrzenie, odwrócił się na pięcie i zostawił Nes samą w jej ciasnej, ale przynajmniej pojedynczej kajucie. Rzadki luksus na okręcie Straży Przybrzeżnej, podyktowany jednak oczywistymi względami.

Godzina przez zachodem, pomyślała, wzdychając w duchu. Jakby nie można było powiedzieć po ludzku: o wpół do siódmej.

Pierwsza nocna wachta. Jak łatwo byłoby zniknąć w wodach Wilczego Nurtu. Tyle że nie mogła. Nie mogła, bo nie miała pojęcia, gdzie Ijsberg umieścił dziewczyny, a co za tym idzie, gdzie ich szukać. Leżąc na koi, w chwilach tuż przed zaśnięciem układała absurdalne plany ucieczki i uwolnienia swojej załogi, lecz po przebudzeniu przytłoczona rzeczywistością wyobraźnia dopuszczała rozsądek do głosu. Jeszcze nie teraz, może później, gdy pojawi się okazja, której trzeba po prostu wypatrywać. Na razie mogła jedynie żywić nadzieję, że zgodnie z danym jej przez ministra słowem i dziewczęta, i v'Ankara żyją i są dobrze traktowani.

Westchnęła i opuściła kajutę, po czym przeszła okrężną drogą przez górny pokład na korytarz, który prowadził do kajuty kapitańskiej. Stanąwszy pod właściwymi drzwiami, wygładziła mundur, poprawiła czapkę i ostrożnie zapukała.

Zza drzwi od razu rozległ się zapraszający głos, więc weszła, rzuciła szybkie spojrzenie na siedzącego przy stole Feliksa i zasalutowała przepisowo.

– Na rozkaz, kapitanie – powiedziała, ogniskując wzrok na ścianie ponad jego głową.

Oddając salut, Ucelli podszedł do szafy, z której wyjął niewielkie prostokątne pudełko, a następnie, postawiwszy je na pokrytym mapami stole, gestem przywołał ją bliżej. Wykonała polecenie, zaciekawiona do granic możliwości.

– Panno Roźnowski, jako że została pani wciągnięta w całodobowy grafik wacht, muszę panią przeszkolić w używaniu sowy. Na wstępie powiem, że to bardzo cenny sprzęt i marynarka dysponuje jak na razie tylko jedenastoma egzemplarzami. „Drapieżny” został wybrany jako jeden z dziesięciu okrętów, które mają taki sprzęt na pokładzie. Jedenasta, prototypowa sowa znajduje się w Akademii w Hidene.

Przerwał na chwilę i przyjrzał się jej uważnie, po czym sięgnął do pudełka i wyjął z niego gogle. Nes prawie parsknęła śmiechem, gdy dotarło do niej, co właśnie z widocznym przejęciem pokazuje jej Feliks. Zasłaniając usta ręką, udała atak kaszlu.

– Czyżby źle się pani poczuła? – spytał kapitan z wyraźną troską.

– To tylko kaszel, nic wielkiego, panie kapitanie. Rozumiem, że te gogle umożliwiają obserwację nocną, tak?

Wzięta sprzęt z jego rąk, po czym, założywszy go, zmarszczyła czoło. Po krótkim zastanowieniu zmieniła tryb z nocnego na dzienny i zaczęła regulować zasięg oraz ostrość. Działały bez zarzutu, zupełnie jak te, które Heile miała na sobie już wtedy, gdy się poznały, i których dziewczyny używały każdej nocy na „Niezatapialnej”. Nie

wyglądały wprawdzie identycznie, bo gogle Heile były lżejsze, miały większe okulary, a do tego zwyczajnie ładniejszą oprawę, ale identycznie działały.

Nes zdjęła sprzęt z głowy i nie mogła powstrzymać uśmiešku, widząc twarz Feliksa. Wyglądał nie tyle na zaskoczonego, co wręcz zszokowanego, a była kapitan pirackiego statku nagle zastanowiła się, czy prototyp faktycznie znajduje się w Akademii, czy może jednak na dnie Leniwej, obok wraku „Niezatapialnej”. Uśmiech zniknął z twarzy Nes jak zdmuchnięty.

– Chce mi pan coś jeszcze pokazać, czy to już wszystko, panie kapitanie?

Feliks zrobił krok w jej stronę.

– Coś się stało?

Nie odpowiedziała.

– Panno Nes, chyba lepiej, że jest pani pod moją komendą, niż gdzie indziej, pomiędzy obcymi – powiedział cicho.

– Czy to już wszystko, panie kapitanie? – powtórzyła powoli, czując, że zaraz wybuchnie.

Nie mogła pojąć, jak Feliks może nie rozumieć oczywistości. Nie mogła też wyjść, dopóki on nie udzieli jej pozwolenia. Nie w marynarce Jego Królewskiej Mości. To na „Niezatapialnej” trzaskanie drzwiami kapitańskiej kajuty było na porządku dziennym.

Uratowało ją pukanie do drzwi. Ucelli odsunął się, odetchnął głęboko, jakby też musiał się uspokoić i krzyknął:

– Wejść!

W otwartych drzwiach stanął porucznik de Succomber, więc Nes wykonała kolejny salut. Konieczność przykładania pięści do obojczyka za każdym razem, gdy w polu widzenia pojawiał się ktoś starszy stopniem, doprowadzała ją do szału, a jednocześnie pozwalała skupiać emocje na czymś mało istotnym.

– Poruczniku? – spytał Ucelli ponad głową Nes.

– Zbliżamy się do śluzy – zameldował de Succomber.

– Dobrze, wiecie co robić. Coś jeszcze?

– Co potem, kapitanie?

Nes poczuła na sobie spojrzenie Feliksa i odruchowo napięła mięśnie. Ze śluzy można było popłynąć na Klucze i jeśli umiało się pokonać progi, przedostać się na Leniwą, tak jak zrobiły to one, ostatni raz uciekając z Turkusowego, albo na Dogodną, która prowadziła na drugie co do wielkości jezioro Palude. Oczekiwała pytania, w końcu podobno była tutaj, żeby wskazywać możliwe trasy pirackich jednostek, jednak ono nie padło.

– Kurs na Dogodną, przeszukamy brzegi Nugatowej Głębi – powiedział Ucelli, a de Succomber skinął głową. – Proszę zabrać ze sobą pannę Roźnowski, poruczniku, zdaje

się, że zaraz zaczyna wachtę.

De Succomber otworzył drzwi i gestem wskazał Nes, że ma pójść przodem. Wyszła, nie oglądając się na Feliksa. Przemierzając korytarz, założyła gogle na czoło i wyregulowała paski mocujące. Szła szybko, rozdrażniona słowami Ucellego, jego spojrzeniem, w którym dopatrzyła się i współczucia, i przygany, a na koniec swoją własną reakcją. Za plecami słyszała kroki porucznika, spokojniejsze niż jej własne. Kroki mężczyzny, który wie, dokąd zmierza.

Wyszła na górny pokład i odebrała raport od swego poprzednika, a potem wspięła się na punkt obserwacyjny. Słońce ginęło właśnie za nierównym horyzontem i zwięzający się w tym miejscu nurt nabrał szarosrebrnego odcienia. Ciemniejsze, zalesione brzegi były tutaj wysokie i miejscami strome. Śluza, wybudowana kilkanaście lat wcześniej, umożliwiła żeglugę w górę rzeki, łącząc ze sobą dwa regiony Palude. Do tamtego momentu jedynie małe wiosłowe łódki, które można było wyjąć z wody i zwyczajnie przenieść na plecach, mogły pokonać Wilczy Próg. Nes podziwiała architektów i inżynierów, a także szeregowych budowniczych, których wspólny wysiłek pozwalał okiełznać naturę, dając tym samym człowiekowi dominację nad rzeką.

Okręt był cichy, jak zwykle po zachodzie słońca. Wokół rozlegały się tylko dźwięki doskonale słyszalne o tej porze – miarowy chłupot wody mielonej łopatomi kół napędowych i trzeszczenie pokładu. Starszy marynarz Roźnowski zamknęła oczy i wsłuchiwała się w te swojskie odgłosy, pozwalając im uspokoić wzburzone nerwy.

– Przyjemna chwila, prawda, panno Roźnowski?

Odwróciła się zaskoczona, by spojrzeć wprost w łagodnie uśmiechniętą twarz porucznika.

– Myślałam, że pan poszedł dalej – powiedziała, zdając sobie sprawę, że nie jest to dobre wytłumaczenie gapiostwa na wachcie.

– Mam jeszcze chwilę, zanim wpłyniemy na śluzę. Lubię ten moment, gdy życie na okręcie zamiera. Pani chyba także. – Znów się uśmiechnął i Nes odetchnęła z ulgą.

– Tu jest inaczej niż na „Niezatapialnej”. Miejsca mniej, a ludzi więcej. Trudno o taką chwilę poza nocną wachtą.

– A czasem i na niej. Zaraz zrobi się gwarno, minęliśmy latarnię na Urwanym Cyplu.

– Przy tej prędkości dotrzemy do śluzy za jakieś dwadzieścia minut.

Potaknął.

– A tymczasem możemy jeszcze przez moment nacieszyć się spokojem.

Teraz ona skinęła głową, po czym założyła gogle, szybkim ruchem zmieniając zasięg. Nie miała pojęcia, jaka jest zasada działania sprzętu, nazwanego przez armię sową. I Heile, i Gustaf próbowali jej to wyjaśniać, lecz była odporna na ten rodzaj wiedzy. Ważne, że gogle w jakiś sposób rozjaśniały ciemność i powiększały obraz, zamieniając

dla swego użytkownika noc w dzień.

– Przypadkiem słyszałem pani rozmowę z kapitanem – odezwał się znów de Succomber, a Nes poczuła, że odruchowo napina wszystkie mięśnie. – Niech pani się nie złości, ale jest trochę racji w tym, że tu ma pani wokół siebie przynajmniej trzech życzliwych ludzi.

Nes nie wiedziała, co powiedzieć. Z jednej strony miał rację, z drugiej... Z drugiej była jeszcze tamta noc, której wspomnienia nie potrafiła wyrzucić z głowy, choć swoje uczucia do Feliksa określała obecnie mianem obojętności. Nawet jeśli nie było to określenie do końca prawdziwe.

Zza pleców dobiegło ją ciche westchnienie, więc zaczęła na siłę szukać brakujących słów. Czowała, że powinna odpowiedzieć. Miał rację – w jej sytuacji życzliwość pierwszego oficera trudno było przecenić. Podniosła prawą rękę. Zaciśnęła i rozprostowała palce. Nadal ćmiły tępym bólem, po tym jak wczoraj podczas szorowania pokładu jeden z marynarzy, przepaszając za niewagę, nadepnął na jej dłoń. Przypadkowe pchnięcia i wyciągnięte w odpowiednim momencie nogi zdarzały się co prawda rzadziej niż na początku, lecz wciąż pozostawały stałym elementem jej życia na „Drapieżnym”. Sprawiały, że na wpół żartobliwe, może prostackie, lecz w gruncie rzeczy niegroźne gwizdy czy odzywki zdawały jej się niemal dowodem sympatii. Zresztą może tym właśnie były? W końcu marynarze rzadko schodzili na ląd w czasie patroli, a te trwały trzy, czasem nawet cztery miesiące. Nie było zatem zaskakujące, że gdy na pokładzie pojawiła się kobieta, nie potrafili zachować rozsądku. Długa droga czekała jeszcze Marynarkę Królewską, jeśli chciała ona osiągnąć poziom chociażby piechoty, nie mówiąc już o najmłodszej formacji wojskowej Palude, czyli siłach powietrznych. Tam to właśnie kobiety, jako niższe i lżejsze, były znacznie bardziej cenione i z pewnością nikt nie traktował ich w taki sposób.

Zagryzła wargi, próbując skupić myśli na tym, co powiedział porucznik.

Trzech życzliwych mężczyzn. Kapitan, który rozmawiał z nią dziś po raz pierwszy, odkąd weszła na pokład, pierwszy oficer i lekarz pokładowy, jedyny chyba prawdziwie uradowany jej widokiem, a także zupełnie niezauważający, że swą jawnie okazywaną sympatią przynosi Nes więcej szkody niż pożytku. Westchnęła, czując na plecach ciężkie spojrzenie porucznika. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, by go nie zrazić, a jednocześnie pozostać w zgodzie ze sobą.

– Nie musi pani nic mówić – odezwał się, jakby czytając jej w myślach. – Po prostu niech pani to weźmie pod uwagę w kontaktach z kapitanem.

Odwróciła się, zsuwając gogle na czoło.

– Czy to rozkaz, panie poruczniku? – Głos zabrzmiał chłodno nawet w jej uszach.

De Succomber cofnął się o krok, a Nes poczuła, że na policzki wypływa jej rumieniec

zawstydzienia.

– Przepraszam. Jestem przewrażliwiona... Ta cała sytuacja... To jest po prostu trudne, staram się... – Umilkła, zdziwiona, że pozwala sobie na taką szczerość w stosunku do obcego człowieka, na dodatek wroga. Skoro marynarze ją tak postrzegali, nie pozostawała dłużna i również uważała ich za nieprzyjaciół.

De Succomber poczekał jeszcze chwilę, jakby dawał jej szansę na dokończenie myśli, po czym powiedział:

– Przewrażliwiona? Ciekawe, panno Rożnowski, bo dokładnie tym słowem doktor Sawelo określił wczoraj kapitana, gdy rozmowa przy stole zeszała na panią. – Uważne spojrzenie porucznika miało w sobie sporo szczerzej sympatii. – Wasz problem jest dość podobny, choć patrzycie na sprawę z przeciwległych biegunów.

Nes wytrzymała spojrzenie i w końcu zmieniła temat.

– Nie podziękowałam panu za uratowanie życia, poruczniku. To pan strzelał wtedy na Leniwej, prawda?

W oczach de Succombera pojawił się cień.

– Ja – odparł krótko.

– Jest pan dobrym strzelcem – powiedziała z podziwem w głosie.

– Sporo w tym szczęścia, panno Rożnowski. – Ukłonił się zupełnie tak, jakby nie była starszym marynarzem pod jego rozkazami, a osobą, którą mogłaby być, gdyby coś po drodze się nie zepsuło. – Śluz przed nami, zatem opuszczę panią. Proszę tylko raz jeszcze, żeby pani przynajmniej pomyślała nad tym, co powiedziałem.

Wyminął ją i zszedł po drabince prowadzącej bezpośrednio na dolny pokład. Nes została z niepokojącym uczuciem, jakby ta scena rozegrała się już kiedyś w przeszłości, a teraz jedynie odtworzono ją z nią w roli głównej. Potrząsnęła głową, zsunęła sowę z powrotem na oczy i wróciła do obserwacji brzegów.

Tymczasem na pokładzie zrobił się ruch, marynarze wyznaczeni do prac przy śluzowaniu zajmowali swoje stanowiska. Od strony, z której nadpływał „Drapieżny” wrota były otwarte, więc musieli jedynie czekać, aż poziom wody się podniesie. Była kapitan, choć podziwiała konstruktorów, nie lubiła śluz. Wiązały się z zamknięciem, z brakiem możliwości manewru. Na takie przeszkody jak progi „Niezatapialna” miała własny sposób w postaci fiolki noszonej przez Nes przy pasku. Gustaf potrafił tworzyć cuda, jeśli dało mu się odpowiednio dużo czasu i jeśli miał czym.

Patrzyła na sprawnie przeprowadzany manewr. Na wspinającego się z kocią zwinnością po metalowej drabince marynarza, który miał uruchomić mechanizm zamykający ciężkie wrota śluzy. Na milczącego porucznika, który nie musiał wydawać żadnego polecenia, tak dobrze była zgrana załoga „Drapieżnego”. Skupiona na spektaklu, nie zauważyła, kiedy zaczął padać deszcz. Dopiero po chwili zorientowała

się, że moknie. Naciągnęła czapkę mocniej na uszy i przetarła szkła sowy. Niewiele to zmieniło – mokre okulary przekłamywały obraz, w kilku miejscach ostro łamiąc linię brzegu. Podkręciła jasność, mając nadzieję, że to pomoże, po czym ruszyła na obchód wzdłuż relingów pokładu obserwacyjnego.

Parę minut później wrota śluzy zostały zamknięte i poziom wody zaczął się podnosić. Silnik „Drapieżnego” pracował na jałowym biegu, niepotrzebna para uderzyła w rury za jej plecami. Deszcz się wzmógł i Nes podniosła kołnierz bluzy. Trzymając go pod brodą zmarzniętymi rękami, zastanawiała się właśnie, do jakiego stopnia mundury marynarki są nieprzemakalne, gdy usłyszała za plecami chrząknięcie. Odwróciła się i zobaczyła Feliksa z płaszczem w ręku.

– Zapomniała pani okrycia, marynarzu – odezwał się, wyciągając go w jej stronę.

* * *

Nocne wachty szybko stały się dla Nes najprzyjemniejszą częścią służby w Straży Przybrzeżnej. Znienawidzona przez większość marynarzy pora między północą a świtem dla niej okazała się synonimem spokoju, a następujący po wachcie dzień był przyjemnie krótki, bo po zakończeniu służby miała prawo do pełnych sześciu godzin snu.

Świat nocą zdawał się łagodny i mniej rzeczywisty, a konieczność skupienia uwagi – gdyż Nes obiecała sobie, że nigdy więcej nikt nie zaskoczy jej tak, jak uczynił to porucznik – wykluczała snucie niepotrzebnych myśli.

Stała właśnie na dziobie, regulując ostrość sowy i chłonąc nocną ciszę, gdy jaskrawe światło, potrojone mocą gogli, zraniło jej oczy. Gwałtownym ruchem zerwała sprzęt i przez chwilę mrugała, próbując się pozbyć rozmazujących obraz łez. Gdy w końcu udało jej się skoncentrować wzrok, poczuła, jak zamiera w niej serce. Daleko przed dziobem „Drapieżnego” płonęły oba brzegi Białej Rzeki. Jarzyły się jaskrawym, białobłękitnym płomieniem i Nes przez chwilę walczyła z niedowierzaniem, świadoma, że w tym miejscu płonąć mogą jedynie ogromne, rządowe plantacje ryżu, ciągnące się jak okiem sięgnąć w dolnym biegu rzeki. Zbyt długo tkwiła w bezruchu i nim zdążyła wszczać alarm, na pokład wyszli pierwsi marynarze, zbudzeni łuną. Wtedy dopiero chwyciła wiszący na piersi gwizdek i przytknęła go do ust. Potrójny sygnał wydał jej się dziwnie nieprzystający do potęgi pożaru, więc powtórzyła go dwukrotnie, jakby oddzielnie dla każdego brzegu Białej Rzeki.

Stała potem, zaciskając palce na relingu i wpatrując się w potęgę żywiołu, do którego się zbliżali. Ogień rozrywał materię nocy, odzierał z tej łagodnej niewinności, która jeszcze przed chwilą otaczała pannę Roźnowski i senny okręt. Tymczasem marynarzy

wokół niej przybywało. Niektórzy milczeli, mrużąc oczy, inni szeptali coś gorączkowo towarzysząc. „Drapieżny” przyspieszył zauważalnie i Nes odwróciła się, instynktownie szukając tego, kto wydał rozkaz. Kapitan Ucelli stał na górnym pokładzie tuż przy wylotach rur głosowych i osłaniając oczy dłonią wpatrywał się w spazmatycznie drgające płomienie.

– To już niedługo – odezwał się ktoś i panna Roźnowski znów się odwróciła. W mówiącym rozpoznała jednego z kumpli Jartiego.

Starszy marynarz Tureno – stojący tuż obok – zsunął czapkę na tył głowy i odetchnął ciężko. Nie podjął tematu, ale dziwnie spojrzął na Nes.

– Tak to się zaczyna. – Mężczyzna, który się odezwał, kontynuował tonem sugerującym, że zna się na rzeczy.

– Nie można ludzi gniesć w nieskończoność. – Tureno wzruszył ramionami, włączając się do rozmowy.

– To nie tak – zaproponował jeden z mechaników. – Ijsberg po prostu za późno się za to zabrał.

– Za co? – Z głębi pokładu ktoś wypluł gniewnie pytanie. Nes próbowała odnaleźć wzrokiem mówiącego, lecz oślepiające płomienie skutecznie jej to utrudniały.

– Za porządki! Za porządki, Manni!

Manni wystąpił przed szereg, jakby odpowiadał na wyzwanie. Wyzywający mówił tymczasem dalej, podczas gdy „Drapieżny” wpłynął w ognisty szpaler.

– Gdyby nie te wszystkie wodne rozboje, byłoby lepiej, a tak? Kto chce z nami handlować? Jak tu strach na wodę wyjść?

– Gdyby dali ludziom uczciwie handlować, zamiast paść się na monopolach – odwarknął Manni – to by nie trzeba było polegać na lewych dostawcach, mądrało!

Nes w milczeniu słuchała kłótni. Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się zastanowić nad konsekwencjami własnych działań w perspektywie przedstawianej właśnie przez prostych marynarzy.

– To jedna strona medalu – powiedział spokojnie Tureno. – O tym w gazetach piszą, bo o tym się dobrze pisze. A o tym, co się po fabrykach dzieje, nikt nie pisze, bo taki, co się odważy, długo na wolności nie pożyje. A potem jest tak! – Machnął ręką w stronę brzegów, a jednak nie podążył wzrokiem za gestem; wciąż patrzył na Nes i wkrótce patrzyli na nią także inni. – Zawsze w końcu znajdzie się ktoś, kto ludziom uświadomi, że trzeba walczyć o swoje.

Panna Roźnowski przełknęła ślinę, oparła się całym ciężarem o reling. Gorąco bijące od ognia powoli stawało się nie do zniesienia, a ona poczuła dziwny lęk. Inny niż jakikolwiek wcześniej. Jakby miała zaraz usłyszeć coś, jakiś wyrok, ostateczny i niepodważalny, a nie znała przecież nawet aktu oskarżenia.

– Jak twój ojciec – powiedział cicho Tureno. – Szkoda, że tak skończył.

* * *

Po tamtej nocy życie Nes na „Drapieżnym” jakby się unormowało. Poszczególne dni upływały tak samo, sprowadzając się do obierania ziemniaków, odbywania wacht i szorowania pokładu. Część marynarzy odpuściła, najpewniej znudzona brakiem reakcji, choć byli i tacy, którzy w jakiś pokrętny sposób przerzucili na nią szacunek należny ich zdaniem Romualdowi Roźnowskiemu. Tych zaś, którzy odpuścić nie chcieli, uparcie ignorowała, w żaden sposób nie dając się sprowokować.

Być może na tym polegał jej błąd, co skonstatowała, wmurowana w pokład ciężkim spojrzeniem Feliksa, dysząc i wczuwając się w ból pulsujący w rozbitym nosie, obolałym czole i nadwyrężonym nadgarstku. Obok niej dyszał – wcale nie ciszej – bosman Mordente, trzymając się za zalane krwią usta.

W ciszy, która zaległa, było słycać jedynie pracę maszyn, chlupot wody i oddechy winowajców. Zgromadzeni dookoła członkowie załogi starali się nie wydawać żadnych dźwięków.

– Kto zaczął? – spytał Ucelli surowo, patrząc to na nią, to na Mordentego.

Nes zacisnęła wargi.

Chwył nie był silny, ale za to zdaniem marynarzy, którzy byli świadkami zdarzenia, najwyraźniej bardzo zabawny, bo skwitowali go głośnym rechotem. Skacząc na równe nogi, usłyszała jeszcze czyjeś słowa aprobaty. Potem ogłuszyła ją furia. Słyszała jedynie walenie własnego serca, gdy ruszyła w stronę większego przeciwnika. Pierwszy cios, wyprowadzony z dołu, trafił go idealnie w szczękę, lecz poza tym, że bosmana zdziwił, nie zrobił na nim większego wrażenia. Za to kopniak musiał być znacznie bardziej bolesny, bo Mordente kwiknął i zgiął się wpół. Od tego momentu już nie kontrolowała, co się dzieje, a gdy odciągnięto ich od siebie, dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że krwawi z nosa, a jej czoło ćmi tępy ból. Musiała uderzyć go bykiem, wnioskując po tym, jak wyglądała twarz bosmana i jak wirowało jej w głowie.

– Kto zaczął? – Kapitan powtórzył pytanie, a w jego głosie pojawiła się nuta groźby.

Nes wysunęła podbródek. Nie zaczęła tej bijatyki i nie zamierzała się poddać. Nie w chwili, gdy wciąż jeszcze czuła wielką dłoń bosmana na pośladku.

– Pytam po raz ostatni! – Feliks już nie próbował hamować złości. – Kto pierwszy uderzył?

Krew z rozbitego nosa spłynęła do ust i Nes poczuła żelazisty smak na języku, gdy je otworzyła, by odpowiedzieć:

– To zdaje się byłam ja, panie kapitanie.

– Pani? – Ucelli zbladł na moment i w jego spojrzeniu dostrzegła coś na kształt paniki, lecz szybko się otrząsnął, zaciskając szczęki. – Trutte i Manni, odprowadzicie marynarz Roźnowski do celi przy maszynowni. Za napaść na starszego stopniem zgodnie z regulaminem trzy dni karceru.

Obok smaku żelaza na języku pojawiła się gorycz, gdy spóźniony żal, wywołany tak sformułowanym pytaniem, wymieszał się z krwią. Nes rzuciła kapitanowi dumne spojrzenie, siląc się na pogardliwy uśmiech, który był tak samo mizerny jak wszystkie ostatnio podejmowane próby zachowania godności, po czym bez jednego słowa dała się odprowadzić pod pokład. Przechodząc między marynarzami, nie oparła się zdziwieniu, gdy kątem oka dostrzegła pojedyncze współczujące spojrzenia.

Chwilę później dotarli do maszynowni, gdzie między kotłownią a bunkrem wydzielono niewielkie pomieszczenie, które kapitan wykorzystywał do karania niepokornych marynarzy. Trutte otworzył ciężkie metalowe drzwi i lekko pchnął ją do środka. Manni westchnął i wykonał gest, który miał chyba być czymś w rodzaju salutu, po czym zamknął drzwi. Zgrzytnęły złowieszczo, odcinając dostęp światła. Szczęknęła sztaba i Nes została sama w kompletnie pustym pomieszczeniu, wypełnionym zapachem oleju i drzeniem pracujących za ścianą maszyn. Odetchnęła i czując, że miękną jej nogi, oparła się plecami o ścianę, a potem powoli usiadła na metalowej podłodze. Krew, jeszcze przed chwilą płynąca z nosa, niespiesznie zasychała jej na brodzie. Nes pomyślała, że powinna jakoś ją wytrzeć. Z braku jakichkolwiek innych możliwości napłuła na czapkę i zaczęła nią intensywnie pocierać skórę. Bardzo powoli wzburzenie wywołane bójką, a także tym, co najwyraźniej uchodziło na „Drapieżnym” za sąd, spływało do najdalszych miejsc jej ciała i opuszczało ją, wtapiając się w podłogę karceru. Nie wiedziała, dlaczego zareagowała akurat tym razem. Do tej pory dobrze sobie przecież radziła z każdym rodzajem zaczepek, a i teraz wcale nie była pewna, czy to, co się stało, zasługiwało na tak gwałtowną reakcję. Jakby coś w niej pękło. Bariera, którą zbudowała, runęła i gromadzone tygodniami emocje wybuchły. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy – nie było sensu wyteżać wzroku w miejscu, w którym i tak nie było nic do zobaczenia. Wsłuchiwała się w pracę silników, w odgłosy puszczonej w tłoki pary, w zgrzyt szufli, którą pewnie trzymał w rękach któryś z chłopaków Kuulensa. Oto znajdowała się tuż obok serca okrętu. Gorącego, żywego, bijącego w unikalnym, niemożliwym do podrobienia, równym rytmie.

Pomyślała o „Niezatapialnej”. O jej maszynowni z dwoma silnikami, napędzającymi osobno koła parowca. Lubiała siadać przy którymś z nich. Lubiała słuchać pracy tłoków i stukotu korbowodów. A nade wszystko lubiała patrzeć na umazaną smarem twarz Heile, gdy ta z błyskiem w oku, zapominając o tym, co akurat trzyma w ręce, opowiadała o jakimś nowym pomysle.

Dość, panno Rożnowski! – skarciła się w myślach, czując, jak coś z wielką siłą łapie ją za gardło. – Dość! Oplakałaś ją już i czas najwyższy przestać ją niepokoić!

Nie pierwszy raz usiłowała przekonać samą siebie, że dalsze przeżywanie żałoby nie ma sensu, a Heile nie życzyłaby sobie, by wspomnieniom o niej towarzyszyły łzy. Jednak pomyśleć to jedno, a postąpić wedle własnej rady – zupełnie co innego i Nes zwyczajnie nie potrafiła o swojej mechanik zapomnieć. Prawda była taka, że wraz z „Niezatapialną” straciła kogoś bardzo bliskiego i należało przyjąć, że nigdy nie będzie w stanie się z tym pogodzić.

Próbując uciszyć smutek, zajęła się jedynym, co jej pozostało – uniosła rękę do twarzy, przesunęła palcami po rozciętym na zębach Mordentego czole, pomacała nos, sprawdzając, czy jest cały. Rwały ją knykcie prawej ręki, a rana pod obojczykiem, choć dawno zagojona, odezwiała się tępym bólem.

Odetchnęła głębiej i rozpięła bluzę, czując, jak oblewa ją pot.

To nie będą łatwe trzy dni, pomyślała, podciągając kolana i opierając się o nie czołem.

Jedyne pocieszenie w tym momencie stanowiło wspomnienie twarzy Feliksa, gdy okazało się, że to ją będzie musiał regulaminowo ukarać.

Gorąco sprawiło, że oczyma wyobraźni zobaczyła płonące plantacje, a w gardle stanęła jej kula strachu i niewytłumaczalnego żalu – ta sama mieszanka, która sparaliżowała ją tamtej nocy. W ciasnej celi o ścianach z metalu powietrze było ciepłe, a napięte jak postronki nerwy Nes sprawiały, że wydawało się jeszcze cieplejsze, tak jakby znów zbliżała się do ognia, stojąc przy relingu.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, odkąd została zamknięta, gdy drzwi się otworzyły. Podrywając głowę, uświadomiła sobie, że musiała zasnąć. Nie było to trudne, wzięwszy pod uwagę jej wyczerpanie bijatyką i panującą w karcerze temperaturę.

Przez otwarte drzwi wpadło światło, obrysowując sylwetkę wysokiego mężczyzny, w którym, zmrużywszy oczy, rozpoznała Feliksa.

– Dlaczego pani skłamała? – spytał, nie siląc się na wstęp, a w jego głosie drgała złość.

– Skłamałam? – odpowiedziała pytaniem, nie ruszając się z podłogi.

– Powiedziała pani, że to pani zaczęła.

– Powiedziałam, że to ja pierwsza uderzyłam, bo to akurat prawda. – Zacisnęła palce na zmiętej czapce.

– Był u mnie bosman Mordente. Powiedział, że zanim go pani uderzyła, ubliżył pani – wyrzucił z siebie Ucelli, robiąc krok w jej stronę.

W ciasnej celi stał tak blisko niej, że musiała wysoko zadrzeć głowę, żeby móc patrzeć mu w oczy, a jednak nie wstała. Mordente ją zaskoczył – prawdę mówiąc,

prędzej spodziewałaby się, że któryś z szeregowych marynarzy stanie w jej obronie, niż że bosman sam się przyzna do wywołania awantury.

– Jeśli przez „ubliżył” bosman ma na myśli „złapał za tyłek”, to fakt. Zdaje się, że coś takiego miało miejsce.

– Czemu w takim razie pani tego nie powiedziała? – Feliksowi drgała szczęka.

– A to takie trudne domyślić się, że miałam powód i jaki on był?

– Nie jest moim obowiązkiem się domyślać, panno Roźnowski!

Zaciskanie palców na czapce przestało wystarczać i Nes poddała się zalewającej ją fali gniewu.

– A moim donosić! – wypaliła i zerwała się na równe nogi.

– Piracki honor, tak? – wysyczał pytanie, nie cofając się, choć stanęła tak blisko, że prawie się dotykali.

– Lepszy piracki honor niż honor sługusa Ijsberga! – wrzasnęła, zupełnie przestając nad sobą panować.

Na gwałtownie pobladłą twarz Ucellego wystąpiły rumieńce. Mimo słabego oświetlenia widziała je wyraźnie, tak jak zimno w jego oczach, gdy powiedział:

– Minister Ijsberg to dzielny człowiek. Wziął na siebie ciężar zlikwidowania plagi, która zalewa Palude. Jestem dumny, że mogę w tym uczestniczyć.

– Plaga docenia dzielność ministra i jego dumnych ludzi. – Próbowwała być równie chłodna, ale nie bardzo jej to wyszło. – Najbardziej wtedy, gdy widzi dzieci wieszane na oczach ich matek!

– O czym pani mówi? – zachnął się.

– Wieszanie bez sądu! Mówi to panu coś? A Dolna Gawra? Powiesiliście czternastolatka, bo co? Bo nie miał się jak bronić? Zaiste, dzielni bohaterzy! Walczą z dziećmi albo ze starcami! Pracownia Gustafa z Wietrznego Progu to co?! Trzeba było niszczyć człowiekowi wszystko, co miał?!

Gdzieś głęboko pod pokładami żalu, złości i przytłaczającego poczucia porażki odzywał się upchnięty w ciasnym kącie rozsądek. Miała świadomość, że wrzeszczy na kogoś, kto decyduje o jej życiu, a jednak z całych sił musiała walczyć, by nie zacisnąć dłoni w pięści. Gdyby uderzyła kapitana, pewnie nie wyszłaby z karceru do końca rejsu.

Feliks przez chwilę w milczeniu trawił jej oskarżenia, jednak rumieńce gniewu nie schodziły mu z twarzy.

– To twarde prawo, ale w sytuacji, w jakiej stoi nasz kraj, nie ma innego wyjścia – powiedział w końcu. – Na bogów, czy pani naprawdę uważa się za kogoś lepszego ode mnie? To pani napada niewinnych, zabija ludzi dla ich pieniędzy! Odbiera to, na co zapracowali! Ma pani krew na rękach! I ludzkie łzy! Myślała pani o ich rodzinach? O

tym, że może ktoś na nich gdzieś czeka, a potem dostaje wiadomość, że już nie zobaczy ojca? Męża? A tortury, gdy ktoś nie chce wydać schowka? A palone domy?

– Nie robię takich rzeczy! Nigdy nie robiłam takich rzeczy! – wykrzyknęła, gdy przerwał dla zaczerpnięcia oddechu.

– Nigdy? – Przyglądał jej się uważnie, a gdy otworzyła usta, by potwierdzić, dodał: – A „Honor”?

– „Honor”? – powtórzyła cicho, trafiona celnym ciosem. Nie patrzyła na kapitana, gdy podjęła mizerną próbę obrony. – „Honor” to była walka! Ścigaliście nas! Co miałyśmy robić? To nie to samo! – Z każdym słowem mówiła głośniej i szybciej. – Niech pan sobie zapamięta...

– Nie! – przerwał jej, podnosząc rękę. – Niech pani zapamięta: to pani wybrała taką, a nie inną stronę barykady. Jest pani piratką i nieważne, co właściwie i jak pani robi albo co się pani wydaje: dla prawa, dla opinii publicznej jest pani taka sama jak inni. I tak będzie pani traktowana. Minister okazał wielką łaskawość, dając pani możliwość odkupienia win, powinna pani być mu wdzięczna!

– Wdzięczna?... – Nes cofnęła się krok, potem jeszcze jeden, a potem już nie miała dokąd się cofać, bo za plecami poczuła metalową ścianę. – Za to, że trzyma moją załogę nie mam pojęcia gdzie i grozi mi ich śmiercią, jeśli nie będę posłuszna? Że zmusza mnie do zwykłej zdrady? – Już nie krzyczała. Mówiła teraz powoli i spokojnie, czując, jak trzęsą się jej ręce i mając tylko nadzieję, że zdoła powiedzieć wszystko, zanim drżenie dotrze do ust.

– Pani załoga została wypuszczona! – Feliks spojrział na nią chłodno.

– Wypuszczona... Naprawdę myśli pan, że tkwiłabym tu teraz, gdyby oni byli na wolności?

Przez gruby materiał bluzy mundurowej docierała do Nes temperatura ściany, pod rozczapierzonymi palcami czuła chropowatą fakturę. Patrzyła na twarz Feliksa, na malujące się na niej niedowierzanie.

– Minister powiedział, że pani się z pewnością zgodzi na współpracę, jeśli wypuści pani załogę. Ja odpowiadam honorem za to, że pani nie zdezerteruje.

Uśmiechnęła się. Nie z politowaniem, nie krzywo, po prostu smutno.

– Minister pana okłamał i jeszcze wrzucił panu na barki całkiem spory ciężar – powiedziała w taki sposób, jakby tłumaczyła coś dziecku. – Nie powinien pan brać tego do siebie. To po prostu polityka, panie kapitanie Ucelli.

Rozdział siódmy,

w którym chodzi o dokonywanie wyborów

Porucznik de Succomber siedział naprzeciwko kapitana w rzęsiście oświetlonej kajucie i od dłuższego czasu próbował wtrącić się w monolog młodzieńca. Feliks praktycznie nie tknął kolacji, bo cały czas perorował zawzięcie, zaciskając dłonie na sztuccach. Byli tylko we dwóch, gdyż doktor Sawelo wymówił się od posiłku bólem głowy. Edward był jednak przekonany, że staruszek nie miał ochoty na towarzystwo kapitana po tym, jak ten dziś potraktował Nes.

– Czemu nie przyszła z tym do mnie? Albo do pana? Wiem, że darzy pana sympatią!

Ucelli wyrzucał z siebie słowa z szybkością testowanej ostatnio broni, wykorzystującej sprężone powietrze. Porucznik całkiem niedawno był obecny na pokazie takiego karabinu i musiał stwierdzić, że zrobił on na nim wrażenie.

– Naprawdę pan się jej dziwi, kapitanie? – spytał, gdy młodzieniec w końcu przerwał i wpatrzył się w stojący przed nim talerz wypełniony potrawką drobiową, która zdążyła się już pokryć kozuchem zastygłego sosu. – Przecież gdyby przyszła się poskarżyć, załoga nigdy by jej nie zaakceptowała...

– Ale w ten sposób? Rzucając się na przełożonego? Na bosmana Mordente? Przecież to się mogło skończyć tragicznie!

Edward uśmiechnął się pod nosem na te słowa, aż nazbyt jasno świadczące o najważniejszym, choć być może nie do końca uświadomionym powodzie irytacji Feliksa.

– Nieźle jej poszło, panie kapitanie, przyzna pan.

Ucelli tylko się zachnął.

– Gdyby to potrwało dłużej... Skąd w niej taka furia?

Porucznik westchnął. Młody Feliks najwyraźniej nie potrafił postawić się w sytuacji Nes. Zdawał się nie mieć pojęcia, że powodem jej zachowania są między innymi jego własne decyzje.

– Wie pan, poruczniku, mam trzy starsze siostry. Myślałem, że wiem o kobietach naprawdę sporo, jeśli nie wszystko, lecz ona... – Kapitan urwał i rzucił mu szybkie spojrzenie. – Panna Roźnowski ciągle mnie zaskakuje.

De Succomber nie próbował nawet powstrzymać pobłażliwego uśmiešku.

– Wszystkiego nigdy pan nie będzie wiedział, kapitanie. Zwłaszcza o kobietach. Poza tym, wybaczy pan, lecz porównywanie panien wychowanych w starej arystokratycznej rodzinie, które zapewne nigdy nie musiały upominać się o swoje, do

dziewczyny pokroju Nes jest, delikatnie mówiąc, nie najlepszym pomysłem.

Feliks jakby skurczył się pod uważnym spojrzeniem Edwarda. Porucznik domyślił się, że na kapitana tak podziałało przywołanie jego pochodzenia. Temat wuja admirała nie pojawił się do tej pory, ale reakcje młodzieńca podczas spotkania w gabinecie ministra pozwoliły de Succomber'owi dojść do wniosku, że Ucelli nie był zadowolony z ujawnienia swych koneksji rodzinnych.

– Niech się pan postawi w jej sytuacji, panie kapitanie – kontynuował porucznik powoli, odwracając uwagę Ucellego od niewygodnego dlań tematu. – Od tygodni żyje na tym okręcie, unikając konfrontacji. Ile zaczepek musiała znieść, gdy pana czy mnie nie było w pobliżu? Jak pan myśli? A wcześniej straciła tak naprawdę wszystko. Swój statek, ludzi, za których czuła się odpowiedzialna – bo zakładam, że była dobrym kapitanem, skoro była nim tak długo na pirackiej jednostce. Straciła nie tylko dobytek, ale też plany na przyszłość. W pewnym sensie uratowanie życia stało się dla niej przekleństwem. Do tego dochodzą nerwy, związane z rolą, jaką musi tutaj odgrywać. Czego oczekuje od niej marynarka? Że zdradzi. Kryjówki, bezpieczne trasy, cokolwiek.

– O nic jej nie pytałem...

Ucelli podniósł oczy i Edward wyraźnie zobaczył, że wypowiedzenie tych słów sprawiło mu trudność. To nie było wyznanie, na które mógł sobie pozwolić wzorowy oficer Jego Królewskiej Mości, a zwłaszcza siostrzeniec admirała. Nagle ta przesadna dbałość o honor nabrała dla porucznika nowego znaczenia. Teraz, gdy na tym, co młodzieniec uważał za najcenniejsze, pojawiło się coś na kształt rysy.

– Ale zawsze może pan zapytać, prawda? – odpowiedział łagodnie. – Tak naprawdę dziwię się, że wybuchnęła dopiero dziś. Biorąc pod uwagę mieszankę krwi, która płynie w jej żyłach... Temperament po matce i upór po ojcu.

– Znał ich pan? – W oczach Ucellego błysnęło szczerze zainteresowanie.

– Dawno temu. – De Succomber potrząsnął głową, żałując, że nie ugryzł się w język. – Bardzo dawno.

– I jaki był Romuald Roźnowski?

– *Nigdy, nigdy nas nie złapiecie* – powiedział porucznik, biorąc do ręki kieliszek i zatapiając spojrzenie w ciemnoczerwonym winie. Miał przy tym pełną świadomość, że dla Feliksa te słowa nie mają sensu. Po chwili otrząsnął się i skupiając wzrok na jasnych oczach młodzieńca, odpowiedział na pytanie: – W gruncie rzeczy dość podobny do ciebie, chłopcze. Bardzo, bardzo naiwny.

– Naiwny? – Ton Ucellego oscyłował między zdziwieniem a oburzeniem i Edward nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Wie pan, kapitanie... Jemu się wydawało, że wystarczy powiedzieć władzy, co robi źle, a ona to po prostu poprawi.

– To znaczy?

– Próbował się dostać na jakieś posiedzenie rządu, lecz zamykali przed nim drzwi. Nie dopuszczali go do głosu, zasłaniając się jego pochodzeniem. Był w końcu imigrantem, więc nie było trudno go ignorować. Skoro nie mógł z tej strony, zaczął chodzić między robotników, tłumaczył im, że ich życie ma wartość. Przekładalną na pieniądze. Pokażcie im, że jesteście ważni, że to oni potrzebują was, nie tylko wy ich. I tak doprowadził do pierwszej fali strajków, choć mam wrażenie, że skala tego zjawiska go przerosła. Potem ukrywał u siebie prowodyrów z poszczególnych zakładów. Poza Hidene. Między innymi dlatego tak rzadko bywał w domu, nie tylko interesy odciągały go od rodziny. Prowadzili te swoje marzycielskie debaty i w końcu uradzili, że skoro nie wpuszczają ich drzwiami, wejść oknem. A jeszcze wcześniej trzeba pokazać tym wszystkim złym wyzyskiwaczom, co mogą stracić. Wie pan, że wtedy też płonęły plantacje ryżu? – Edward poczuł dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Pierwszy raz rozmawiał z kimkolwiek na ten temat. Nie myślał, że w ogóle będzie potrafił o tym rozmawiać, tymczasem słowa płynęły wartko jak woda wpadająca do wnętrza okrętu przez otwór wybity w burcie wrogim pociskiem. – A potem kulminacja. Przejąć salę obrad, nie dać się wyrzucić, zanim nie wysłuchają. Takie proste, prawda? A koszty? Nieważne koszty. Nieważne, ile osób być może zginie, bo przecież nie wpuszczą nas tam po dobroci, nieważne, kto zostanie aresztowany, bo jakoś to się będzie musiało skończyć, nieważne, co stanie się z rodzinami zabitych czy aresztowanych, nieważne, jaki ciężar weźmiemy na własne sumienia...

Po minie Feliksa poznał, że się zagalopował. Przez chwilę oddychał przez na wpół otwarte usta, po czym podniósł kieliszek, którego nóżkę wciążył ścisnął w dłoni, i wypił wino jednym haustem.

– Dość lekcji historii, chłopcze – powiedział, sięgając po butelkę i nalewając sobie do pełna.

* * *

– Nie mów, że byś nie chciał sprawdzić, co jest pod spodem...

Mężczyźni zgromadzeni na górnym pokładzie „Drapieżnego” zareagowali zduszonym śmiechem.

– Każdy by chciał – odparł zagadnięty marynarz. – Ale to i tak nie jest normalne. Ani dobre. Kobiety nie powinny nosić mundurów!

Od czasu bijatyki z Mordentem sytuacja Nes na pokładzie się zmieniła. Marynarze znacznie rzadziej pozwalali sobie na zaczepki, a jeśli nawet, to ich ton świadczył raczej o pewnej dozie szacunku i czegoś bardzo zbliżonego do sympatii. Takie rozmowy jak

ta, prowadzone za plecami Nes, były jednak na porządku dziennym.

Edward de Succomber zgadzał się w pełni z mężczyzną, który dość stanowczo wyraził swoje zdanie. Starszy marynarz Tureno taki zresztą był. Stanowczy i spokojny we wszystkim, co robił. Teraz wykręcił się na pięcie i ujrawszy porucznika, zasalutował przepisowo.

– Nie macie nic do roboty, chłopcy? – spytał de Succomber, podchodząc do zgromadzonych przy relingu marynarzy. – A może który ma ochotę oberwać, co?

– Panie poruczniku.

Salutowali kolejno, powoli odrywając wzrok od postaci nieruchomo stojącej na rufie i niechętnie oddalając się do własnych zajęć. Po krótkiej chwili Edward został sam i teraz on wiercił spojrzeniem dziurę w plecach Nes, tuż poniżej związanych w regulaminowy kucyk włosów. Był wzburzony ostatnią rozmową z kapitanem Ucellim, a do tego miał problem z poukładaniem własnych uczuć. Z jednej strony odczuwał ulgę, że – co prawda nie nazywając niczego wprost i nie wspominając o swojej roli w tamtych wydarzeniach – zrzucił z siebie narastający ostatnio ciężar przeszłości. Z drugiej miał wrażenie, że popełnił błąd, dając wyobraźni kapitana dodatkową pożywkę. Był pewien, że na tej jednej rozmowie się nie skończy, bo Feliks, gdy wreszcie zjadł zupełnie zimną potrawkę, spytał go – zasadniczo potwierdzając zdanie Edwarda o naiwności młodzieńca – czy władza może oszukiwać obywateli także stojąc z nimi twarzą w twarz. Coś najwyraźniej chodziło mu po głowie i bardzo powoli Edward zaczął czuć się odpowiedzialny za przyszłe decyzje kapitana, a wcale nie miał pewności, czy jest na tę odpowiedzialność gotowy.

Tymczasem Nes odwróciła się i zmrużywszy oczy, pozdrowiła go – wcale nie regulaminowo – uniesioną dłonią. Edward odpowiedział podobnie, przyglądając się sińcom i zadrapaniom, nawet z daleka widocznym na jej twarzy. O dziwo, nie szpecify dziewczyny, przynajmniej nie w jego oczach. Podziwiał ją za to, jak poradziła sobie z sytuacją, sam na jej miejscu zachowałby się identycznie. Nie mógł się nie uśmiechnąć na wspomnienie stropionej miny bosmana, który zapukał do kajuty kapitańskiej dobrą godzinę po tym, jak starszy marynarz Roźnowski została odprowadzona do celi. Mężczyzna długo miał czapkę w garści, zanim powiedział, o co chodzi, a wychodząc, rzucił jeszcze coś o niezgorszej parze w małych przeciw pięściach.

Teraz te pięści zaciskały się na relingu, podczas gdy zwrócona z powrotem w stronę łądu Nes spoglądała na latarnię sygnałową Dolnej Gawry, obok której właśnie przepływali.

Tymczasem na pokładzie pojawił się kapitan, najwyraźniej również pragnący skorzystać z chwili spokoju na stosunkowo łagodnej w tym miejscu Leniwej. Edward ze swego miejsca mógł obserwować, jak Feliks zatrzymuje się gwałtownie na widok

Nes, a potem robi pierwszy niepewny krok w jej stronę. Nie uszło także jego uwagi, jak napięły się ramiona piratki, gdy Ucelli stanął obok, na tyle daleko, by nie można mu nic zarzucić w kwestii grzeczności, ale też na tyle blisko, by Nes musiała zadrzeć głowę, chcąc spojrzeć mu w twarz. Feliks otworzył usta, lecz z tej odległości Edward nie był w stanie usłyszeć słów. Nes tkwiła w bezruchu i porucznik poczuł ukłucie żalu, że dziewczyna po raz kolejny odtrąci wyciągniętą dłoń Ucellego. Odetchnął z ulgą, gdy odwróciła się lekko i odpowiedziała, zerkając na młodzieńca z ukosa.

* * *

Choć od bójki minął już ponad tydzień, doktor Sawelo wciąż nie pojawiał się na kolacjach w kapitańskiej kajucie. Staruszek zaczął jadać posiłki razem z marynarzami, siadając zawsze w pobliżu Nes, jeśli akurat nie pełniła wachty, i wręcz przytłaczając ją opieką. Porucznik de Succomber był jedynym gościem kapitana. Ucelli nieobecność doktora traktował trochę jak w pełni zasłużoną karę za niewłaściwe zachowanie. Jednocześnie fakt, że nie było przy nich nikogo innego, dawał Feliksowi pewną swobodę i młodzieniec coraz śmielej podejmował tematy związane z polityką. Tego dnia zdawał się wyjątkowo niecierpliwie czekać na zwyczajowe już pogaduszki, a Edward domyślał się, że ma to związek z wizytą w Prigione. Zatrzymali się tam na bunkrowanie i kapitan zezwolił garstce marynarzy zejść na ląd. O dziwo, sam też wybrał się na przechadzkę. Wrócił jako ostatni, już po godzinie wyznaczonej na zbiórkę, zaskakując wszystkich swoim spóźnieniem. Był wzburzony, a teraz porucznik miał się najwyraźniej dowiedzieć, co było tego przyczyną, bo raczej nie to, że po raz kolejny nie udało im się załadować tyle węgla, ile mieli w planach, w związku z czym kapitan zarządził zmniejszenie prędkości do niemalże spacerowej.

Tymczasem Ucelli zwlekał, ostrożnie podnosząc pokrywki z półmisków i nakładając sobie niewielkie porcje każdego dania. De Succomber poszedł w jego ślady, czując, że nie powinien niczego przyśpieszać. Skosztowawszy pieczeni, musiał przyznać, że kucharz miał dziś dobry dzień – a może to przyprawy nabyte w Prigione znacząco poprawiły jakość potrawy?

Porucznik nie mógł się powstrzymać od myśli, że rejs upływa w zadziwiająco spokojnej atmosferze. Owszem, docierały do nich coraz to nowe informacje o atakach na fabryki czy farmy należące do rządu, o strajkach w prywatnych zakładach; problemy z węglem były na porządku dziennym, a jednak nie spotkali na swojej drodze żadnej wrogiej jednostki, jak gdyby piraci, mając za przykład los „Niezatapialnej”, postanowili się przyciąć i przeczekać najgorszy okres nagonki.

– Poruczniku – zagaił w końcu Feliks, gdy już rozgrzebał każdą z potraw,

znajdujących się na talerzu.

– Tak, kapitanie? – Edward sięgnął po kieliszek i upił spory łyk. Zdążył się przekonać, że w rozmowach z kapitanem potrzebuje rozluźnienia.

– Pamięta pan, jak pytałem, czy władza może kłamać, stojąc twarzą w twarz z obywatelem... – Ucelli zerknął spod zmarszczonych brwi, więc Edward skinął głową.

– Nie pytałem wtedy ot, tak sobie. Miałem na myśli konkretną sytuację.

Edward ponownie skinął głową, wypił wino do końca i podszedł do szafki, w której Ucelli trzymał trunki. Wyjąwszy kolejną butelkę i odkorkował ją, choć poprzednia była jeszcze praktycznie nietknięta. Potem nalał sobie do pełna i usiadł, czekając na ciąg dalszy.

– Minister Ijsberg powiedział, że wypuści załogę kapitan Rożnowski. Wtedy, podczas tamtego spotkania, pamięta pan? Spotkania, na którym pan wyrobił sobie o mnie niezbyt pochlebne zdanie, poruczniku. Nie, niech pan nie zaprzecza! Nie mogę się panu dziwić i mam jedynie nadzieję, że zdołam kiedyś uczynić coś, by to zdanie zmienić. – Feliks przerwał na chwilę, jakby potrzebował poukładać kolejne słowa, zanim je wypowie. – Tak więc minister zapewnił, że wypuści załogę. Tymczasem kapitan Rożnowski powiedziała mi, że przetrzymują ich gdzieś w zamknięciu jako gwarancję jej posłuszeństwa.

– Cóż, kapitanie – pozwolił sobie wtrącić porucznik – byłoby to logiczne, inaczej zapewne uciekłyby przy pierwszej nadarzającej się okazji...

– Tak też mi powiedziała, poruczniku. – Ucelli zacisnął wargi. – To dzielna kobieta.

– Niewątpliwie, jednak mam wrażenie, że nie do tego pan zmierza.

– W Prigione jest jedno z tych tajnych więzień, udających coś innego niż to, czym są w rzeczywistości. Wiedział pan?

Edward musiał przyznać, że Ucelli go zaskoczył.

– Wiedziałem, kapitanie.

De Succomber odstawił kieliszek i odłożył sztucce – rozmowa zaczęła mu przeszkadzać w spożywaniu kolacji. Skoncentrował wzrok na kapitanie, którego szczupła twarz z wyraźną kreską blizny biegnącą przez policzek była teraz – nawet jak na niego – niezwykle poważna.

– Z tego, co usłyszałem dziś w miasteczku, wnioskuję, że panna Rożnowski się nie myli, a minister mnie okłamał. Jej załoga jest przetrzymywana w Prigione, poruczniku.

Edward odchylił się na krześle i spojrzał ponad głowę przełożonego, skupiając wzrok na linii łączącej ścianę ze zdobionym drewnem sufitem. Nie miał pojęcia, do czego zmierza kapitan ani jakiej reakcji od niego oczekuje.

– Powiedział jej pan to? – spytał w końcu, spoglądając Ucellemu prosto w oczy.

Twarz Feliksa pokryła się rumieńcem. De Succomber nie był w stanie ocenić, czy to

rumieniec gniewu czy zażenowania, dopóki młodzieniec nie rzucił opryskliwym tonem:

– Oczywiście, że nie! Co by to dało? Przysporzyłoby jej tylko kolejnego zmartwienia, jakby nie miała ich dość! Przecież i tak nie mogę nic zrobić! – Odłożył widelec, którego ani razu nie podniósł do ust. – Ale ta wiedza... Czemu on mnie okłamał? Czego się ode mnie oczekuje, poruczniku? Mój wuj... – zaczął, lecz nagle zmienił temat. – Witrenstiern powiedział, że nic nie poradzę na to, że świat nie chce być czarny albo biały, pan nazwał mnie naiwnym... Wychodzę na idiotę, tak?

– Naiwność nie jest głupotą, nie w takim znaczeniu, w jakim pan ją teraz postrzega...

Porucznik chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz Ucelli przerwał mu, skupiony na własnych myślach.

– Wie pan, zastanawiałem się, jak duże są uszkodzenia „Niezatapialnej”. Oczywiście maszynownia z pewnością bardzo ucierpiała, lecz inne elementy... – Pochylił głowę, jakby zawstydzony, a może zły na siebie za snucie marzeń niegodnych marynarza Jego Królewskiej Mości.

Porucznik milczał dłuższą chwilę, przyglądając się dłoniom Feliksa, które młodzieniec zaciskał bezwiednie na obrusie, i zastanawiając się, co powinien teraz powiedzieć. I czy faktycznie powinien cokolwiek mówić, czy może raczej po prostu by chciał.

– Kapitanie – zaczął w końcu ostrożnie, jednocześnie sięgając po kieliszek, którego jednak nie podniósł do ust. – Młodzieńcze... Miałem kiedyś przyjaciela. Dobrego. Takiego, przy którym nie wstydzisz się nawet płakać, bo wiesz, że nigdy, przenigdy nikomu o tym nie powie, ba, zapomni tuż po tym, jak poda ci chusteczkę. I któregoś dnia, gdy musiałem wybrać, czy posłuchać rozsądku, czy serca, wybrałem źle. Do dziś mam kaca z tego powodu. Rozumiesz?

Feliks nie odrywał od niego spojrzenia, a jego palce stawały się coraz bielsze.

– Sugeruje pan, poruczniku, że powinienem zlekceważyć swoje obowiązki? Narazić na szwank honor mój i mojej rodziny?

Edward skrzywił się. Odstawiony z pasją kieliszek brzęknął jęklonie w proteście i rozpadł się na kilka części. Czerwone wino utworzyło na obrusie krwawą plamę, a w piersi porucznika taką samą plamą rozlała się nagła złość.

– Niczego ci nie sugeruję, młody osle! – warknął. – Mówię tylko, że jeśli nie posłuchasz samego siebie i nie zrobisz tego, czego naprawdę pragniesz, to kiedyś będziesz siedział przy takim samym stole, stary i bez szans na naprawienie czegokolwiek, i będziesz się upijał, żeby nie pamiętać.

Wstał gwałtownie, omal nie przewracając krzesła, i ruszył do drzwi. Otworzywszy je

z tą samą pasją, jaka towarzyszyła poprzednim gestom, odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na zagubione oblicze Ucellego.

– Ucz się na cudzych błędach, jeśli los łaskawie oferuje ci taką możliwość – rzucił, po czym wyszedł, zostawiając Feliksa z niedokończoną kolacją.

Znalazłszy się na pokładzie, stanął ukryty w niszy, jaką tworzyła osłona działa, i sięgnął do kieszeni po papierośnicę. Niepomny zakazu palenia na okrętach Jego Królewskiej Mości, zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu zapalnika.

Bardzo potrzebował czegoś, co pomoże mu zapanować nad drżeniem rąk, w których – wiedział to na pewno – nie potrafiłby w tej chwili utrzymać sztucców. Lata temu, po zejściu z pokładu „Falszywej Gratki”, po prostu wstąpił do najbliższego punktu werbunkowego i zaciągnął się do Królewskiej Marynarki. Wydawała się to najlepsza, bo jedyna możliwa droga ucieczki. Uważał, że nie będzie miał problemu z ukryciem swojej tożsamości, z wtopieniem się w szeregi zwykłych marynarzy. Wpadł po dwóch latach, gdy rozpoznał go oficer towarzyszący admirałowi Continiemu w przeglądzie załóg trzech wybranych losowo okrętów. Efektem był natychmiastowy awans, połączony ze stałą obserwacją. Po kolejnych dwóch latach dali mu spokój. Oswoił się z przeszłością, ze wszystkimi jej odcieniami. I z tym, że – aby nie atakowała zbyt nachalnie – należy często popijać mocne czerwone wino i zajmować się swoimi obowiązkami. A potem dostał przydział do załogi Ucellego i przeszłość w postaci niepozornej jasnowłosej dziewczyny postanowiła się o niego upomnieć.

Najpierw przypomniał sobie salon Roźnowskich i małą Nes, zasypiającą na ramieniu ojca, bo kiedy Romuald raczył przebywać w domu, dziewczynkę trzeba było od niego odrywać siłą. Później we wspomnieniach powrócił tamten szary poranek, na dwa dni przed planowaną akcją. Edward wracał właśnie z całonocnej narady, gdy podszedł do niego obcy człowiek, który w kilku ledwie słowach pokazał mu całą jego młodzieńczą naiwność, dając na koniec oczywisty wybór i kłamliwą obietnicę.

Nie da się zapalić świata w pojedynkę.

– Nie powinien pan tu palić, poruczniku, ale jeśli mnie pan poczęstuje, to nie złożę meldunku.

Głos Nes wyrwał go z zamyślenia. Podeszła do niego bez ostrzeżenia, bez jednego dźwięku, jak przystało na dobrego wachtowego. Uśmiechnął się i wyciągnął w jej stronę dłoń z papierosem. Wzięła go ostrożnie między palce i równie ostrożnie się zaciągnęła. Ostrożność jednak nie na wiele się zdała i dziewczyna, oddając pośpiesznie niedopałek, przytknęła pięść do ust, by nie zdradzić kaszlem ich przestępczej kryjówki. Popatrzył na nią współczująco i zaciągnął się ostatni raz, po czym, zgasiwszy papierosa w palcach, wyrzucił dowód za burtę, w ciemną toń kanału.

– W porządku?

Pokiwała głową, otarła łzy i uśmiechnęła się ładnie.

– Mocne – rzuciła. – I pachną tak samo jak te, które palił ojciec, pamiętam. Dziwne, czasem nie potrafię sobie przypomnieć, jak wyglądał, tak rzadko bywał przecież w domu, a pamiętam zapach papierosów albo ciężar jego ręki na głowie.

– Wcale nie dziwne – odpowiedział, zdusiwszy w zarodku niemądrą chęć pogłaskania dziewczyny po włosach. – Tak to właśnie działa. Pamięta się całym ciałem, nie tylko oczami.

Odwróciła się, zsunęła gogle na oczy i przez chwilę lustrowała brzeg. Potem uniosła je z powrotem i spytała:

– Opowie mi pan kiedyś o ojcu?

Zaskoczyła go. Nie miał pojęcia, że się domyśliła, a teraz ukłuło go pytanie: jak? A może po prostu wyostrzyło się jedno z jej zamglonych wspomnień z dzieciństwa?

– Panno Nes, od tamtego czasu minęło tyle lat...

– Rozumiem, poruczniku. – Wyraźnie słyszał zawód w jej głosie.

– Nic nie rozumiesz, dziewczyno, i dlatego mnie o to prosisz – powiedział po chwili, podczas której wpatrywał się w jej plecy, gdy ona, znów zsunawszy gogle, lustrowała drugi brzeg kanału.

Może i chciała mu jakoś odpowiedzieć, może i on na tę odpowiedź czekał, bo tak naprawdę był już bliski wyznania wszystkiego i oddania się pod jej bardziej lub mniej sprawiedliwy sąd. Los jednak zdecydował inaczej. Nagle coś przykuło uwagę Nes. Trzy gwizdki rozdarły powietrze w tym samym momencie, w którym dosięgła ich pierwsza salwa.

– Moździerze na barkach, dwie z lewej burty, prawa sprawdzam!

W biegu krzyczała do wzmacniacza sonicznego, umieszczonego na pokładzie obserwacyjnym, w biegu nastawiała okulary, w biegu ściał ją z nóg przechył.

De Succomber skoczył i szybkim ruchem poderwał ją do pionu.

– Prawa, trzy kolejne, rufa, dwie!

Następny gwizdek zlał się w jedno z kolejnymi salwami. Pokład zaroił się od marynarzy. Kilku rzuciło się gasić pierwszy pożar, obsługa dział zajęła stanowiska. Na lewej burcie rozległy się strzały z broni ręcznej.

– Lewa burta, dziób, nabieramy wody! – usłyszeli krzyk z jednej z rur głosowych.

Na obserwacyjny wpadł Ucelli w niezapiętym mundurze, z gołą głową. Popatrzył wokół błędnym wzrokiem, podejmując rozpaczliwą próbę natychmiastowego wytrzeźwienia. Skoczywszy do komunikatora, krzyknął w odpowiedzi:

– Pompy na dziób! Lamplustra na pokład! Oświetlić ich i strzelać bez rozkazu!

Działa „Drapieżnego” zagrzmiały w tym samym momencie, gdy kolejna salwa z moździerzy zasypała okręt gradem pocisków. Większość nie robiła krzywdy

opancerzonemu patrolowcowi, jednak kilku udało się trafić w newralgiczne miejsca.

– Uszkodzony ster, kapitanie! – rozległ się okrzyk.

Ucelli omiół spojrzeniem porucznika i Nes, która po zaalarmowaniu załogi wyglądała, jakby nie wiedziała, co powinna teraz zrobić.

– Musimy wiać, kapitanie – odezwała się niepewnie. – To tylko barki, głęboko zanurzone, najpewniej nie mają nawet napędu innego niż ręczny, może pedały. Nie dogonią nas, gdy damy całą naprzód.

– Ster – przypomniał Ucelli, a kolejne trafienie zachwiało pokładem tak, że ledwo ustali na nogach.

– Mamy dobry kierunek, tu rzeka biegnie prosto, kapitanie! Jeśli nie przyspieszymy i nie zwiejemy, to nas mają, działa już są nieefektywne przy tym kącie! – Nes wyregulowała sowę i przez chwilę wpatrywała się w nurt przed dziobem, gdzie nie sięgały skoncentrowane na zagrożeniu za rufą światła lampluster.

– Nie wierzę, że to tylko oni! Mają nas pogryźć, a potem zjawi się prawdziwy drapieżnik!

– Dziewczyna ma rację – zaczął milczący do tej pory de Succomber i w tym momencie „Drapieżny” zaczął skręcać. – Sprawdźmy ten ster!

Głos porucznika utonął w huku następnej salwy, a on sam zbiegł na pokład, gdzie gaszono już kolejne pożary. Kapitan i piratka podążyli za nim. Dym zasnuł wszystko, ograniczając i tak mizerną widoczność, a jego ostry, chemiczny zapach drażnił służówkę i wywoływał łzy.

– Olej – parsknęła Nes za plecami de Succombera.

Przedzierali się przez kłęby, co chwilę potykając się o niewidoczne elementy pokładu, krztusząc się dymem, otoczeni okrzykami walczących z ogniem marynarzy. Kolejne celne trafienie rozerwało pokład tuż za plecami Ucellego, podcinając Nes, która nie zdołała się utrzymać na nogach i padła jak długa na deski. De Succomber obejrzał się na nią, lecz widząc, że dziewczyna się zbiera i rusza na pomoc Feliksowi, skoczył do relingu, gdzie dwóch marynarzy walczyło z zakleszczonym sterem. Problem był większy, niż mogło się wydawać – brak steru w takiej sytuacji byłby lepszy niż ster ustawiony na stałe w pozycji do skrętu. Porucznik wychylił się, chcąc uważniej obejrzeć kawałek metalu – wystrzelony zapewne z moździerza, gdy zabrakło pocisków – wbity między poszycie a płetwę sterową.

– Trzeba tam zejść! – Kapitan tymczasem znalazł się przy nim, pomiędzy jego palcami wczepionymi kurczowo we włosy sączyła się ciemna krew.

Nim ktokolwiek zareagował, Nes przełożyła nogi przez reling i zsunęła się po poszyciu.

– Lina z hakiem! – krzyknęła do patrzących na nią z góry zaskoczonych mężczyzn. –

Szybko, do cholery, dwie najlepiej, bo przecież nie sięgnę!

Szeregowi marynarze rzucili się wykonać polecenie i po chwili piratka, opleciona liną pod pachami, spuściła się niżej. De Succomber patrzył z przerażeniem, ale i podziwem, jak dziewczyna, napędzana rozgrzaną emocjami krwią, trzyma się jedną ręką płetwy, a drugą usiłuje zahaczyć linę o metal blokujący ster.

– Jest!

Marynarze zaczęli ciągnąć obydwie liny. Przez chwilę wydawało się, że nie dadzą rady, a potem „Drapieżny” zaliczył kolejne trafienie i lina, na której wisiała Nes, wysunęła się z rąk upadającego mężczyzny. Jednocześnie zaklinowany kawałek wreszcie się poddał i ster, skrzypiąc, przyjął pozycję wyznaczoną mu przez sternika.

– Nes! – Krzyk Ucellego wzniósł się ponad odgłosy bitwy.

Młodzieniec wychylił się niebezpiecznie, stawiając stopę na relingu. De Succomber obejrzał się na marynarzy, lecz nie dojrzał ich przez ścianę nadchemicznego ognia. W ułamku sekundy przez jego głowę przebiegło nieskończenie wiele obrazów. Zobaczył zrozpaczoną twarz Angelique i rozciągnięte w szczerym uśmiechu oblicze Continiego. Jednocześnie dotarła do niego cała perfidia intrygi Ijsberga i wtedy, na wpół wbrew woli, powiedział spokojnie:

– Skacz, chłopcze.

Feliks też coś zrozumiał i chyba dlatego się zawahał. Edward przeszył go spojrzeniem.

– Skacz! Do brzegu nie jest daleko. A potem oddaj jej ten statek.

– A pan?

– Ktoś musi ogarnąć ten bałagan. – Machnął ręką za siebie, a w myślach dodał: i kryć was, jak długo się da.

Ucelli zamrugał niezbyt przytomnie, po czym nabrał powietrza i krzyknął najgłośniejszym, jak potrafił:

– Mówi kapitan: ster odblokowany! Cała naprzód!

I skoczył w ciemny nurt Rwącej Rzeki.

Rozdział ósmy,

w którym mamy do czynienia z planowaniem strategicznym

Gustafa obudził charakterystyczny rytm uderzeń. Szybko, szybko, wolno, szybko. I po chwili od nowa. Zajął to chyba pukającemu więcej czasu niż zwykle, bo rytm zdawał się niecierpliwie i równomiernie przyspieszać. Staruszek najbardziej miał ochotę przewrócić się na drugi bok i przeczekać. Udawać, że jego też tu nie ma, tak jak nie ma laboratorium, z którego mógłby skorzystać, przygotowując to, czego zapewne oczekuje nocny gość.

* * *

Wtedy, gdy po raz pierwszy od kilku dobrych lat do wioski wkroczyli żołnierze, Gustaf miał przeczucie, że są tu z jego powodu. Potrafił słuchać tego, co niesło się z wiatrem, przychodziło wraz z dostawami węgla, a czasem z nocnymi gośćmi właśnie. Z piętra swojego białego domu mógł obserwować, jak chłopcy w mundurach wchodzą kolejno do poszczególnych chałup, znacząc kolbami sosnowe drzwi. Miał dość czasu, by ukryć najważniejsze przedmioty w schowkach, licząc na to, że nie wszystkie zostaną odnalezione. Dość czasu, by zdecydować, że nie będzie uciekał. Za stary był na to, żeby się kryć po lasach.

A potem, gdy kolby załomotały o jego drzwi, zdziwił się przyspieszonym biciem własnego serca.

Nie czekali na zaproszenie. Drzwi zresztą nie były zaryglowane. Nie chciał, żeby wyłamali zamki, więc zanim wszedł na piętro, zwyczajnie je otworzył. Ciężkie kroki butów na podkutych obcasach zadudniły w jego kuchni. Potem ktoś krzyknął, że to tu i rozległ się pierwszy brzęk rozbijanego szkła. Nie chciał na to patrzeć, więc czekał, aż przyjdą po niego na górę. Siedział na wąskim łóżku, bo nagle stare, sprawdzone nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Dużo później stał na schludnie przyciętym trawniku, otoczony przez żołnierzy, w których wreszcie rozpoznał marynarzy Królewskiej Straży Przybrzeżnej. Skupiał się na tym, by nie upaść. Wyrok miał przynieść niewysoki chłopiec o okrągłej, sympatycznej twarzy. Posłany z zapytaniem do bezimiennego kapitana, szurnął obcasami i pobiegł, jakby go ścigały ogary piekielne. Gustaf nie miał zbyt wiele do roboty poza przyglądaniem się twarzom otaczających go mężczyzn i chłopców. Tych kilku, którzy w niego celowali ze strzelb o długich lufach, miało skupione miny. Niektórzy się

śmiali. Odwrócenii tyłem najwyraźniej opowiadali sobie dowcipy, próbując się rozluźnić po męczącej akcji. Byli też tacy, którzy patrzyli na Gustafa wrogo, i ci pluli mu pogardliwie pod nogi, gdy już posłaniec wrócił i przyniósł ułaskawienie.

Odeszli karną kolumną, maszerując przez główną – bo jedyną – uliczkę wioski, a Gustaf usiadł tam, gdzie stał: na pachnącej latem, rozgrzanej słońcem miękkiej ziemi.

* * *

Pukanie nie ustawało i starzec postanowił w końcu się podnieść, by odesłać nieproszonych i niemile widzianych gości. Po omacku sięgnął po przydługi szlafrok i ruszył w kierunku schodów. Na dole odruchowo się schylił, żeby nie zawadzić głową o rurę chłodnicy, której od paru miesięcy już w tym miejscu nie było, a potem westchnął, podszedł do drzwi i spytał opryskliwie:

– Kto tam? Po co człowieka po nocy budzisz?

– Gustaf! Otwórz, proszę!

Znów poczuł obejmujący go paraliż, choć tym razem nie był to strach, raczej wszechogarniająca ulga.

– Nes! – wyrwało mu się, zanim zdążył sięgnąć do zamków. – Żyjesz, dziewczyno!

Mocował się ze sztabami odrobinę za długo, drżące palce nie trafiały tam, gdzie im nakazywał. W końcu zdołał otworzyć drzwi. W łagodnie mlecznym świetle księżycy panna Nes Roźnowski wyglądała na ledwie żywą, lecz uśmiechnęła się do niego najładniej, jak potrafiła.

– Dobrze, że jesteś, bałam się już, a musimy się gdzieś przechować i pozbyć tego. – Machnęła ręką wzdłuż własnego ciała.

Dopiero teraz zauważył, co Nes ma na sobie, i aż się cofnął w głąb mieszkania, na co zareagowała natychmiast, wchodząc za nim i kiwając na kogoś ręką. Mężczyzna, który przekroczył próg, również był ubrany w mundur Straży Przybrzeżnej. Granatowa kurta z guzikami, które jeszcze niedawno błyszczały, i takie same spodnie. Wyglądał na oficera, podczas gdy Nes miała na sobie bluzę zwykłego marynarza.

Gustaf odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

– Napijcie się herbaty? – spytał i nie czekając na odpowiedź poszedł do kąta, który nazywał kuchnią.

Herbata od zawsze pomagała mu w trudnych chwilach. Wtedy, gdy umysł zmęczony powtarzanymi do znudzenia doświadczeniami odmawiał współpracy, i teraz, gdy trzeba było czymś zająć ręce, by Nes nie domyśliła się, jakie wrażenie wywarł na nim jej widok.

– Zapalisz jakąś lampę?

Stała blisko i po chwili poczuł na ramieniu dłoń dziewczyny.

– Dobrze byłoby cię widzieć, a nie tylko słyszeć.

– Wciąż nie kupiłem nowych kloszy, Nes. – Wzruszył ramionami tak, by niby przypadkiem zrzucić jej rękę, i postawił czajnik na żeliwnej płycie pieca. – Lepiej zapal świeczki. Leżą na półce pod oknem, razem z zapałkami.

Stała jeszcze chwilę, milcząc, aż w końcu posłuchała i po chwili kuchenkę oświetlił ciepły blask świec. Gustaf tymczasem wziął się za rozpalanie ognia z przykrytych popiołem rozżarzonych węgli. Poszło szybko. Musiał to przyznać – nabierał wprawy w posługiwaniu się tradycyjnymi metodami. Wkrótce ogień buzował wesoło, czajnik zajął swoje miejsce nad płomieniem, a kubki z pokruszonymi liśćmi stanęły karnie w szeregu, czekając na zalanie. Gustafowi skończyły się preteksty i musiał podejść do stołu, przy którym siedzieli jego goście, patrzący na siebie ponad blatem w ten dziwny sposób, który łączy niepewność z nadzieją.

Owszem, wiedział, że „Niezatapialna” poszła na dno. Wiedział też, co piszą gazety, nawet jeśli docierały na Wietrzny Próg spóźnione. W to pierwsze musiał uwierzyć, w to drugie nie chciał.

– Wytlumacz – poprosił, przysuwając sobie skrzynkę, bo obydwie stołki były zajęte.

Nes oderwała spojrzenie od twarzy mężczyzny, którego imienia nadal nie poznał, i sięgnęła do włosów, by jak zwykle w chwili rozterki szarpnąć za kosmyk. Dziwnie to wyglądało, bo gest został, a warkocza już nie było.

– Nie wiem, jak. Od czego...

– Od dnia, gdy odpłynęłyście bez węgla, bo skład był pusty.

– Dopadli nas tuż przed Deltą – zaczęła, wpatrując się w blat. – Heile... Nie ma już Heile, bo nie ma już „Niezatapialnej”. Nie wiem, co z Kass. Reszta dziewczyn i v’An są prawdopodobnie w Prigione.

– Skąd wiesz? – Pytanie zabrzmiało ostrzej, niż Gustaf by chciał.

– Od niego. – Kiwnęła głową w stronę oficera.

– A kim on jest?

– Kapitan Feliks Ucelli, Straż Przybrzeżna – odezwał się mężczyzna w mundurze, zanim Nes zdążyła otworzyć usta.

– Wybaczy pan, kapitanie, że się nie ukłonię, ale jakoś nie przepadam za Marynarką Królewską.

– Trudno mi mieć to panu za złe – odpowiedział spokojnie Ucelli.

– Dżentelmen! – Gustaf skrzywił się, wstając. – Woda wrze.

Gdy chwilę później podawał im herbatę, wciąż miał na twarzy ponury wyraz, którego nawet nie próbował maskować. Właściwie sam nie wiedział, skąd w nim tyle goryczy i dlaczego kieruje ją akurat przeciwko Nes, nawet jeśli to tylko rykoszet odbity od

kapitana Ucellego. Od zawsze zdawał sobie sprawę, że to, czym się zajmuje, nie jest mile widziane przez władzę, której ostatnio dodatkowo obniżył się próg tolerancji. Wiedział, że tak naprawdę wykpił się tanim kosztem. Nie spalili domu, a on żył. Tyle że gorycz, wywołana paskudnym uczuciem bezsilności i kumulowana od paru miesięcy, w końcu znalazła ujście.

– W gospodarczym, na tyłach, jest piwniczka – odezwał się, przerywając ciężkie milczenie. – Tam trzymam wasze rzeczy. Idź się przebrać, dziewczyno, bo ten mundur... Żle na tobie leży – wybrnął w końcu. – Pan też niech to zdejmie. Znajdę coś w szafie.

Nes podniosła się od razu. Kapitan potrzebował chwili i ostrego spojrzenia piratki, by pójść w jej ślady.

– Jakiś klucz? – spytała, stojąc już z ręką na klamce.

– Żadnego, po prostu odsuń to, co leży na klapie – odparł Gustaf, nie dodając, że przeważnie jest to krowi nawóz wymieszany ze słomą.

Kiwnęła głową i zniknęła za drzwiami, a starzec został sam na sam z kapitanem Straży Przybrzeżnej. Młody człowiek przyjrzał mu się z zaciśniętymi ustami, a potem powiedział:

– Nie powinien pan tak jej traktować, nie zasłużyła na to. Nie nosi tego munduru, bo chce. – Na jego twarzy pojawił się surowy wyraz, a Gustaf pomyślał, że spojrzenia, których był świadkiem chwilę wcześniej, znaczą nawet więcej, niż mu się na początku wydawało.

– Nie, zapewne nie. – Westchnął. – Coś dla pana znajdę na górze. To nie jest mądre paradować tu w mundurze, zwłaszcza jeśli się jest dezertorem, jak myślę.

Kapitan cofnął się lekko, jakby pchnięty siłą słów, po czym skinął głową.

– Ma pan rację.

Staruszek chwycił świecę i ruszył do sypialni, gotując się ze złości, choć przecież wydawało mu się, że już jest spokojny. W jego wnętrzu zmagaly się ze sobą najróżniejsze uczucia, których po prostu nie rozumiał. Czy dlatego, że przyszli nocą i prosili o pomoc, miał prawo okazywać im swoją niechęć i gorycz? Bo okazali słabość, jakiej nie mieli w sobie tamci żołnierze, którym nie wybaczył ani nie zapomniał? Zemsta na mundurze, na symbolu. Głupia starcza zemsta. Nie za laboratorium, nie za sprzęt, który zbierał przez całe życie, nie za mieszaniny i kryształy warte majątek. Nie. Zemsta za miękkie nogi i za upokorzenie, gdy stał i trząsał się ze strachu, choć mu się wydawało, że jest ponad lęk. Głupia, bezsensowna starcza zemsta, wymierzona w przypadkowe ofiary. A przecież mógł ich zwyczajnie nie wpuścić. Potrząsnął głową. Otwarte gwałtownie drzwi szafy skrzypnęły żałośnie, a on wyciągnął rękę, w której trzymał świecę i stał, patrząc w tańczący wesoło płomyk. W końcu przypomniał sobie,

gdzie szukać tego, po co przyszedł, i zabrawszy z dna szafy tobołek dawno nieużywanych ubrań, odruchowo zdmuchnął świecę tylko po to, żeby znaleźć sobie dodatkowy powód do złości.

Feliks czekał przy oknie, z niepokojem wyglądając powrotu Nes. Nie odwrócił się, gdy Gustaf zszedł po schodach ani wtedy, gdy starzec położył tobołek na stole.

– Nic jej nie jest, po prostu znalazła skrzynię zapomnianych już pewno skarbów – powiedział starzec, a kapitan z ociąganiem oderwał się od okna. – Proszę. Coś pan z tego wybierze, w młodości nie byłem dużo niższy od pana.

Kapitan Ucelli skinął głową, jednocześnie tłumiąc ziewnięcie. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i weszła Nes. Ubrania trzymała zwinięte w kłębek pod pachą i wyglądała na tak samo zmęczoną jak jej towarzysz. Gustaf skrzywił się, tym razem niezadowolony jedynie z siebie jako gospodarza. Powinien od razu położyć ich spać, a nie prezentować gościom cały szeroki wachlarz zachowań niezadowolonego z życia staruszka.

– Idźcie na górę – rzucił, wskazując ręką schody.

Popatrzyli na niego z identycznym wyrazem niezrozumienia na twarzach.

– Mam tylko jedno łóżko. – Wzruszył ramionami. – I już mi się nie chce spać. Nie zasnę, raz obudzony – nie omieszkał im wytknąć.

* * *

To, co działo się o poranku, trudno było nazwać naradą. Lepszym określeniem byłaby luźna wymiana zdań. Zwłaszcza że pomiędzy słowami znajdowali czas, by sięgnąć po kawałek chleba czy oderwany niedbale kąsek sera. Siedzieli przy stole w niewielkiej kuchni i rozmawiali o podniesieniu z dna Leniwej parowca w taki sposób, jakby przerzucali się uwagami na temat rosnących z dnia na dzień cen ryżu.

Gustaf wciąż do końca nie wierzył, że to wszystko nie jest jedynie dalszym ciągiem szalonego snu starca, który nawdychał się w swym laboratorium zbyt wielu nadchemicznych oparów.

– Gdybyśmy mogli użyć krakena... – powiedział Ucelli, zanurzając dłoń we włosy.

Przez chwilę przeczesywał je, zamyślony, po czym syknął i ze zdziwieniem przyjrzał się świeżej krwi, która została mu na palcach.

– Zostaw, po jaką cholere to rozdrapujesz? – spytała dziewczyna. Pozbyła się munduru Straży Przybrzeżnej i znów wyglądała jak kapitan pirackiego statku. – I co to jest ten kraken, panie Ucelli?

– Kraken to coś niesamowitego! – Oczy młodzieńca rozbłysły, a naukowiec uśmiechnął się pod nosem. – Ogromna maszyna, osiem giętkich nóg, właściwie

macek. Marynarka używa krakenów do wydobywania wraków. Czyszczą koryta rzek, oplatają cztery macki wokół ka...

– A ile tego mają? Znaczą, marynarka ma? – przerwała mu Nes, patrząc spod zmarszczonych brwi.

Kapitan zakłopotał się.

– Właściwie... to jakby jeden prototyp i jeden w terenie. Wciąż w fazie eksperymentalnej... Problemy z odprowadzeniem spalin i wewnętrzną temperaturą. Kraken nie działa samodzielnie. No i załoga nie wytrzymuje zbyt długo...

– To chyba nie przyda nam się za bardzo, co? – Tym razem uniosła lekko brwi, czym jedynie pogłębiła jego zakłopotanie. – I niby jak mielibyśmy go pożyczyć?

Kapitan Ucelli westchnął jedynie, najwyraźniej nie znajdując odpowiedzi.

– Gustaf – panna Rożnowski spojrzała z powagą na gospodarza – powiedz szczerze, co ci zostało?

– Sporo chłodnych, beczułka oleju, dwie fiołki skalnej mieszanki i butla lotnej purpurowej.

– Skalna by się mogła przydać...

– Po co? – zdziwił się starzec. – Chcesz wysadzić ten parowiec czy go podnieść z dna?

– Parowiec! – prychnęła, usiłując zbagatelizować kwestię „Niezatapialnej”. – Można wysadzić mur przy szpitalu.

– Głupi pomysł, Nes. – Kapitan pokręcił głową, a dziewczyna się skrzywiła. – Głupi, bo nie wiesz, gdzie ich trzymają. A jeśli każde osobno? Z daleka od innych? Albo gdzieś w piwnicach? W ogóle nie wiemy, jak wygląda ten szpital. Rozkaz byłby lepszy. I krakena by można rozkazem... Zresztą w ogóle nawet jak nie krakena, to odbudowa silników... Gdyby był taki rozkaz od samego króla, żeby „Niezatapialna” pływała jako symbol zwycięstwa nad piractwem. Jak ty. – Coś nowego pojawiło się w jego spojrzeniu i Gustaf nagle poczuł się niczym podglądacz, zupełnie jak wczoraj, gdy chcąc nie chcąc słyszał, co do siebie szepczą, kiedy już w końcu posłuchali i poszli na górę. – Jak ty, Nes. Tylko bardziej spektakularny. Rozumiesz?

– I skąd weźmiesz ten rozkaz?

– Napisać łatwo, papier i atrament pewno da się znaleźć, to przecież laboratorium naukowe. – Popatrzył prosto w oczy Gustafa, a potem na Nes. – Problemem jest pieczęć.

– I papier, i odpowiedni atrament mam. A pieczęć... Cóż, nad pieczęcią trzeba będzie trochę popracować. – Starzec podniósł się ze skrzynki i sięgnął na stół po puste talerze.

Rozdział dziewiąty,

w którym do czynienia mamy z taktyką

Miękkie, chwiejne światło świec obejmowało arkusz eleganckiego papieru pokrytego równym, okrągłym pismem. Nes wpatrywała się w tekst pochylona, wciąż nie do końca wierząc w to, co widzi. Drugi, podobny arkusz Feliks właśnie zapełniał, czelując ze skupieniem poszczególne litery. Czując jej wzrok na sobie, przerwał na chwilę, by odwzajemnić spojrzenie. Uśmiechnął się, lecz oczy pozostały poważne i Nes nie po raz pierwszy przemknęło przez głowę pytanie, ile musiała go kosztować decyzja, którą podjął, skacząc za nią z rufy „Drapieżnego”.

Odpowiedzi zwyczajnie się bała, więc zamiast je zadać, też się uśmiechnęła i odetchnęła głęboko, prostując plecy. Gustaf stał tuż za nią, równie uważnie przyglądając się poczynaniom Feliksa. Nes nie mogła się oprzeć wrażeniu, że stary naukowiec całkiem dobrze się bawi, widząc w tej sytuacji szansę odegrania się na władzy, która pozbawiła go dorobku całego życia.

Ona sama chciała jedynie uwolnić swoją załogę. W podniesienie „Niezatapialnej” wciąż nie wierzyła, a nawet jeśli wrak wynurzyłby się na powierzchnię, uruchomienie zniszczonych wybuchem silników graniczyłoby z cudem.

Jednak mimo całego zdrowego rozsądku, którego Nes nigdy nie brakowało, przyglądanie się entuzjazmowi Feliksa sprawiało jej przyjemność. Patrzyła na niego ponad wyszorowanym niemal do białości blatem stołu i wciąż wracała myślami do chwili, gdy z niemałym wysiłkiem wypęzli z rzeki o zapachu błota na grząski brzeg, a na twarzy Feliksa, patrzącego na płonący okręt, odmalowała się ulga.

* * *

Nes poczuła ucisk w żołądku, gdy dotarło do niej w pełni znaczenie tego, co widzi. „Drapieżny” był okrętem Feliksa, tak jak „Niezatapialna” była jej. Spojrzała na kapitana niepewnie, próbując wymyślić jakieś słowa adekwatne do sytuacji, lecz Feliks nieświadomie powstrzymał ją zmęczonym uśmiechem. Nie powiedział nic, więc ona też milczała. Przez dłuższą chwilę, potrzebną do uspokojenia oddechów, leżeli obok siebie i obserwowali oddalającą się łunę. A potem on pierwszy się podniósł i wyciągnął do niej rękę.

– Chodź – powiedział zdecydowanym tonem. – Mamy sporo do zrobienia.

Nie miała wtedy pojęcia, o czym mówi Ucelli, nie rozumiała też, co się właśnie stało

i dlatego kapitan najlepszego pościgowca Jego Królewskiej Mości, zamiast rzucić jej linę, skoczył za nią, a wypłynąwszy tuż obok, powiedział tylko trzy słowa: *Do brzegu, Nes*.

Pozwoliła sobie pomóc, zaskoczona zarówno tym, jak łatwo poddała się woli Ucellego, jak i tym, że – mimo okoliczności – mocny uścisk jego dłoni zalał jej serce falą ciepła.

– Kapi...

– Później. Na pytania będzie czas. Teraz musimy stąd iść.

Nie sposób było nie przyznać mu racji – choć chroniły ich porastające brzeg kępy tataraku i nocna ciemność, pozostawanie w tym miejscu było niebezpieczne. Nie wiadomo, kto jeszcze krył się w zaroślach, z których wszak wcześniej wypłynęły barki.

Skinęła głową, a Feliks pozwolił sobie na kolejny poważny uśmiech, po czym ruszył przodem. Szli długo, ostrożnie stawiając kroki na niepewnym gruncie. Z niemałym wysiłkiem przedarli się przez zwarty gąszcz sztywnych łodyg i wyszli na otwartą przestrzeń, pokrytą kępami trawy o szerokich, mięsistych źdźbłach. Pomiedzy nimi rozrastały się polacie wrzosów, a tu i ówdzie wzrok przykuwały pojedyncze karłowate krzewy, ledwie widoczne na tle ciemnego nieba. Nes starała się dotrzymać kroku kapitanowi i nie opóźniać wędrówki, lecz grząskie podłoże obfitowało w pułapki, a z dziewczyny powoli uchodziła ta dziwna, pojawiająca się w chwilach szczególnego zagrożenia energia, która najpierw kazała jej zejść na płetwę sterową „Drapieżnego”, a potem pozwoliła dopłynąć do brzegu. Potknęła się raz i drugi, lecz wciąż mechanicznie przestawiała nogi, wpatrzona w wysokie buty kapitana, podświadomie dostosowując się do rytmu kroków mężczyzny. Jej serce biło głucho, niemal boleśnie, a w głowie miała istną karuzelę myśli. Pośród nich na pierwszy plan wysuwały się pytania, które powinna zadać Feliksowi i lęk o porucznika. Za nimi postępowała nieśmiała nadzieja, zagłuszana głosem rozsądku – gdzie niby miała szukać?

Palude było rozległe, a przecież jej załoga mogła być wszędzie, nawet w którymś z drewnianych miasteczek Tuuli albo gdzieś na północy, pośród z rzadka rozrzuconych wiosek. Skupiona na próbach pogodzenia się z sytuacją, nie zauważyła, że Feliks przystanął.

– Sowa, Nes – odezwał się tuż przed tym, jak na niego wpadła.

– Sowa? – W pierwszej chwili nie pojęła, o co mu chodzi, mrugała tylko niepewnie, chcąc przegonić z oczu zmęczenie.

– Masz ją wciąż na szyi.

– Myślisz, że działa? – spytała, sięgając po gogle. Zmęczenie odbiło się w jej głosie zwątpieniem.

– Nie dowiemy się, jeśli nie sprawdzimy. Patrz. – Wskazał ręką nieco na prawo,

gdzie między sterczącymi w niebo głazami majaczyło coś nieokreślonego.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zdążyli już dotrzeć do skalistego pasma niewysokich Wzgórz Kamiennych, dzielącego mokradła Rwącej na część północną i południową.

– Szałas? – Spojrzała na Ucellego niepewnie, wręczając mu sowę i mrużąc jednocześnie oczy.

Niewiele to pomogło. Ukryty za zwiewną zasłoną chmur księżyc dawał mało światła, a ciemność, jedynie lekko posrebrzona jego blaskiem, spłaszcziała obiekty i mieszała odległości. Kapitan założył tymczasem gogle, chwilę majstrował przy pokrętłach, po czym stłumił triumfalny okrzyk i przypadł do ziemi. Nes odruchowo poszła w jego ślady, mimochodem zauważając, że podłoże jest tutaj nieco bardziej suche, co dawało nadzieję na przynajmniej chwilowe wyswobodzenie się z mokradeł.

– Szałas – szepnął Ucelli. – Nie widzę nikogo, ale na wszelki wypadek pójdę przodem. Odpocznij chwilę.

Nie kłóciła się, choć w pierwszym odruchu otworzyła usta, by zaprotestować. Tak naprawdę trzęsa się ze zmęczenia i miała pełną świadomość, że w tej chwili nie jest w stanie wiele pomóc. Wstrząsana dreszczami obserwowała, jak Ucelli powoli czołga się w stronę schronienia. Nie tylko zmęczenie, ale i przenikający do kości chłód, potęgowany wilgocią nasiąkniętego wodą munduru, powodował drzenie, którego nie była w stanie opanować.

Feliks zatrzymał się mniej więcej w połowie odległości między nią a szałasem i dał znać, by podeszła. Krzewy rosły tu bliżej siebie, więc przeskakiwała od jednego do drugiego, licząc na osłonę w razie gdyby była ona naprawdę potrzebna. Okolica wyglądała na całkowicie opuszczoną, Nes nie słyszała nawet pojedynczych głosów nocnych ptaków, nic nie przemykało pomiędzy coraz gęstszymi kępami wrzosów. Jednocześnie pani kapitan zdawała sobie doskonale sprawę, że lepiej być przesadnie ostrożnym niż narazić się na spotkanie z kimś, kto uznałby ich mundury za powód do ataku. Zrównała się z Feliksem i spojrzała na niego pytająco.

– Rozdzielimy się teraz – powiedział, nie spuszczając uzbrojonego w sowę wzroku z niewielkiej konstrukcji, przyklejonej do sterczącego w niebo głazu. – Obejdziemy go z dwóch stron. Wygląda na to, że nikogo tam nie ma, ale nie będziemy ryzykować. – Ściągnął gogle i podał jej. – Przyjrzyj się. Co myślisz?

Przez chwilę lustrowała uważnie okolicę. Szałas był tak niewielki, że mężczyzna wzrostu Feliksa nie miał szans wyprostować się nawet w najwyższym miejscu. Stanowił prostą konstrukcję w postaci spadzistej ściany, rozpiętej między skałą a podłożem, pokrytej darnią dla osłony przed deszczem i ciekawskimi oczyma. Nes podziwiała w tym momencie kapitana za to, że zdołał dostrzec schronienie, przemyślnie

wkomponowane w ścianę narzutowca. Oczami wyobraźni widziała już płonące ognisko. A może ten, kto z szałas korzystał, zostawił tam coś pożytecznego? Powoli budził się w niej głód – na razie niewielki, wszak przed wachtą zjadła porządną kolację, jednak wiedziała, że wkrótce zacznie jej doskwierać, potęgując zmęczenie.

– Nie wiem. Jeśli ktoś tam śpi, nie dowiemy się wcześniej niż na miejscu, więc po prostu chodźmy. Ja od wschodu – zdecydowała i chciała zwrócić mu gogle, lecz kapitan potrząsnął głową.

– Zostaw. Już się przyjrzałem. Zatem ja od zachodu. Do zobaczenia w środku, panno Nes.

Środki ostrożności okazały się niepotrzebne – schronienie najwyraźniej od dawna nie było używane. Między kamieniami ograniczającymi palenisko nie pozostał nawet ślad popiołu, a jedyną znajdującą się w środku rzeczą była drewniana skrzyneczka, zamknięta na przerdzewiałą kłódkę. Gdy Feliks usunął zamek celnie wymierzonym kopniakiem, pannie Roźnowski przyszła do głowy śmieszna myśl, że to jakiś życzliwy bóg postawił szałas na ich drodze. Wyłożone metalową okładziną wewnątrz skrzynki nie kryło zbyt wiele, lecz sucha podpałka, flakonik z czymś, co musiało być mieszanką podobną do tej, którą obrzucono „Drapieżnego” i pudełko zapalek stanowiły w ich sytuacji skarb nie do przecenienia.

Wkrótce w głębi szałas zapłonął ogień, a oni pozwalali, by wilgoć parowała z ich ubrań i włosów, unosiła się jasnymi smugami pod spadzisty dach, a potem, gęsta i nabrzmiała, przesuwiała się dalej do wyjścia.

– Nie wiem, czy ten ogień to dobry pomysł. – Nes przysunęła się bliżej pochłaniających kolczaste krzewy płomieni. – Łatwiej nas dojrzeć.

Feliks westchnął i potrząsnął głową.

– Musimy wysuszyć ubrania. Musimy się ogrzać. Szkoda, że nie ma tu koca czy czegoś podobnego. Lepiej by było zdjąć z siebie te szmaty.

Nes poczuła na policzkach żar, wywołany czymś innym niż ogniem. Upchnięte głęboko wspomnienia ich wspólnej nocy wypłynęły na powierzchnię i zaatakowały z dziwną siłą.

– Możemy zdjąć buty i skarpety – powiedziała, by pokryć zmieszanie. – Kurtkę też możesz zdjąć – dodała, rozsznurowując wiązania bluzy. – W ten sposób i koszule na nas wyschną.

Kiwnął głową i zaczął się mocować z opornymi cholewami, a ona nagle poczuła w sobie odwagę, by zapytać:

– Czemu?

Poderwał na nią wzrok, w jasnych oczach zamigotało ni to wahanie, ni to żal.

– Nie chciałem całe życie mieć kaca – odpowiedział po dłuższej chwili.

Zmarszczyła brwi, lecz nie dał jej się odezwać.

– Twoja załoga jest w Prigione, Nes. Mają tam więzienie, które udaje szpital. Tam ich trzymają.

– Skąd wiesz?! – Dawszy spokój bluzie, podjęła trud ściągania butów i teraz zeszywniała z rękoma wczepionymi w twardą, wilgotną skórę. Serce skoczyło jej do gardła, blokując dalsze słowa.

– Wiem... – zaczął, lecz przerwał, gdy zerwała się na nogi i stanęła nad nim, gotowa od razu wybiec z szałasem. – Usiądź.

Zacisnęła zęby, tłumiąc idiotyczny protest. Wiedziała, że kapitan ma rację, a jednak czuła się źle, godząc się z jego wolą.

– Muszę – powiedziała jeszcze, zanim ostatecznie się poddała, zdjęła bluzę i rozwiesiła ją na żerdzi ponad paleniskiem.

– Musimy, to prawda, ale nie w ten sposób, Nes. W tej chwili nic nie zrobimy. – Jasne oczy patrzyły na nią z powagą. – Zdejmuj buty. – Wstał i zawiesił kurtkę obok jej bluzy.

– My? – spytała szeptem, mocując się ze zlepionymi błotem sznurowadłami.

Nie patrzyła na niego, koncentrując wzrok na własnych palcach i czując, jak chaos w jej głowie jeszcze się pogłębia.

My.

– My. Nie zostawię cię przecież samej.

Oporny węzeł wreszcie się poddał, lecz Nes nie zdjęła buta, tylko zastygła w bezruchu, walcząc z cisnącymi się na usta słowami.

– Nie powinien pan, kapitanie – rzekła w końcu stanowczo. – Nie powinien pan – powtórzyła, podnosząc na niego wzrok.

– Nawet jeśli, to już za późno, panno Rożnowski – odparł, natychmiast przybierając ten sam oficjalny ton co ona. – Jestem dezterem i...

– Nie! Na razie jest pan tylko zaginiony w akcji! Może pan wrócić...

– A pani wróci ze mną?

– Ja... Ja... – Spróbowała raz jeszcze, przenosząc wzrok z jego twarzy na tańczące po rozżarzonych gałęziach płomienie. – W tej sytuacji... – Nie planowała przecież uciekać, nie w tamtym momencie, lecz teraz, gdy wiedziała już, gdzie szukać dziewcząt i v'Ankary, nie potrafiła odpowiedzieć twierdząco.

Dotyk ręki na plecach spadł na nią niespodziewanie. Ucelli przygarnął ją do siebie i mimo chwilowego oporu, wywołanego zresztą bardziej zaskoczeniem niż niechęcią, przytuliła się do niego z czymś w rodzaju ulgi.

– Nie mów nic – powiedział, opierając brodę na czubku jej głowy i obejmując Nes drugą ręką.

Przez wciąż wilgotny materiał koszuli czuła ciepło jego ciała, przelewające się teraz w jej własne zmarznięte członki. Trwali tak dłuższą chwilę, a myśli Nes nadal krążyły bezładnie niczym nocne ptaki wypuszczone z klatki w środku jasnego dnia. Powinna powiedzieć coś jeszcze. Powinna próbować go przekonać. Nie wolno mu na to pozwalać.

– Teraz spróbuj się przespać. – Głos Feliksa wyrwał ją z wiru wątpliwości. – Ja popilnuję ognia.

– A ty? – spytała z głową wciąż wspartą na jego piersi.

– Ja później. Nie martw się, zbudzę cię na twoją wachtę – dodał, jakby przewidując, a może wyczuwając rodzący się w niej protest.

Zanim zasnęła zwinięta w kłębek z głową na udzie Feliksa, usłyszała jeszcze, jak kapitan mówi do niej, a może bardziej do siebie:

– I „Niezatapialna”... Jestem prawie pewien, że da się ją podnieść.

Gdy obudziła się zdrętwiała parę godzin później, pamiętała to wszystko jak coś oglądanego przez gęstą mleczną zasłonę i tak samo słyszanego. Niewyraźnie, z oddali, nieostro. Złość na Feliksa za to, że jej nie obudził, szybko rozplynęła się w fali tkliwości. Kapitan spał, wsparty plecami o pionową ścianę szałas. Niepilnowany ogień zmienił się w kilka ledwie żarzących się węgielków i Nes poczuła dreszcz, przebiegający jej po skórze. Wstała ostrożnie, nie chcąc budzić Ucellego, po czym wyszła na zewnątrz w poszukiwaniu opału. Świt właśnie szykował się do ataku na resztki nocy, które wciąż spowijały wrzosowisko. Gdzieś z kąta pomiędzy Rwącą a Leniwą nadciągały powoli siwe, poszarpane pasma porannych mgieł. W powietrzu snuła się wilgoć i kapitan splotła ramiona na piersi, próbując zatrzymać choć trochę ciepła. Żałowała, że nie pomyślała o włożeniu butów, bo wszystko wskazywało na to, że po zdatne na ognisko gałęzie będzie musiała pójść dalej, niż zakładała. Zrobiła pierwszy krok i znów wzdrygnęła się z zimna. W tym momencie zza pleców dobiegło ją stłumione westchnienie ulgi.

Odwróciła się, by stanąć twarzą twarz z Feliksem.

– Wystraszyłem się – powiedział, a ona poczuła szybsze uderzenie serca.

– Niepotrzebnie. – Nie musiała pytać, co go przestraszyło. – Przecież nie zostawię cię samego.

Uśmiechnął się, słysząc z jej ust własne słowa, a ona odpowiedziała uśmiechem, zdziwiona, jak naturalnie jej to przyszło.

– Pójdziemy do Wietrznego Progu – powiedziała. – To w miarę blisko, trafię. Mieszka tam ktoś, kto może nam pomóc.

– Dobrze, nie marnujmy zatem czasu, panno Nes.

– Nie marnujmy – zgodziła się i wróciła do szałas.

Włożyła bluzę, która na szczęście zdołała wyschnąć, a potem zabrała się za wciąganie zdeformowanych, pokrytych zaschniętym błotem butów. Obok Feliks biedził się ze swoimi oficerkami. Podobnie jak jej własne obuwie, nie najlepiej zniosły zarówno kontakt z wodami Rwącej, jak i późniejszy spacer przez trzęsawisko. Spacer, który, nawiasem mówiąc, wcale się jeszcze nie skończył. By dojść do laboratorium Gustafa, musieli jeszcze przeciąć południową część mokradeł.

Tym razem Nes ruszyła przodem, mając świadomość, że gdy tylko zejda ze skalnego podłoża, znów czeka ich kluczenie pośród bagna pokrytego zdradliwym kożuchem roślin w kolorze mdłej zieleni. Szli ostrożnie, lecz śpiesznie, zmieniając się od czasu do czasu na szpicy, gdyż wyszukiwanie bezpiecznej drogi szybko wyczerpywało siły. Do wioski podeszli od zachodu, na długo przed kolejnym świtem, nie musieli więc mijać domostw przytulonych do jedynej uliczki, ciągnącej się aż po drewniane nadrzeczne pomosty. Panna Roźnowski pierwsza przekroczyła niski murek z jasnych, zbieranych na wrzosowiskach kamieni i zapukała do drzwi w dawno ustalonym rytmie.

Wyraz twarzy Gustafa klócił się z jego opryskliwym zachowaniem. Na początku pani kapitan nie brała tego do siebie. Staruszek bywał humorzasty i miał swoje przyzwyczajenia. Nabrał ich, żyjąc samotnie, z daleka od innych naukowców, w szeregi których nigdy do końca nie wkroczył. Dopiero gdy kazał jej się przebrać, pojęła, co jest źródłem jego rozdrażnienia. Wszedłszy do położonego na tyłach domu pomieszczenia gospodarczego, zaśmiała się, widząc, w jaki sposób Gustaf broni pirackiego dobytku i jak teraz postanowił ją w pewnym sensie ukarać. Przez chwilę siłowała się ze starą krową, której imienia nie знаła, potem ostrożnie – wykorzystując głównie i tak zniszczone buty – oczyściła z łajna mosiężne kółko, służące do podnoszenia klapy. Schodząc w ciemną czeluść piwnicy, skrzywiła się na myśl o zapomnianej świecy – to roztargnienie zaowocowało koniecznością wybierania ubrań po omacku. W drodze powrotnej zamarudziła dłuższą chwilę przy studni, a gdy weszła do domu, mimo znużenia zarejestrowała napięcie między mężczyznami. Nim jednak zdążyła o cokolwiek zapytać, staruszek wysłał ją i Feliksa na górę.

Była mu za to wdzięczna, bo tak naprawdę ledwie trzymała się na nogach. Krótki sen na torfowisku w żadnym razie nie zaspokoił jej potrzeby odpoczynku. Pierwsza poszła więc w kierunku schodów i pierwsza położyła się na wąskim łóżku. Feliks przez chwilę się wahał, jakby czym innym był szalas i puste wrzosowisko, a czym innym łóżko w schludnie uprzątniętej sypialni. Czekwała, zastanawiając się, na co właściwie czeka. Ucelli w końcu położył się obok, jak ona w spodniach i koszuli, wsunął rękę pod głowę i zamknął oczy. Nes leżała na boku, tyłem do okna, przez które wpadały srebrne promienie księżyca, wynurzającego się spod zwalistych, siwych chmur. Wsłuchując się w ciszę, której nie mącił żaden inny dźwięk oprócz spokojnego oddechu mężczyzny,

przyglądała mu się uważnie, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół wyglądu kapitana.

– Śpisz? – spytała w końcu.

– Nie śpię – odpowiedział, nie otwierając oczu.

Wyciągnęła rękę i ostrożnie położyła ją na piersi Feliksa. Poczowała fakturę materiału i bicie jego serca. A potem Ucelli nakrył jej dłoń swoją i ścisnąwszy lekko, podniósł do ust. Wstrzymała oddech, gdy całował kolejno każdy z palców, wnętrze dłoni, nadgarstek. Serce waliło jej jak oszalałe, tłukąc się boleśnie o żebra.

– Nes... – powiedział cicho i uśmiechnął się, ale jakoś tak bardziej smutno i ten smutek sprawił panie Roźnowski przykrość.

Chciała zabrać dłoń, lecz nie pozwolił, kładąc ją sobie z powrotem na piersi i przyciskając swoją.

– Pytałaś, czemu i czy jestem pewien, panno Nes – odezwał się znowu, a ona zeszywniała, czując, jak oblewa ją fala niezrozumiałego strachu. – Widzisz, ja sam dobrze nie rozumiem. Gdy wyobrażę sobie, co by powiedział na to mój wuj albo matka... – Ścisnął mocniej jej dłoń i Jollienesse Roźnowski poczuła suchość w ustach. – Zaczarowałaś mnie, panno Nes... Robię rzeczy, których nigdy bym się po sobie nie spodziewał.

Nie wiedziała zupełnie, co odpowiedzieć, więc tylko przysunęła się bliżej, oparła czoło o jego ramię i zamknęła oczy. Trwała tak w bezruchu, dopóki ból pleców nie wymusił zmiany pozycji. Gdy obudziła się rano, nie miała pojęcia, które z nich zasnęło pierwsze.

* * *

– Najpierw dziewczyny i v'Ankara! – powtórzyła chyba po raz piąty.

Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, nie podając żadnych kontrargumentów dla logicznych wywodów Feliksa, którego na dodatek popierał trzeźwo myślący Gustaf, jednak nie obchodziło jej to. „Niezatapialna” mogła sobie zostać na dnie, choć na myśl o zaprzepaszczonej możliwości już teraz bolało ją serce. Najważniejsze było, żeby jej załoga przestała stanowić kartę przetargową.

– Nes... – Feliks powoli tracił cierpliwość. – Jeśli zrobimy to w tej kolejności, nie zdążymy z „Niezatapialną”. Zrozum. Znacznie łatwiej wmówić prostemu żołnierzowi, że operacja jest ultratajna, niż powstrzymać personel równie ultratajnego rządowego więzienia od sprawdzenia prawdziwości rozkazu. Nawet jeśli od razu ich wypuszczą, to na pewno zameldują o tym do Hidene. I nie mówię przecież, żeby „Niezatapialną” od razu remontować. Mówię o tym, żeby ją podnieść z dna i ustawić w suchym doku w

Trivione. Tam niech ją remontują wojskowi specjaliści, a my w tym czasie wrócimy tutaj i...

– Najpierw dziewczyny! I v'Ankara! Proszę! – Nieświadomie zaciśnięte palce zaczęły jej drętwieć, rozluźniła je więc i oparła dłonie o stół. – „Niezatapialna” to tylko rzecz, nawet jeśli ważna. – Potrząsnęła głową. – A jeśli prawdziwy rozkaz z Hidene już wyszedł?

– Nie minęło jeszcze tak dużo czasu. Porucznik z pewnością nie zdążył nigdzie zameldować, jest zajęty naprawami... – W głosie Feliksa usłyszała wahanie i aż nazbyt dobrze wiedziała, czego ono dotyczy.

– Jeśli żyje.

– Żyje, uszkodzenia nie były poważne. Zdołali uciec. – Niepewny ton przeczył słowom i nawet Feliks zdawał sobie z tego sprawę, bo dodał: – Tak czy siak, nie zameldował.

Podobnie jak nocą, nie potrafiła znaleźć słów, więc – zła na siebie – wyprostowała się gwałtownie i ruszyła na obchód Gustafowej kuchni. Pomieszczenie nie było duże, bo większość parteru zajmowało laboratorium, do którego Gustaf nigdy nikogo nie wpuszczał. Ostatnio – jak sam powiedział – także siebie. Za całe umeblowanie ciasnej kuchenki starczał kredens malowany błękitną farbą, stół, dwa taborety i piec. Siłą rzeczy spacer Nes po kuchni nie mógł trwać długo i po trzecim okrążeniu miała dość. Zatrzymała się z powrotem przy stole i popatrzyła na Feliksa prosząco.

– Boję się o nich. Dwie dziewczyny już straciłam! – powiedziała, w ostatniej chwili powstrzymując się od dodania bardzo niesprawiedliwego: *Przez ciebie.*

* * *

Problemem nie było przekroczenie progu szpitala i wręczenie sfałszowanego rozkazu lekarzowi, który zarządzał częścią więzienną placówki. Problemem było wyprowadzenie poza mury dziewięciu wychudzonych kobiet i zarośniętego jak nieboskie stworzenie niskiego mężczyzny, tak by nie zwrócić na nich uwagi otoczenia. Ponieważ Prigione miało łączność kolejową z wszystkimi większymi miastami, założyli, że zabranie na stację więźniów, którzy mają być dostarczeni do stolicy, nie powinno wzbudzać większego zdziwienia. Założyli też, że decyzję co do sposobu ich wyprowadzenia poza teren placówki zostawią personelowi. Treść dokumentu sporządzonego przez Feliksa była krótka. Nakazywała po prostu przekazanie załogi „Niezatapialnej” pod kuratelę Ucellego. Tym samym brał on na siebie całą odpowiedzialność. Długo dyskutowali, czy Nes powinna, czy nie powinna iść z kapitanem. Gustaf twierdził, że brak jakiegokolwiek obstawy będzie wyglądał

podejrzanie; Feliks – że w żadnym razie nie może być tą obstawą jedyna kobieta w Marynarce Królewskiej. Sama Nes oczywiście chciała iść, lecz Ucelli tym razem był stanowczy.

– Nie, albo w ogóle tego nie robimy – powiedział, gdy inne argumenty nie zadziałały.

I dlatego teraz pani kapitan sterczała na stacji kolejowej, po raz setny odczytując nazwę miejscowości, wypisaną równymi czarnymi literami. Położona w sporej odległości od miasta stacyjka nie była duża. Składał się na nią parterowy budynek ze skośnym dachem i wieżyczką, na której umieszczono zegar – z tak ozdobnym cyferblatem, że utrudniało to odczytanie godziny – oraz pomalowane na ten sam jasnozielony kolor kłocowate zabudowania gospodarcze. Pojedynczy tor prowadzącej na Wybrzeże Młota linii kolejowej rozdwajał się w tym miejscu, by pociągi jadące z przeciwnych kierunków mogły się mijać.

Nes po raz kolejny wspięła się na pagórek za stacją, z którego była w stanie zobaczyć dachy miasteczka i położony na uboczu budynek szpitala. Tak jakby mogło jej to ułatwić czekanie. Gustaf znosił je znacznie lepiej, a przynajmniej tak wyglądał, gdy spacerował w tę i z powrotem po peronie wyłożonym drobną kostką, postukując laseczką i co chwilę poprawiając monokl. Nes pierwszy raz miała okazję widzieć naukowca poza domem i musiała przyznać, że nie poznałaby go na ulicy. Wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażała sobie zawsze profesorów z Akademii czy Uniwersytetu. Elegancki staruszek w lekko niedopasowanym garniturze. Razem z nimi czekała waliza wypakowana tym, co Nes uznała za potrzebne, przetrząsając za dnia skrzynię stojącą w piwniczce. Naukowiec zabrał też kryształ i inne drobiazgi, których swego czasu nie znaleźli marynarze przeszukujący pracownię, a które teraz mogły się przydać piratom.

Panna Roźnowski poprawiła kaptur, pod którym chowała wciąż widoczne ślady po bójce z Mordentem. Z ich powodu wcielenie się w młodą damę podróżującą z dziadkiem stawało się nieco trudniejsze, lecz płaszcz skrywał nie tylko twarz, ale też broń i niekoniecznie pasujący do panienki strój.

Na stacji panowała łagodna wieczorna cisza, przerywana od czasu do czasu nawoływaniem jerzyków, które ostrymi ślizgami szybowały do samej ziemi, by podrywając się w ostatniej chwili, pofrunąć z powrotem w górę. Nes obserwowała ich zabawy, a może polowanie na niewidoczne dla niej owady i zastanawiała się, czy oboje z Gustafem wzbudzają ciekawość skrytej za żółtymi frankami obsługi stacji. Najbliższy odjazd według rozkładu przypadał na godzinę dziesiątą wieczorem i z pewnością nie trzeba było przychodzić tak wcześnie i czekać tak długo.

Nagle wzrok pani kapitan przykuł ostry blask. Zmrużyła oczy, lecz poza jaskrawą łuną, w której zniknął szpital, nie była w stanie dostrzec niczego więcej. Serce nagle

nabrało ciężaru ołowiu, spadło jej do żołądka i, bijąc nienaturalnie mocno, rozpierało wnętrzności. Nie myślała o niczym, gdy ruszyła biegiem w kierunku pożaru – bo to musiał być pożar. Płonął szpital, była tego pewna. Biegając, nie patrzyła pod nogi i nie oglądała się na Gustafa.

– Stój! – krzyknął za nią staruszek. – Dokąd, dziewczyno?!

Nie odpowiedziała, pełna złych przeczuc, niedających szans na podjęcie racjonalnych decyzji.

– Na hordy piekielne, Nes! – usłyszała jeszcze. Chyba jednak nie pobiegł za nią. Jak zresztą miał biec – z siedemdziesięcioma latami na karku i idiotyczną laseczką, która z pewnością w razie bijatyki do niczego by mu się nie przydała?

Gnana niepokojem, nie zwracała uwagi na klucie w piersiach ani na słabnące nogi. Stacja została w tyle, a poprzez dźwięk podkutych butów, uderzających o nawierzchnię drogi, zaczęły do niej dobiegać odgłosy tego, co działo się w mieście. Nawoływania, ponure, niskie buczenie tłumu, pojedyncze strzały. Panika ani trochę się nie zmniejszyła i Nes, która jeszcze przed chwilą czuła, że nie da rady dłużej biec, przyspieszyła.

Wkrótce wdrapała się na kolejny pagórek i mogła lepiej zobaczyć swój cel. Szpital położony był na północ od miasta w rozległym zdziczałym parku, który sam w sobie nie był otoczony nawet spróchniałym płotem. Okazały mur otaczał za to sam budynek z ciemnej cegły, w którym straszyły pręty krat, broniących niewielkich okien. Nes poczuła ucisk w gardle – przez takie okna z pewnością nie wpadało do wnętrza zbyt wiele światła. Rozejrzała się pośpiesznie, szukając sposobu na wejście do środka. Właściwie zadanie nie wyglądało na trudne – mur był w kilku miejscach zawałony, jakby nadgryziony ogromnymi zębami. Skruszone cegły leżały w stosach, po których wspinały się pojedyncze postacie. Na jej oczach jedna z nich osunęła się do tyłu z szeroko rozpostartymi ramionami, najpewniej trafiona kulą przez niewidocznego strzelca. Za murem szalały płomienie nadchemicznych pożarów. Grupki atakujących przemykały między drzewami i Nes mogła zobaczyć, że są to dziwacznie uzbrojeni robotnicy, a pomiędzy nimi kobiety w szerokich spódnicach i chyba nawet – co wydało jej się straszne – kilkoro dzieci. Dotarł do niej odległy zapach dymu, a dźwięki przybrały na sile. Ktoś zaczął śpiewać, inni do niego dołączyli. Nes знаła tę pieśń i dlatego była w stanie wychwycić słowa refrenu:

Wstań, zabij strach, broń wolności!

Idź, chwyć za miecz, pchnij do kości!

Krzycz, póki tchu dość masz w piersi!

Wolności broń aż do śmierci!

Wzdrygnęła się, czując przebiegający po kręgosłupie dreszcz. Wszystko, co

obserwowała jeszcze latem, przed zawinięciem do Prato i później z pokładu „Drapieżnego”, skumulowało się w tej pieśni i tym widoku. Nie miała pojęcia, jaka jest skala wydarzeń, rozgrywających się na jej oczach. Czy to tylko lokalny zryw? Demonstracja, która zmieniała się w coś znacznie bardziej dramatycznego? A może część większej, skoordynowanej akcji?

Potrząsnęła głową i pobiegła dalej, nie mając pojęcia, co zrobi, gdy już dotrze na miejsce, ani od czego zacznie poszukiwania. Im była bliżej, tym wyraźniej docierały do niej odgłosy nierównej walki. Nierównej, bo przeciwko ustawionym w oknach i na dachu żołnierzom występowali cywile uzbrojeni jedynie w ogień i prymitywną ręczną broń.

– Otwierać! Otwierać! – wrzasnął ktoś na całe gardło. – Wypuścić więźniów!

Okrzyk podjęli inni i po chwili od ścian zaczęło się odbijać rytmiczne skandowanie. Rozległy się strzały, ktoś krzyknął, ktoś inny upadł, lecz okrzyki nie cichły. Nes dotarła tymczasem pod samą bramę: solidną, zakończoną kolcami, a do tego zamkniętą i niepilnowaną. Nie była ona położona naprzeciwko głównego wejścia, co mogłoby się wydawać logiczne, lecz w narożniku. Dlatego zapewne atakujący robotnicy nie starali się jej sforsować, tylko użyli skalnego oleju do wybicia dziur w murze. Nes zmarszczyła nos. Nie lubiła zapachu tej cieczy, która płonęła niemal nieugaszalnym płomieniem, dopóki nie wypaliła się ostatnia kropla. Powietrze wypełniał duszący dym, a temperatura znacznie przekraczała tę charakterystyczną dla paludzkiej jesieni. Pani kapitan sięgnęła do kabur i poluzowała pistolety, a potem sprawdziła jeszcze, czy szpada gładko wychodzi z pochwy. Odetchnęła, zdjęła płaszcz i chwyciła go w obie ręce, po czym szarpnęła kilka razy. Pewności nie zyskała, ale materiał wydał jej się na tyle mocny, że warto było spróbować. Nie chciała wykorzystywać dziur wybitych przez protestujących, nie chciała mieszać się z tłumem, dopóki nie namierzy swoich. Bo przecież musieli gdzieś tu być! Było dla niej oczywiste, że gdyby zdołali wyjść poza mur, spotkałaby ich, biegnąc w tę stronę. Najpewniej czekali po prostu na zapadnięcie nocy, by skorzystać z jej osłony. Nie brała pod uwagę, że mogli wyjść tajnym przejściem. Że być może zmierzają teraz na stację inną drogą. Nie miała czasu rozważać wszystkich możliwości.

Zerknęła jeszcze dla pewności na szczyt bramy i zamachnęła się trzymanym w rękę płaszczem. Udało się za pierwszym razem. Zawisł co prawda nieco poza jej zasięgiem, ale wystarczyło podskoczyć i modlić się, by kaptur wytrzymał. Ułamek sekundy później wspinała się tak, jak to nieraz robiła podczas abordaży. Zsunąwszy się na teren szpitala, przypadła do ziemi i pobiegła w stronę budynku. Pożary szalały w pobliżu głównych drzwi, tam gdzie teraz grupa mężczyzn waliła w okute skrzydła młotami i siekierami. Z okien rozlegały się strzały, ale obrońcy celowali pod niewygodnym kątem i szanse na

trafienie były niewielkie. Atakujący zmieniali się co jakiś czas, jednak solidne wrota pozostawały niewzruszone. Nes zostawiła za sobą chaos niedotyczących jej wydarzeń i posuwając się przy samej ścianie, szukała tylnego wejścia. Nie miała pewności, czy takie w ogóle istnieje, tak jak nie wiedziała, co zrobi, gdy już znajdzie się w środku.

Okrzyki narastały, strzały padały gęściej. Pojedynczy wrzask wzniósł się pod niebo, a potem szpilem wstrząsnął huk. Nes nie mogła zobaczyć, co się dzieje, lecz strach prawie podciął jej nogi. Oparła się o ceglany mur i zmusiła się do kolejnego kroku. Odruchowo sięgnęła po szpadę, do lewej ręki biorąc pistolet. Ciężar pięciostrażłowca odrobinę ją uspokoił. Kolejny wrzask, dobiegający tym razem z wnętrza budynku, chwilę później zmroził jej krew w żyłach. Piratka zacisnęła zęby i ruszyła szybciej. Z niepokojem lustrowała ściany, do wysokości drugiego piętra pozbawione otworów.

– Muszą tu jakieś być! – Powoli zaczęła ogarniać ją desperacja. – Muszą...

Kolejny huk na moment ją ogłuszył. Strzały nie cichły nawet na chwilę, podobnie jak wrzask tłumu. Była o krok od węgła, gdy wychylił się zza niego mężczyzna w mundurze piechoty. Miała szczęście – strzeliła, zanim zdążył unieść pistolet, i żołnierz przewrócił się, podcinając nogi następnemu. Nes zdążyła jeszcze pomyśleć, że źle wybrała drogę, gdy kolejny zaatakował ją szablą. Odruchowo odparła atak, zasłaniając się w ostatnim momencie z pełną świadomością, że więcej jak jednego bądź dwóch nie pokona. Wystrzeliwszy pozostałe cztery naboje, broniła się rozpaczliwie, przyparta do muru przez trzech mężczyzn, podczas gdy pozostali żołnierze przebiegali za plecami jej przeciwników. Odbijając ciosy, nie miała nawet czasu wyjąć z kabury drugiego pistoletu. Jeden z atakujących przedarł się przez słabnącą zasłonę i Nes krzyknęła boleśnie, gdy rękaw jej koszuli zabarwił się na czerwono. Bark, latem przebity kulą, ćmił uporczywym bólem i zaczynało jej drętwieć ramię. Piratka dyszała coraz szybciej, a dźwięki docierały do niej z opóźnieniem. Wszystkie poza brzękiem żelaza i jej własnym oddechem.

Jeszcze jedna zasłona i jeszcze jedna.

Nie miała dokąd się cofnąć i nie miała już sił atakować. Zdążyła pomyśleć, że oto nadszedł koniec, gdy nagle tuż obok jej nóg poruszyła się ziemia i ukryta pod liśćmi kłapa uniosła się gwałtownie. Wystrzelił pistolet. Najbliższy z atakujących padł. Pozostała dwójka zamarła na chwilę i to wystarczyło, by Nes wyjęła drugi pięciostrażowiec.

Strzeliła dwukrotnie, oparła się o ścianę i opuściła szpadę. Bez słowa wpatrywała się w ściągniętą strachem, bladą twarz Feliksa.

– Co tu robisz? – spytał.

– Ratuję was – odpowiedziała słabo, czując, że robi jej się niedobrze.

Z otworu kolejno wyłaniały się dziewczęta. Mrużyły oczy, choć słońce zdążyło już

skryć się za horyzontem i powoli zapadała ciemność, rozświetlana jedynie bladą luną zza budynku. Na ich twarzach widać było ciemne smugi i dopiero teraz do Nes dotarło, że spod ziemi wydobywa się dym.

– Bogowie... – Uniosła głowę, zobaczyła płomienie liżące kraty najbliższego okna i poczuła wściekłość. – Cholera jasna!

– Są wszyscy! Nes! Musimy się spieszyć! – Feliks wyciągnął rękę i przemocą oderwał ją od ściany.

Poszła za nim bezwolnie, z powrotem tą samą drogą, którą jeszcze przed chwilą pokonywała samotnie. Początkowo posuwali się ostrożnie. Nes miała czas, by uspokoić oddech i parę razy obejrzeć się na swoją załogę. Za nimi z piwnic wyłaniali się inni więźniowie, a może pacjenci szpitala, i kaszląc w coraz gęstszych kłębach dymu, odbiegali jak najdalej od szalejącego wewnątrz budynku piekła.

Rozdział dziesiąty,

w którym przeczy się rozsądkowi, logice i zapewne kilku prawom fizyki też

Nes stała na platformie nad mostkiem i przyglądała się krzątaniu dziewcząt na pokładzie. Znów były na Leniwej – największej z rzek Palude. Rzece-pniu, od którego odchodziły konary i gałęzie, rozpostarte aż do najdalszych zakątków kraju, a przez graniczną Dzielną Toń łączące państwa Unii Dwóch. Piratki zmierzały w dół nurtu, by dotrzeć na pełne morze i wreszcie zrobić to, co planowały dawno temu, czyli ukryć się na jakiś czas na Archipelagu. Najpierw jednak wybrzeże, jedna z jego zacisznych jaskiń i nieco napraw, których pani kapitan za nic nie zostawiłaby w rękach wojskowych specjalistów. Były już prawie w komplecie. Brakowało tylko Ywig, którą przydzielono do opróżnienia najdalej położonego schowka. Miały ją zabrać z Mewiego Klifu tuż przed wypłynięciem na Archipelag.

Nes potarła pięścią czoło. Wróciła myślami do chwili, gdy po opuszczeniu szpitala dotarli do stacji w Prigione. Wcześniej, zostawiwszy za sobą rozszalały tłum i broniących się coraz rozpaczliwiej żołnierzy, ruszyli biegiem przez park, starając się jak najszybciej opuścić teren walk. Biegając, mogli dostrzec innych więźniów, którym udało się wydostać z płonącego budynku, a którzy dziwnym trafem wcale nie mieli ochoty dołączyć do swych oswobodzicieli. Na granicy otwartej przestrzeni, tam, gdzie krył ich cień ostatnich drzew, Feliks się zatrzymał.

– Gdzie Gustaf? – spytał, patrząc surowo na Nes.

Był zły, że nie posłuchała, a pytanie, które zadał, trafiło celnie.

– Został... – zaczęła i ucichła, zdając sobie sprawę, że tak naprawdę nie zna odpowiedzi. – V'An! Biegnij na stację. Pomożesz Gustafowi z walizą.

Niski Śruddżańczyk ruszył wykonać polecenie, lecz Ucelli powstrzymał go, chwytając za ramię. Kucharz łypnął spode łba, a potem wbił spojrzenie w Nes, jakby czekał, kiedy ona pozwoli mu wyszarpnąć się z uchwytu.

– Jakies pięćset metrów za stacją niedaleko torów jest opuszczony skład węglowy – powiedział tymczasem kapitan, nie zwracając uwagi na tę wymianę spojrzeń. – Tam na nas poczekacie. A teraz idź.

V'Ankara, wciąż patrząc na Nes, wymownie uniósł brwi, a ona niecierpliwym gestem dała mu znak, żeby posłuchał. Tymczasem Feliks odwrócił się do dziewcząt, które zdążyły już zająć strategiczne pozycje między pniami.

– Po co nas zatrzymałeś? – spytała Nes, gdy w końcu dotarło do niej, że Ucelli czeka, aż ona zwróci na niego uwagę.

– Nie wydaje mi się, żeby było dobrze wpadać teraz na stację. Nasza przykrywka właśnie płonie. – Machnął ręką w kierunku szpitala. – I w sumie dobrze, jest szansa, że rozkaz zniknie. Ale na stacji na pewno zaraz zaroi się od żołnierzy. Nie wierzę, że nie dano znać okolicznym garnizonom.

– Niby jak? – odezwała się Darna, patrząc na niego podejrzliwie, tak samo zresztą jak reszta dziewczyn z wyjątkiem Marity, która po prostu patrzyła w skupieniu.

– Poczta pneumatyczna – odpowiedział krótko. – A nawet jeśli nie, lepiej, żeby nas nikt nie widział. Wykorzystajmy ten chaos.

Popatrzył w stronę parku. Między cieniami drzew poruszały się cienie ludzi, a noc wciąż rozbrzmiewała odgłosami walki.

– Raczej wróćmy i pomóżmy – odezwała się Ywig niespodziewanie.

Kilka dziewcząt drgnęło. Nes widziała, że rwą się do akcji.

– Komu? – Marita zadała pytanie, nim pani kapitan zdążyła się odezwać. – Tym głupkom, którzy omal nas nie usmażyli, czy żołnierzom w podzięce za dobre traktowanie?

Kayle skuliła się, jakby ktoś uderzył ją w żołądek, co nie uszło uwagi Nes. Panna Roźnowski odruchowo zacisnęła pięści.

– Nikomu – warknęła. – To ich sprawy. My mamy parowiec do podniesienia.

Dziewczęta spojrzały na nią równocześnie. Dziewięć par oczu wierciło dziury w jej twarzy, czekając, aż powie coś więcej.

– Miejsce zbiórki określone. Zróbcie tak, żeby was nikt nie widział. Jak będziemy wszyscy razem, dostaniecie szczegóły.

Nie mogła nie widzieć, że jedynie Marita i Darna wykonały polecenie bez ociągania. Przyszło jej do głowy pytanie, czy powinna to traktować jak zwyczajową dyskusję nad rozkazem, czy zacząć się martwić o swoją pozycję na mostku. Feliks nie pozwolił jej się zbyt długo zastanawiać, ruszając w kierunku drogi, która okrążała wzgórze z prawej strony. Pani kapitan zerknęła jeszcze raz na dziewczęta dzielące się na pary bądź samotnie zdążające ku wyznaczonemu celowi, po czym poszła za nim.

Odgłosy walki powoli cichły, a łuna rozświetlająca niebo została za ich plecami. Jej blask nie sięgał mroku, który roztaczał się przed nimi. Ubywający księżyc ukrył się za gęstymi chmurami, z których lada chwila mógł spaść deszcz. Wysypana drobnym tłuczniem droga chrzęściła, gdy ją pokonywali, na wpół biegnąc. Nocna cisza ukryła przed nimi odgłosy rewolucji, która jeszcze przed chwilą toczyła się na ich oczach.

– Nie powinnaś się ruszać ze stacji – odezwał się Feliks, ledwie Nes zdążyła zapomnieć, że był na nią zły.

– Jasne! – parsknęła. – Bo ty byś czekał!

– Zostawiłaś Gustafa – przypomniał. – A jeśli już go tam nie ma? Czy choćby nie ma walizki? Miałaś swoje zadanie, Nes. Następnym razem pamiętaj, żeby słuchać poleceń.

Pani kapitan omal się nie zatrzymała. Krew, i tak wzburzona, uderzyła jej na policzki. Nes otworzyła usta, lecz Ucelli ją ubiegł.

– Zanim zaczniesz krzyczeć, zastanów się, czy nie mam racji. – Przyspieszył kroku, wyraźnie dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Ruszyła za nim, czując wzbierającą wściekłość.

– Nie traktuj mnie jak pierwszego lepszego majtka! – warknęła w stronę jego pleców, lecz nie zareagował. Po prostu szedł, wciąż przyspieszając, tak że w końcu musiała zacząć biec, by za nim nadążyć.

Wysięk skuteczniej niż słowa powstrzymał ją wtedy od dalszej kłótni. Teraz, stojąc na pokładzie swojego statku i cofając się myślami do tamtej nocy, czuła odrobinę wstydu. Faktycznie zeszła ze stanowiska i nie usprawiedliwiał jej lęk o Feliksa czy o powodzenie planu, który sama naraziła swą bezmyślnością. Potem zaś, zamiast po prostu wysłuchać zasłużonej reprimendy, awanturowała się jak nie przymierzając Fraan, choć Feliks zadbał i o to, by nikt z załogi nie usłyszał, jak wypomina jej błąd. Feliks Ucelli – dżentelmen w każdym calu. Uśmiechnęła się pod nosem i przeniosła wzrok na rudowłosą kobietę, która w nieskończoność powtarzała procedury celownicze na lewym bliźniaku. System nakierowujący Stoimira ucierpiał bardziej niż ten Twardostoja i teraz celowniczy krążyła między działami, porównując parametry. Usiłowała doprowadzić do porządku to, co zostało zniszczone, gdy armata wypadła ze swego łoża.

Właśnie Fraan od początku była nastawiona najbardziej sceptycznie do pomysłu wyciągnięcia „Niezatapialnej”, w czym cicho, lecz zdecydowanie sekundowała jej Kayle.

Najwyraźniej młodsza z dziewcząt przyłgnęła w więzieniu do eleganckiej i zdecydowanej Fraan. Widać to było nawet po tym, jaką pozycję przyjęły po zamknięciu drzwi w starym składzie, który Ucelli wybrał na miejsce narady. Stały obok siebie, prawie dotykając się ramionami, obie jednakowo wyprostowane, obie z rękami założonymi na piersi. A potem, gdy Feliks zapalił lampę i zaczął wyjaśniać załodze, jak zamierza doprowadzić do podniesienia parowca z dna Leniwej, co chwilę przerywały mu pogardliwymi uwagami. Właściwie Fraan przerywała, a Kayle jej potakiwała. W kulminacyjnym momencie, gdy Feliks sugerował podział zadań, rudowłosa mistrzyni obsługi dział, patrząc wprost na kapitan Roźnowski, wypluła z siebie naładowane wściekłością słowa:

– Nie będę przyjmować poleceń od żadnego żołdaka!

Obok złości Nes wyraźnie wyczuła w nich żal, a ten lada chwila mógł się przerodzić w coś znacznie bardziej problematycznego. Były o krok od awantury.

– Będziesz przyjmować rozkazy ode mnie, Fraan – odpowiedziała stanowczo. – Nie zapominaj, że wciąż jestem twoim kapitanem!

– Kapitan bez statku to żaden kapitan! – warknęła celowniczy, podnosząc dłoń do twarzy i rozmazując smugę brudu na brodzie.

Za jej plecami Zijeme szepnęła coś na ucho Ulfie, która tylko kiwnęła głową z ponurym wyrazem twarzy. Pozostałe dziewczęta i v'Ankara milczeli, czekając najwyraźniej na ciąg dalszy konfrontacji.

– Będzie miała statek – odezwał się Gustaf ze swego kąta, w którym siedział na postawionej pionowo walizce. – Skoro kapitan Ucelli mówi, że to możliwe, to znaczy, że to jest możliwe. Nie pakowałbym się w coś, co jest z góry skazane na porażkę.

Nes uśmiechnęła się w duchu z wdzięcznością. Doceniła jego szczerą pomoc. Niektóre dziewczęta, zwłaszcza Laara i Ywig, patrzyły na Feliksa znacznie spokojniej niż jeszcze przed chwilą.

– Po co? – zgaszonym głosem spytała w tamtym momencie Kayle. – To trup. Nic więcej...

Te słowa, choć dotyczące parowca, przywołały cienie Heile i Kass, a pani kapitan, która myślała, że zdołała skutecznie uciszyć żalobę, rzucając się w nurt zdarzeń, poczuła ucisk w gardle. Gorzej jednak, że można je było odnieść do samej Kayle, sztywnej, nieobecnej i przede wszystkim nienaturalnie cichej. Tak było wtedy, a w ciągu tygodni, które minęły od akcji ratunkowej jej stan się nie zmienił i Nes zaczęła sobie uświadamiać, że być może nie zmieni się już nigdy.

Rozejrzała się po pokładzie. Kayle siedziała w kącie między burtą a tylną nadbudówką i wycinała w desce literę „M”. Przywrócenie skróconej przez wojskowych nazwy parowca nie było może najważniejsze, lecz najwyraźniej miało znaczenie dla samej Kayle, a przyglądająca się jej zaciętej minie pani kapitan czuła przebiegający po plecach dreszcz. Wciąż nie zapytała, co takiego wydarzyło się w szpitalu. Wiedziała, że tchórzy, lecz tak naprawdę nie musiała pytać – mogła to łatwo odgadnąć. Oczy Kayle nie błyszczały jak kiedyś, brakowało w nich radości i pewności jutra, za to wypełniał je tłumiony strach i zwyczajny smutek. Dziewczyna poruszała się ostrożnie, wciąż czujna, jakby niebezpieczeństwo nie zostało w ścianach więzienia, ale przyszło za nią na pokład parowca, który dawniej był dla niej domem. Tak jak dla nich wszystkich. Nawet dla Gracji.

– A co mamy zrobić? – spytała pani felczer podczas tamtej narady, kryjąc się w kącie, do którego nie docierało chwiejne światelko lampy. – Co mamy zrobić? – powtórzyła, wynurzając się z mroku. – Na „Niezatapialnej” jest całe nasze życie. Umiecie sobie

wyobrazić, że zaczniecie pracować w fabryce? Albo hodować cholerne kucyki? Nienawidzę tej krypy. Nie lubię wody. Rzygam przy najmniejszej fali. Ale teraz nie wiem, co innego miałabym robić, jak nie szyć wasze tyłki po kolejnej głupiej akcji!

W pomieszczeniu zaległa cisza. Przez dłuższą chwilę nie przerywał jej żaden dźwięk, a Nes na twarzach załogi widziała całą gamę sprzecznych uczuć.

– Tak jak powiedział kapitan – odezwała się w końcu – my ruszymy do Trivione z rozkazem. Wy opróżnicie schowki. Ulfa i Zijeme, musicie dotrzeć do stoczni zaraz po nas, bez was nie odbijemy. Weźmiecie najbliższe okolice, czyli Ptasie Bagno i Koreda. Laara, ty Dolną Gawrę, Fraan Glinianki.

– Jasne! Gadaj o schowkach przy nim! – Celowniczy gwałtownym gestem wskazała Ucellego. – Takaś pewna swojego kochasia?

Policzki Nes oblały się rumieńcem.

– Czy to, że wyciągnął cię z więzienia, nic nie znaczy? – Podeszła blisko Fraan, czując na plecach wzrok Feliksa.

Atmosfera gwałtownie zgęstniała.

– V'Ankara, Urwany Cypel – podjęła rozdzielanie zadań głosem nienaturalnie spokojnym i cichym. – Darna i Kayle, Piaski, pójdziecie we dwie, bo to duża rzecz. Gracja, zostaniesz z Gustafem, musicie zebrać wszystko, co potrzebne do apteczki i tak dalej. – Popatrzyła na nich uważnie, czekając, aż kiwną głowami. – Marita, Owcze Wzgórza, ta część we wschodniej skrytce jest ważniejsza, jeśli nie dasz rady z obydwoma. Ywig, ty pójdiesz najdalej. Zabierzemy cię z Mewiego Klifu. Rozumiesz?

Krótko ścięta i znacznie wyższa od niej dziewczyna z powagą skinęła głową.

– Przyniosę wszystko – powiedziała, a Nes odpowiedziała uśmiechem: pierwszym szczerym uśmiechem, odkąd zaczęła się narada.

I wtedy Fraan spróbowała po raz ostatni:

– On zabił Heile! – warknęła, na co milcząca jak zawsze Ulfa wbiła w Nes wzrok pełen wyrzutu.

Panna Roźnowski niemal się cofnęła.

– A my zabiłyśmy prawie całą załogę „Honoru” – odpowiedziała, a jej głos nabrzmiał długo tłumioną goryczą.

Milczenie, jakie zapanowało po tych słowach, przerwała dopiero Marita. Pierwsza oficer, wciąż tak samo racjonalna jak zawsze, najszybciej pojęła znaczenie tego, co się właśnie dzieje.

– Nie kwestionuje się rozkazów kapitan – oznajmiła swoim zwykłym tonem. – Każda słyszała, co ma robić, i ty, v'An, także. Odpowiada się „Aye!” i się działa. Ruszać!

Był to jeden z tych momentów, kiedy Nes po raz kolejny gratulowała sobie wyboru zastępcy. Widziała teraz Maritę stojącą na rufie, zatopioną w rozmowie z Feliksem.

Pierwsza oficer pokazywała mu szyny niegdyś mocujące Małgorzatę, które trzeba było przerobić w taki sposób, by pasowały do działa mniejszego kalibru, jakie zamierzały w tym miejscu zamontować. Ucelli kiwał głową i coś tłumaczył, gestykulując, a w końcu uklęknął i przesuwając palcami po szynie, zaczął mówić szybko, podczas gdy Marita słuchała uważnie. Nes odetchnęła głęboko. Dobrze było widzieć, że istnieje coś, w czym Feliks może się na „Niezatapialnej” odnaleźć.

– Tu maszynownia – odezwała się w tym momencie jedna z rur głosowych tuż przy jej uchu. Nes przez chwilę zastanawiała się, gdzie się znajduje; dziwnie było słuchać głosu Zijeme zamiast Heile. – Jesteśmy gotowe do testu, kapitanie.

– Przyjęłam. Zaczynajcie!

Zijeme i Ulfa poza porami posiłków prawie w ogóle nie wychodziły z maszynowni. Ciągłe ich zdaniem było tam coś do zrobienia, ciągle coś wymagało poprawki, dokręcenia śruby, ponownego przesmarowania. Co nie znaczy, że nie były zadowolone z tego, co Stocznia Królewska w Trivione raczyła zamontować w trzewiach „Niezatapialnej”.

– Damy radę rozdzielić napęd, kapitanie – powiedziała Zijeme zaraz po pierwszej lustracji nowej maszyny, a Ulfa z przekonaniem pokiwała głową. – Nawet przy jednym silniku da się to zrobić. Sprytnie przełożenie mocy wykombinowali ci królewscy naukowcy.

Według słów Feliksa królewscy naukowcy na początku nie chcieli uwierzyć w rozkaz, który im przyniósł, legitymując się papierami sporządzonymi przez Gustafa. Ale kiedy rzekomy porucznik Nascosto popatrzył na nich wymownie i powiedział, że on jest od noszenia rozkazów, a nie od ich kwestionowania, dali się ponieść ekscytacji. To było wyzwanie – podniesienie parowca wielkości „Niezatapialnej” tak, by jak najmniej uszkodzić to, co jeszcze uszkodzone nie było, a potem odremontowanie wraku i puszczenie go z powrotem na wodę. Od razu stwierdzili, że nie mogą użyć krakena. Urządzenie było zbyt niestabilne. Owszem, świetnie się nadawało do sprzątanía śmieci, lecz nie grzeszyło delikatnością. Poza tym na sprowadzenie maszyny musieliby czekać tygodniami, podczas gdy rozkaz wyraźnie mówił o pośpiechu. Orest Trzeci chciał widzieć „Niezatapialną” pod swoją banderą na paradzie z okazji Święta Wód.

Zdecydowano się zatem na system poduszek powietrznych, które napełniono ogrzanym powietrzem z domieszką lotnego płynu. Takiego samego, jakiego załoga „Niezatapialnej” używała przy przekraczaniu progów lub na szczególnie wąskich korytach rzek. Pani kapitan, która nie pozwoliła całkowicie się usunąć poza główną arenę wydarzeń, ukryła się w pobliżu Trivione. Uznała – całkiem słusznie zresztą – że bez warkocza i pistoletów, bez charakterystycznych dla dumnej piratki strojów nie rzuca się w oczy i tak naprawdę trudno ją rozpoznać. W ramach kamuflażu, ale też z

braku pieniędzy zatrudniła się w kuchni jednej z portowych tawern, gdzie między innymi szybko przekonała się, że przyjacielskie zaczepki na „Drapieżnym” były szczytem elegancji w porównaniu do odzywek, jakie musiała znosić teraz. Codziennie o podobnej porze wychodziła, by spotkać się z Ucellim, który opowiadał jej o wszystkim, co w wielkiej tajemnicy odbywało się za stalową bramą, prowadzącą na tereny Stoczni Królewskiej w Trivione.

Data wydobycia wraku została wyznaczona w ostatniej chwili. Feliks przyniósł jej wiadomość do „Wesolutkiej Różyczki”, bo gdyby czekał na umówioną wcześniej godzinę, Nes nie zdążyłaby się dostać na Deltę. Doceniała, że to zrobił, mimo iż wciąż był przeciwny jej obecności podczas operacji. Bał się chyba, że dziewczyna nie zdoła usiedzieć w ciszy albo że nie zna brzegów tak dobrze, jak jej się wydaje.

– Nie zrobię żadnej głupoty, kapitanie Ucelli – powiedziała poważnie, patrząc prosto w jasne zatroskane oczy, gdy stali za komórką przyklejoną do tylnej ściany tawerny, ukryci w cieniu rozłożystej śliwy. – Sytuacja z Prigione już się nie powtórzy.

Przygarnął ją do siebie i na chwilę oparła policzek o szorstki materiał niebieskiej kurty.

Pół dnia później leżała pod osłoną gęstych nadbrzeżnych zarośli, dokładnie na wprost miejsca, w którym celny strzał porucznika de Succombera strącił ją z pokładu i nie pozwolił pójść z parowcem na dno. Wspominała to, co się od tamtej pory wydarzyło i czekała. Musiała na chwilę przysnąć, ukołysana rechotem żab, utulona nadchodzącą nocą, bo obudziło ją skrzypienie ręcznych pomp, tłoczących powietrze nurkom. Ciemny brzeg roił się od postaci w mundurach, z których każda realizowała przydzielone sobie zadanie. Nes dostrzegła stojącego z boku Feliksa. Zwrócony do niej półprofilem, wpatrywał się w nurt, w którym zniknęło kilka cieńszych rur i jedna o średnicy dobrych dwudziestu centymetrów. Panna Rożnowski wstrzymała oddech, gdy wzburzona toń lekko zawirowała, a Feliks odwrócił się w stronę jej kryjówki – chyba instynktownie, bo nie powiedziała mu, z którego dokładnie miejsca będzie obserwować akcję. Woda rozkołysała się bardziej i Nes zacisnęła palce na mokrej trawie. A potem na powierzchni pojawiło się wybrzuszenie; początkowo niewielkie, stopniowo rosło, by w końcu pęknąć i odsłonić ukryty do tej pory parowiec. „Niezatapialna” wynurzała się dziobem naprzód, najpierw wolno i statecznie, by wreszcie wystrzelić jak korek w fontannie wody, mlaszczącej niczym wąż, który musi obejść się smakiem. Pani kapitan błędziła wzrokiem po rannym statku. Po linii burt, krzywiznie rufy, poszerzeniu pokładu pomiędzy strzaskanymi tamborami. To był raczej krótki przegląd. Ułamek chwili potem oparła czoło o miękką nadrzeczną ziemię i zamknąwszy oczy, usiłowała przekonać samą siebie, że od tej pory już wszystko będzie jak dawniej.

Teraz, schodząc na dolny pokład i wspominając tamten moment, czuła politowanie dla naiwności panny Roźnowski. Nic nie było takie jak dawniej, bo po prostu nie mogło być.

W sterówce czekała Laara, również gotowa na test. Skupiona, leciutko opierała dłonie na szprychach steru. Nes zajęła swoje miejsce i używając zamontowanego w Trivione systemu nagłośnienia, rzuciła rozkaz:

– Przygotować się do testu manewrowego!

Na pokładzie zapanowało poruszenie. Ze swego miejsca nie widziała kół i trochę żałowała, że nie może być w dwóch miejscach naraz. Bardzo chciała razem z innymi wychylić się za burtę i patrzeć, jak maszyneria reaguje na polecenia steru.

– Jaka prędkość? – spytała swoją sternik.

– Sześć węzłów, kapitanie! – odparła Laara, a Nes kiwnęła głową, po czym nabrała powietrza w płuca i krzyknęła w rurę znacznie głośniej, niż to było konieczne.

– Lewe stop, prawe mała wstecz!

System Heile zakładał oddzielną obsługę każdego koła. Każde miało swój silnik, a skoordynowanie ich pracy należało do szefowej maszynowni i jej dwóch pomocnic. To wprawdzie odbijało się na stabilności statku i zmuszało załogę do skrupulatnego planowania rozmieszczenia ładunku, ale miało tę zaletę, że w razie usterki jednego silnika Heile mogła podłączyć sprzężone z nim koło do drugiego.

Teraz jeden silnik dzielił swą moc na dwa koła. Napędy można było dowolnie sprzęgać i rozdzielać. Należało tylko sprawdzić, czy przy takim rozwiązaniu da się wykonywać te same karkołomne manewry, co w czasach przed zatopieniem.

Coś zaczęło się dziać. Statek jakby niechętnie obierał kurs wyznaczony przez ster.

– Wolno. – Sternik skrzywiła się.

– Ano wolno – zgodziła się Nes. – Przy większej prędkości powinno być względnie szybciej, nie?

– Nie spróbujemy, to się nie dowiemy, jak mawiała Kass.

Spojrzały na siebie, gdy padło imię pilot. Laara odwróciła wzrok pierwsza, a potem obróciła się na pięcie, nie chcąc chyba okazać się miękka. Nes uparcie miała nadzieję.

– Przecież nie znalazłaś jej grobu – powiedziała, robiąc krok w stronę steru.

Laara potrząsnęła głową, ale się nie odezwała. Nes dobrze wiedziała, że sternik nie chce wracać do tego, co już raz opowiedziała, gdy zrzuciła swój bagaż w magazynie parowca. W jednym z nadrzecznych lasów natknęła się na chatkę zbieracza ziół. Chwiejącą się i połatana tak, że chyba tylko silna wiara gospodarza pozwalała jej trwać. Zielarz był za to dumny z nowych drzwi. Jak mówił, znalazł to cudo w lesie kilkanaście kilometrów w głębi lądu i przyniósł na własnych zgarbionych plecach. Było warto, mocny materiał używany do budowy skrzydeł mechanicznych ptaków dawał pewność,

że drzwi przeżyją samą chatkę o wiele lat. Laara jednak zapamiętała głównie wyrysowany na nich fioletową farbą wzór, układający się w cztery kanciaste serca. Była to sina koniczyna – według Kass roślina przynosząca szczęście lotnikom.

– Laara, wojsko też jej nie znalazło!

– Jesteś pewna? – W głosie sternik słychać było nutkę niechęci.

– Kapitan Ucelli by o tym wiedział... – odparła Nes niepewnie.

Laara zmierzyła ją przeciągłym spojrzeniem.

– Nie powinnaś go chyba tytułować kapitanem – powiedziała po chwili. – Teraz jest jednym z nas i do tego dezerterem.

To była prawda, lecz panna Roźnowski nie chciała o tym pamiętać. Nie chciała, ponieważ świadomość skali poświęcenia Feliksa wciąż zwyczajnie ją przytłaczała. Nie podejmowali tego tematu. Rozmawiali o jego siostrach i rodzinnej rezydencji, która z racji ogromu i mizernych funduszy po śmierci starszego pana Ucellego powoli rozsypywała się w gruzy. O jej matce i lekcjach dobrego wychowania, z których pamiętała głównie wbijający się w brodę sztywny kołnierz nakrochmalonej sukienki. O poruczniku de Succomberze, którego każde z nich znało z innej strony, o zaletach okrętów nowego typu, o smaku młodego wina z południowych zboczy Brzegowego Pasma. Czasem mówili też o marzeniach, lecz były to rozmowy kalekie i urywane. Czuli oboje, że przyszłość, która przecież stanowi domenę marzeń, jest niepewna i lepiej nie przyzywać jej za wcześnie niepotrzebnymi rozważaniami. Tak jak wiele innych spraw, Nes odkładała to na później. Później, gdy już zabiorą Ywig, tak jak zabrali v'Ankarę, Grację z Gustafem i pozostałe dziewczyny. Później, gdy już zrobią wszystko, co muszą zrobić, by „Niezatapialna” stała się taką, jaką była, zanim zatoniła blisko trzy miesiące wcześniej. Gdy bezpiecznie popłyną z Wybrzeża Młota na Archipelag.

* * *

Ze wszystkich kłopotów, jakie mogli napotkać na swojej drodze, kapitan Roźnowski najmniej przejmowała się statkami kupieckimi. Nie uważała ich zresztą za kłopot i zwyczajnie nie planowała reagować na ich obecność inaczej niż przyśpieszeniem. W stoczni równocześnie z remontem maszynowni pracowano także nad poszyciem. Po wymianie dziurawej płyty i dospawaniu dodatkowych wzmocnień w newralgicznych miejscach przemalowano statek na barwy królewskie. Kto nigdy nie widział „Niezatapialnej”, nie znał jej sylwetki, raczej nie powinien na pierwszy rzut oka zorientować się, z kim ma do czynienia, a pierwszeństwo w ruchu należało do jednostek wojskowych. Dopóki nie spotkają okrętu, którego kapitan posiada

najnowszy atlas, będą bezpieczni, co nie oznaczało wcale, że nie powinni się spieszyć. Wystarczająco już nadużyli łaskawości losu.

Sytuacja była dla Nes jasna. Nie przewidziała tylko jednego: że jej załoga może uznać za stosowne potraktowanie niewielkiej, pękatej krypy jak łatwego do zdobycia łupu.

– Statek handlowy trzy mile przed nami! – zameldowała Fraan z obserwacyjnego przez rurę komunikacyjną. – Gotowość do abordażu, aye, kapitanie?

Panna Roźnowski siedziała akurat przy wąskim blacie w sterówce, po raz setny przeglądając listę spraw, które miały załatwić, zanim wyjdą na morze. Feliks pochylał się nad nią, widziała więc, jak drgnęły mu dłonie, oparte między porozrzucanymi papierami. Na chwilę w jej głowie zagościła panika. Potem Nes odetchnęła i posłała Ucellemu uspokajający uśmiech.

– Pójdę to załatwić – powiedziała, muskając lekko jego ramię, a na użytek wyraźnie zaciekawionej sternik dodała: – Nie mamy teraz na to czasu. Nie pozwolę, żeby coś nas głupio opóźniło w drodze na wybrzeże.

Laara skinęła głową, przyjmując wyjaśnienie, nawet jeśli nie do końca w nie wierzyła. Nes podziękowała jej spojrzeniem, po czym opuściła sterówkę. Na pokładzie panowała zwyczajna krzątanina, dziewczęta nie czekając na rozkazy zajmowały swoje miejsca, jak robiły to dziesiątki razy. Tak już było, że gdy jakiś handlarz znalazł się na kursie kolizyjnym z „Niezatapialną”, załoga najpierw stawała w gotowości, a potem dopiero zastanawiała się, czy cała akcja ma sens.

– Bierzemy go, kapitanie? – spytała Darna, przecinając trasę Nes w drodze na lewą burtę, gdzie Fraan już wkładała hełm celowniczy Stoimira.

– Nie! Odwołuję gotowość do abordażu! Miniemy go spokojnie, prawą burtą – wyjaśniła podchodzącej do nich Maricie. – Nie ma czasu, nie chcemy też zostawiać po sobie śladów! Najpierw dokończmy naprawy.

Marita skinęła głową.

– To brzmi rozsądnie, kapitanie – zaczęła, lecz przerwała jej Fraan. Zrzuciła gogle i podbiegła z wykrzywioną gniewem twarzą.

– Jest okazja się odkuć! – wrzasnęła. – Co ty wyprawiasz? Kiedyś byś nie przegapiła okazji! Zastaniasz się rozsądkiem, pani kapitan, ale ja wiem, o co ci chodzi tak naprawdę! To przez niego! – Machnęła ręką w stronę sterówki, z której właśnie wynurzał się Feliks. – Znów przez niego! Kochaś ważniejszy od załogi, co?!

– Będzie lepiej, jeśli się uspokoisz, Fraan – wycedziła Nes przez zęby.

– Bo co?

Panna Roźnowski nie odpowiedziała. Tym razem dała się wyprowadzić z równowagi. Jej pięść trafiła idealnie w środek czerwonej z gniewu twarzy buntowniczkii. Na pokładzie zapadła cisza, której nie przerywał najłżejszy nawet

dźwięk. Do momentu, gdy Fraan przez zalane krwią zęby nie jęknęła cicho:

– Niech cię szlag, Nes!

Kapitan wciągnęła haust powietrza i odruchowo roztarła dłoń.

– Na drugi raz może pomyślisz, zanim zaczniesz krzyczeć na swojego kapitana – powiedziała spokojnie. – To jest statek piracki, nie demokratyczny parlament w jakimś tam Tuuli, pojmujesz?

Fraan nie odpowiedziała, a Nes, rozejrzawszy się po twarzach pozostałych dziewczyn z załogi, powtórzyła głośno rozkaz wydany wcześniej Maricie:

– Mijamy go prawą burtą. Fraan, wracasz na obserwacyjny, reszta pod pokład.

Wykonywały polecenia w milczeniu, zerkając chmurnie to na nią, to na Fraan, która przez moment wyglądała, jakby zamierzała nie posłuchać rozkazu. Nes nie miała pojęcia, która z nich dwóch wzbudza w załodze większy niesmak. W końcu najlepsza celowniczy na wodach Palude z ociąganiem ruszyła na rufę, a pani kapitan spod zmarszczonych brwi obserwowała, jak dziewczęta powoli schodzą pod pokład. Potem spojrzała na Darnę. Przyjaciółka skinęła głową, poważny uśmiech zagościł na jej twarzy. Panna Roźnowski odetchnęła. Przez chwilę patrzyła bezmyślnie na monotony, płaski krajobraz południowego biegu Leniwej, po czym poszła w kierunku sterówki. Feliks nadal stał w otwartych drzwiach. Pod pachą trzymał zebrane ze stołu papiery.

– Powtórzyłem rozkaz Laarze – powiedział. – Wezwie cię, jeśli zdarzy się cokolwiek nieprzewidzianego.

– Dobrze. V'An powinien być już gotowy z obiadem. Nie byłby zadowolony, gdyby cokolwiek tam wymyślił ostygło, bo my się bawimy w abordaże – zażartowała nieco na siłę.

Feliks także nieco na siłę odpowiedział uśmiechem, po czym ramię przy ramieniu zeszli do mesy. Po monotonnych i mdłych posiłkach serwowanych przez kuka Jego Królewskiej Mości kuchnia v'Ankary była dla Nes – jak zresztą wszystko na „Niezatapialnej” – źródłem radości. Tylko jedno od samego początku burzyło tę radość, a mianowicie fakt, że Fraan za każdym razem, gdy w przyklejonej do kambuza niewielkiej mesie pojawiał się Feliks, ostentacyjnie wychodziła, zostawiając na talerzu wszystko, czego nie zdążyła zjeść.

Na początku, kiedy sytuacja powtórzyła się kilka razy, Ucelli poczuł się bardzo niekomfortowo i pilnował, by nie schodzić na posiłki, zanim Fraan nie wyjdzie. Potem, być może z nudów, zaczął się z nią drażnić, wpadając do mesy, gdy była w połowie obiadu albo dopiero napoczęła kolację. W końcu znudził się i tym. Dziś, z racji odesłania Fraan na obserwacyjny, Nes przynajmniej ten problem miała z głowy. Musiała się za to zmierzyć z milczeniem, które zapanowało, gdy tylko stanęli w progu.

Ich wejście ucięło wszelkie rozmowy, a osiem par oczu popatrzyło na nich z niezwykłą uwagą. Nes przystanęła na ułamek sekundy, lecz szybko się pozbierała i zajęła swoje miejsce, a Feliks poszedł w jej ślady.

Na talerzach czekały już porcje pieczeni w jakimś dziwnym sosie, który v'Ankara mocno doprawił ziołami. Kucharza nie było: musieli się minąć, kiedy szedł zanieść jedzenie Fraan i stojącej za sterem Laarze. Gdy Nes i Feliks usiedli i po prostu zajęli się zawartością talerzy, dziewczyny wróciły do posiłku. Wkrótce rozległy się przyciszone rozmowy, a nawet jakiś zduszony wybuch śmiechu. Jadły niespiesznie, delektując się pieczenią tak samo jak Nes, a może i bardziej, wzięwszy pod uwagę różnicę pomiędzy kuchnią v'Ankary a tym, co zapewne serwowano w szpitalu-więzieniu. Jedynie Gustaf nie jadł, wciąż popatrując z zasepionym wyrazem twarzy to na kapitan, to na Ucellego. Rozchmurzył się, dopiero gdy kucharz wrócił i przyniósł butelkę nalewki o intensywnie fioletowej barwie, a niewiele później drugą. V'An przysiadł się do Ucellego i zaczął perorować, wrzucając w opowieść dziwnie jęśliwe słowa własnego języka, i to chyba ostatecznie rozluźniło napiętą atmosferę. Nes przesunęła wzrokiem po twarzach członków swojej załogi, szukając w nich śladów ostatnich wydarzeń. Robiła to często, wciąż od nowa wyluskując subtelne zmiany, jak mocniej zarysowane kości policzkowe Marity czy przygaszone oczy Kayle.

Nie mniej trudny niż zwykle był fakt, że brakowało przy stole Kass, której miejsce zajmował Feliks. Jej szczebiotania, pytań i wyrazów zadziwienia, gdy ktoś na te pytania odpowiadał. No i było jeszcze krzesło między Zijeme a Ulfą, wciąż jaskrawo świecące pustką, bo dziewczyny uparcie zostawiały je wolne, jakby liczyły na to, że któregoś dnia jakimś cudem usiądzie na nim Heile.

Nes potrząsnęła głową, zła na siebie, że nawet w obliczu nowej sytuacji nie potrafi skupić się na terażniejszości, za to wciąż popada w nostalgię. W niej też dużo się zmieniło, o czym najlepiej świadczyła reakcja sprzed chwili, lecz Nes, równie uparta jak dziewczyny z maszynowni, próbowała udawać, że jest inaczej.

– Dołożyć pod kotły, kapitanie? – spytała Zijeme, wycierając resztki sosu z talerza.

– Tak. Im szybciej będziemy pod Mewim Klifem, tym lepiej. To my powinniśmy czekać na Ywig, nie odwrotnie – odparła, podając tym samym ostateczne i bardzo prawdopodobne wyjaśnienie swej kontrowersyjnej decyzji.

Milcząca jak zwykle Ulfa wstała pierwsza. Po chwili w pomieszczeniu został tylko Feliks i v'Ankara, który pod pretekstem zbadania jakości innej nalewki zaprowadził Gustafa do schowka za kambuzem. Nes kończyła obiad, siedząc sam na sam z Ucellim. Patrzył na nią z powagą. Instynktownie wyczuła, że chce powiedzieć coś, co prawdopodobnie jej się nie spodoba.

– Z Mewiego Klifu jest całkiem blisko do Sermonte – odezwał się w końcu.

– Sermonie? – spytała zdziwiona.

Było to największe miasto na zachód od Leniwej. Słyszeli z hut kolorowego szkła i z niczego więcej. Zaskoczyło ją, że Feliks od niego zaczyna rozmowę.

– To duże miasto, Nes. Mają tam garnizon, a ja znam jego dowódcę.

Patrzył jej w oczy i zrozumiała, że w ciągu tych paru minut wszystko dokładnie sobie przemyślał. Decyzja już zapadła. A może to nie była decyzja podjęta pod wpływem chwili? Może rozważał to już wcześniej? Może nawet od samego początku to planował? Może dlatego nie wychodziły im rozmowy o przyszłości? Kto jak kto, ale kapitan Feliks Ucelli z pewnością nie potrafił kłamać.

– Co ty chcesz zrobić?!

– Masz już „Niezatapialną”, panno Nes. A ja nie mogę tu zostać.

– Nie możesz też wrócić! – Głos jej się załamał. – Przecież... przecież cię powieszają!

Chciał się chyba uśmiechnąć, lecz zrezygnował, jakby uznając, że nie zasłużyła, by traktować ją jak dziecko. Odsunęła się od stołu, bezwiednie zaciskając palce na krawędzi.

– Nie chcę... – Wbiła wzrok w pusty talerz, a panika ścisnęła jej gardło.

Przez szeroki blat stołu nie miał szans do niej sięgnąć, więc wstał, by go obejść. Stał tuż obok i czekał chwilę, lecz nie podniosła na niego wzroku, zbyt skupiona na powstrzymaniu zupełnie niepotrzebnych łez, o które było jej dziwnie łatwo. Tymczasem Feliks pochylił się i chwyciwszy ją za ramiona, odwrócił w swoją stronę.

– Spójrz na mnie – rzekł stanowczo, inaczej niż kiedyś we wnętrzu hałaśliwego lokomobilu.

– Nie chcę – powtórzyła żałośnie, próbując się wyrwać.

– Nes! – Uklęknął, przesuwając chwyt na jej dłonie. – Nie mogę tu zostać. Ale to nie znaczy, że cię nie kocham.

Poderwała gwałtownie głowę. Nigdy do tej pory takie słowa między nimi nie padły, a teraz on mówił o tym tak prosto. I chwilę potem, wtedy, gdy już całowała jego twarz, pojęła, że to w gruncie rzeczy jest proste i nie wymaga słów.

* * *

Zszedł na ląd o świcie następnego dnia po tym, jak przybili do Mewiego Klifu, a Ywig weszła na pokład, objuczona sporym ładunkiem najróżniejszej broni. Słońce dopiero zaróżowiło wschodni horyzont, a blade wstążki chmur wypełzały znad gładkiej tafli morza. Pani kapitan odprowadziła go do końca nabrzeża, przy którym łagodnie kołysał się śpiący parowiec, i dalej, aż tam, gdzie jaskinia otwierała się na wąską plażę. Trzymająca wartę Darna zmarszczyła lekko brwi, gdy ją mijali, i przez chwilę

wyglądała, jakby chciała o coś zapytać, lecz widząc przeczący gest Nes, zmilczała.

– Tu będzie dobrze. – Feliks zatrzymał się w miejscu, gdzie piasek zmieniał kolor, wynurzając się z cienia rzucanego przez jaskinię.

Stali w milczeniu i Nes miała wrażenie, że najlepiej z tej chwili zapamięta dźwięk uderzających o brzeg fal i chłód, wciskający się podstępnie pod koszulę.

– Nic mi nie będzie – skłamał otwarcie, układając usta w uśmiech, który nie sięgał jasnych oczu.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwała się po dłuższej chwili, podczas której usiłowała znaleźć odpowiednie słowa. – Nic nie pasuje. Nie chcę mówić „żegnaj”, a nie wierzę, że cię jeszcze zobaczę.

Wyciągnął ramiona i zamknął ją w objęciach. Trwali tak przez moment, zbyt krótki, by to mogło wystarczyć, a potem Feliks pocałował jej skroń i wyszeptał trzy słowa:

– Chciałbym, panno Nes.

Zesztywniała, by zaraz zmięknąć, wysuwając się z jego rąk. Nie było sensu przedłużać tego, co i tak musiało się skończyć. On najwyraźniej myślał tak samo, bo pozwolił jej się odsunąć. Skrzyżowała ramiona na piersi, kiedy chłód płynący z zewnątrz wymieszał się z tym, który powoli wypełniał ją od środka. Feliks wciąż nie ruszał się z miejsca i poczuła strach, że nie wytrzyma i zacznie go prosić, by został. A przecież obiecała mu nocą, że nie będzie. *To moja decyzja, Nes*, powiedział, głaszcząc jej włosy, a ona nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Jego decyzja. Owszem, tyle że mogła kosztować go życie. Otworzyła usta, gotowa złamać obietnicę, lecz Ucelli ją ubiegł.

– Myślę, że o tym właśnie mówił porucznik, gdy kazał mi się uczyć na cudzych błędach – powiedział.

– O tym? – spytała bezwiednie, zaskoczona przywołaniem słów de Succombera.

– O tej pewności, która mnie wypełnia. Że cokolwiek się teraz stanie, było warto. I nie żałuję decyzji. Gdybym cofnął się w czasie, tak samo bym skoczył. – Uśmiechnął się i tym razem w jego uśmiechu zobaczyła radość, nie kłamstwo. – Pamiętaj o tym zawsze – powiedział poważnie, a potem wyminął ją i ruszył przed siebie wzdłuż podnóża klifu.

Szedł miarowym, równym krokiem, a ona, odwróciwszy się na pięcie, wbijała wzrok w jego plecy, dopóki nie zniknął za pierwszym załamaniem skalnej ściany. Wtedy wreszcie wypuściła wstrzymywany oddech i ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że świat, który przecież skończył się ledwie parę minut wcześniej, trwa wokół w niezmienionej postaci: to samo srebrne o świcie morze rozbijało się o tę samą wąską plażę i ta sama urwana ściana spadała białym cięciem na szarość piasku. Pierwsze promienie słońca zalały właśnie złotem nieboskłon i Nes odetchnęła niczym topielec wynurzający się na powierzchnię.

Dasz radę, dziewczyno – szepnęła w myślach, sama sobie nie wierząc.

Wciąż ze skrzyżowanymi na piersi ramionami ruszyła z powrotem na swój statek – pożegnalny prezent, którego wcale w tej chwili nie chciała. W milczeniu minęła stojącą na warcie Darnę, jednak przyjaciółka chwyciła ją za ramię i spytała bez zbędnych wstępów:

– Gdzie go wysłałaś?

Panna Roźnowski spojrzała na nią przelotnie, potrząsając jedynie głową. Nie odezwała się z obawy, że zdradzi ją drżenie głosu. Wbiła wzrok w wodę przelewającą się między burtą a ścianą jaskini. Szukając pretekstu, który pozwoli jej bez wyjaśnień uciec do własnej kajuty, podziwiała kontrast między jasną skałą a ciemną tonią spokojnego morza.

– Nes! – W głosie Darny słychać było zniecierpliwienie. – Coście zrobili?!

– Spójrz – odpowiedziała cicho kapitan. – Ani ta biel biała, ani czerń zupełnie czarna. – Przełknęła ślinę, czując zbierającą się w gardle twardą kulę. – Jak w życiu. Bo widzisz... On nie mógł tu zostać, a ja nie mogłam iść z nim.

Spojrzała w końcu w oczy przyjaciółki i przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Na twarzy Darny Nes zobaczyła dezaprobatę.

– On nie mógł zostać, rozumiem, ale czemu ty nie mogłaś iść z nim?

To było proste, zwyczajne pytanie. Równie prosta powinna być odpowiedź, lecz panna Roźnowski, otworzywszy usta, pojęła, że nie wie, co odpowiedzieć.

– Czemu? – drażyła starsza kobieta, przyglądając jej się spod zmarszczonych brwi.

A gdy pani kapitan nadal nic nie mówiła, dodała jeszcze, puszczając rękaw białej koszuli:

– Myślę, że powinnaś sobie znaleźć jakąś dobrą, przekonującą odpowiedź, Nes. Inaczej będzie ci ciężko.

Rozdział jedenasty,

w którym w pewnym sensie wracamy do początku tej historii

Kapral Fulise wracał właśnie z patrolu nieco zły, bo wyznaczono go do służby znienacka, psując mu plany na wieczór. Miał zamiar wypić parę kufelków u Mady Koffi i po raz kolejny spróbować wkraść się w łaski gospodyni. Wpadła mu w oko zaraz w pierwszym tygodniu po objęciu przez jego kompanię stancji w Prato i od tamtej pory kręcił się wokół niej, zagadując i znosząc drobiazgi z gatunku tych, które lubią kobiety: ażurowe chustki, znalezione na plaży kolorowe kamyczki, a ostatnio nawet wyrzeźbiony własnoręcznie kwiat. *Bo zimą o kwiaty trudno*, powiedział jej, *a dla panienki to się należą cały rok*. Chyba jej się spodobało, bo dostał całusa.

Jeden całus za tyle tygodni starań!

Fulise westchnął, potarł dłonią zarośnięty policzek i skrzywił się, niezadowolony. Nie lubił golenia jeszcze bardziej niż wieczornych patroli, ale jego druh, Ucelli, stanowczo twierdził, że jeśli chce mieć jakiegokolwiek szanse u pięknej Koffi, musi dbać o takie sprawy. Kapral spojrzał w czyste zimowe niebo. Księżyc świecił jasno, a jego ostre, wyraźne brzegi zapowiadały, że mróz się utrzyma. Mężczyzna odetchnął głęboko rześkim powietrzem, wypełniając chłodem potężną klatkę piersiową. Przyszło mu do głowy, że właściwie nie jest jeszcze tak późno, a na pewno nie minęła północ i gdyby się szybko ogarnął, to może zdążyłby wypić choć szklankę grzańca. Ta myśl nakazała mu przyspieszyć kroku i wkrótce kluczył już między nadbrzeżnymi budynkami, w których stacjonowało wojsko, wysłane do pilnowania mieszkańców niepokornego miasta.

Gdy stanął pod barakiem, w którym kwaterował jego oddział, był już w miarę zadowolony. Humor ponownie mu się zwarzył, gdy zza drzwi usłyszał drażniące ucho piskliwe dźwięki. Ucelli znów męczył harmonijkę, bez skutku usiłując nauczyć się na niej grać. Znalazł ją swego czasu w jednym z opuszczonych domostw na wschód od jeziora. To było zaraz na początku ich służby nad Turkusowym. Wielu mieszkańców wyniosło się wtedy z okolicy, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Kapral im się nie dziwił. Rozkazy, które wtedy musieli wykonywać, nie przypadły mu do gustu. Nie było godne mężczyzny walczyć z cywilami, z kobietami i dziećmi, a nie każdy pozwalał przeszukać chałupę bez protestu. Oficerek znosił to gorzej od niego. Fulise widział, a nieraz słyszał od innych, że tam, gdzie Ucelli trafiał, próbował łagodzić zachowanie co gorliwszych kolegów, przeważnie z mizernym skutkiem.

Z jednego z takich patroli przyniósł prostą, nijak niezdobioną ustną harmonijkę. Od

tamtej pory regularnie katował współtowarzyszy, ucząc się gry, do której najwyraźniej nie miał talentu.

Kapral ze skrzywioną miną wszedł do środka i obrzucił wewnątrz baraku szybkim spojrzeniem. Młodziak pół leżał, pół siedział na swojej pryczy i uparcie dmuchał w instrument. Po drugiej stronie pomieszczenia trzej szeregowi, w tym Orso, zerkali na niego spode łba. Wyglądali, jakby mieli ochotę splunąć. Fulise westchnął. Wyraźnie zanosił się na kolejną awanturę. Kapral musiał przyznać, że w takich momentach sam miał ochotę przyłożyć Ucellemu, choć zwykle trzymał jego stronę, jak wtedy, gdy jeszcze z końcem jesieni szli nabrzeżem na codzienny patrol i nagle otoczyła ich grupa rybaków. Jeden z nich wysunął się przed szereg i uśmiechając się wrednie, rzucił do byłego kapitana:

– I co, żołnierzyku, pamiętasz mnie?

A potem, nie czekając na odpowiedź, strzelił go pięścią w nos. Na tyle mocno, że Ucelli padł na deski. Nie został tam długo, zaraz skoczył na nogi i oddał cios z siłą, która zaskoczyła i atakującego, i Fulisego. A jeszcze potem pozostali rybacy rzucili się koledze na pomoc, więc szanse młodziaka gwałtownie zmaleły.

Akcja była dobrze zaplanowana i szybko przeprowadzona – nim ktokolwiek miał szansę zareagować, Ucelli leżał z powrotem na deskach, a obok Fulise sprawdzał, ile zębów stracił tym razem.

Na wspomnienie bijatyki przeciągnął odruchowo językiem po szparze między górną lewą jędynką a kłębem. Niestety, ząb ułamał się na jednej z twardych rybackich pięści i sporo bólu kosztowało Fulisego pozbycie się resztek, tkwiących uparcie w dziąśle.

Tymczasem jeden z chłopaków wstał i ruszając powoli w stronę Feliksa, zawołał:

– Te! Błękitku! Dałbyś ludziom spokojnie odpocząć! Przecież słyhać, że talentu bogowie poskapili!

Dwóch sekundantów zarechotało, a Ucelli skrzywił się, po czym jeszcze głośniej i bardziej fałszywie dmuchnął w otworki harmonijki. Zdecydowanie nie przepadał za przewiskiem, jakie bardzo szybko nadali mu koledzy, dla których historia zdegradowania oficera marynarki do stopnia szeregowca piechoty była źródłem nieustającej uciechy. Błękitka wzięli od munduru, choć przecież kurtka i spodnie kapitana, gdy jeszcze był kapitanem, miały odcień granatowy, nie błękitny, i nawet taki prosty chłop jak Fulise to wiedział. Z drugiej strony kapral widział w tym przewisku przytyk do chmurnych nastrojów świeżo upieczonego szeregowca, które z pogodnym błękitem niewiele miały wspólnego.

– Jak mnie zmusisz do podejścia bliżej, to tym razem stracisz zęby, oficerku! – zagroził Orso, mrużąc oczy.

Fulise napiął mięśnie, szykując się do ewentualnej bijatyki, i westchnął, żegnając się

już w myślach ze słodką Koffi. O ile Błękitka Ucelli potrafił zignorować, o tyle na oficerka reagował bardzo źle. Kaprał w rozmowie nigdy go tak nie nazywał, choć w myślach często sobie na to pozwalał – w końcu chłopak naprawdę był oficerem. Nie przestaje się nim być tylko dlatego, że jakiś cywil zedrze człowiekowi naramienniki.

* * *

Gdy minister Ijsberg kazał mu przyprowadzić więźnia trzymanego o chlebie i wodzie w tej samej celi, w której latem kilka dni spędziła jedyna kobieta, jaka kiedykolwiek trafiła do bloku czwartego, Fulise, wtedy jeszcze szeregowy, był pewien, że oto młodziak ma usłyszeć, kiedy i gdzie zostanie powieszony.

Nie było innej kary za zdradę, a czymże, jak nie zdradą, była pomoc piratce w ucieczce i odzyskaniu statku? A takie wieści dotarły do Cytadeli razem ze skutym kapitanem. Historia rozkazu, którego nie było, przekazywana z ust do ust, dawała pewność, że młodziak nie wywinie się z katowskiej pętli. I tu pojawiało się coś, czego prostolinijny wielkolud nie rozumiał. Dlaczego Ucelli, zamiast zostać, gdzie był, sam zgłosił się pewnego jesienno-go dnia do fortu w Sermonte? Na co liczył? Fulise nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że więzień cały czas był zadziwiająco spokojny i uprzejmy, a po jego twarzy błąkał się blady uśmiech.

Prowadząc Ucellego z celi do gabinetu ministra, Fulise nie mógł się powstrzymać, by nie wyrazić swojej opinii o poczynaniach kapitana:

– Szkoda cię, oficerze – rzekł wtedy. – Ja tam prosty jestem, ale pojmuję, coś zrobił. Źle, jak dziewczuchom się włosy obcina i siłą je w mundur ubiera, a przecież, jakeś ją wtedy przyprowadził do ministra, to na pierwsze spojrzenie widać było, że miętę do niej czujesz.

Młodziak zeszywniał na moment, a potem mu podziękował. Za co, Fulise nie wiedział.

– A panienkę to w tej samej celi trzymali – uprzejmie zagadnął chwilę później, zachęcony sukcesem, lecz tym razem odpowiedzi się nie doczekał.

Dalszy marsz upłynął im w milczeniu, którego ciężar przytłoczył szeregowego, choć Fulise nie pojmował natury gryzącego, mdłego uczucia, jakie go opadło. Potem dopiero, gdy już siedzieli z Ucellim w pociągu wiozącym ich nad Turkusowe, zrozumiał. Zwyczajnie po ludzku nie podobało mu się przewidywane zakończenie tej historii, za bardzo przypominającej bajki, które w dzieciństwie opowiadała jego siostrze babka. A bajki wszak powinny kończyć się szczęśliwie.

Tego, co stało się wtedy w gabinecie ministra Ijsberga, też nie rozumiał. Jego rozum nie ogarniał najwyraźniej ścieżek, jakimi poruszały się umysły ludzi z wyższych sfer.

Gdy wprowadził bladego, lecz nadal spokojnego kapitana do pomieszczenia, polecono mu wyjść i zaczekać za drzwiami. Zdążył tylko zauważyć, że w gabinecie poza ministrem jest ktoś jeszcze i że obecność tego człowieka zrobiła na kapitanie piorunujące wrażenie. Młody stanął tuż przy wejściu, jakby nie śmiał zrobić kolejnego kroku, a Fulise wyszedł, nie domykając drzwi. Nie zrobił tego celowo – przypadkiem nie zatrzasnęły się od razu, a gdy się zorientował, nie chciał dawać panom w środku znaku, że do tej pory słuchał, co takiego mówili.

Mówił przede wszystkim Ijsberg, a kapitan milczał przez cały czas trwania jego tyrady i dopiero na samym końcu odpowiedział krótkim: *Tak jest*. Wcześniej padło wiele z pozoru spokojnych słów, wypowiedzianych zimnym, podszytym gniewem głosem, z których Fulisemu w głowie utkwiły głównie takie frazy jak *powinieneś wisieć, pusty papier, masz szczęście*. Zapamiętał też, że minister wspomniał o królowej i o jakimś zawiedzionym wuju. No i było jeszcze to, co najgorsze w – dobrym przecież – zakończeniu: *Marynarka nie chce zdrajców*.

A potem minister wezwał Fulisego i kazał mu odprowadzić szeregowego Ucelli do kwatermistrza. Widząc oberwane kapitańskie naramienniki, leżące u stóp jeszcze bledszego niż przed chwilą byłego oficera, wielkolud poczuł kolejne nieprzyjemne ukłucie, zupełnie jakby upokorzenie młodziaka w jakiś sposób przeszło na niego. Zanim zdążyli wyjść, trzeci z mężczyzn, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, rzekł:

– Co ja mam powiedzieć twojej matce, chłopcze?

Ucelli jakby nieco skulił się w sobie, po czym spojrzał wprost w oczy pytającego i odpowiedział:

– Proszę, niech jej pan przekaże, wuju, że mam się dobrze i że doskonale dam sobie radę, i że... – zawiesił głos, wahając się przez moment – jest mi przykro, że przeze mnie mogą spotkać ją nieprzyjemności.

Więcej już ich nie zatrzymywano i chwilę później szeregowy Feliks Ucelli został włączony do Drugiej Kompanii Szóstego Regimentu z Forge.

* * *

Teraz, wspominając tamte słowa o dawaniu sobie rady i patrząc na zaciśnięte pięści Orsa, Fulise czekał tylko na moment, gdy będzie mógł wkroczyć do akcji. Nie musiał czekać długo, bo Ucelli dmuchnął silnie, wydobywając z instrumentu jęk ranionego zwierzęcia, a Orso skoczył w jego stronę z pięścią gotową do ciosu. Nie doskoczył, bo kapral był szybszy i wystawiając uzbrojoną w ciężki but stopę, zatrzymał młodszego stopniem kolegę.

– Żadnych bójek! – rzucił tonem rozkazu, patrząc na gramolącego się z luki między pryzkami mężczyznę. – Chyba że chceta zaliczyć po miesiącu psiej warty.

Orso potrząsnął głową, w której najpewniej niezłe mu huczało po tym, jak przyładował czołem w twarde deski, a Ucelli, schowawszy harmonijkę do kieszonki na piersi, podniósł się i ruszył w stronę drzwi, po drodze wkładając płaszcz.

– Dokąd? – spytał Fulise.

– Tam, gdzie zwykle – odparł lakonicznie były kapitan.

– Po co? Tak bardzo chcesz oberwać? To sam ci przyleję albo jednak Orsowi pozwolę. Nie musisz leżeć nigdzie daleko! – Kaprała złościł upór Ucellego: Feliks, zamiast jak każdy wojak pić piwo w jednym z przyjaznych lokali, których właściciele dobrze rozumieli zasady rządzące ekonomią tego świata, wciąż łaził do tawerny Witrenstierna, gdzie większość gości patrzyła na niego wilkiem. – Ogołę się i pójdziemy do Koffi – zaproponował pojednawczo.

– U Koffi nie mają takiego rumu, Fulise. – Ucelli wyminął go, kierując się do drzwi. – Poza tym czuję, że dziś mi się uda.

– Co ci się uda, głupku? – spytał z irytacją kaprał, choć dobrze wiedział, o co chodzi.

Młodemu brakowało wody, nie przypadkiem, decydując się na karierę wojskową, wybrał marynarkę. Niedawno umyślił sobie, że wiosną wkręci się na któryś z rybackich stateczków – dodatkowe ręce do pomocy zawsze się przydają, tyle że, jak się szybko okazało, ręce żołnierza Jego Królewskiej Mości niekoniecznie.

– U chłopaków Gareta będzie brakowało jednego, najmłodszy się żeni.

– To ci, co cię przywitali tak gorąco na pomoście? – Fulise skrzywił się i odruchowo wsunął język w szparę między zębami.

– Ci sami – odpowiedział Ucelli i wyszedł, zostawiając rozdrażnionego kaprała z trzema szeregowcami; miny wszystkich czterech wyrażały to samo politowanie wymieszane z dezaprobatą.

– To co? – Fulise zerknął na kolegów pytająco. – Który się ze mną napije?

* * *

Poranki w stancyi zawsze wyglądały tak samo. Trąbka wygrywała pobudkę, a oni, wciąż jeszcze na wpół śpiąc, wypadali na dziedziniec na obowiązkową porcję ćwiczeń. Dopiero potem biegli do łaźni, kompletowali umundurowanie i wreszcie szli na śniadanie.

Fulise zżymał się nieco na tę kolejność, bo zwykle budził się z uczuciem, jakby jego żołądek z braku lepszego pomysłu zaczynał właśnie trawić sam siebie, lecz jednocześnie cieszył się z wysiłku. Mężczyźni potrzebowali wyładować energię, a jeśli

nie dostawali po temu okazji, skutki bywały opłakane.

Patrzył teraz, jak jego oddział wysypuje się z baraku. Choć kalendarz mówił, że zbliża się wiosna, mróz wciąż nie odpuszczał. Jednak większość żołnierzy nie miała na sobie nic ponad spodnie i buty, tak samo zresztą jak Fulise. Ostatni na plac ćwiczebny wyszedł Ucelli, bledszy niż zwykle, z czarnymi sińcami wokół przekrwionych oczu, które osłaniał dłonią przed jaskrawymi promieniami wschodzącego słońca. Na pierwszy rzut oka było widać, że przesadził wczoraj z najlepszym rumem Witrenstierna, na który zresztą wydawał większość żołdu. Fulise poczuł lekkie ukłucie współczucia. Jakikolwiek ćwiczenia w tym stanie musiały być prawdziwą torturą.

– Przysiady! – rozległ się okrzyk sierżanta Deniego, który czekał już na dziedzińcu.

Wojacy, ustawieni w równych szeregach, wydychali kłęby pary w mniej lub bardziej zgranym rytmie, a Fulise co chwilę zerkał z niepokojem na byłego kapitana. Ten jednak radził sobie całkiem nieźle, dopóki nie nastąpiła zmiana ćwiczenia na pompki. Sierżant zdołał doliczyć do dwunastu, gdy Ucelli już nie tyle zbladł, co wręcz poszarzał na twarzy, po czym zwyczajnie puścił pawia i opadł na ziemię tuż obok parującej w mroźnym powietrzu kałuży.

– Co? Rum zaszkodził, Błękitku? – spytał ktoś z boku, wywołując śmiech kolegów.

– Cisza! – Ostry głos sierżanta Deniego przeciął powietrze niczym trzaśnięcie bicia.

– Szeregowy Ucelli, kontynuujcie ćwiczenie.

Fulise pomyślał, że mu się to nie podoba, nie mógł jednak interweniować. Szarża jasno określała, co komu wolno. Reszta oddziału trwała nieruchomo, każdy w takiej pozycji, w jakiej zastała go sytuacja, przeważnie niezbyt wygodnej. Były kapitan oddychał płytko, wyraźnie próbując opanować mdłości.

– Dalej, szeregowy, mam wam pomóc? – Deni przeszedł między żołnierzami i pochylił się nad Ucellim.

W oczach sierżanta Fulise dostrzegł mściwą satysfakcję i nie pierwszy raz pomyślał, że wielu jego towarzyszy widzi w możliwości pastwienia się nad zdegradowanym oficerem szansę odkucia się za wszelkie upokorzenia, jakich kiedykolwiek doświadczyli od starszych stopniem. Tymczasem Ucelli spróbował wykonać rozkaz. Mimo drżenia ramion zdołał zrobić jedną pompkę, zanim ponownie upadł, tym razem nie do końca unikając kontaktu z tym, co wcześniej opuściło jego żołądek.

– Nie dam rady, panie sierżancie – wymamrotał.

– Głośniej, szeregowy, nie słyszę was!

– Nie dam rady, panie sierżancie – powtórzył nieco głośniej, odwracając się na plecy.

Fulise rozejrzał się dookoła. Po minach kolegów poznał, że nie tylko jemu nie w smak jest to, co się właśnie dzieje.

– Cóż, szeregowy – powiedział z pogardą sierżant. – Idźcie się umyć, a potem

przygotujcie się na służbę na Oślisku. Tydzień. Ruszacie od razu. Nie wydaje mi się, żeby było warto marnować na was śniadanie.

Ucelli podniósł się z wysiłkiem, w międzyczasie ocierając policzek wierzchem dłoni.

– Tak jest, panie sierżancie – powiedział i ruszył w kierunku baraków.

– A wy co?! – ryknął sierżant w stronę popatrujących za ukaranym towarzyszem żołnierzy. – Dalej! Kazałem wam przestać?

Fulise zacisnął zęby, aż zaboląła go szczęka i, ładując całą energię w pompki, usiłował się uspokoić. Miał ogromną ochotę wstać i zwyczajnie walnąć sierżanta w nos. Kapral był prostym człowiekiem i proste rozwiązania zawsze wydawały mu się najlepsze. Służba w wojsku pomogła mu utemperować charakter i nabrać nieco ogłady, lecz teraz z całych sił musiał sobie przypominać, dlaczego nie powinien się podnosić i pokazywać Deniemu, co myśli o jego zachowaniu.

Wpatrzony w twardą, zmrożoną ziemię pomyślał o Oślisku. Łysym pagórku obserwacyjnym, na którym nie było jak schować się przed wiatrem czy śniegiem. Oślisko wznosiło się nad jeziorem w odległości dobrych dwudziestu kilometrów od stancy i pozwalało na obserwację prawie całego wschodniego Turkusowego. Służba tam traktowana była na równi z karcerem. Ucelli będzie miał sporo czasu na myślenie i na naukę gry, jeśli zdoła utrzymać harmonijkę w rękach.

– Dość! Łaźnia i na śniadanie! – Deni łaskawie zwolnił ich nieco wcześniej. – Fulise!

Kapral odwrócił się na pięcie i stanął na baczność.

– Zmieńcie wyraz twarzy albo za tydzień to wy zmienicie waszego koleżkę na Oślisku – rzekł sierżant, po czym, nie czekając na odpowiedź Fulisego, ruszył w kierunku kantyny.

Łaźnia mieściła się na tyłach baraku i oddział Fulisego miałby do niej najdalej, gdyby nie to, że chłopcy od razu nauczyli się wykorzystywać okno jako tylne drzwi. Wystarczyło przeskoczyć parapet i zbiec na puste o tej porze roku nabrzeże, przy którym postawiono budynek łaźni, połączony z niewielką kotłownią. To samo palenisko grzało wodę do kąpeli i produkowało parę, niezbędną do uruchomienia pompy. Prawdziwy luksus, który teraz – zimą – doceniał każdy z nich.

Zima zaś w tym roku wyjątkowo dawała im się we znaki. Wygnała z wód wszelkie łodzie poza królewskimi zaopatrzeniowcami. Te, uzbrojone we wrzące pługi, pływały co prawda wolniej, lecz wciąż pływały. Ledwie wczoraj jeden z nich przywiózł nieco zapasów i listy do zakwaterowanych w Prato żołnierzy – tych, których rodziny nie mogły sobie pozwolić na korzystanie z poczty pneumatycznej. Idąc do łaźni, Fulise myślał o tym, że on jak zwykle listu nie dostał, co zresztą nie było niczym dziwnym, skoro i tak nie potrafiłby go przeczytać. Na progu umywalni minął się z Ucellim. Młodziak wyglądał o niebo lepiej niż jeszcze przed chwilą i nawet wykrzeszał z siebie

słaby uśmiech.

– Weź moje futro – powiedział Fulise, kładąc mu rękę na ramieniu w uniwersalnym geście pocieszenia.

– Utonę w nim...

– I co z tego? Ale nie zamarzniesz! Nie bądź bardziej głupi, niż najwyraźniej byłeś wczoraj w tawernie!

Przez twarz byłego oficera przebiegł cień. Ucelli odetchnął głębiej i chciał wyminąć Fulisego, zapominając najwyraźniej, że wciąż ma na ramieniu jego wielką dłoń.

– Stój! – Kapral bezbłędnie wyczuł, że coś się dzieje. – Co jest?

– Puść, Fulise. – Ucelli znów spróbował zrobić krok, lecz kapral trzymał mocno. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami i w końcu młody się poddał. – Ktoś widział „Niezatapialną” w górze Leniwej. – W jego ton wkradła się gniewna nuta. – Nie powinna się tu pchać, miała siedzieć na Archipelagu... Tu nie jest bezpiecznie, a jej statek znają wszyscy.

Kapral zabrał rękę i westchnął głośno. Wspomnienie jasnowłosej dziewczyny, zatarte już nieco przez czas, wypłynęło z zakamarków pamięci. Nie rozmawiał o niej z Ucellim. Nie od czasu tamtej jedynej rozmowy w Cytadeli, jeśli można to w ogóle nazwać rozmową. Były kapitan należał do milczków, rzadko pozwalał sobie na wspomnianie przeszłości. I nigdy nie mówił o tym, co spowodowało jego degradację.

– Niemożliwe chyba – wydukał Fulise po dłuższej chwili, w czasie której starał się znaleźć jakieś pocieszenie, bo wyglądało na to, że młodziak pocieszenia potrzebuje. – Zima jest, lód na rzekach.

– Niemożliwe – powtórzył Ucelli, podnosząc dłoń do policzka przeciętego blizną. – Jak wrócę z Ośliska, pójdziemy się napić do Koffi, dobra, Fulise?

– Pójdziemy, panie oficerze – odparł kapral odruchowo, zanim zdołał ugryźć się w język.

Jednak były kapitan tylko spojrzał na niego z poważnym uśmiechem, kiwnął głową i ruszył w stronę baraku.

* * *

Przybytek Koffi jak zwykle był pełen klientów. Fulise stał w otwartych drzwiach, szukając znajomych twarzy. Był sam, bo Ucelli znów poszedł nasłuchiwać wieści do Witrenstierna. Bracia Gareta o dziwo dopuścili go do prac przy przygotowywaniu kutra do sezonu, a nawet zabrali na pierwszy rejs, gdy lód na Zatoce Kaczek zaczął pękać. Kapral przestał się więc martwić o to, że młody wróci z tawerny z rozbitym nosem. Ostatnimi czasy pogłoski o „Niezatapialnej” i jej kapitan docierały tu częściej, a

Błękitek stawał się coraz bardziej nerwowy. Podobno piratki przemalowały parowiec na jakieś tam znaczące barwy i woziły uciekinierów na Archipelag. Podobno atakowały tylko statki tych przedsiębiorców, którzy wyjątkowo źle traktowali swoich robotników. Podobno przemycały produkty nadchemiczne i konwencjonalną broń. Wszystko podobno i bez żadnych dowodów, jednak były oficer nie przestawał snuć czarnych wizji. Kapral z każdym dniem czuł silniejszą pokusę, by mu wreszcie wygarnąć, że sam jest sobie winien, lecz za każdym razem, gdy już otwierał usta, coś kazało mu je zamykać.

– Zamykaj! – warknął ktoś, komu wczesnowiosenny chłód najwyraźniej przeszkadzał.

Fulise westchnął i zatrzasnął drzwi, uniemożliwiając tym samym wcale pożądaną wymianę powietrza. Zmrużył oczy i jeszcze raz spróbował znaleźć sobie miejsce. Większość okrągłych stolików okupowali żołnierze ze stancy. Miejscowych było niewiele i dzielili się na dwie grupy – tych, którzy mieli z żołnierzami jakieś interesy, i tych, którzy od czasu do czasu szukali zwady. Fulise orientował się nieco w zmianach, jakie nastąpiły w Prato w ostatnim czasie. Oto pierwsza zima, gdy ani jedna piracka jednostka nie cumuje w żadnej z jaskiniowych przystani, pierwsza, po której wraz z wiosną nie przybędą statki, szukające zaopatrzenia. Wieści o zajęciu miasta – nazywanego czasem piracką stolicą – przez wojsko rozniosły się szybko. Musieli tu mieć naprawdę sprytny system ostrzegawczy.

Żołnierze ze stancy szukali dla siebie miejsca w miasteczku i początkowo jedynie Mada Koffi była dla nich miła. W innych barach patrzono na nich krzywo, żądano więcej pieniędzy za często bardziej rozcieńczone piwo, a bywało i tak, że cywile ostentacyjnie wychodzili, gdy pojawiali się mundurowi. Nie żeby wojakom to przeszkadzało, ale przeszkadzało z pewnością właścicielom karczm i tawern, bo uparcie odmawiali ich obsługiwania.

Koffi była od wszystkich mądrzejsza i czasem Fulise schlebiał sobie myśląc, że dlatego właśnie tak ją polubił. Bo była śliczna, a do tego bystra. Klient to klient, każdy tak samo przekładalny na pieniądze. Sentymety nie miały tu nic do rzeczy. Skoro nie mogło być jak dawniej, trzeba było się nauczyć żyć po nowemu.

Dźwięki pianina wzbity się ponad głowy gości. Między stolikami zakręciły się dziewczęta w furkoczących sukienkach, wywołując uśmiech na twarzy kaprała. Podbiegały do losowo wybranych klientów i mimo oporów wyciągały ich do tańca. Do niego też podbiegła szczuplutka blondynka w czerwonej niczym krew spódnicy.

– Panie kapralu, niech się pan nie da prosić! – Dziewczyna uczepiła się jego ramienia. – Niech mi pan pozwoli wygrać zakład!

– Ech, panienko Galino! Dałaby panienka wreszcie spokój! – Fulise czuł, że głupio

się rumieni. – Nawet się jeszcze rozebrać nie zdążyłem...

– To już! Na co pan czeka? – Rzuciła się ściągać z niego płaszcz, co wcale nie było łatwe przy różnicy wzrostu między nimi.

Bronił się nieudolnie, jednocześnie przeczesując wzrokiem przestronną salę w poszukiwaniu już nie tylko wolnego miejsca, ale przede wszystkim gospodyni. Pomieszczenie, choć niemałe, robiło wrażenie przytulnego. Zapewne była to zasługa nisko wiszących lamp i rudej wykładziny zdobiącej podłogę. Stoliki poustawiano pod trzema ścianami w dwóch rzędach, a czwartą ścianę zajmował szeroki czarny bar i schodki prowadzące na górę, gdzie po tańcach dziewczęta zabierały klientów spragnionych rozrywek innego rodzaju.

– Gdzie panienska Koffi? – spytał kapral, gdy jego płaszcz został już odwieszony na jeden z mosiężnych wieszaków, które z trudem mieściły wszystkie okrycia.

– Och! – Galina wydeła uroczo i tak pełne usteczka. – Pan to zawsze tylko o szefowej!

Roześmiał się szczerze na to oburzenie i by jej wynagrodzić zawód, pozwolił się wyprowadzić na środek pomieszczenia. Nie szło mu tańcowanie i po tym, jak trzeci raz przydepnął niechcący jej delikatne paluszki, dziewczyna dała za wygraną i pozwoliła mu oddalić się do baru. Tymczasem w sali pojawiła się właścicielka przybytku i Fulise, widząc ją, poczuł, jak krew gotuje mu się w żyłach.

Piękne włosy upięła dziś wysoko, odsłaniając kark, a ściskający talię gorset idealnie podkreślał pełną figurę. Kapral opróżnił kufel jednym haustem, po czym ruszył w jej stronę, mając do pokonania całą długość baru.

Zanim znalazł się u celu, do pięknej Koffi podeszło dwóch miejscowych. Fulise zmrużył oczy, nawet z daleka czując, że coś jest z nimi nie tak. Przyśpieszył i stanął za ich plecami, w samą porę, by usłyszeć, jak wyższy z dwójki mówi:

– Choć mnie osobiście brzydzi myśl o tym, że nasze panny rozkładają nogi przed tymi wojskowymi śmieciami, to mogę pojąć, że interes jest najważniejszy.

Fulise na wszelki wypadek zacisnął pięści i już miał się odezwać, gdy uprzedziła go gospodyni:

– O co ci chodzi, Fabrizio? Bo przecież nie o ten mały uprzejmy wykład? – spytała, mierząc mężczyznę uważnym spojrzeniem ogromnych oczu.

– Myślę, że należy mi się rabat. Nie powinnaś zdzierać z nas tak samo jak z nich – odpowiedział natychmiast, a jego towarzysz zaśmiał się obleśnie.

– Myślę, że powinieneś zmienić lokal, jeśli nie odpowiadają ci ceny. – Koffi odwróciła się na pięcie.

Nie zdążyła zrobić kroku, gdy ten, który do tej pory jedynie rechotał, wyciągnął ramię i chwycił ją w pól, przyciskając do siebie.

– Nie bądź taka, Koffi, daj choć całusa na zachętę – powiedział i sięgnął do jej piersi. Złapać nie zdążył, bo ciężka pięść Fulisego wylądowała na jego głowie. Jednocześnie rozwścieczona gospodyni wbiła napastnikowi łokieć pod żebra, choć nie było to już potrzebne. Dla niego nadchodząca wielkimi krokami bijatyka skończyła się, zanim się zaczęła. Tymczasem Fabrizio postanowił chyba pomścić kolegę, bo zamierzył się na kaprała, który bez wysiłku odtrącił lecącą w jego stronę pięść i oddał cios w tym samym momencie, w którym na sali wszczął się ruch.

* * *

Niedługo potem prężył się w pozycji na baczność razem z kilkunastoma innymi chłopakami, którzy brali udział w bójce i nie zdążyli zwiać, gdy pojawił się patrol, a zaraz za nim milicja. Służby podzieliły się obowiązkami, więc miejscowi wylądowali w areszcie, a oni na placu apelowym między barakami. Kapitan Durante, wściekły z powodu nocnej pobudki, stał w miejscu od dobrych kilku minut i nic nie mówił. Sapał i od czasu do czasu podnosił ręce w geście, którego znaczenia Fulise za nic nie potrafił rozszyfrować.

– Nie, to na nic! – wyrzucił z siebie w końcu. – Nie potrafię z wami dziś rozmawiać, wy niesubordynowane osły! – Ruszył w ich stronę, lecz zanim dotarł do równego szeregu, zatrzymał się przy sierżancie Denim. – Jak pan mógł do tego dopuścić? Nie potrafi pan ich utrzymać w ryzach? Wszystko na mojej głowie?

Gniew wykrzywił twarz kapitana, a blade księżycowe światło sprawiało, że wyglądał jak upiór. Fulise przyglądał mu się ze zdziwieniem i próbował zrozumieć, o co ta cała awantura. Mało to razy zdarzyło im się trochę pobić z miejscowymi? Nigdy nie było z tego powodu większych kłopotów – ot, jakaś uwaga, zmarszczone brwi, dodatkowy patrol. Owszem, do tej pory również nigdy nie było aż tak wielu uczestników bijatyki, bo miejscowych w lokalu pięknej Koffi nagle jakby przybyło i wojacy musieli się dobrze namachać, zanim ich spacyfikowali. No i nigdy jeszcze niczego nie zniszczyli. Żadnych stołów ani lamp... Kaprał skrzywił się na tę myśl. Przed oczami stanęła mu twarz gospodyni, bezsilnie patrzącej na pobojuwisko, które po sobie zostawili. Miał wrażenie, że jego szanse znacznie zmalały.

– Jutro! – krzyknął tymczasem kapitan. – Jutro z wami porozmawiam, po śniadaniu! Poczekacie tutaj. Na baczność! Pojeli? Niech mi się który ruszy! – Potoczył po nich spojrzeniem, po czym znów zwrócił się do sierżanta: – Pan jest odpowiedzialny za to, żeby żaden do rana nie zmienił pozycji.

Deni wyprężył się i zasalutował. Jego kamienna twarz nie wyrażała żadnego uczucia, lecz Fulise wiedział, że czeka ich naprawdę ciężka noc. Po śniadaniu... Kapitańskim

śniadaniu, czyli nie ma się co spodziewać Durantego przed dziewiątą. A i potem nie wiadomo, jak będzie. Westchnął i spróbował inaczej rozmieścić ciężar ciała. Niewiele pomogło, bo jakby w przeczuciu tego, co je czeka, kończyny już zaczynały mu drętwieć. Do tego było zimno. Wiosna jakoś nie umiała nadejść w tym roku, choć warstwa lodu na jeziorze robiła się coraz cieńsza i co większe kutry wypływały w środku dnia, by pomóc naturze, a południowa Turkusowa była ponoć wolna od kry.

Dobrze, że młody poszedł do „Zęzy”, pomyślał kaprał, powstrzymując się przed roztarciem zmarzniętych rąk.

* * *

Tydzień później Fulisego zwolniono z karceru, który najpierw własnoręcznie wystawił wraz z innymi winowajcami, pracując bez przerwy od rozpoczęcia aż do zakończenia budowy. Stanica bowiem, jak się okazało, nie posiadała wystarczającej liczby pomieszczeń więziennych. Gdy stanął przed obliczem kapitana zarośnięty, śmierzący i głodny, nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Zerkał więc niepewnie, zaciskając palce na materiale spodni, by ukryć drżenie rąk.

– Mówią, że jesteście niezli w stolarce, kaprału – zagaił w końcu kapitan. – To prawda?

– Tak, panie kapitanie – odpowiedział Fulise, nie widząc powodów do wypierania się prawdy.

– Dobrze. Narobiliście bałaganu u pani Koffi, to go posprzątaście. Myślicie, że nie wiem, kto zaczął? – Durante popatrzył na niego, unosząc krzaczaste brwi.

Kaprał uznał, że nie jest to pytanie, na które się odpowiada, milczał więc, podążając jedynie wzrokiem za dowódcą, który obszedł biurko i stanął pod oknem.

– Poprosiła mnie o to osobiście.

Te słowa całkowicie zaskoczyły Fulisego.

– Poprosiła? – wybąkał, koncentrując spojrzenie na karku kapitana, który zdążył się obrócić tyłem i teraz wyglądał przez okno.

– Tak, a my tu staramy się żyć w zgodzie z ludnością cywilną, kaprału! Mamy ich wspierać! Chronić przed niebezpiecznym elementem, a nie demolować im miejsca pracy! Rozumiecie? – Durante odwrócił się, a Fulise spuścił wzrok na wyściełający podłogę wzorzysty dywan. – Rozumiecie?

– Rozumiem, panie kapitanie – odpowiedział, na chwilę tylko podnosząc oczy; za nic nie chciał, by dowódca zobaczył, co się w nich czai.

– Jesteście do dyspozycji pani Koffi. Odmaszerować!

Fulise stuknął obcasami i wyszedł, niesiony radosną energią. Przynajmniej jedna

rzecz wyglądała tak, jak chciałby, żeby wyglądała. A nawet jeśli za wiele sobie wyobrażał, to przynajmniej wypuścili go z celi, która mocno mu już doskwierała.

Było dawno po śniadaniu, lecz kiedy wracał z łaźni, zaszedł do kantyny, licząc na jakieś resztki. Szybko przemknął między równo ustawionymi ławami, odsunął niezbyt czystą zasłonę i zajrzał do kuchni. Pełniący dyżur Orso szczerze ucieszył się na jego widok i natychmiast wstał od stołu, na którym kroił w kostkę ziemniaczane bulwy.

– Wypuścili pana, kapralu! Wreszcie! Co to sobie myślą te szarże, żeby za durną bijatykę człowieka tyle czasu trzymali w zamknięciu! Pewno pan głodny? – Ruszył w kierunku szafek, stojących na wprost jedyne w całym pomieszczeniu okna.

Po chwili na stole wylądował świeży chleb, uczciwy kawałek pieczeni, ser i kufel piwa.

– Proszę, je pan! – Orso wskazał z dumą wiktuały, po czym wrócił na swoje miejsce i sięgnął do wiadra, wydobywając dwa spore ziemniaki.

– Sam jesteś? – zdziwił się Fulise.

– Nie no, gdzie tam sam. Posłałem Błękitka i Mięciutkiego do miasta z listą zakupów. – Fulise zrobił zdziwioną minę, więc Orso uznał, że powinien się wytłumaczyć. – Ja tam nie lubię ostatnio chodzić.

Kapral musiał chwilę odczekać, zanim odpowiedział, bo właśnie wpakował sobie do ust zbyt duży kawał pieczeni. Przetykając pośpiesznie niczym tuczna gęś, formułował w głowie pytanie:

– Dzieje się co? Więcej?

– A dzieje się. Patrole muszą w mocniejszym składzie chodzić. Zewsząd zaczepki. Jakby bliskość wiosny miejscowym do głów uderzyła. Nie wiem, co sobie wyobrażają, ale się przeliczą, bo kapitan już prosił o uzupełnienie. Może być, że pozostałe kompanie dołączą i będziem tu całym regimentem stali.

– Niech mnie... – wydukał Fulise, nie znajdując lepszych słów.

– To wszystko te plotki. – Orso energicznie dziabał ziemniaki. – Te, co tak wkurzają Błękitka. I inne, o tym, co się niby na północy dzieje. Tak myślę. Ludzie słuchają głupot i im się wydaje, że wszystko będzie jak dawniej. – Skrzywił się i podniósł rękę z nożem do czoła, by się podrapać.

– A co się dzieje na północy? – spytał Fulise między jednym a drugim kęsem.

Nie żeby był całkowicie ślepy i zupełnie się nie orientował w tym, co spowodziło ich oddział do Prato. Jednak nie dociekał zbyt mocno, nie próbował do tej pory rozumieć szczegółów. Nie on był odpowiedzialny za to, że nie każdy jest szczęśliwy, i nie on mógł to zmienić. Zresztą nikt nie mógł.

– Fabryki stoją – odpowiedział Orso, przerywając krojenie ziemniaków i patrząc nagle jakoś inaczej. – Strajki, jak kiedyś za mojego ojca. Znow się głupki dają robić w

konia.

Fulise przestał jeść. Zasepiona mina kolegi sprawiła, że stracił apetyt. Nie zapytał, kogo niby Orso uważa za głupka. Nie musiał, bo żołnierz najwyraźniej potrzebował się wygadać.

– Pamiętam, jak ojciec na matkę fuknął, kiedy prosiła, żeby nigdzie nie szedł, jak mieli zająć walcownię. Że musi, że nikt biednemu nie pomoże, że samemu trzeba walczyć o swoje. W łeb dostał kolbą, jak wojsko weszło, i tyle. Za mocno któryś uderzył.

Orso wykrzywił usta w grymasie niepodobnym ani do uśmiechu, ani do żalu, a potem pochylił się nisko i przez chwilę mieszał w wiadrze ręką. Gdy się wyprostował, jego twarz znów była gładka.

– Jakby co, niech pan kapral za mocno nie wali. Łapy u pana wielkie, o nieszczęście łatwo, a potem to gryzie.

Fulise kiwnął tylko głową, bo nie było co odpowiedzieć. Potem wstał, podziękował za śniadanie i wyszedł. Całą drogę do przybytku Mady Koffi myślał zawzięcie, lecz niewiele mu to myślenie przyniosło. Postanowił jedynie, że porozmawia z Ucellim, gdy tylko nadarzy się okazja. W końcu oficer to oficer. Powinien wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Ze stancy do „Zielonej Gąski”, bo taką nazwę nadała Koffi swojej karczmie, szło się dobre pół godziny, jeśli oczywiście miało się nogi tej długości co Fulise. Gospoda leżała na drugim końcu nabrzeża, w pobliżu jaskiń zaadaptowanych na przystanie. Kapral szedł szybko, przelotnie zauważając, że śnieg nie pokrywa już ziemi jednolitą warstwą. Tu i ówdzie pokazała się czarna, lśniąca od wilgoci gleba, a gdy wszedł na szczyt pierwszego wzgórza, dostrzegł niewielkie fioletowe kwiatki, wystające wprost z łąchy śniegu. Wiedziony odruchem kucnął i zaczął je zrywać z nadzieją, że gospodyni doceni podarek. Humor nieco mu się poprawił, gdy jego myśli podążyły w stronę Koffi. Siedząc w zamknięciu, miał sporo czasu na rozpamiętywanie spojrzenia, którym go obdarzyła na pożegnanie. Była w nim i złość, i odrobina podziwu, i jakby żal. Wiedział, że dziewczyna żałuje połamanych stołów i rozbitych lamp, ale coś głupio kazało mu wierzyć, że jego trochę też.

Dotarł już do pierwszych zabudowań tej części miasta, a mijając kolejne kamienice, przyspieszał kroku. Jeszcze tylko malowany na biało sklepik modystki i już wyszedł wprost na „Zieloną Gąskę”. Budynek wyglądał jakoś dziwnie, lecz Fulise w pierwszym momencie nie zorientował się, o co chodzi. Dopiero po chwili dotarło do niego, że okna mają wybite szyby. Ostatnie metry pokonał biegiem. Frontowe drzwi, ozdobione wulgarnym napisem, były otwarte, choć o tej porze się to nie zdarzało. Wszedł, a widok, który zastał, zatrzymał go w progu.

Panienka Koffi siedziała po turecku na dywanie pod barem. Zaciśnięte w pięści dłonie opierała o podłogę, oczy miała zamknięte. Nie otworzyła ich, nawet gdy trzasnęły zamykane drzwi. Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna płacze, lecz to było mylne wrażenie. Nie płakała. Tylko falujące pod wpływem przyspieszonego oddechu piersi świadczyły o wzburzeniu.

– Panienko... – powiedział niepewnie, podchodząc bliżej.

– Fulise! – Otworzyła oczy. – Kazałam dziewczynom iść do domów. Nie chcę, żeby coś im zrobili, jak wpadną następnym razem. Wybili wszystkie okna. Durnie!

– Wstawi się, panienko, wielkie rzeczy, okna! – Ukląkł obok niej. – Stoły zrobi się nowe, chłopaków zaprzęgnę, każdy pomoże.

– Widziałeś, co tam napisali? – Zmarszczyła brwi. – *Żołdacka kurwa*. Nie rozumiem, jak niby miało mnie to obrazić? Durnie! – powtórzyła zajadłym tonem.

– Kwiatków panience narwałam, wiosna idzie – odezwał się po chwili, wyciągając rękę, w której tkwiły ściśnięte roślinki.

Nie wyglądały imponująco i na chwilę zrobiło mu się głupio, jednak Koffi wzięła je, w zamian obdarzając go uśmiechem. To był piękny uśmiech i Fulise poczuł nagle przypływ odwagi. W końcu co mogło się stać? Przysunął się bliżej i trochę nieporadnie objął ją ramionami.

* * *

Wiosna, gdy już się pokazała, szybko przejęła rządy nad Turkusowym. Lód zniknął, przepłoszony ciepłymi promieniami słońca i rybackie łodzie wyroiły się na jezioro. Incydenty takie jak u Koffi powtarzały się w innych lokalach, gdzie często przesiadywali żołnierze. Surowe kary nie odstraszały sprawców. Zanim nadeszło lato, napięcie w mieście urosło tak, że dało się je wyczuć na ulicach, a pyskówki i plucie sobie pod nogi były na porządku dziennym. Według Ucellego Prato stanowiło miniaturowe odbicie tego, co działo się w całym Palude. Lud nie był zadowolony z władzy i niezadowolony to okazywał w każdy możliwy sposób. Były oficer mówił też, że prędzej czy później te drobne póki co incydenty zmienią się w coś większego.

– Nie wiem, Fulise, co zrobię, gdy dostanę rozkaz – powiedział któregoś wieczoru, gdy siedzieli u Koffi przy jednym z tych stołów, które kapral własnoręcznie zbił i oszlifował.

– Orso mówił, żeby nie bić za mocno... – Głos Fulisego był niepewny, a Ucelli podniósł na niego wzrok, w którym kapral dopatrzył się czegoś na kształt współczucia.

– To nie takie proste, Domenico – westchnął były oficer, pierwszy raz zwracając się do niego po imieniu. – Mój ojciec, zanim umarł, a trochę mu to zajęło, bo coś, co

zaległo mu się w płucach, zjadało go powoli, tak że długo utrzymywał swoją chorobę w tajemnicy...

Fulise spojrzał na niego uważniej. Ucelli po raz pierwszy podjął temat swojej rodziny – najwyraźniej cała sprawa gryzła go nawet bardziej, niż kapral podejrzewał. Fulise wyprostował się, ułożył ręce równo na stole – instynktownie czuł, że chwila jest ważna.

– W każdym razie gdy już wiedzieliśmy, że umiera – kontynuował tymczasem były kapitan – wezwał mnie do siebie i powiedział: *Przykro mi, synu*. Myślałem, że przykro mu, bo czeka go śmierć, choć był przecież wciąż młodym człowiekiem, ale szybko wyprowadził mnie z błędu. *Przykro mi, że źle gospodarowałem, powiedział. Na posagi twoich siostr wystarczy, ale tobie zostawiam tylko nazwisko i honor*. Rozumiesz, Domenico? Nazwisko i honor. – W oczach Ucellego dało się dostrzec coś, co Fulise zinterpretował jako zawstydzenie. – Cieszę się teraz, że on nie żyje, przyjacielu. Myślę, że byłby mną srodze rozczarowany.

Fulise nie wiedział, co powiedzieć, zwłaszcza że nie był do końca pewien, do czego konkretnie pije w tej chwili były oficer. Czy do wydarzeń zeszłej jesieni, czy raczej do tego, co dopiero miało nastąpić.

– U Witrenstierna słyszałem ostatnio, że „Niezatapialna” znów utarła nosa „Drapieżnemu”. – Ucelli gładko zmienił temat. – Gdzieś na Glinianej. Ciekawe, kto tam teraz dowodzi...

– Na Glinianej? – Fulise poczuł się zbity z tropu. Jego myśli uciekały od rozmowy w zupełnie inne rejony, bo oto w polu widzenia pojawiła się Mada Koffi.

– Na „Drapieżnym”. – Ucelli podążył wzrokiem za spojrzeniem kaprała. – Szczęściarz z ciebie.

Chwycił kufel tak gwałtownie, że nieco piwa wylało się, wsiąkając natychmiast w gruby zielony obrus. Fulise oderwał oczy od zmierzającej ku nim Koffi i również sięgnął po piwo.

– To twarda kobieta – powiedział, a potem dodał: – Podobna do twojej.

– Podobna... – Ucelli patrzył na niego z jakimś takim smutnym rozbawieniem. – Pójdę już. – Dopił piwo dwoma łykami i wstał, rzucając na stół kilka monet. – Nie będę wam humoru psuć moją miną.

– Tylko nie łaź już nigdzie – przykazał kapral, wiedząc, że próby zatrzymania byłego kapitana na nic się nie zdadzą.

Ucelli nie zdążył jeszcze zniknąć za drzwiami, a Fulise już o nim zapomniał, całkowicie skupiając się na pięknej Koffi, która tymczasem zajęła puste miejsce przy jego stoliku. Dwa kufle później szli właśnie na piętro, gdy otwarte z impetem drzwi karczmy uderzyły o ścianę, zostawiając w niej dziurę na wysokości klamki. Błdy chłopak w rozchełstany mundurze ledwie mógł mówić, lecz zanim usiadł ciężko,

zdołał wyrzucić z siebie wiadomość:

– Koszary podpalili!

Rozdział dwunasty,

w którym wreszcie mamy do czynienia z abordażem

– Nes!

Okrzyk wywołał ją spod pokładu, gdzie razem z Zijeme właśnie oliwiła tłoki.

– Co tam?! – odkrzyknęła, wysuwając głowę przez luk na dziobie.

– Patrz! – Fraan wskazywała palcem coś na wodzie. – Zupełnie im odbiło!

Wycierając o spodnie umazane smarem ręce, Nes podeszła do burty, a widok, który ukazał się jej oczom był, delikatnie rzecz ujmując, zaskakujący.

W poprzek rzeki, kursem kolizyjnym z „Niezatapialną”, płynęła krowa. Zwierzę rozpaczliwie przebierało kopytami, usiłując dostać się do brzegu, lecz silny w tym miejscu nurt uparcie kierował je w stronę parowca.

– Co ona ma na szyi? – Nes zmarszczyła brwi, czując zalewającą ją falę chłodu.

– Wygląda jak katowska pętla, kapitanie – powiedziała Kayle cicho.

– Więc teraz już nawet krowy wieszają?

Nes odwróciła wzrok od walczącego o życie zwierzęcia.

– Skoczę z liną! – Ywig nie czekała na potwierdzenie, lecz Nes i tak skinęła głową, po czym wpatrzyła się w idealnie błękitne niebo, na którym jaskrawo świeciło idealnie okrągłe słońce. Zmrużyła oczy, gdy kolejna nietypowa rzecz przykuła jej spojrzenie.

Słoneczną tarczę przecinał idący ostro w górę parowóz.

– Nes!

Krzyk przedarł się przez zasłonę snu i pani kapitan usiadła gwałtownie na koi. Przez chwilę walczyła z powidokiem parowozu wypalonym pod powiekami i dopiero kolejne wezwanie, poparte gwałtownym łomotaniem, otrzeźwiło ją zupełnie.

– Nes!

Za otwartymi pośpiesznie drzwiami stała Darna, która wspólnie z Zijeme pełniła tej nocy wachtę. Odkąd zdecydowały się wrócić z Archipelagu, czyniąc początkowo jedynie krótkie ostrożne wypady, nocne wachty obstawiały podwójnie. Trudno się było połapać w sympatiach i antypatiach mieszkańców nadbrzeżnych wiosek, część latarni w ogóle nie funkcjonowała – rozbita w czasie toczących się tu i ówdzie zamieszek i nigdy nienaprawiona. System ostrzegawczy nie dawał pewności i lepiej było polegać na sobie niż mieć pretensje do i tak zastraszonej wieśniaków.

– Co jest?

– Statek. Ma znaki Kompanii Wydobywczej i idzie w dużym przechyle.

W oczach Darny błysnęła chęć działania – kobieta czekała na rozkaz.

– Budź dziewczyny, maskowanie mgielne na statek.

Pani kapitan ubierała się pośpiesznie w prostą abordażową koszulę i spodnie wiązane sznurkiem. Była pewna, że bez kontaktu z wodą się nie obejdzie. Szufladę biurka wysunęła bez zastanowienia, szukając czegoś, czym mogłaby spiąć włosy, wciąż za krótkie na porządny warkocz. Jej wzrok padł na skrawek zadrukowanego papieru i poczuła ten sam ucisk w sercu, którego doświadczała za każdym razem, gdy czytała artykuł. *Królowa Lahya Taiwijska przyczyną utaskawienia*, głosił nagłówek, a tekst poniżej знаła na pamięć. Chwilę potem, przemierzając korytarz w drodze na pokład, powtarzała go w myślach:

Żona miłościwie nam panującego Oresta Trzeciego z Fiori Verdich rzadko zwraca na siebie uwagę prasy w kontekście innym niż działania charytatywne. Tym razem jednak pozwoliła sobie na interwencję w sprawie człowieka, którego minister Ijsberg określa jako niebezpiecznego wywrotowca, a damska część socjety jako niepoprawnego romantyka i młodzieńca o gorącym sercu. My, przedstawiciele prasy, nie podejmujemy się rozstrzygać w tej sprawie, jednak sam minister musiał przyznać, iż nie posiada twardych dowodów na poparcie oskarżeń, jakie wytoczył przeciwko kapitanowi marynarki Feliksowi Ucellemu. Rzekomego rozkazu, który kapitan miał jakoby dostarczyć do stoczni w Trivione, nie odnaleziono, a wieszanie bez sądu, dobre może na głębokiej prowincji, w stolicy kraju nie ma racji bytu...

Nie napisali, co się z nim stało. Napisali tylko, że nie został powieszony, więc wciąż szukała nowych informacji. Przeglądała każdy strzęp gazety, jaki wpadł jej w ręce, słuchała plotek. I jednocześnie była pewna, że wcale nie chodzi jej o to, by go odnaleźć.

Co miałyby zrobić, gdyby się udało?

Odpowiedź na pytanie zadane przez Darnę na Mewim Klifie ułożyła już dawno. Wciąż jednak nie była przekonana, czy to dobra odpowiedź.

Nie mogła pójść z nim, bo nie mogła zostawić „Niezatapialnej” i dziewcząt. Była za nie odpowiedzialna jako kapitan – to raz. A dwa: przecież za to, by odzyskała statek i załogę, Feliks zapłacił tym, co było dla niego najważniejsze. Jak więc mogła to odrzucić?

Nie mogła. Nie powinna.

Wiedziała o tym, a potem znów powracały powtarzane w kółko wątpliwości i za każdym razem wywoływały ten sam ucisk za mostkiem. Bo może właśnie powinna? Może tego oczekiwał? Jeśli nie świadomie, to w głębi serca. Tam, gdzie nie ma już miejsca na honor. I może jednak wtedy, kiedy pozwoliła mu odejść, wiedząc, z jakimi konsekwencjami się to wiąże, okazała się niegodna jego ofiary?

Bo tego z kolei była pewna: niczym nie zasłużyła, niczym nie odplaciła. Tuż po tym,

jak Nes wpadł w ręce dawno nieaktualny numer „Słowa Palude”, próbowała podczas wspólnej nocnej wachty wyjaśnić to Darnie, lecz przyjaciółka spytała jedynie:

– Naprawdę myślisz, że na tym to polega? Na zasługach i odpłacie? Ja myślę, że to nie tak. Nie zastanawiaj się, co powinnaś, ale czego pragniesz. Próbowałaś w ten sposób?

Nie próbowała. Bała się – i tak było już przecież za późno.

Stanęła na chwilę tuż przy szerokich drzwiach prowadzących na pokład i odetchnęła głęboko. Myśli, rozbudzone przez gazetowy wycinek, nie pozwalały się zepchnąć z powrotem na dno umysłu. Tęskniła i miała już zawsze tęsknić – tak jak tęskniła za ojcem. Nawet wspomnienia o Feliksie były podobnie zatarte: fragmentaryczne, jakby rozdzielone między poszczególne zmysły. Czasem słyszała jego śmiech. Czasem razem z podmuchem wiatru docierał do niej zapach oficerskiego munduru, a zaraz po nim dotyk materiału na policzku. Najbardziej udawało jej się przywołać w miarę wyraźną twarz kapitana. Zawsze widziała ją jakby za mgłą, a im mocniej zamykała oczy i im bardziej próbowała wyostrzyć obraz, tym gorszy był efekt.

Potrząsnęła głową i wyszła na pokład. Rześkie powietrze przywróciło ją do rzeczywistości, a gdy podeszła do Zijeme i wyciągnęła rękę po sowę, była już z powrotem gotową do akcji kapitan pirackiego statku.

Nugatowa Głębia rozpościerała swe wody na powierzchni niewiele mniejszej niż Turkusowe. Z pozycji, w jakiej znajdowała się „Niezatapialna”, jej północne brzegi wydawały się o tej porze nocy jedynie mglistym cieniem na horyzoncie. Ten cień łamała jasna smuga białego reprezentacyjnego statku. Nes założyła gogle i dokładnie mu się przyjrzała. Wymalowany na kominie schematyczny rysunek szybu windy kopalnianej potwierdzał obserwacje Darny, a silny przechył sugerował uszkodzenie poszycia. Parowiec płynął powoli, delikatne pasma dymu unoszące się nad pokładem współgrały ze spacerowym niemal tempem.

Tyle zauważyła, zanim kłęby mgły otoczyły „Niezatapialną”, biorąc ją szczelnie w ramiona. Pani kapitan uśmiechnęła się pod nosem – Darna jak zwykle nie traciła czasu.

– Tratwy na wodzie, kapitanie. – Fraan podeszła bezgłośnie, lekko ją zaskakując.

– Dobrze – odpowiedziała Nes, odwracając się, by spojrzeć prosto w błyskające spod rudej grzywki oczy. – Tu jest szeroko, wyminiemy go i podejdziemy od dziobu.

Celowniczy skinęła głową i ruszyła wydać polecenia maszynowni. Nowy silnik w razie nagłej – i raczej chwilowej – potrzeby mogła obsługiwać nawet jedna osoba i za to Nes była Marynarce Królewskiej naprawdę wdzięczna. Marita, która przybiegła tak samo bosa jak Nes i tak samo lekko ubrana, podała jej nóż. Był to jeden ze specjalnych noży z wydrążoną rękojeścią, w której znajdował się roztwór usypiający. Po naciśnięciu

zapadki kropla spływała na ostrze, a pojedyncze draśnięcie kończyło się dla ranionego omdleniem. Podobny nóż pierwsza oficer wręczyła Zijeme, która zdążyła już zdjąć zbędne części garderoby i złożyć je w schludną kostkę, przyciśniętą metalowym bloczkiem. Pani kapitan uśmiechnęła się pod nosem na tę dbałość o porządek, widoczną w każdym niemal zachowaniu niedużej kobietki. Pozostałe dziewczęta gromadziły się przy nich i czekały na rozkaz.

– Kayle, drabinki. Marita, idź po v’Ana, zostanie przy sterze. Poradzi sobie, tu nie ma żadnych pułapek. – Od razu rozproszyła widoczne na twarzy pierwszej oficer wątpliwości. Gdy niezadowolony kucharz wynurzył się spod pokładu, uśmiechnęła się do niego najładniej jak potrafiła. – V’An, nie po to spędziłeś tyle czasu ucząc się od Laary, żeby nigdy nie przetestować swoich umiejętności. Moment dobry jak każdy inny, a jak skakać, to na głęboką wodę.

– Mijamy go! – Fraan stała na dziobie nieco pochylona, jakby całym ciałem nasłuchiwała wyciszonych mgłą odgłosów.

Nes ufała jej całkowicie – sama nie potrafiła wyłuskać z gęstej ciszy żadnego dźwięku. Celowniczy nigdy się nie myliła, jakby jej uszy skonstruowane były inaczej niż u reszty załogi. Kapitan ponagliła v’Ankarę gestem, chwyciła jedną z lin zakończonych hakiem i jako pierwsza zeszła po sznurowej drabince. Uniósłszy głowę, dojrzała jeszcze nadbiegającą od strony sterówki Laarę. Dziewczyna wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zmilczała i Nes pomyślała, że ona także ostatnio się zmieniła, skoro najwyraźniej posiadała umiejętność przyjmowania rozkazów bez dyskusji.

Odczepiła umocowane na mosiężnej obręczy wiosło i przyglądała się, jak dziewczęta zajmują swoje miejsca. Na znak dany przez Fraan sprawnie zwolniły tratwy z cum, „Niezatapialna” odeszła na lewo, a one wynurzyły się z oparów sztucznej mgły tuż przed dziobem niespiesznie nadpływającego statku Kompani. Ich ruchy były doskonale wyćwiczone i skoordynowane. Kilka pociągnięć wiosłami, przygotowanie lin, rzut. A potem szybka wspinaczka po śliskiej burcie. Po chwili nie było po nich śladu, a dwie puste tratwy, przycumowane do przechylnego mocno kadłuba, łagodnie kołysały się na niewysokiej fali.

Statek był cichy, lecz to nie wzbudzało podejrzeń o tej porze nocy. Rozdzieliły się tak jak zawsze. Nes poprowadziła jedną grupę wzdłuż lewej burty, Marita drugą wzdłuż prawej. Klar na pokładzie był idealny, jak na jednostce wojskowej. Żadna zbędna rzecz nie wałała się na wyczyszczonych do białości deskach, co zresztą mogło być efektem przechyłu, który nieco utrudniał spacer. Minęły nadbudówkę mieszczącą działka, które ostatnio montowano również na statkach cywilnych, zdobione rury wentylacyjne, w końcu mostek łączący tambory. Spotkały się na rufie, tuż przy sterówce. Pośpieszna

wymiana gestów potwierdziła to, co Nes już przeczuwała – żadnych wachtowych. Fraan wskazała głową na sterówkę, Nes skinęła. Bezgłośnie niczym duch celowniczy wsunęła się do środka przez uchylone drzwi. Skrzypnęły lekko, współgrając z cichymi odgłosami otaczającej statek nocy. Nes wsłuchiwała się w nie poprzez przyspieszone bicie własnego serca. Za każdym razem gdy szły na akcję odczuwała tę samą ekscytację, rodzaj strachu, ale nie ten, który paraliżuje, lecz ten, który pobudza do działania. Zza uchylonych ponownie drzwi wysunęła się ruda głowa, dając znak, żeby weszły do środka. Kapitan wskazała Kayle i Ywig, które przyjęły rozkaz w milczeniu i odeszły, by przeszukać resztę statku. Nes przekroczyła próg pierwsza, za nią ostrożnie podążyły pozostałe cztery dziewczęta. W sterówce poza Fraan był jeszcze leżący na podłodze młody mężczyzna. Zamknięte oczy i unosząca się w słabym oddechu pierś dawały jasno do zrozumienia, że został już potraktowany Gustafowym specyfikiem. Nes zastanowiły ślady pobicia widoczne na jego szczupłej, bladej twarzy, lecz nim zdążyła coś powiedzieć, uprzedziła ją Fraan:

– Nie byliśmy pierwsze, ale oni wedle jego słów – wskazała na chłopaka – nic nie mieli. To nie jest rejs handlowy. Henryk Dunkejn, właściciel tego wszystkiego – machnęła ręką dookoła – wraca ze ślubu wnuczki.

Nazwisko przemysłowca nie było Nes obce, pojawiało się w gazetach od czasu do czasu, a ostatnio kilka wypowiedzi Dunkejna, dotyczących strajków, kazało pani kapitan go zapamiętać.

– Dopadli ich tuż przed zachodem – kontynuowała Fraan. – Ogołocili statek z czego mogli, a na koniec wybili dziurę w burcie, żeby nie było za łatwo, i kazali podziękować.

– Powiedział ci to wszystko? – zdziwiła się kapitan. – Tak szybko?

– Chyba nie miał ochoty na kolejne lanie. To dzieciak, a oni zdaje się trafili na starego Ulentę.

Nes pomyślała, że jej mina musi teraz odbijać wyraz twarzy Fraan. Nie lubiły się z chłopakami Ulenty. Głównie dlatego, że okrucieństwo, zdaniem załogi „Niezatapialnej”, wcale nie było niezbędną częścią abordaży i zdobywania łupów.

– Gdzie reszta?

– W maszynowni dwóch ludzi. Ci, którzy przeżyli, śpią na dziobie, a właściciel w swojej kajucie.

– Ilu?

– Mówił, że dziewięciu. Wierzę mu. – Widząc minę Nes, Fraan dodała uspokajająco: – Nie było ich tu dużo...

– Dobra. – Pani kapitan otrząsnęła się z niewesołych myśli i wróciła do obecnej sytuacji. – Ja i Darna idziemy do kajuty Dunkejna. Nawet jeśli nie ma tu dla nas nic ciekawego, to informacje mogą się przydać. Laara, zostań przy sterze, utrzymuj kurs.

Marita, zabierzesz resztę na dziób przez maszynownię. Na wszelki wypadek zajmijcie się tymi, co zostali z załogi. Zijeme, ty się zajmiesz maszynownią oczywiście.

Mechanik potaknęła z szerokim uśmiechem i wyszła pierwsza. Po niej sterówkę opuszczały kolejno pozostałe dziewczęta. Nes na odchodnym raz jeszcze spojrzała na leżącego pod ścianą chłopca.

– Znajdź może coś, żeby go przykryć czy... – Przerwała, zerkając na Laarę, dziwnie zawstydzona własnym poleceniem.

Sternik jednak tylko skinęła głową, po raz kolejny powstrzymując się od komentarza.

Nie zwlekając dłużej, Nes zeszła z Darną pod pokład. Wkroczywszy na szeroki korytarz przykryty brązowym dywanem, pomyślała, że Fraan nie zapytała chłopaka o położenie kajuty przemysłowca. Skrzywiła się lekko i poszła za przyjaciółką, która uważnie przyglądała się drzwiom.

– Chyba tu? – spytała Darna bezdźwięcznie, a Nes skinęła głową.

Stały przy podwójnych masywnych drzwiach, zdobionych złotawą farbą. Wyróżniały się na tle innych, więc postanowiły od nich zacząć, zwłaszcza że Nes i tak nie miała pojęcia, gdzie szukać właściwej kajuty. Darna ostrożnie nacisnęła klamkę. Gdy drzwi nie ustąpiły, dziewczyny spojrzały po sobie, pewne, że wybór okazał się trafny. Nes sięgnęła do włosów i podała przyjaciółce niedużą, mocną wsuwkę. Darna uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową. W mdłym świetle pojedynczej gazowej lampki błysnął znacznie większy kawałek metalu, który musiała mieć ukryty w rękawie. Na chwilę obie wstrzymały oddech, jakby to mogło powstrzymać metal przed zgrzytaniem. W końcu zapadka cicho kliknęła i Darna bezgłośnie otworzyła drzwi.

Wszedłszy do środka, Nes zatrzymała się tak gwałtownie, że postępująca za nią towarzysza wpadła na jej plecy. Stały nieruchomo, zapewne z tym samym zdumionym wyrazem twarzy, wpatrując się w wycelowaną w nie lufę niedużego pistoletu. Pistolet znajdował się w ręce siwowłosego mężczyzny w szarym garniturze. Obcy najwyraźniej ubrał się pośpiesznie, o czym świadczyły niezapięte guziki. W drugim ręku – przyciśniętym do boku – trzymał kawałek jasnego materiału, który musiał być fularem.

– System alarmowy, panno Roźnowski – odezwał się wyjaśniającym tonem. – Henryk Dunkejn, do usług szanownych pań – przedstawił się, pochylając głowę w uprzejmym ukłonie.

Nes poczuła, że miękną jej nogi. W jednej chwili dotarły do niej wszystkie implikacje i oczyma wyobraźni zobaczyła zbitą byle jak szubienicę i cień Cytadeli, kładący się ciężko na rozkołysanych ciałach. Zastanawiając się bezsensownie, za co najpierw je powieszają, pchnęła Darnę biodrem i skoczyła w stronę przemysłowca. Spodziewany strzał nie nastąpił, a Dunkejn jedynie cofnął się o krok z zaskakującą zwinnością.

– To niepotrzebne, panno Roznowski, doprawdy! – Odłożył broń na stół i uniósł ręce, zerkając na Darnę, która z nożem w ręku zbierała się z podłogi. – Nie wiedziałem, kto tym razem postanowił mnie odwiedzić. Stąd to. – Wskazał przepaszającym gestem na stół, a potem się zatoczył.

Nes wstała z kolan i ostrożnie podeszła do mężczyzny.

– Wszystko w porządku? – spytała głupio i dość niepewnie.

Sytuacja była dziwna, a instynkt na przemian to uspokajał, to nakazywał wzmożoną ostrożność. Przez moment była właściwie pewna, że to wszystko, cały pusty statek w przechyle jest sprytną pułapką, zastawioną specjalnie na nie. Potem odezwał się rozsądek – skąd ktokolwiek miałby wiedzieć, że będą właśnie tędy przepływać? Powoli ciekawość brała górę nad wszelkimi innymi uczuciami.

– Nie bardzo, panno Roznowski – odpowiedział przemysłowiec, siląc się na uśmiech, po czym usiadł ciężko na krześle. – Otworzyła się. – Palce, które oderwał w końcu od boku, pokryte były czerwienią, podobnie jak wciąż ściskany w dłoni fular.

Znalazły się przy nim równocześnie, wspólnie pomogły mu zdjąć marynarkę, a potem koszulę. Niewprawnie założony bandaż przesiąkł krwią.

– Gdzie lekarz? – spytała Nes, a Darna skrzywiła się w tym momencie.

– Jeśli dziewczyny...

– Nie ma lekarza – odparł słabo przemysłowiec. – Źle zrobiłem, wstając.

– Nes, trzeba to zatamować i polecieć po Grację albo zwyczajnie się stąd wynieść. – Starsza kobieta jak zwykle sprowadziła kapitan na ziemię.

– Pomóż. – Nes chwyciła Dunkejna pod łokieć. – Łóżko? – spytała, wskazując ruchem głowy drzwi, prowadzące do kolejnej kajuty.

Skinął jedynie i pozwolił się podnieść, a potem ostrożnie poprowadzić i położyć na łóżku. Sąsiadująca z salonem sypialnia była znacznie mniejsza i bardziej przytulna. Przepych widoczny w pomieszczeniu obok tu zastąpiła użyteczność. Ostrożnie ułożyły przemysłowca na prześcieradle, na którym od śnieżnej bieli jaskrawo odcinały się czerwone plamy.

– Wezwij „Niezatapialną” – poleciła Nes. – Niech Gracja weźmie, co trzeba. Ja tu z nim posiedzę.

Przyjaciółka popatrzyła spod zmarszczonych brwi i pani kapitan nie wiedziała do końca, czy w jej oczach widzi dezaprobatę, czy jedynie wahanie. Tak naprawdę sama nie była pewna, dlaczego postanowiła pomóc rannemu.

Zastanawiała się nad tym, siedząc przy nim po założeniu kolejnego opatrunku. Przyglądała się blademu, pomarszczonemu obliczu leżącego z zamkniętymi oczyma mężczyzny – wydawał jej się kruchy i słaby. Zależny od niej. W pewnym sensie wzięła właśnie odpowiedzialność i za jego życie.

A przecież naprawdę nie zdziwiłaby się, gdyby to była pułapka. Miała świadomość, że ostatnio znów załazła władzy za skórę, co napawało ją głupią dumą, której nigdy nie odczuwała przed wydarzeniami ubiegłego lata.

– Dziękuję, panno Rożnowski. – Ciche słowa wyrwały ją z zamyślenia. – Nie musi pani tego robić, to chyba zresztą niezgodne z... z pani zawodem, a może i przekonaniami?

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Jest pan ranny. – Wzruszyła w końcu ramionami. – Nic mi się nie stanie, jeśli panu pomogę.

– Ale w przyszłości mogę pani zaszkodzić, wszak stoimy po przeciwnych stronach barykady.

Żachnęła się na te słowa. Drażniło ją samo słowo „barykada”, a ustawianie jej osoby po którejkolwiek stronie drażniło podwójnie.

– Ma pan na myśli którąś konkretną barykadę? – Wyduła wargi w sztucznym wyrazie pogardy.

Zaśmiał się, co chyba sprawiło mu ból, bo zaraz się skrzywił i z powrotem przybrał poważny wyraz twarzy.

– Jest ich kilka, prawda? – spytał, a gdy nie odpowiedziała, mówił dalej. – Opowieści o pani powoli nabierają cech legendy, a może baśni... Trudno mi to odróżnić.

Miała wielką ochotę spytać, co takiego mówią te legendy, ale się powstrzymała. Wydawało jej się bowiem, że takie zainteresowanie postawi ją w złym świetle, że w jakiś sposób coś tej legendzie odbierze, a tego, o dziwo, nie chciała. Jeśli oczywiście jakaś legenda faktycznie istniała. Gdyby Nes miała być szczerą wobec samej siebie, musiałaby przyznać, że w tej chwili nie do końca wie, w jakiej roli się obsadzić. Miotła się pomiędzy tym, co myślą o niej inni, tym, co sama o sobie myśli, i tym, co chce, by inni myśleli. A zupełnie odrębną sprawą było to, co robiła. Wcześniej, zanim przyszło tamto lato, nie miewała takich problemów. Była „Niezatapialna”, były dziewczyny, był v'An i było niełatwe, acz ciekawe życie, które dla siebie wybrali. Teraz na jej wybory w dziwny sposób wpływało coś, co działo się gdzieś daleko. A może raczej teraz ona ten wpływ widziała.

– Niech pan tyle nie mówi – odezwała się w końcu. – Jeszcze pan sobie zaszkodzi.

Uśmiechnął się.

– Pani statek umie pokonywać krę. Niczym duch wymalowany w barwy rewolucji pokazywał się na północy zimą. W gazetach były rysunki. Potrafi latać i ratuje ludzi z płonących wiosek. Bohaterska kapitan w obronie uciśnionych. Córka godna swego ojca.

Wstała, czując się niezręcznie. Wspomnienie ojca niczym powidok wyłoniło się z

pasiastej tapety zdobiącej kajutę. Po raz kolejny pożałowała, że tamtej nocy na „Drapieżnym” te cholerne barki nie pozwoliły jej dokończyć rozmowy z porucznikiem. Może gdyby bardziej go przycisnęła, wiedziałyby teraz, czy to, co mówi ten obcy przecież człowiek, choć trochę odpowiada prawdzie. I może też wiedziałyby, czy chce, aby odpowiadało.

– To nie tak – odezwała się, nie patrząc na Dunkejna. – To wszystko przypadek. Zimą płynęłyśmy raz. Na próbę, czy działa. Barwy rewolucji! Nie wpadłam na to, choć mi pan nie uwierzy, tak jak pewnie nikt by nie uwierzył. A wioska...

* * *

– To może być świetny interes, Nes.

Siedziały wokół stołu w mesie, a z kambuza docierały zapachy, które wywoływały ślinotok i skurcze żołądka. „Niezatapialna” płynęła jedną z niegdyś stałych tras, pokonując ją pierwszy raz od momentu, gdy całkowicie zesza kra. Darna stuknęła palcami o blat i marszczyła brwi, kalkulując. Po raz kolejny dziewczyny zastanawiały się nad szerszym kontekstem pojedynczego zlecenia. Jeszcze na Mewim Klifie, wraz z Ywig, która jako ostatnia weszła na pokład, dotarli do nich wieści, że ktoś poszukuje odważnego, który przewiozłby parę rzeczy między dwoma miastami. Towarem okazał się głównie olej skalny i amunicja. Pani kapitan wyraziła sprzeciw. „Niezatapialna” po pierwsze była poszukiwana, a po drugie – rozmiar wykluczał ją z grona statków przemysłowych.

Potem jednak udało im się przemknąć z Archipelagu na kontynent, gdy Gustaf zdołał dobrać składniki mieszanki tak, by lód topniał w tempie pozwalającym na swobodny ruch jednostki o rozmiarach „Niezatapialnej”. Parowiec został już wtedy przemalowany, a kolor zdobień był i jednocześnie nie był przypadkowy. Świadomie użyły fioletu, bo ten kolor najbardziej lubiła Kass, ale przypadek zdecydował o tym, że podobnej barwy używali uczestnicy zamieszek, aby odróżnić się w tłumie. Gdy Nes zorientowała się w tym zbiegu okoliczności, było za późno na zmiany. Palude zaczynało szeptać o podniesionym z dna statku – symbolu zwycięstwa, który odrodził się niczym Feniks z popiołów. Zauważyła, że większości dziewcząt ten tworzący się mit pasuje. Sama wyprawa, która rozpoczęła ich karierę rewolucjonistek, stanowiła efekt nudy, jaka zapanowała, kiedy już wszystkie niezbędne prace zostały wykonane. Gdyby załoga Nes była stworzona do siedzenia na tyłkach, nie byłaby jej załogą. Ruszyły więc, chcąc sprawdzić, jak daleko uda im się dotrzeć i jakie będzie zużycie topliwa – tak Gustaf nazwał proszek. Zupełnie przy okazji zabrały ładunek dla jednego z południowych miast, a potem było już tylko łatwiej. Po jakimś czasie zdołały kupić

niedużą jednopokładówkę i nią mogły dostarczać przemycone towary praktycznie wszędzie. Wtedy też okazało się, że jest to niemal tak samo opłacalne jak napady.

I tak z piratek stały się przemytniczkami, a potem zaczęły dyskutować nad tym, czy nie podjąć się także przewożenia zbiegów.

– Co masz konkretnie na myśli, Darna? – spytała Nes, mając świadomość, że formułuje pytanie w imieniu wszystkich obecnych. – Mamy otworzyć biuro podróży?

Parsknięcia śmiechu były wymuszone i szybko zgasły, wyparte przez oczekiwanie.

– Dużo ludzi chce się wynieść w przyjemniejsze rejony. Trzeba się tylko zastanowić nad logistyką i przepływem informacji, no i przede wszystkim nad ceną.

– Podoba mi się to – odezwała się Fraan. – Ludzie sami przyjdą po pierwszej, drugiej, góra trzeciej akcji. To oni będą nas szukać.

– Ale brać pieniądze? – Ywig potrząsnęła głową. – To chyba nie powinno być tak...

– A jak? – spytała Kayle. – To interes. Oni chcą szybko wiać, my możemy im to zapewnić. Korzyści po obu stronach.

– „Zadek” jest szybka... – powiedziała w zamyśleniu Fraan.

– „Zadek”? – Nes miała wrażenie, że coś jej umknęło.

– No, „Mała Nie” – wyjaśniła Kayle z miną, jakby chciała wzruszyć ramionami, ale coś ją powstrzymało. – Zawsze płynie z tyłu, nie?

– W każdym razie – odezwała się milcząca do tej pory Marita – mogłaby zbierać ludzi, a „Niezatapialna” wiozłaby ich na Archipelag czy do Tuuli. Tam też ostatnio emigrują.

To właściwie starczyło za podsumowanie dyskusji.

A potem pod pokład wpadła Ulfa i Nes drgnęła zaskoczona, słysząc jej podniesiony głos.

– Wioska płonie na lewym brzegu!

Požary były ostatnio zwyczajnym widokiem. Płonęły pola, chaty, okręty. Każda ze stron konfliktu uważała najwyraźniej, że ogień stanowi remedium na wszystkie problemy.

– Dolna Gawra! – Wychodzący zza kontuaru v'Ankara przywrócił je do rzeczywistości. – Nie ma innej na lewym brzegu na tej wysokości.

Wybiegając na pokład, pani kapitan uświadomiła sobie, że nie wydała żadnego rozkazu, a tymczasem „Niezatapialna” już zwalniała, przygotowując się do manewru przybicia. Były takie sytuacje, które rozkazów nie wymagały. Między płonącymi domami widziała pojedyncze postacie z tobołkami na plecach. Kilka osób strzegło dobytku, złożonego na kupkę poniżej wioski. Nigdzie nie mogła dostrzec żołnierzy, choć pożar wyglądał, jakby dopiero podłożono ogień.

– Tratwy! – Z rury komunikacyjnej rozległ się głos Laary. – Weźcie tratwy, my z

Zijeme dobijemy. VAn nam pomoże.

To było logiczne, więc razem z resztą dziewczyn pobiegła na rufę, po drodze sięgając jeszcze do umieszczonej za sterówką podręcznej zbrojowni. Po chwili już siedziała na tratwie i wściekle wiosłowała do brzegu. Nie wiedziała, co właściwie zrobić, gdy już przybiją do brzegu. Wiedziała za to, że znają co najmniej połowę mieszkańców niewielkiej osady i że zawsze mogły liczyć na tutejszą latarnię.

Gorączkowe nawoływania wystraszonych ludzi mieszały się z porykiwaniem równie, a może nawet bardziej wystraszonego bydła. Gdzieś w oddali zapłakało dziecko. Ogień huczał absurdalnie wesoło, z łatwością znajdując pożywkę, a chat nie ratowała ani wiosenna wilgoć, ani brak wiatru. Tratwy podpłynęły najbliżej wioski, jak się dało, w tym samym czasie „Niezatapialna” podchodziła do położonego nieco dalej pomostu. Z brzegu było czuć ciepło ogrzanego płomieniami powietrza i zapach płonącego drewna, którego nie zdołał w pełni stłumić ostry smród oleju.

Nes wyskoczyła na ląd pierwsza, lecz nie ruszyła od razu w stronę wioski.

– Trzeba się zorientować, co się dzieje. Marita, pogadaj z kobietami. – Wskazała na stojące przy dobytku postacie. – Róbcie, co trzeba, ja spróbuję znaleźć Griszę.

Starszy wioski powinien być w centrum wydarzeń, więc pobiegła między chałupy, tam gdzie na końcu osady znajdował się plac, przy którym stał budynek rady i gdzie w każdą środę rozstawiali swoje stragany nieliczni kupcy. Mijała przerażonych ludzi, na których twarzach nie było widać smutku, a jedynie niezrozumienie, sterty rzeczy wyniesionych w pośpiechu z domów, przewrócone wiadra, porzucone najwyraźniej, gdy się okazało, że nadchemicznego ognia nie da się ugasić wodą.

– Gdzie Grisza? – spytała, zatrzymując jednego z biegnących.

Mężczyzna przez chwilę spoglądał zagubionym wzrokiem, lecz w końcu ją rozpoznał. Jego oczy rozszerzyły się gwałtownie.

– Powiesili go, zanim podłożyli ogień – powiedział, wyrywając ramię z uchwytu. – Bez sądu, za pomoc piratom.

Cofnęła się pod ciężarem niewypowiedzianego do końca oskarżenia.

– Możemy wam pomóc – powiedziała, rezygnując z obrony.

Patrzył na nią z niechęcią, lecz chyba w końcu zwyciężył w nim rozsądek, bo odezwał się spokojnym, zrównoważonym tonem:

– Dali nam godzinę, potem wrócą. Powiedzieli, że Dolna Gawra ma zniknąć z mapy.

* * *

– Zabraliśmy, co się dało, zapakowaliśmy się na „Niezatapialną” i tyle. – Nes dokończyła opowieść i wzruszyła ramionami. Przez chwilę wpatrywała się we własne

dłonie, ułożone równo na kolanach, a ponieważ Dunkejn milczał, dodała: – Przypadek i tyle.

– Szczęśliwy przypadek – powiedział w końcu. – Mogłyście przepływać tamtędy godzinę wcześniej.

– Albo później – odrzekła, spoglądając mu prosto w oczy. – I byłoby jeszcze gorzej.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Gracja, niosąc ciężki kufer, a za nią wsunął się Gustaf. Świetnie się sprawdzał w roli felczerskiego asystenta i co najważniejsze, dobrze się w niej czuł. Pani kapitan była swego czasu pewna, że staruszek zostanie na Archipelagu, by tam w jakiś sposób odbudować swoje laboratorium, jednak naukowiec żywo zaprotestował, gdy kiedyś o tym wspomniała.

– Mam operować w łóżku? – sarknęła Gracja i Nes nie mogła się powstrzymać od uśmiešku. – Siedzisz tu tyle czasu i co? Nie mogłaś przygotować stołu?

– To chyba będzie zwykłe szycie, pani doktor – odezwał się najbardziej zainteresowany, lecz umilkł pod gniewnym spojrzeniem pani felczer.

– O tym ja zdecyduję, jak już to obejrzę.

Z tonu Gracji wciąż przebijała irytacja, więc Nes ruszyła w kierunku szafy, by wybrać coś, co nadałoby się do nakrycia stołu. Na pierwszej półce leżały zadrukowane kartki, poniżej ręczniki i prześcieradła. Wyjęła jedno z nich, rzuciła przelotne spojrzenie na papiery i przeszła do salonu. Tymczasem Darna podkreśliła już wszystkie lampy i właśnie grzebała w barku w poszukiwaniu jak najmocniejszego alkoholu.

– Na stół nie ma co marnować specyfików Gustafa – wyjaśniła niepytana, wyciągając w stronę Nes dłoń z butelką. – Na szczęście chłopaki Ulenty wszystkiego jednak nie zabrali.

– Śliwowica z Pesante! – Wymawiając nazwę wioski, pani kapitan poczuła mocniejsze uderzenie serca. O tyle mocniejsze, że aż musiało być słyszalne w jej głosie, bo Darna, jak na przyjaciółkę przystało, spojrzała uważnie. Nes spróbowała więc nieudolnie ukryć prawdziwy powód ekscytacji. – Jest tego więcej? Przydałoby się odświeżyć zapasy.

* * *

Gracja dobre pół godziny czyściła ranę przemysłowca. Narzekała w tym czasie na głupotę tego, kto zajmował się nią wcześniej, na wysokość stołu i złe światło. Dopiero kilka porządnych łyków śliwówki uspokoiło ją na tyle, by szwy zdołała założyć w milczeniu. Nes jako ostatnia opuściła pokład statku Kompanii, ściskając w ręce woreczek z listem bankowym opiewającym na całkiem sporą sumę. Nie rozumiała

motywacji przemysłowca i prawdę mówiąc nieco się obawiała, że prezent sprowadzi na nią kłopoty. W głowie pani kapitan znów zapaliła się fioletowa latarenka alarmowa. Myśl o pułapce wydawała się logiczna. Z drugiej strony, czy Dunkejn podejrzewałby ją o aż taką głupotę, skoro nawet zasugerował miejsce, w którym jego zdaniem najbezpieczniej będzie mogła podjąć pieniądze?

– Mogą pana za to powiesić – powiedziała na pożegnanie, unosząc w górę papier z pieczęciami Banku Vincich. – Bez sądu.

Dunkejn jedynie się uśmiechnął i choć leżał, błądy i wciąż jeszcze odurzony środkami znieczulającymi Gustafa, zdołał jakimś cudem wykonać gest zbliżony do ukłonu.

Mimo że wszystkie rwały się do zamiany kartki papieru na dużo bardziej realną gotówkę, to jednak zdołały uchronić się przed szaleństwem, jakim byłoby podchodzenie „Niezatapialną” do jakiegokolwiek dużego miasta. Teraz, płynąc w stronę wybrzeża, gdzie „Mała Nie” czekała pod okiem zaprzyjaźnionych rybaków, zacumowana w zacisznej przystani, snuły marzenia, do których niespodziewany przyływ gotówki dawał im prawo. A im bliżej były celu, tym bardziej burzliwe stawały się ich debaty w mesie.

– Gdybyśmy znalazły kogoś, kto umie latać, za te pieniądze mogłybyśmy zdobyć nowego ptaszka – powiedziała Darna podczas ostatniego obiadu, jaki jadły przed wejściem na Deltę.

– Przydałoby się raczej jakieś nowsze działo, bo ten złom, który teraz mamy na rufie, do niczego się nie nadaje – fuknęła Fraan.

– Nie nadaje? – Marita uniosła brwi.

Armata była co prawda mniejszego kalibru niż Małgorzata, lecz nie sprawiała żadnych kłopotów, być może dlatego, że w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki skonstruowana została jako działo okrętowe.

– Nie nadaje! – Rudowłosa celowniczy gwałtownym ruchem nałożyła na oczy gogle.
– Nie zgadzam się na zmarnowanie tych pieniędzy na ornitopter!

– Nie tylko tobie jej brakuje... – Nes wypowiedziała te słowa szeptem, lecz w zapadłej nagle ciszy były doskonale słyszalne.

– Tak? – W głosie Fraan pobrzmiwała ta sama buta co zwykle, jednak w dziwny sposób kaleka.

– Tak.

– Więc czemu jej nigdy nie poszukałaś? – Gogle zostały uniesione z powrotem na czoło, a oczy dziewczyny błysnęły złością.

– Gdzie? – Kapitan położyła obie dłonie na stole. – Myślisz, że gdyby mogła, to by nas nie odnalazła? Przecież zna wszystkie schowki, jak każda z nas. Jeśli o „Niezatapialnej” mówi się choćby połowę tego, co twierdził ten przemysłowiec, to i

ona musiałaby słyszeć. – Przez dłuższą chwilę mierzyły się spojrzeniami, a potem Nes dodała wbrew sobie, lecz zgodnie z nieubłaganą logiką: – Pogódź się z faktami, Fraan.

Nie ośmieliła się powiedzieć do końca tego, co podpowiadał jej rozum. Ona też ciągle głupio ufała nadziei, tkwiącej uparcie na dnie serca. Drapiącej, drażniącej nadziei, która nie pozwalała zapomnieć i nie pozwalała się pogodzić. I zamiast koić, sprawiała ból. A jednak Nes nie pozbyła się jej – w pewien sposób potrzebowała tej nadziei tak samo, jak potrzebowała szukania wieści o Feliksie.

– Pogódź się z faktami – powtórzyła, zaciskając bezwiednie palce i uświadamiając sobie, że jej myśli odbiegły od młodziutkiej pilot i podążyły w tym samym kierunku, co zwykle.

Mówiła do siebie i dziewczęta to wiedziały. Ciężkie od niewyartykułowanego żalu milczenie oblepiło wszystkich siedzących przy stole.

– Może ona nie chce wracać? – odezwała się nagle Gracja, mrużąc oczy ukryte za grubymi szklami. – Pomyślałyście o tym? Może zwyczajnie nie chce?

Nikt jej nie odpowiedział. Jakoś nie mieściło się im to w głowach, a jednocześnie pozwalało na chwilę odetchnąć. Fraan wstała pierwsza, a stojąc już w drzwiach, obróciła się i spytała:

– Kto pójdzie z tobą?

– Darna – odpowiedziała natychmiast kapitan. – W końcu to ona zna się na pieniądzach.

Nie wiedziała, czy z powodu oczywistości wyboru, czy też dlatego, że naprawdę tak wiele się zmieniło, żadna z dziewcząt nie próbowała tym razem dyskutować nad jej decyzją.

– Potrzebuję paru drobiazgów. Dam wam listę – powiedział Gustaf, gdy załoga zaczęła się rozchodzić. – Rzadko zdarza się okazja zrobienia zakupów w mieście.

– A mnie przywieźcie najładniejszy pistolet, jaki znajdziecie. – V'Ankara uniósł wzrok znad pustego talerza, o który od dłuższej chwili postukiwał łyżką.

Zdołał ją zaskoczyć, lecz szybko opanowała zdziwienie i kiwnęła głową.

– Dobrze. A wam? – rzuciła za wychodzącymi powoli dziewczynami. – Wam co przywieźć?

– Wróćcie w jednym kawałku i będzie dość. – Ywig obdarzyła Nes długim spojrzeniem, w którym widniała troska. – Nie podoba mi się, że chcecie płynąć do Prato. Innym dziewczynom też nie. To jednak spore miasto, więc na pewno coś się tam dzieje. Jakiś powód tego gadania o zmianach musi być. Łatwiej wpaść w czyjeś złe łapy, kapitanie.

Godzinę później Nes wciąż tkwiła przy stole, wsparta o jasny blat. W dłoniach obracała szklankę, która nie wiadomo kiedy stała się pusta, i jeszcze raz rozważała

słuszność podjętej decyzji. Musiała przyznać – przynajmniej przed sobą – że jej wiara w dobre intencje obcego przecież człowieka, na dodatek przemysłowca, którego statki nieraz okradała, opiera się na tym, co zobaczyła w szafie, wyciągając z niej prześcieradło. Nieduży stos równiutko wyciętych prasowych artykułów, z których jeden znała na pamięć. Mało, a ona tak wiele ośmieliła się zaryzykować. Skrzywiła się na myśl o Darnie, wiedząc dobrze, że przyjaciółka za nic nie zgodziłaby się puścić Nes w pojedynkę.

Kolejna fala wątpliwości spadła na nią wraz z obręczą bólu ściskającą skronie. Od nowa zaczęła obracać w głowie słowa przemysłowca, próbując odkryć w nich coś, co mogłoby świadczyć o tym, że zastawił na nią pułapkę. Dlaczego wskazywał konkretne miejsce odbioru pieniędzy, skoro musiał wiedzieć, że wyda się to podejrzanym? Zbyt oczywiste wyniki. Z drugiej strony...

Ciąg myśli urwał się gwałtownie, gdy pani kapitan poczuła na plecach świdrujący wzrok.

– Czego chcesz, v'An? – spytała niechętnie.

Rozdział trzynasty,

w którym sny bardzo chcą stać się rzeczywistością

Prato.

Azyl nieodwiedzany prawie od roku. Tyle że – co było dobrze widoczne na nabrzeżach i w wąskich uliczkach – Prato dawno azylem być przestało. Liczba mundurowych, rzucająca się w oczy zaraz po wkroczeniu do miasta, wzbudzała zrozumiałą niechęć i lęk. W większym północnym porcie Nes doliczyła się trzech pościgowców Straży Przybrzeżnej i zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno zostawienie „Małej Nie” w Pesante stanowiło wystarczające zabezpieczenie na wypadek gdyby musiały szybko uciekać. Zastanawiała się też, czy którykolwiek z marynarzy byłby w stanie ją rozpoznać. Ani „Drapieżny”, ani „Gorączka”, ani „Groźny” nie cumowały akurat w Prato i Nes poczuła oczywistą ulgę. Jednak wraz z nią pojawiło się delikatne uczucie zawodu, jakby podświadomie liczyła na wieści. Wiedziała, że okręt Feliksa zdołał się wyrwać z pułapki, w którą wpadł na Rwącej, bo z końcem wiosny „Niezatapialna” spotkała go, płynąc w dół Glinianej. Uciekły w te pędy, korzystając ze sporego zapasu kryształów i gdyby nie fakt, że sama kapitan trzymała wtedy wachtę, nie wiedziałyby, na który konkretnie pościgowiec się natknęły. Jednak okręt to jedno, a zupełnie inną sprawą było, czy ocalała załoga. Czy porucznik wyszedł z potyczki cało? Czy mógł wiedzieć coś o Feliksie?

Droga z przystani promowej do miasta była długa i dziewczyny pokonywały ją w milczeniu, więc Nes miała sporo czasu na niewesołe myśli. Szły dość szybko, ubrane na pesancką modłę w furkoczące kolorowe spódnice, z włosami ukrytymi pod fikuśnie wiązаныmi chustami. Pani kapitan nadal nie była pewna, czy właśnie nie daje dowodu głupoty. Jednak przemysłowiec idealnie wyważył sumę – była tyle mała przy jego dochodach, by nie zdawała się zbyt hojna, ale na tyle duża, by nęcić piratki. No i ryzykowały tylko one dwie.

– Ja idę do Koffi, a ty do Xandrego, tak? – upewniła się Darna, gdy dotarły w pobliże jaskiniowych przystani.

– Tak – odpowiedziała Nes, wyrwana z zamyślenia. – Pusto jakoś – dodała, uważnie rozglądając się wokół siebie.

– Pusto – przytaknęła Darna.

Weszły już w obręb ścisłych zabudowań miasta, zbliżając się do dzielnicy handlowej, gdzie zwykle o takiej właśnie przedpołudniowej porze tętniło życie. Tymczasem poza żołnierzami spotykały ledwie pojedyncze osoby, przemykające chyłkiem tuż pod

ścianami budynków. W ich spojrzeniach widziały trwogę i nieme ostrzeżenie. Żadna z tych osób nie była znajoma, dziewczyn nikt nie zagadywał i z tego akurat Nes się cieszyła.

– Nie podoba mi się to – wypowiedziała na głos oczywistą myśl, gdy dotarły do gospody Koffi.

– Trochę jak za dawnych czasów w Hidene. Tylko ty, ja i problemy – powiedziała Darna, a panna Roźnowski uśmiechnęła się do wspomnień.

– Czekam na moment, gdy będziemy to opijać, jak za dawnych czasów w Hidene. Widzimy się w „Zęcie”.

Patrzyły na siebie jeszcze przez chwilę, tym razem wybiegając myślami w przyszłość, po czym każda ruszyła w wyznaczonym wcześniej kierunku. Darna do furtki prowadzącej na tyły „Zielonej Gąski”, a Nes drogą wspinającą się na pagórek. Mieszkańców wciąż nie było widać, natomiast patrole wojska pojawiały się jeszcze częściej. Żołnierze w trzy- lub czteroosobowych grupkach obrzucali piratkę nienaturalnie ponurymi spojrzeniami, trzymając się sztywno, jakby w każdej chwili byli gotowi na odparcie ataku. Nes zeszła brukowaną uliczką w kierunku nabrzeża, przy którym kołysało się zbyt wiele rybackich łodzi jak na tę porę dnia. Poczowała kolejną falę niepewności i zaczęła żałować, że rozdzieliły się z Darną. Coś zdecydowanie było nie tak. W powietrzu wyczuwało się napięcie, a w którymś momencie wiatr znad jeziora przygnał do nozdrzy Nes charakterystyczny zapach spalenizny. Przyspieszyła kroku, odruchowo rozglądając się za jego źródłem, lecz zanim je znalazła, drogę zastąpił jej kolejny patrol.

– Dalej nie wolno – odezwał się jeden z żołnierzy, obrzucając dziewczynę spojrzeniem zarówno niechętnym, jak i zaciekawionym.

– Nie wolno? – spytała ze zdziwieniem, którego wcale nie musiała udawać.

– Teren wojskowy, nie wolno – powtórzył, kładąc rękę na kolbie pistoletu. – Dokąd pani idzie?

– Do tawerny „Pod Zagubionym Kucykiem” – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Szukasz pracy? Lepiej zapytaj u Koffi – poradził drugi, przyglądając się jej z miną znawcy. – Pasowałabyś tam.

– Nie szukam pracy. – Przybrała na twarz uprzejmy uśmiech. – Odwiedzam przyjaciela.

– To musi pani zawrócić do miasta i zejść do „Kucyka” górą przez sad. Tędy nie można. Obszar stąd aż do stancy jest zamknięty dla cywili – wyjaśnił pierwszy żołnierz stanowczym tonem.

– Rozumiem. Od dawna tak jest? Bo jak byłam tu ostatnio, to wszystko było otwarte.

– Nowy rozkaz – odpowiedział krótko. – Niech pani już idzie.

Posłuchała, nie próbując dalej zagadywać, i po chwili wspinała się po stromym w tym miejscu zboczu, na którym rozciągała się południowa część miasteczka. Znów przyspieszyła kroku, czując coraz większy niepokój. Miała wrażenie, że dotarły tu w złym momencie. Powoli narastała w niej złość na siebie za decyzję, którą podjęła, niepotrzebnie narażając Darnę.

– Miałam tu przyplłynąć sama – wymamrotała, wbijając wzrok w zieloną trawę porastającą przestrzeń między jabłoniami.

Kielkowało w niej poczucie winy. Nagle jaśniej pojęła, że uczucia przesłoniły jej rozum. Idiotyczny sentyment wygrał z rozsądkiem.

Ponad dachem biało malowanej „Zęzy” unosił się delikatny dym i Nes zastanowiła się, co też Xa planuje podać dziś swoim gościom. Jeśli w ogóle jacyś przyjdą, bo biorąc pod uwagę to, co widziała na ulicach Prato, wcale nie była pewna, czy tawerna prosperuje jak dawniej. Na gałęziach tu i ówdzie zaczynały się złocić wczesne jabłka i pani kapitan sięgnęła ku jednemu szczególnie przyciągającemu wzrok. Pachniało słodko i jakby na przekór atmosferze panującej w mieście niesło dobre wspomnienia. Wbiła zęby w twardego owoc, odgryzając soczysty kęs. Mimo napięcia i strachu uświadomiła sobie, że cieszy się na spotkanie z Xandrem. Brakowało jej przyjaciela. Jego trzeźwego osądu, spokoju bijącego z ciemnych oczu, ukrytych pod krzaczastymi brwiami. Zbliżając się do „Zęzy”, zwolniła. Dojadła jabłko, wyrzuciła ogryzek za siebie. Trochę się bała, jak Xandre ją przyjmie. Tyle rzeczy mogło się zmienić w ciągu roku, który minął od ich ostatniego spotkania.

Tylna furtka o dziwo była uchylona i pani kapitan zwolniła jeszcze bardziej. Podchodziła ostrożnie, a soczysta trawa tłumiała jej kroki. Stała pod płotem i wyteżyła słuch.

– Nie wiem, Witrenstiern, może gdyby się sami zgłosili – mówił ktoś ściszym, lecz pełnym emocji głosem.

Ktoś inny – a musiał to być Xa – prychnął jedynie i przez chwilę słyszała tylko odgłosy mieszania w garnku ciężką łyżką.

– Nie wierzę, że nie wiesz, kto to. A jeśli nawet nie wiesz, możesz się dowiedzieć. On planuje wieszać losowo wybranych mieszkańców, rozumiesz? – Podniesiony głos był łatwiej rozpoznawalny i serce Nes zabiło szybciej. – Nie skończy na tym. Ten człowiek nie zwykł negocjować.

Pani kapitan poczuła, że miękną jej nogi. Sytuacja była nierealna i za bardzo przypominała sen, by można było w nią uwierzyć.

– Myślisz, że mnie posłuchają, chłopcze? – Xandre westchnął ciężko. – To prości rybacy, a nie honorowi do bólu marynarze Jego Królewskiej Mości.

Teraz prychnął Feliks, bo Nes wiedziała już na pewno, że to Feliks rozmawia z

Witrenstiernem po drugiej stronie wysokiego płotu. Chciała wejść do środka: widzieć go, nie tylko słyszeć, przekonać się, że to nie jej wyobraźnia, a rzeczywistość. Jednak wciąż stała nieruchomo, bojąc się zrobić krok. Jak on zareaguje? Co tu robi? Zmienił okręt?

– Mnie nie posłuchają, to akurat pewne. A jutro, najdalej pojutrze dotrze tu reszta regimentu i będziecie mieli wojnę, Xandre, rozumiesz?

– My? A ty nie? Ciebie to nie dotyczy?

Czekała na odpowiedź Ucellego, lecz ta nie padła. Zamiast tego furtka otworzyła się, szarpnięta gwałtownie, i nagle Nes stanęła twarzą w twarz z Feliksem. Nie miał na sobie granatowego munduru oficera marynarki, tylko zielony, pozbawiony wszelkich insygniów mundur żołnierza piechoty, ale to był on, na pewno on, nikt inny. Spojrzenie jasnych oczu wbijało się w jej twarz. Poczowała skurcz przepony blokujący oddech, zupełnie jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

– Nes – powiedział miękko, przerywając ciszę. – Nie spodziewałem się.

– Do środka! – Xandre pociągnął Ucellego za łokieć. W oczach przyjaciela Nes dostrzegła lęk.

Feliks pozwolił się wciągnąć z powrotem do kuchni, a panna Roznowski postąpiła za nim i zamknęła furtkę.

– Witaj, Xa – powiedziała.

– Co tu robisz, Nes? – spytał Witrenstiern tonem aż nazbyt dobrze świadczącym o wzburzeniu.

– Odwiedzam starego przyjaciela – odparła. – I daję się zaskoczyć – dodała, przerzucając spojrzenie na Feliksa.

Miała wrażenie, że twarz młodego mężczyzny stała się bardziej pociągła, jakby zeszczupłał, a może to widoczny na niej smutek czynił ją węższą. Włosy miał krótkie. Obcięte na modłę wojsk lądowych, ledwie sięgały zielonego kołnierzyka. Tylko oczy były wciąż takie same. Jasne i uważne, wpatrywały się w nią wręcz boleśnie i Nes umiała myśleć tylko o tym, że choć bardzo chce, nie potrafi zrobić kroku w jego stronę. On też tkwił w bezruchu, jakby nie dowierzając, a gdy wreszcie uniósł rękę, Xandre przerwał nabrzmiałą ciszę:

– Siadajcie! – polecił i posłuchali jego słów jak zaklęcia. – Nes, źle zrobiłaś, dziewczyno, źle. Zły moment wybrałaś – westchnął, po czym sięgnął do szafki. – Gdzie reszta?

– Jesteśmy tu tylko we dwie. „Niezatapialna” cumuje daleko. – Przyglądała się, jak Xandre stawia na stole butelkę złotego rumu.

– Tyle dobrego! – Ucieszył się wyraźnie. Nalał i wypił, nie oglądając się na nich. – Albo i nie. – Zmienił zdanie, nalewając sobie drugą szklankę. – Nie wiem sam.

– Nalej i mnie, Xa, jeśli nie chcesz, żebym zaczęła źle myśleć o twojej gościnności – powiedziała, marszcząc brwi. – Co się tu dzieje? Na nabrzeżu zawrócił mnie patrol, łodzie stoją, jakby chłopcy zapomnieli wypłynąć, a nad jeziorem unosi się smród spalenizny.

– Wczoraj Fabrizio razem z kilkoma innymi głupkami podpalili baraki w koszarach. Myślą, że w ten sposób przysłużą się sprawie, młodzi durnie! – Witrenstiern zacisnął dłoń na butelce, aż zbiełały mu knykcie. Twarde szkło oparło się, na szczęście, a karczmarz przypomniał sobie wreszcie o gościach. – Też się napijesz, prawda, chłopcze? Tym razem na mój koszt!

– Nes! – Feliks wciąż nie odrywał od niej spojrzenia. – Nie odpowiedziałas na pytanie. Co tu robisz? Bo nie przyplątnęłaś z przyjacielską wizytą, to pewne.

Kapitan Roźnowski sięgnęła po szklankę i łyknęła uczciwie. Choć piła rum z Archipelagu całkiem niedawno, miała wrażenie, że ten nalany przez Xandrego jest inny, jakby miejsce miało wpływ na smak trunku. Przez chwilę milczała, układając opowieść w głowie, a potem zaczęła mówić. Nie przerywali jej – zresztą nie mówiła długo.

– Na wszelki wypadek Gustaf zmienił pierwszą cyfrę. Z dziewiątki łatwo zrobić ósemkę, a jeśli mają zwracać uwagę na konkretną kwotę, może ich to zmyli – zakończyła. – Najlepiej by było, gdyby do banku poszedł mężczyzna, ale v'An jest zbyt charakterystyczny, a Gustafa nie chciałam prosić.

– Zatem Darna ma przyjść tutaj, tak? – upewnił się Feliks, pomijając milczeniem jej rozważania.

– Tak.

– Dobrze. Poczekamy na nią, a potem odeskortuję was do Pesante. Znikniecie tak samo, jak się zjawiłyście.

– I tyle? – spytała, unosząc brwi.

– A co więcej? Chcesz tu być, gdy zacznie się pacyfikacja? – W głosie Ucellego pojawiła się nutka gniewu.

– Chcę dostać pieniądze! – parsknęła. – To raz. Dwa: ludzi trzeba ostrzec.

– Jak? I przed czym? Co zrobią, Nes? – spytał Feliks.

Witrenstiern pokiwał głową, nalewając sobie trzecią szklankę.

– Wszyscy nie uciekną.

– Mówiłeś, że gdyby się przyznali... – Nes w skupieniu spojrzała na Ucellego.

– Że być może, gdyby się przyznali – sprostował Feliks. – No i jak mam ich do tego zmusić?

– Xa... ty wiesz, kto to...

– Nes! – Widoczne spod gęstej brody fragmenty twarzy poczerwieniały gwałtownie.

– Czego ty ode mnie oczekujesz?

Stropiła się. Pochyliła głowę i zacisnęła dłoń na szklance. To nie była ładna sugestia i Nes sama nie wiedziała, jak mogła jej przyjść do głowy. A potem przypomniała sobie Dolną Gawrę.

– A jak spała miasto? Chcesz patrzeć, jak wieszają niewinnych? Cholera jasna! To nie jest oczywiste! Nie jest proste! I nie wiem, co lepsze! – Odstawiła szklankę, nie podnosząc jej do ust. – Fabrizio to który? Syn piekarza z Placu Oliwnego? Ten, co zawsze tyle szczekał?

– Nes...

– Sama do niego pójde, zmuszę go choćby siłą – powiedziała, siląc się na spokój, którego nie czuła w ogóle.

Niezrozumiały dla niej samej wewnętrzny przymus kazał jej to powiedzieć. Czuła się dziwnie, lecz nie chciała niczego cofać. Wstała i obrzuciła obydwu mężczyzn spojrzeniem. Potem usiadła z powrotem.

– Daj jakąś kartkę, Xa – poprosiła. – Napiszę do Darny, wytłumaczę jej, co ma robić – wyjaśniła, gdy nie ruszył się z miejsca. – Dasz jej, jak przyjdzie.

Nadal tkwił w miejscu, patrząc na nią ponuro.

– Rusz się! – powiedziała poirytowana. – Myślisz, że wiem, co robię? Nie mam pojęcia! Ale nie chcę drugiej Dolnej Gawry! Zwłaszcza że „Niezatapialna” nie pomieści miasta!

– Przynieś ten papier, Witrenstiern. – Głos Feliksa, w odróżnieniu od jej własnego, był spokojny. – Co chcesz napisać, Nes?

– Żeby zrealizowała czek – odpowiedziała. – I gdzie się spotkamy, i kiedy. – A potem milczała przez chwilę, zanim dokończyła: – I co mają robić, jeśli nie dotrę na miejsce.

* * *

Gdy Witrenstiern szukał papieru, Nes została z Feliksem sam na sam. Nieobecność karczmarza przedłużała się i pani kapitan zaczęła podejrzewać, że Xandre specjalnie daje im czas, który oni marnują, siedząc w milczeniu i jedynie patrząc na siebie ponad wyślizganymi deskami stołu. W końcu wyciągnęła rękę, przesuwając ją po blacie z wahaniem, powoli, jakby wciąż jeszcze nie była pewna, że Feliksa rzeczywiście można dotknąć. Ucelli musiał czuć się podobnie, bo dopiero po chwili zamknął jej dłoń w swojej.

– Bałem się o ciebie, panno Nes – powiedział cicho. – Za każdym razem, gdy słyszałem, co powtarzają rybacy albo przekupki na targu, bałem się o ciebie.

– Niepotrzebnie – odparła, uśmiechając się jednak, bo cieszyło ją, że o niej myślał. – Nie robię głupot, kapitanie Ucelli.

Skrzywił się na te słowa, a ona pojęła, że zwracając się do niego dawnym stopniem, sprawiła mu przykrość. Ścisnęła jego palce w mizernym pocieszeniu.

– Jak to się stało? – Wskazała ręką na jego mundur, zerknęła na pozbawione szarży naramienniki.

– Pan minister Ijsberg uznał, że to wystarczająca kara. – Wzruszył ramionami. – Wedle niego miałem szczęście, że naukowcy ze Stoczni Królewskiej nie mogli na poparcie swych słów pokazać nic ponad elegancką, lecz pustą kartkę papieru, podbitą królewską pieczęcią.

– Pustą?... – Z początku nie zrozumiała, lecz po chwili dotarło do niej, co Feliks ma na myśli. – Więc Gustafowi się udało!

– Tak. – Uśmiechnął się, jak zwykle poważnie.

– A królowa? – drażyła Nes.

– Królowa? – Oczy przykrył mu cień. Zwlekał z odpowiedzią, lecz w końcu rzekł: – Myślę, że dostarczyła czegoś w rodzaju przykrywki. Ułaskawienie na prośbę królowej czyni inny rodzaj zamieszania niż ułaskawienie dzięki wstawiennictwu wuja admirała, prawda? Pozwala uniknąć debat o rodzinnych układach, układzikach i sprawiedliwości, która uznaje przywileje wysoko urodzonych. No i zamyka usta politycznym wrogom.

– Wuja admirała? – Nes przez chwilę była zbyt oszołomiona, by coś z tego zrozumieć.

– Moja matka jest z domu Contini – odparł i nie dając jej czasu na odpowiedź, zmienił temat: – Ten plan, który sobie wymyśliłaś, nie jest najmądrzejszy. Jak to sobie wyobrażasz?

– Po prostu. Pójdę i przekonam go, że nie może skazywać niewinnych na zemstę za swoje czyny.

Feliks znów się uśmiechnął. Tym razem nieco pobłaźliwie. Poczuli się na tyle urażona, że zabrała rękę. Mężczyzna westchnął, również cofając swoją.

– A jeśli nie posłucha? A jeśli już dawno go tu nie ma, bo zwyczajnie uciekł? Nikogo nie złapaliśmy. Podłożyli ładunki olejowe z zapalnikami czasowymi. Wiemy, bo w jednym zacięła się zębatka i dostaliśmy go w całości. Sprytne małe urządzenia, swoją drogą.

– Ktoś zginął?

– Jest kilku poważnie poparzonych, większość jednak zdołała na czas wybiec z baraków. Tu nie chodzi o zemstę, wet za wet, a o prestiż i pokazanie, że nie można bezkarnie atakować żołnierzy Jego Królewskiej Mości. Armia nie może przejść nad tym do porządku dziennego, zrobi wszystko, żeby ukarać winnych i nagłośnić sprawę.

Faktycznie, młodzi durnie! Tak naprawdę dali pretekst, którego wojsko szukało od dawna. Armia zrobi z pacyfikacji Prato przykład, Nes. Jak z wcielenia ciebie do marynarki w zeszłym roku.

Zacisnęła wargi, pochyliła głowę.

– Gdzie ten Xa?! – warknęła w bezsilnej złości.

Jakby wywołany, Witrenstern wszedł do kuchenki. Spojrzeli na niego równocześnie, a Nes poderwała się na nogi.

– Tyle czasu szukałeś?

– Nie, Nes. Tyle czasu rozmawiałem z Aleeną i chłopakami Gareta. Usiądź, dziewczyno! – polecił, a ona posłuchała, bo jego ton nie zostawiał miejsca na dyskusję.

– Wszystko u nich w porządku? – spytał Ucelli z niepokojem w głosie.

Xandre przytaknął, po czym zdał im relację:

– W centralnym porcie zacumowały dwa kolejne pościgowce, w tym „Drapieżny”. Załogi wzmocnią obsadę koszar, dopóki nie przybędą kolejne kompanie. Nie będziesz nigdzie łązić, bo jak wleziesz na kogoś znajomego, to po tobie. – Patrzył prosto na Nes; nie mogła mieć wątpliwości, że zwraca się do niej.

– Nie mów mi, co mam robić! – rzuciła gniewnie, lecz Xandre tylko machnął ręką, jakby oganiał się od uprzykrzonej muchy.

– Oboje poczekacie tutaj, bo jeśli ty – przyjrzał się Feliksowi uważnie – wrócisz do koszar, to już z nich nie wyjdiesz, chyba że na rozkaz, idąc w szeregu z bronią na mieszkańców, a jakoś nie widzę cię, chłopcze, w takiej roli. Powiedz, umiałbyś strzelić do Franka po tym, jak uczył cię zarzucać sieci?

Feliks cofnął się, a Nes spojrzała na niego z zaciekawieniem, po czym wstała ponownie. Witrenstern chwycił ją za rękę.

– Poczekaj! Daj dokończyć! Przypląnęłaś tu po pieniądze! Pomyśl o tym w ten sposób, Nes. Ja pójdę do Fabrizia. Powiem mu, co myślę, może pojmie. Masz rację, że trzeba spróbować. Aleena pójdzie z twoim listem do Darny. Poustawiali patrole, kontrolują każdego. Łatwiej przejdzie moja kobieta, co ją znają, niż twoja Darna, co jest tu obca. Mam tylko nadzieję, że wciąż siedzi w „Gąsce”. Wyznacz miejsce spotkania gdzieś za Pesante, dam wam moją łódź. Poczekacie do nocy i odpłyniecie.

– Oszalałeś? Mam uciec? Zostawić ciebie i innych?

– Masz pojęcie, ile dobrego robisz? Ile się mówi o tobie? I co? Nagle głupio dasz się złapać albo zabić? W imię czego? Regiment wojska, Nes! Pięć okrętów z działami wycelowanymi w miasto! I ty ze swoimi pistoletami!

Zabrakło jej argumentów. Usiadła kolejny raz, nie wiedząc zupełnie, co teraz. Nie zatrzyma pocisków, nie poprosi chłopców, by nie strzelali, nie pójdzie do każdego mieszkańca Prato z osobna i nie pomoże mu w ucieczce przez obsadzone wojskiem

miasto. A jeśli sama ucieknie, gdy cokolwiek zacznie się dziać, będzie się czuła jak tchórz i zdrajca.

– Czemu musiałyśmy się rozdzielić? – wymamrotała pod nosem.

Brakowało jej Darny u boku. Tylko one dwie i problemy. Prawda. Tylko że zwykle wtedy były razem i Nes mogła liczyć na rozsądek przyjaciółki. Spojrzała na Ucellego. Siedział sztywny i blady, a palce prawej dłoni to zaciskał w pięść, to rozprostowywał. Przymknęła oczy. Na moment przeniosła się w myślach na statek Dunkejna, potem na „Drapieżnego”, pod czujne spojrzenie porucznika de Succombera, a wreszcie do wyłożonego złoto-zieloną tapetą salonu, gdzie jako dziecko siadała ojcu na kolanach.

– Nie jesteś nim, Nes – usłyszała i otworzyła oczy, zdumiona. – Nie jesteś twoim ojcem, nie jesteś jak twój ojciec, nie musisz być.

Feliks patrzył na nią wciąż blady, dłoni jednak nie zaciskał już w pięść.

– Rozmawiałem kiedyś o nim z porucznikiem. Ty nie myślisz o sprawie, ty myślisz o ludziach. Zupełnie odwrotnie. On poświęcił ciebie i twoją matkę, ty poświęciłaś siebie dla załogi. Kiedy zgodziłaś się na warunki ministra Ijsberga, zrobiłaś coś, czego twój ojciec nie zrobił, gdy ty i Angelique byłyście zagrożone.

– Raczej ratowałam swój tyłek! – fuknęła.

– Gadasz bzdury, w które sama nie wierzysz! – rzucił ostro, a potem mówił już powoli i cicho: – Posłuchaj mnie, panno Jollienesse Roźnowski. Tak jak planowałaś, napiszesz list do Darny. Zawiadomisz ją, żeby jak najszybciej udała się tam, gdzie cumuje twój parowiec. Może wziąć łódkę od Keejan, ona z pewnością nie odmówi, zwłaszcza za dobrą zapłatą. – Zerknął na Witrenstierna, który skinął głową.

– Pójdę po kasetkę – rzekł, po czym zostawił ich samych.

Feliks kontynuował tym samym spokojnym tonem:

– Dobrze, żeby „Niezatapialna” była w pobliżu, gdy pojawią się uchodźcy. Wyznaczysz jej miejsce spotkania, wiesz, jakie będzie najlepsze. Czym przyptynęłaś?

– „Małą Nie” – odparła i od razu dodała: – Jednopokładówka, pomieści może z pięćdziesiąt osób. Stoi w Pesante.

– Dobrze. Musisz zatem wybrać, komu powiedzieć najpierw, Nes. Wieść i tak się rozniesie, każdy ma kogoś, kto jest dla niego ważny. Ja proszę, żebyś wzięła pod uwagę chłopaków Gareta i może kaprała Fulise, jeśli wyrazi taką chęć.

* * *

Po tym, jak pogodziła się z decyzją, jak ustaliła, komu przekazać wieści w pierwszej kolejności, samo ułożenie treści listu było dziwnie proste. A jednak pisząc ostatnie zdanie, wstrzymała oddech. Stalówka zawisała nad białą kartką i Nes przez chwilę

stanowiła żywy obraz niepewności, lecz szybko pokonała to uczucie i dokończyła pisanie, uśmiechając się pod nosem. Była pewna, że wybór, którego właśnie dokonała, jest właściwy.

Podala list Xandremu, jeszcze raz wyliczając, komu ma przekazać wieści o nocnej zbiórce w Dzikiej Zatoce za Pesante.

– Pamiętam, dziewczyno! – burknął. – Za kogo mnie masz? Za starucha z demencją?

Uścisnęła go mocno na pożegnanie, tym samym ucinając pełne oburzenia narzekania. Gdy z okna pokoju na poddaszu przyglądała się, jak wychodzi, nie mogła się pozbyć niepokoju. Nie lubiła, gdy inni brali na siebie działanie, a jej zostawała modlitwa. Aleena, uzbrojona w kosz na zakupy, wyszła chwilę wcześniej frontowymi drzwiami, jakby nigdy nic udając się na codzienny obchód straganów i sklepów. Na udzie miała przypięty jeden z dwóch pistoletów Nes. Ją też pani kapitan zegnała spojrzeniem.

Gdy oboje zniknęli jej z pola widzenia, panna Roźnowski odsunęła się od okna i spojrzała na Feliksa, który zdążył już zmienić mundur na szerokie rybackie spodnie i koszulę wiążaną na piersi. Ona sama pozbyła się chustki okrywającej włosy i pozwoliła im opaść na plecy. Milczeli i Nes pomyślała, że to dziwne, jak bardzo trudno jest w pewnych sytuacjach znaleźć słowa. A przecież po tylu miesiącach powinni mieć sobie wiele do powiedzenia. Tymczasem do głowy przychodziły jej tylko frazesy o tęsknocie, o nadziei i inne, głupie i śmieszne, które wstydziła się wypowiedzieć.

– Dziwny człowiek, ten Henryk Dunkejn – powiedziała w końcu, podchodząc do nakrytego świeżym obrusem stołu, na którym zapobiegliwa Aleena postawiła dzbanek z piwem, a także bochenek chleba i szynkę, bojąc się, że zgłodnieją, zanim ona wróci i dokończy gotowanie potrawy.

Feliks siedział na wąskim łóżku oparty o ścianę i bawił się wyjętą wcześniej z kieszeni munduru harmonijką, lecz – najpewniej w obawie, by ktoś go nie usłyszał – nie próbował grać.

– Miałem okazję go poznać – odparł. – Zrobił na mnie wrażenie porządnego człowieka.

– Myślisz, że wiedział? – spytała, marszcząc brwi.

– O czym?

– Że tu będziesz. Że cię tu spotkam, gdy przyplynę po pieniądze.

Uśmiechnął się, rozbawiony w ten sam pobłażliwy sposób, którym rozgniewał ją już wcześniej, w kuchni Xandrego.

– To byłoby ładne. Niczym bajka o dobrej wróżce. Czy raczej wrózu w tym przypadku, prawda?

– Śmiejesz się ze mnie! – parsknęła. – I masz rację – dodała zaraz z westchnieniem i

usiadłszy przy stole, urwała kawałek chleba. Nie wzięła go jednak do ust, a jedynie obracała w palcach, zastanawiając się, co powiedzieć. – Wiem, że to głupie. Ale jaki był jego cel? Naprawdę chciał nam dać tyle pieniędzy za szycie rany w boku? Teraz przychodzi mi do głowy, że może on wiedział, co się tu szykuje i przysłał nas na pomoc, ale wtedy... Wtedy pół nocy zastanawiałam się, czy powinnam to robić i czy on wskazując Prato brał nas za idiotki, czy może udowadniał swoją uczciwość?

– I jak w końcu wybrałaś?

Ścisnęła chleb mocniej, a odpowiadając, nie patrzyła mu w oczy:

– Rzuciłam monetą...

Na chwilę wróciło poprzednie milczenie, potem Feliks wybuchnął śmiechem.

– Rzuciłaś monetą, pani kapitan? – zapytał, gdy już zdołał opanować rozbawienie.

Wzruszyła ramionami, wracając myślą do ostatniej nocy na „Niezatapialnej”.

* * *

– Co tu jeszcze robisz? – W głosie v’Ankary słychać było dezaprobatę. – Jest bardzo późno, Nes!

– Nie matkuj mi, v’An! – warknęła. – Pomógłbyś lepiej!

– Przyniosę herbaty – rzekł łagodnie, a widząc jej minę, dodał szybko: – I czegoś jeszcze, gruszkówka powinna być dobra.

Po chwili lał już trunek do dwóch kubków, a gdy zmoczyli usta, spojrzał na nią i powiedział:

– Gryziesz się z decyzją, kapitanie. U nas w Śruddży w takich momentach pozwalamy decydować losowi.

Uniosła brwi w niemym zapytaniu, a v’Ankara sięgnął do kieszeni spodni i wyjął monetę.

– Lahya to serce, Orest rozum, choć nijak nie mogę pojąć, czemu tak mówicie. Zatem rzucę i jeśli wypadnie Lahya... – Zawiesił głos.

Nie potrzebowała się namyślać.

– To Prato, v’An.

* * *

– I co wypadło? – spytał Feliks.

– Lahya – odpowiedziała, a nie wiedząc, co zrobić z oczami, wpatrzyła się w odłożoną właśnie na stół skibkę chleba.

– Serce, tak?

Poczuła, jak rumieniec pokrywa jej policzki. Wspomniane przez Ucellego serce

zabiło szybciej i mocniej. Skrzypnęło łóżko i po chwili silne ręce postawiły ją na nogi.

– Popatrz na mnie.

Podniosła wzrok, a wtedy ujął delikatnie jej twarz w dłonie, nachylił się i lekko ją pocałował. To było przewidywalne, a jednak nagłe i zanim zdążyła cokolwiek poczuć, odsunął się, zostawiając ją z poczuciem niedosytu.

– Naprawdę bracia Gareta uczyli cię rzucania sieci? – spytała, zdziwiona, że w takiej chwili zadaje akurat to pytanie.

Feliks patrzył na nią, w kącikach jego ust błąkał się uśmiech.

– Naprawdę. Opowiadali mi też o tuulijskich jeziorach pełnych ryb. Myślałaś kiedyś o tym, że mogłabyś zostać żoną rybaka, panno Nes?

* * *

Aleena wróciła pierwsza i od razu przysła do nich na górę. Liczenie na gości nie miało sensu – zanosilo się, że tawerna będzie dziś świecić pustką. Brak klientów o tej porze najlepiej świadczył o tym, że w mieście dzieje się coś złego. Nawet jeśli – poza pojedynczym wezwaniem winnych do ujawnienia się – wciąż nikt niczego nie ogłosił.

Według słów karczmarki Darna, przeczytawszy list, zmieniła się na twarzy, lecz nie protestowała. Zniszczyła go od razu na oczach Aleeny i bez słowa przyjęła pistolet, który Nes kazała dać v'Ankarze. Prosiła jedynie, by przekazać kapitan, że rozumie i liczy na rychłe spotkanie w umówionym miejscu.

Nes odradzała przyjaciółce wizytę w banku, jednak ostateczną decyzję pozostawiła jej. Wierzyła, że doświadczona kobieta będzie w stanie właściwie ocenić ryzyko.

Xandre wrócił dopiero po zapadnięciu zmroku. Aleena siedziała na poddaszu z Feliksem i Nes, czekając i zaplatając dłonie na podołku tak, że białaty jej knykcie. Bała się, całym ciałem wyrażając niepokój. Witrenstiern wpadł na górę chwilę po zachodzie słońca, a karczmarka z urwanym okrzykiem ulgi rzuciła mu się na szyję. Głaskał jej plecy, czekając cierpliwie, aż się uspokoi, potem dopiero odsunął ją delikatnie i zaczął mówić.

– Nie wiem, co zrobi Fabrizio. Jak każdy szczeniak jest odważny w grupie i wtedy, gdy nie czuje konsekwencji, dyszących mu w ucho. I żal mi jego ojca. – Przerwał, jakby potrzebował zebrać myśli. – Wszyscy, których kazałaś powiadomić, wiedzą. Ponieśli wieści dalej. – Podniósł dłoń do czoła, otarł kropelki potu, a potem westchnął. – I na nas pora.

Miał rację – nie było po co zwlekać.

– Pójdziemy na północ – rzekł Feliks, sprawdzając pistolety.

Xandre skinął głową.

– Za Rozstajami Handlarzy skrećimy na wschód.

Nes milczała. Odcinając i spuszczać kurek drugiego ze swych pistoletów, po raz kolejny uświadomiła sobie, że czasem dobrze jest pozostawić decyzje w rękach kogoś innego.

Ukryci pod ciemnymi płaszczami, wędrowali gęsiego w górę łagodnego zbocza, na którym leżała tawerna Witrenstierna. Jedyne Ucelli ani razu nie obejrzał się za siebie. Rąbek księżycy ukrył się akurat za pojedynczą chmurą i panna Roźnowski miała nadzieję, że pozostanie tam jak najdłużej. Do Rozstajów dotarli nie napotkawszy nikogo i podobnie było później – gdy odbili na wschód. Najwidoczniej wojsko, tak jak zakładali, zajmowało się raczej pilnowaniem zachodniej flanki.

Cała droga do bezimiennej zatoki, położonej za południowym portem, upłynęła zadziwiająco spokojnie. W zatoce, za szczelną zasłoną tataraku i gęstych gałęzi płaczących wierzb, kołysała się niewielka łódź, której Xandre używał tylko w bardzo specjalnych sytuacjach. I sytuacja taka właśnie nadeszła. Przed odpłynięciem rozpalili ogień pod kotłem, lecz nie uruchomili silnika. Wypchnęli łódkę przy pomocy drąga najdalej, jak się dało, a potem użyli wiosł. Planowali popłynąć okrężną trasą, odbijając najpierw na południe, by podejść do Pesante nie od strony Prato, lecz od przeciwnej. Mieli sporo czasu do wyznaczonej godziny spotkania, a rozsądek nakazywał ostrożność. Milczeli, by nie zdradziły ich głosy niosące się po jeziorze w nocnej ciszy i powoli pracowali wiosłami, by do minimum wytłumić chlupot wody. Nes siedziała na rufie, pilnowała steru i lustrowała gładką powierzchnię.

Opowiadali mi też o tuulijskich jeziorach.

Słowa Feliksa nagle pojawiły się w jej głowie. Usłyszała je wyraźnie, wypowiedane tonem, jaki zwykle rezerwuje się dla nierealnych marzeń.

– Cholera jasna! – Przenikliwy szept Xandrego sprowadził ją z powrotem na łódkę.

– Patrol? – spytała, podążając spojrzeniem za jego wyciągniętą ręką.

W oddali, bliżej brzegu, do którego zmierzali, płynęła wojskowa łódź, a za nią dwie kolejne.

– Raczej tylko zaopatrzenie – odezwał się Feliks.

– Tak czy siak, zaraz nas wypatrzą.

Jakby na potwierdzenie jej słów jedna z łodzi zmieniła kierunek. Na pokładzie zapalono lampę i było kwestią czasu, gdy lustra skierują snop światła w ich stronę. Pani kapitan zamknęła na moment oczy, po czym, pomyślawszy o losie, przypadku i liście, który zniszczyła Darna – rzekła:

– Xandre, Aleena, połóżcie się płasko. Z pewnością jeszcze nie widzieli, ilu nas jest. Feliks, palenisko.

– Będziemy się z nimi ścigać? Tym? – Ucelli machnął ręką, obejmując gestem

niewielką sylwetkę łodzi.

– Ona potrafi zaskoczyć. – W głosie Witrenstierna zabrzmiała duma. – Palenisko jest przystosowane do samych kryształów, chłopcze. Węgla używamy tylko na rozpałkę.

– Tam was wyrzucimy. – Nes wskazała majaczące w oddali wysepki. – Zdążycie na „Małą Nie”. „Niezatapialna” ma czekać dziewięć mil przed zwężeniem.

– A wy? – Aleena zadała to pytanie równocześnie z Xandrem.

– Odciągniemy ich na wszelki wypadek. Nie powinni się kręcić w pobliżu, gdy „Mała Nie” będzie wypływała, prawda?

– Dziewięć mil za zwężeniem. Prawdopodobnie będziecie tam przed nami. – Witrenstern uśmiechnął się lekko, lecz uśmiech ten był niepewny i wyraźnie miał pokryć niepokój. – Ta mała naprawdę wiele potrafi.

Nes przeniosła wzrok na Feliksa. Przyglądał się jej bez słowa. Na chwilę czas jakby stanął w miejscu.

Mysłałaś kiedyś o tym, że mogłabyś zostać żoną rybaka, panno Nes?

– Gdy oddasz dziewczynom łódź, Xa – rzekła powoli, nie odrywając oczu od twarzy byłego kapitana – powiedz proszę Darnie, że na tamto pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

Potrójny terkot silników łodzi zaopatrzeniowych przybliżał się, a w ciemniejszych niż zazwyczaj oczach Witrenstierna powoli rodziło się zrozumienie.

– Gotowi? – spytała Nes cicho.

Potaknęli kolejno, Feliks zajęty paleniskiem, Aleena rozsupływaniem woreczka z kryształami. Tylko Xandre wciąż wpatrywał się z nachmurzonym czołem w panią kapitan.

– Jesteś pewna? – Ciężka ręka zacisnęła się na jej przedramieniu.

– Bardziej nie mogłabym być – odparła Nes i przesunęła ster tak, by dziób celował wprost w wynurzające się z mroku wysepki.

Pozbawiona napędu wiosła łódź wytracała prędkość. Nes odetchnęła głębiej i spojrzała na Aleenę. Karczmarka bez słowa podała Ucellemu porcję kryształów.

Ostry dźwięk pracujących przekładni poniósł się po spokojnej tafli jeziora. Na wrogiej jednostce rozległ się gwizd alarmu. Dwa z trzech uzbrojonych zaopatrzeniowców, które do tej pory płynęły spokojnie w kierunku portu w Prato, zmieniały kurs, podejmując pogoń. Xandre nie próbował więcej dyskutować, tylko gwałtownym ruchem pociągnął Aleenę i oboje rozplaszczyli się na dnie. Wysepki zbliżały się z każdą chwilą, a łódź znowu nabierała prędkości. Snopy światła omiatały przestrzeń jeziora, zahaczając o nich i odbijając się w wypolerowanym kominie.

– Stójcie albo zaczniemy strzelać! – rozległo się spotęgowane ciszą polecenie.

W tym momencie wpadli w wąskie kanały rozdzielające splechетки łądu i zniknęli prześladowcom z oczu.

– Hamuj! – syknęła Nes. Feliks natychmiast przesunął odpowiednią dźwignię.

Przez jakiś czas kluczyli między wyspami, zwalniając i próbując podejść jak najbliżej właściwego brzegu. W końcu Nes zdecydowała:

– Tu! Bliżej nie ma sensu.

Zwolnili jeszcze bardziej, lecz nie stanęli zupełnie, a Xandre pierwszy zsunął się do wody. Przytrzymując się burty, czekał na swoją kobietę.

– Naprawdę jesteś pewna? – spytał, podejmując ostatnią próbę. – Nie widzą nas, możemy spokojnie zostawić łódź i ruszyć do brzegu razem.

Na ułamek sekundy Nes się zawahała, a potem uśmiech wypłynął na jej usta. Pewność, o którą pytał Xa, ta sama, o której mówił kiedyś Feliks na Mewim Klifie, wypełniła pannę Roźnowski i pomogła jej odpowiedzieć.

– Będziecie bezpieczniejsi, jeśli popłyną za nami. Nie dyskutuj już, nie ma czasu! – Po czym, przecząc sama sobie, chwyciła go za rękę i dodała: – Pamiętasz, co masz powiedzieć?

– Zaraz tu będą, Nes! – Feliks przywołał ją do porządku w tej samej chwili, w której Aleena pociągnęła Xandrego za ramię.

– Pamiętasz? – Nes powtórzyła pytanie.

– Pamiętam.

– Dobrze. Powiedz też, że w razie czego ostatnie zdanie listu niech potraktują jak rozkaz.

– Powiem – zapewnił cicho Xa, po czym puścił burzę.

Zobaczyła jeszcze, jak oboje z Aleeną nurkują w ciemnej toni, a potem odwróciła się do Feliksa, który stał w gotowości przy otwartym palenisku. W dłoni trzymał garść kryształów.

Za zakrętem kanału błysnęło światło, spokojny dźwięk silnika łodzi Xandrego został zagłuszony przez znacznie głośniejszy terkot większej jednostki. Nes chwyciła ster i ostatni raz zerkając w stronę brzegu, powiedziała z lekkim uśmiechem:

– Cała naprzód, panie kapitanie Ucelli.

Epilog,

w którym głos ponownie dostaje kucharz

Kot jak zwykle wziął się znikąd. Nie pokazywał się od kilku dni, a potem po prostu wyszedł z kąta między skrzynią a beczką, ziewnął szeroko, rozciągnął pręgowane ciało, na którym czerwieniała brzydka blizna, i siadł, by zmierzyć v'Ankarę uważnym spojrzeniem.

– Jesteś, futrzaku. – Kucharz kucnął i wyciągnął rękę, lecz z głaskaniem na razie się wstrzymał. – Dużo myszy złapałeś?

Kot miauknął w odpowiedzi i uderzył łebkiem w dłoń v'Ankary – raz, a potem drugi, gdy człowiek nie zareagował na zachętę.

– Pieszczot się zachciało, co?

Zwierzak znów miauknął i wstał, by przemaszerować pod wciąż wyciągniętą ręką.

– Bardzo się zachciało, łobuzie, bardzo, widzę...

Mężczyzna głaskał kota po grzbiecie, po łebku, drapał za uszami. Cały czas przemawiał do niego cicho, wtrącając od czasu do czasu pojedyncze słowa w ojczystym języku. Zwierzę mruczało w odpowiedzi, przymykając oczy.

Przerwało im syczenie kipiącej zupy. V'Ankara zerwał się na równe nogi i ruszył ścigać z kuchni gorący garnek. Kot umknął wystraszony.

– I znów gdzieś przepadniesz na nie wiadomo jak długo. – Kucharz skrzywił się, wciągnąwszy w nozdrza nieprzyjemny zapach. – Przypalona jak nic. Nie przynosisz ty szczęścia, pchlarzu...

Sięgnął po drewnianą łyżkę, rozglądając się jednocześnie za zwierzęciem, które jednak zdążyło już zniknąć w jednej ze swoich kryjówek. Mężczyzna westchnął pod nosem i zamieszał gęstą zawartość gara. Zupa oderwała się gładko od dna i v'An poczuł ulgę. Gdyby przypalił obiad dla całej załogi, pani kapitan z pewnością by mu nie darowała. Założył wszystkie fajerki i przesunął garnek z powrotem nad palenisko, a potem zajrzał w najbliższy kąt.

– Kici, kici, Brykiet, paskudo, gdzie jesteś? Chodź, dam ci coś dobrego... Kici, kici, kocie!

Chodził między sprzętami, badał zakamarki i nawoływał, ale nie wierzył, że wystraszony zwierzak da się skusić. Nie pierwszy raz kucharz usiłował go namówić do opuszczenia kryjówki, nie pierwszy raz krążył po kambuzie w poszukiwaniu futrzaka.

– Trudno. Przyjdiesz, jak będziesz chciał.

Wzruszył ramionami i wrócił do pieca, a ledwie zdążył sięgnąć po łyżkę, Brykiet

zeskoczył z kredensu na gorącą płytę. Bolesny miauk zawibrował w powietrzu, kula futra oderwała się od pieca i uderzyła kucharza w pierś. Ostre pazury rozdarły koszulę, zostawiając na ciele v'Ankary krwawe szramy, a sprawca, wciąż miaucząc, wybiegł z kambuza.

Kucharz spojrział w dół, krzywiąc się i posykując.

– I trzeba cerować... Głupie stworzenie... Jak ćma do ognia...

Przymknął oczy i znów poczuł przykry swąd spalenizny, którego nie potrafił zapomnieć, choć od pamiętnej nocy w Prato minął już blisko rok i choć znał wydarzenia głównie z opowieści, bo do samego miasta „Niezatapialnej” nie udało się wtedy podejść.

Zapach przynieśli na parowiec uciekinierzy. Przesiąkły nimi ich włosy, ubrania i tobołki, a także kot, trzymany w objęciach przez małą Maiiré. Zwierzak nie próbował się wyrwać – nie miał na to siły. Paskudna oparzelina pokrywała jego lewy bok i Gracja nie dawała mu szans na przeżycie. Jednak z jakiegoś powodu pani felczer pominęła zwyczajowe narzekania i po prostu zajęła się nierokującym pacjentem, znajdując dla niego czas między opatrywaniem ludzkich ran i oparzeń.

– Zapaliła mi się spódnica – powiedziała Maiiré o poranku drugiego dnia, krojąc chleb.

Przyszła do kambuza sprawdzić, co u kota, którego Gracja uznała za stosowne umieścić w koszyku za kredensem, i została, żeby pomóc w rozdzielaniu żywności. Nie patrzyła na v'Ankarę, gdy zaczęła mówić, i nie odwróciła się, dopóki nie skończyła.

– Chciałam koniecznie zabrać skrzypce. Były nowe. Mama krzyczała i coś wpadło przez okno. Podłoga zaczęła się palić. Prysnęło na sukienkę i na Brykieta. Zgasiłam go kocem. Ale skrzypiec już nie zdążyłam zabrać...

Opowieść była rwana i nieskładna. Pozostawiła w głowie v'Ankary kilka sugestywnych scen, z których najmocniej wbiła mu się w pamięć ta ze staruszkiem taszczącym na plecach wór soli.

– Nie chciał go zostawić, wiesz? Powtarzał, że nic więcej nie ma i żebyśmy mu dały spokój, jeśli nie chcemy pomóc.

Takie pojedyncze historie krążyły po pokładzie „Niezatapialnej”, która wtedy przyjęła na pokład kilka setek uciekinierów. Obraz, jaki się z nich wyłaniał, wzbudzał w v'Ankarze na przemian gniew i lęk.

Maiiré wraz z siostrami i matką zeszła na ląd za Wietrznym Progiem, a „Niezatapialna” popłynęła z powrotem, w razie gdyby ktoś jeszcze potrzebował transportu z ogarniętych chaosem okolic Turkusowego. Brykiet został, bo wbrew czarnowidztwu Gracji bardzo szybko poczuł się lepiej i buszował gdzieś w znanym tylko sobie miejscu, gdy pasażerowie opuszczali pokład.

– Jest łowny, przyda wam się. – Dziewczynka podejrzenie łatwo pogodziła się ze stratą, zupełnie jakby uważała, że los nie może jej już przynieść niczego dobrego. – Tylko pilnuj, żeby nie wpadł do wody. Koty nie lubią pływać.

Taką ją zapamiętał – poważna buzia, kolorowe łaty na białej sukience i ta dziwna aura przedwczesnej dojrzałości, która już na zawsze miała mu się kojarzyć z tym, co wkrótce zaczęto nazywać obcym słowem „rewolucja”.

VAnkara nigdy wcześniej tego słowa nie słyszał. Próbowano mu wmówić, że oznacza coś dobrego, pożądanego. Coś, o co warto walczyć. Obserwując wydarzenia z pokładu parowca, a czasem uczestnicząc w nich mimo woli, Śruddzańczyk rozumiał jednak tylko tyle: silniejsi biją słabszych w imię czegoś, czego najczęściej ani jedna, ani druga strona nie pojmuje. Podobno to wszystko była wina króla. Podobno monarchia to system przestarzały – nie przystaje do dzisiejszego świata. Podobno przyznał to nawet sam król. Gazety pisały, że Orest Trzeci wraz z małżonką udał się na północ, zostawiając kraj w rękach zaufanego człowieka, który miał posprzątać bałagan. Premier Siegfried Ijsberg przeproszał publicznie i obiecywał daleko idące zmiany. Kucharz musiał przyznać, że owszem – zmiany dało się dostrzec, nawet w najbliższym otoczeniu. Nie potrafił tylko jednoznacznie ocenić, czy są to zmiany na lepsze.

Z zamyślenia wyrwał go gwizdek alarmowy.

Czyżby znów? – pomyślał, krzywiąc się.

To też była zmiana – zdecydowanie częściej wpadali ostatnio na patrole. Pani kapitan uparcie pchała się na rzeki, zamiast siedzieć w zaciszu wybrzeża, i drażniła Straż Przybrzeżną. VAn zaczynał mieć wrażenie, że robi to specjalnie, a na dodatek tylko on i być może Gracja nie traktują tych potyczek jak dobrej zabawy. Innymi słowy nie było się co łudzić, że sytuacja ulegnie poprawie.

Westchnął i zdjął garnek z pieca, a potem sięgnął za kuchnię, gdzie trzymał ukryty na co dzień oręż – zaostriżony rożen, do którego przymocował coś w rodzaju gardy. Wążąc broń w dłoni, wysunął szufladę kredensu i wy dobył pięciolufowy pistolet z rzeźbioną w liście bluszczu kolbą. Tak uzbrojony, powoli ruszył na pokład.

Wszystkie dziewczyny były już na miejscach, wpatrzone zmrużonymi oczyma w smukłą sylwetkę pościgowca, który zbliżał się do nich połową prędkości. Koła miały równo nurt, zostawiając w tyle podwójną smugę piany, a z komina unosiły się kłęby jasnego dymu. Najwyraźniej marynarka wspomagała się kryształami, których produkcja została zwiększona, odkąd powtarzające się strajki spowodowały znaczny spadek wydobycia węgla. VAn wsadził oręż za szeroki haftowany pas, po czym ustawił się na swoim stanowisku – wspólnie z Zijeme i Kayle był odpowiedzialny za gaszenie ewentualnych pożarów. „Niezatapialna” zwalniała, by – jak Śruddzańczyk zdążył się już nauczyć – przyjąć lepszą pozycję do obrony. Pasażerski niegdyś parowiec był

najgroźniejszy, jeśli ustawił się do przeciwnika rufą.

Pościgowiec zbliżał się tymczasem, przyspieszając z każdą chwilą, i wkrótce kucharz mógł rozpoznać stojącego na dziobie oficera. Ten, uznając najwyraźniej, że odległość jest wystarczająca, odezwał się spokojnym tonem:

– Mówi kapitan Edward Arbre de Succomber z pościgowca Jego Królewskiej Mości „Drapieżny”. Dajcie silniki stop i ustawcie się w dryf. Podejźmy od sterburty celem wejścia na pokład, przejęcia jednostki i aresztowania załogi.

Słowa spotęgowane wzmacniaczem sonicznym huczały v’Anowi w uszach.

– Mówi kapitan Fraan Tomassini z parowca „Niezatapialna”. – Głos bez wzmocnienia niósł się po gładkiej toni, a v’Ankara spojrział odruchowo na kobietę stojącą na pokładzie obserwacyjnym ponad mostkiem. – Po moim trupie, kapitanie de Succomber!

Potem ciężar konwersacji przejęły bliźniaki.

Gdyby ktoś przechodził przypadkiem, czyli ten moment, w którym autorka, wiedziona wrodzoną szlachetnością serca, postanawia oszczędzić czytelnikowi domysłów

Rzeka zakręcała w tym miejscu, omijając jedno z pierwszych wzniesień Brzegowego Pasma. Srebrny nurt wartko zmierzał w kierunku Leniwej, jak wszystkie rzeki płynące przez tereny połączonych unią Tuuli i Palude. Leniwa była niczym matka wszystkich rzek, babka strumieni. Każda kropla, która ujrzała światło dzienne w górach Brzegowego Pasma, zmierzała do niej, by pośród innych podążyć ku Wybrzeżu Młota, gdzie rzeka rzek wlewała swe wody do oceanu.

Brzeg w tym miejscu był wysoki, nie urywał się jednak nagle, lecz silnie wygiętym garbem łąki łączył z pasem wodnych roślin. Te pleniły się bujnie w żyznym mulu rzeki. Powyżej, tam gdzie teren się wyrównywał, stała nieduża chata o ścianach bielonych wapnem i dachu krytym ciemnym gontem. Patrzącemu od strony wody mogła się wydawać niepozorna i krucha, było to jednak wrażenie mylące. Z tyłu bowiem tuliły się do niej inne zabudowania, powierzchnią trzykrotnie przewyższające domek. Wśród nich największy był warsztat wypełniony niedokończonymi mechanizmami, sprzętem laboratoryjnym, ale też sieciami i tyczkami do oznaczania łowisk.

Wbrew pozorom chata nie stała tu samotnie, a jej mieszkańcy nie byli jedynymi ludźmi w okolicy. Gdyby bowiem ktoś szedł od rzeki i minął chatę, w niecałe pół godziny dotarłby do wsi, i to wsi bogatej, w której murowane domy przeważały nad drewnianą zabudową, a główna ulica wyłożona była krągłymi rzecznyymi kamieniami. Pomiedzy takimi kamieniami nieczystości co prawda utrzymywały się znacznie dłużej, ale na szczęście dla miejscowych wiatry zawsze wiały tutaj od rzeki, a nie w kierunku przeciwnym.

Brzeg, choć z daleka zdawał się niedostępny, był osiągalny, jeśli się wiedziało, w którą stronę skręcić za szpalerem powykrzywianych reumatycznie jabłoni i gdzie szukać ukrytego wśród tataraku pomostu.

Mężczyzna, który siedział wsparty plecami o wierzbę, z nogami przerzuconymi przez

wypchany marynarski worek, najwyraźniej należał do dobrze poinformowanych. Przypadkowy przechodzień, widząc jego spokojną nonszalancję i lekki uśmiech zadowolonego z siebie kota, mógłby nawet uznać, że czuje się on tutaj u siebie. Miałby rację, albowiem to jego ręce wybudowały swego czasu i chatynkę, i pomost, i łódkę, którą ledwie przed paroma minutami do niego przycumował. Teraz te same ręce trzymały niewielki instrument o prostym, pozbawionym zwyczajowych rzeźbień czy trawień kształcie. Mężczyzna co rusz przykładął harmonijkę do ust i usiłował wydobyć z niej melodię. Próby te w większości były nieudane i po kilku właściwych dźwiękach powietrze przeszywał ostry dysonans, wbijający się w bębunki niczym krzyk drapieżnego ptaka. Upór nakazywał nieudanemu muzykowi nie poddawać się, więc fałszywe nuty, spotęgowane przez membranę rzeki, niosły się w górę po łące i przez zamknięte drzwi docierały do wnętrza białego domku.

Mężczyzna nie musiał długo czekać na to, czego się spodziewał od momentu, gdy tylko zasiadł pod wierzbą i przetarł rękawem wyjęty z kieszeni instrument. Podobna sytuacja powtórzyła się niejeden raz i sam się sobie dziwił w chwilach refleksji, że wciąż jeszcze mu się nie znudziła.

Rozkołysany cień nakrył słońce, które docierało przez wierzbowe witki. Podeszła cicho jak zawsze. Nie wiedziałby, że podchodzi, gdyby się jej nie spodziewał. Usiadła obok, ramieniem wspierając się o jego ramię, wbijając mu kolano w udo. Poczul łaskotanie, gdy końcówka warkocza musnęła jego dłoń i zamknąwszy oczy czekał niecierpliwie na to, co miało za chwilę nastąpić.

– Mógłbyś wreszcie przestać udawać, że nie potrafisz na tym grać – szepnęła mu w ucho.

Uśmiechnął się nieco przekornie, przykładając instrument do ust. Wzdłuż i w poprzek nurtu, a także w górę zbocza pomknęły pierwsze jęgliwe nuty *Radosnej*.

A w tym samym czasie, gdy nad rzeką miał miejsce rytuał powitania, zachodnie niebo przecinał wryty w powietrzu podwójny ślad. Wyglądał zupełnie tak, jakby ktoś ułożył tory mające wyprowadzić dzielnych podróżników poza znany im świat. Pojazdu, który się po nich poruszał, nie było już widać i tylko odległe echo miarowego stukotu korbowodów świadczyło o tym, że przypadkowy obserwator, skupiając się na podglądaniu pierwszych gorączkowych pocałunków, zaprzepaścił właśnie szansę na spotkanie z niedostrzegalnym.

I TERAZ JUŻ NAPRAWDĘ KONIEC

Podziękowanie

Żaden człowiek nie istnieje w próżni. Nie jestem pierwszą, która czyni to odkrycie, ale w niczym nie umniejsza to jego prawdziwości. A ponieważ mam pełną świadomość, iż na to, że „Niezatapialna” ujrzała światło dzienne wpływ miało wiele osób, niniejszym chciałam wyrazić wdzięczność wszystkim, bez których z mojego pisania nic by nie było.

W kolejności są to:

Rodzice. Ojciec, bo któregoś dnia podrzucił mi jedną z powieści Karola Maya – i nie był to „Winnetou” – i mama, bo zawsze, gdy zastawała mnie na nocnym czytaniu, wyganiała mnie do łóżka bardziej z obowiązku niż z przekonania.

Mąż, cierpliwie znoszący wszelkie niedogodności wynikające z posiadania żony, która ma tak egoistyczne hobby.

Przyjaciele z forów literackich i ci wszyscy, których poznałam podczas akcji NaNoWriMo – pierwsi czytelnicy, krytycy i pomocnicy, których nie da się przecenić. Każdy z nich zasługuje na wyróżnienie. Każdy dał mi coś ważnego – swój czas, energię, szczerą opinię, co wcale nie jest takie łatwe w pewnych okolicznościach. Jeśli ktoś z Was znajdzie w „Niezatapialnej” siebie – tak miało być.

Mój wydawca – Marcin Dobkowski (to on zobaczył w tekście potencjał i w efekcie pozwolił mi na spełnienie marzenia) i moja redaktor – Anna Kańtoch (jej cierpliwość i wsparcie na każdym etapie zasługują na poemat, ale w poezji jestem zupełnie do niczego).

I wielu innych wspaniałych ludzi, którzy mówili mi, że mam się nie poddawać i działać dalej, którzy klepali mnie po plecach, gdy było źle i podtrzymywali mój entuzjazm wtedy, gdy było dobrze.

Dziękuję.
Anna Hrycyszyn



Anna Hrycyszyn

Rocznik 1978. Zaklinacz kotów i szczur lądowy, beznadziejnie zakochany w morzach, statkach i okrętach. Wielbicielka rewolucji przemysłowej i architektury obronnej. Wierzy w postęp i szanuje wizjonerów. Uważa, że wszystko może być inspiracją, lubi zabawy kompozycją, a jej pisanie to ciągła walka o pogodzenie formy z treścią. Pisze od niedawna – wcześniej latami zbierała cudze doświadczenia, chłonąc tony literatury najróżniejszych gatunków.

Uwielbia dyskutować, a od kiedy przeczytała *451° Fabrenheita*, utwierdziła się w przekonaniu, że uwielbienie to nie jest bezpodstawne. Można ją spotkać na forum „Literka”, a także na powiązonym z forum portalu, gdzie między innymi rozpisywała się o kwestii steampunku w literaturze.

Jedno z jej najwcześniejszych opowiadań znalazło się w drugim tomie *Fantazji Zielonogórskich*. Prowadzi bloga „Ziarno Myśli”, na którym dzieli się wrażeniami z lektury, a czasem trudami pracy twórczej.

Betelowa rebelia: Spisek

Daniel Nogal



W Betelii, leżącej na krańcu świata tropikalnej kolonii, ścierają się interesy dwóch mocarstw: Regalium i Septium. W ich cieniu rozgrywa się prawdziwa walka pomiędzy zupełnie nowymi graczami: wszechwładnym Bankiem Rotów i tajemniczą Lożą Mechanistów. Napiętą sytuację komplikuje antykrólewska rebelia, wzniecona przez szlachetnych idealistów, dążących do wyzwolenia kolonii spod imperialnej władzy Regalium.

W „betelową rebelię” zaangażuje się, ku własnemu zdziwieniu, nałogowy hazardzista Angus, odważna dziennikarka Marta Brus i wielu innych. Będzie wśród nich szalony profesor Fergus, badający zwyczaje nagów, gadzich mieszkańców Betelii. Tłem dla losów rewolucji okażą się podróże przez malowniczą dżunglę, zapomniane świątynie, niezwykle wynalazki, pirackie zamki na rajskiej Tygrysiej Wyspie...

Betelia stanie w ogniu! Jaki będzie los rebeliantów?

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/betelowa-rebelia-spisek-daniel-nogal/>

Paradoks Marionetki: Sprawa Klary B.

Anna Karnicka



Dziewiętnastoletni Martin ponad wszystko pragnie pracować w teatrze lalkowym. Zaproszenie na egzamin wstępny do prestiżowej Praskiej Szkoły Lalkarzy wydaje mu się spełnieniem najgorętszych marzeń. Chłopak nie zdaje sobie jednak sprawy, że kiedy tylko osiągnie swój cel, Praga, jego rodzinne miasto, odkryje przed nim swoje mroczne i przerażające oblicze.

Spełnienie marzeń nie zawsze jest tym, czym się wydaje...

Drogi Martinie,

witamy w progach Kolegium Iluzji i Manipulacji! Nigdy o nas nie słyszałeś? Bardzo dobrze! Nie lubimy przyciągać uwagi. Od wieków sprawujemy władzę zarówno nad waszym światem, jak i nad przylegającymi do niego krainami pogranicza.

Dołącz do nas, a nauczymy Cię kontrolować wszystko i wszystkich. Poznaj naszych adeptów – młodych, zdolnych i bezwzględnych. Poznaj wykładowców – podstępnych, pogrążonych w ponurych knowaniach, uczestniczących w trwających do wieków spiskach.

Staż się jednym z nas! Dołącz do prawdziwych władców!

„W książce Anny Karnickiej jest wszystko, co powinno znaleźć się w dobrej powieści. dla młodzieży – przygoda, zagadki, niebanalni bohaterowie. Jednocześnie autorka nie pozwala sobie na popadanie w schematy, a jej historia to nie cukierkowa opowiadanka, w której wszyscy żyją długo i szczęśliwie.”

Magdalena Kubasiewicz, autorka „Spalić wiedźmę”

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/paradoks-marionetki-sprawa-klary-b-anna-karnicka/>

Idź i czekaj mrozów

Marta Krajewska



W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmory i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendi wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i darwałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.”

Paweł Majka, autor *Pokoju światów*, zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

„Autorka wymieszała z wprawą dobrze wyszkolonej zielarki elementy demonologii i mitologii słowiańskiej, komponując własną, smakowitą mieszankę.”

Witold Jabłoński, autor cyklu *Gwiazda Wenus, Gwiazda Lucyfer*

PIERWSZY TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/idz-i-czekaj-mrozow-marta-krajewska/>

Redlum

Katarzyna Rupiewicz



Najbardziej epickie przygody zawsze rozpoczynają się w karczmie. Dlaczego jednak nie pozostać w niej do samego końca? Zaintrygowani?!

Witajcie w Redlum, mieście potworów, gdzie rzeczywistość przeplata się z magią, a reguły wolnego rynku z brutalnymi prawami natury. Wjeżdżacie na własną odpowiedzialność! W naszym pięknym mieście możecie wiele zyskać, ale również w okamgnieniu wszystko stracić.

Karczma Słodkiego jest jedynym miejscem, gdzie cichną spory i waśnie, a wszyscy – zarówno mieszkańcy, jak i przyjezdni – mogą zaznać chwili spokoju. Nie dajcie się jednak zwieść pozorom. Słodki nie jest człowiekiem, a jego klienci również nie wydają się szczególnie normalni. Szczerze mówiąc, to przeważnie potwory. Ale najgorsze bestie czają się gdzieś tam... na zewnątrz.

Czy Redlum przetrwa? Wydaje się, że nawet tego nie chce!

Czytałam tę książkę dwa razy i za drugim podobala mi się jeszcze bardziej niż za pierwszym. Jest w „Redlum” humor, który w idealnych proporcjach łączy się ze scenami chwytającymi za serce, jest sympatyczny główny bohater, są tajemnice oraz oryginalny pomysł na miejsce akcji. I wreszcie jest efektowne zakończenie, które zgrabnie spina w całość rozrzucone wcześniej tropy. Polecam.

Anna Kańtoch, pięciokrotna zdobywczyni Nagrody im. Janusza A. Zajdla i zdobywczyni Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/redlum-katarzyna-rupiewicz/>

Spalić wiedźmę

Magdalena Kubasiewicz



Sara Weronika Sokolska, zwana Saniką, w niczym nie przypomina nadwornej czarodziejki. Młoda, żywiołowa i dzika jak magia, którą włada, stanowi jedną z największych tajemnic królewskiego dworu. Nie wiadomo, gdzie uczyła się magii i kto był jej mistrzem, ani nawet skąd przybyła do Krakowa. Plotki mówią, że jest najbliższą przyjaciółką i powiernicą króla Juliana, a może nawet kimś więcej. Media donoszą o jej spektakularnych wyczynach: polowaniach na biesy, inkuby i strzygi, o pojedynkach z członkami Łoży Czarodziejów.

Wydaje się, że Sanika jest najpotężniejszą czarownicą w Polanii i tylko szalenie mógłby rzucić jej wyzwanie. A jednak nawet moce wiedźmy mogą okazać się niewystarczające w starciu z przeciwnikiem, który pragnie zniszczenia Krakowa. Wrogiem, za którym stoi pradawna i niezwykle potężna magia...

„W alternatywnej, przesyconej magią rzeczywistości monarchią Polanii rządzi król Julian, a drugą co do ważności osobą po władcy jest Pierwsza Czarownica, harda i nieugięta Sara Weronika Sokolska. Gdy nad Krakowem zawisa widmo czarnoksiężskiej apokalipsy, to ona staje przed wyborem: chronić miasto czy... siebie.

Magdalenie Kubasiewicz udało się zgrabnie wpisać motyw z krakowskich legend w nowoczesność, a baśniową symbolikę połączyć z wartką akcją. Smok wawelski, czarnoksiężnik Twardowski, diabeł z Krzysztoforów zyskują nowe oblicze, ale to pyskata Sara skradła moje serce.”

Agnieszka Hałas, autorka cyklu *Teatr węży*

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/spalic-wiedzme-magdalena-kubasiewicz/>

Pokój światów

Paweł Majka



I wojna światowa była tragedią, ale nie skończyła się tak, jak mówią podręczniki historii. Na Ziemi wylądowali Marsjanie. Inwazja została odparta, a uwięziony na powierzchni planety najeźdźca zasymilowany, jednak odtąd nic już nie było takie jak dawniej.

Sprowadzone przez Obcych mitbomby uwolniły energię wiary, która ożywiła postaci z mitologii, baśni i legend. Domy otoczono ochronnymi barierami, boscy patroni strzegą poszczególnych miast, po ulicach przechadzają się upiory i magowie. Miejsce dawnych państw zajęły spółki handlowe, Republika Narodów i na pół świadome państwa-organizmy: Wieczna Rewolucja, Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Czego poszukuje zorganizowana przez Nowakowskiego – bogatego krakowskiego Marsjanina – ekspedycja na wschód? Trwają lata Pokoju, ale wyprawa sterowcem nad Kresami Rzeczypospolitej nigdy nie należała do bezpiecznych... Czy barwna zbieranina indywidualności – opętany przez nienawiść Mirosław Kutrzeba, stworzony w laboratorium ślepy bóg Szuler Losu, uzależniony od czarciego mleka były inspektor kolejowy Grabiński, cyganka Sara, olbrzym Burzymur i naiwny Jasiek – wie, na co się porwała?

Zamieszkująca ciało Kutrzeby zmora dopilnuje, żeby nie zapomniano o zemście.

ZDOBYWCA LITERACKIEJ NAGRODY
IM. JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

NOMINACJA DO NAGRODY
IM. JANUSZA A. ZAJDLA

<http://geniuscreations.pl/ksiazki/pokoj-swiatow-pawel-majka/>



KUPOJ W
madbooks.pl

Anna Hrycyszyn

Zatopić „Niezatapialną”

